

POEZJA  
PROZA  
ESEJE

# ZAPIS

Nr 5      styczeń 1978

numer  
przygotowali:

Jerzy ANDRZEJEWSKI  
Stanisław BARAŃCZAK  
Jacek BOCHENSKI  
Tomasz BUREK  
Jakub KARPIŃSKI  
Adam MICHNIK  
Kazimierz ORŁOŚ  
Barbara TORUŃCZYK  
Wiktor W'OROSZYLSKI  
Adam ZAGAJEWSKI

NIEZALEŻNA  
OFICyna  
WYDAWNICZA





## WEJSCIE

Pogoda do bani. Dzień ściągnął się z wyra ponury, burkliwy, ani przysap. Nic mu się nie podoba, a już najbardziej Pierwszy Poruszyiciel. Tak to niemasz jest. Niebo zaciągnie firany, chmury nabiorą nieme go połysku, od czasu do czasu skrzypnie piorun - a radości z człowieka ani na paznokcie. I bądź tu mądry, piaz prozę.

Tak że jak byś nie kombinował, z pogodą fatalnie. Dzień zewlókł się z wyra rakiem czyli tyłkiem do góry, a to już każdy głupek ci powie, że rakiem albo lewą nogą, jak wstajesz - lenistwo i zły dzień. I zaraz tą gębą kręci na prawo i lewo, mamła, marudzi, a to przypalone, a tu nieporządek, a talez brudny, żółtka rozlane, o, guzik się odpruwa... I tu się pokłóci, tam się pośliźnie, a jeszcze przytrząśnie palec, i wróci na wieczór taki skurwiony, że tylko myć nogi i spać. O, tak, spatiumiu.

Taki to jest nasz dzień. A popatrz do góry, zadrzyj choć raz ten swój durny łeb, pokaż spalone podgardle - zobacz, co za dzień. Kamienne niebo... jak granitowa opoka zaciągnęło firany bezmyślnych chmur o srebrzystogroźnym ołowianym połysku... Stoisz tak, łeb do góry, czytasz ten opis nieba boś sapiens i zawsze tam jakieś koherencje odchodzą, stoisz, łeb, aż tu... jak nie chrypnie. Jak nie skrzypnie. Jak, po prostu, nie pierdniesz...

Spokój, spokój, nie wyrażać się. Nic nie było, do roboty. Wstawaj, wstawaj stawał się świat coraz bardziej. Im bardziej stawała się świadomość, im bardziej człowiek się ukonstektawiał, w swoim ciele, w przestrzeni, w związkach przyczynowo-skutkowych, zaległościach i powinnościach, poczuciu winy i poczuciu nadziei, w jakimś bólu akurat na dziś przeznaczonym i w jakiejś przyjemności, zawsze płynącej z funkcjonującego ciała, im bardziej uchodził z tej miękkiej wszystkości niekoniecznej, którą jest sen, a integrował się w durnawą parakonieczność, co jest jawą - unosił się, podnosił, siadał, wstawał. Aż wstał w ponury świat. A kiedy wstało to, co stanowi świat dla nas, quorum owo chrystusowo-oświecimskie, wierna krew i samobieżne neurony, świat zawrzasnął swą ponurością i stało się. Zatrzasnął. Żyjemy.

I oto widzimy wszyscy - górę, co bezcelnie każe nazywać się niebem, jak nawiśnięta, spojona w jakiejś ciężkiej wilgoci i niemej, całoblada, szarocielna i bałwochwalcza, zimna i aziarnista, całobladość swą na doł posyła. Na ziemię. A na ziemi pokój ludziom dobrej woli. Cóż, ruszają się ludzie po ziemi, idą, gonia, pełzają, niektórzy mają jeszcze mokre kosmyki pośpiechu we włosach. Ich szare oczy jeszcze śpią. Językiem zaś mówić nie mówią, wydłużają z zębów jęczenie. Drzewa... lasy, jeziora, potoki, poranki bezinteresownej radości... Spokój, spokój. Z ptaków gadają tylko parszywe wróble.

Rankiem takim idą chłopcy do roboty. To jest Abek. To jest Bebek. A to jest Cebek. Idą. A już tak długo idą, tak długo idąc żyją, tak równo żyją, tak tak samo żyją, że są jak ten dzień każdy, jak ta pogoda, i tylko parszywe wróble usiłują coś niecoś w tym wszystkim powiedzieć. A, do diabła! - myśli jeden. A, do diabła! - mruczy drugi...

- Do diabła! - to trzeci, Cebek.

- A ty co, okrakiem wstałeś? - jadowicie syczy Abek.

- Czy może z Dupką coś ci nie wyszło - dosykuje Bebek.

Z Dupką fakt, że tego ranka Cebek się pokłócił, ale skąd by on to uwzględnił, teraz, kiedy gniew. Wy zdechłe gnoje, myśli Cebek, a rozdygotana krew usłużnie mu wyszukuje w cabaniu wszystkie inkoherentne aspekty relacji on - Abek i on - Bebek. Inkoherentne dla niego, oczywiście, och, jakie inkoherentne, okropnie, okropnie, taka nienawiść... I starczy empatii na razie. Skłócili się. Idą.

Minęli jedną przecznicę, drugą, dochodzą teraz do takiego jednego... prywatna inicjatywa. Wille buduje. Ma łeb. Studia kopnął zaraz na początku i



przekwalifikował się na waffle. Waffle wypieka, te co z lodami ludzie je w całej Polsce zjadają. Druga willa już stoi, nad jeziorem, w niej motorówka na szycach sauna, kominek, klozety, żyć nie umierać! No, a tu, na tej budowie, leży sobie taczka. Z przodu kółko, z tyłu dwie poręcze, w środku skrzynia. Pewno piszczy ta... Co. Przeszli? Poszli dalej, a taczki nie zauważyli? - No to jeszcze raz pójda. Pochodzą, pochodzą, to i może coś zauważą.

Rankiem takim leżą chłopcy do roboty. I rzeczywiście leżą, a nie walą np. Leżą, bo leżą takie - ni w pięć ni w osiem niedosensownione, niedopogodzone, niedoprasowane... Ale my im damy. My ich zaraz, komotów, usensownimy. Doprasujemy, psiać mać! Popatrzcie tylko, kto to. To Abek, a to? To Bebek. A to - kto. No Cebek, idą. I gdzie oni idą. Oni idą do roboty. "Idą". Leżą, nie idą? To dziś, a normalnie? A, to idą, śpieszą, leżą, idą, idą, idą... I długo tak idą? Całe życie zasrane, kurwa go mać, idą i idą. I idą. I już tak długo idą, tak równo idą, tak taksamo idą, że prawie nie idą, że prawie nie żyją, że są jak ten krok każdy, jak ten dzień każdy, jak ta pogoda codzienna zróżniczkowani, i tylko te parszywe wróble usiłują coś niecoś - coś niecoś - coś niecoś wyparszywić. Cwierzczą. A gdzie kosy, ja pytam, gdzie skowronki, gdzie synogorlice, kukułki, kawki, sikorki, szczygły, gile, czyżyki, szpaki, słowiki gdzie? W dupie.

Aaa... - myśli jeden.

Ech... - mruczy drugi.

- Tfu, do diabła! - to Cebek.

- A ty co tak okrakiem się stawiasz - jadowicie syczy Abek.

- Czy może z Dupką ci rano nie wyszło? - dosykuje Bebek.

Z Dupką fakt, że się Cebek z rańca pokłócił, dajcie spokój, z pasztetową chleb do roboty mu dała - ale skąd by on tam pamiętał, obiektowizował, teraz, kiedy gniew. Parszywe gnojki, myśli Cebek i zaraz z cabana wyciąga, z tej jego myślorodnej pleśni - pamięci, wszystkie odciski, wszystkie bąble, wszystkie skubizowane obłóści: skubizowane obłósideały, obłoprojekcje, obłochcienia, skubizowane na trasach Cebek - Abek i Cebek - Bebek, oczywiście, i gdzie mu tam teraz konsonanse, harmonie, rezonanse, ta cała druga strona człowieka, gdzie, kiedy gniew, gniew... czas już odsapnąć z empatią, bo zaniesiemy się w niebyt. Krótko, bihejwioralnie: skłócili się, idą.

Minęli autobusowy przystanek, spożywczy kiosk z piwem i weszli na ulicę willową. Nie ujdą nawet sto kroków, aż patrzą - taczka!

- Bierzem - powiada Abek.

- Jak to - bierzem. Przecież nie nasza - odzywa się Bebek.

- No to co, że nie nasza. Chcesz jeszcze raz iść, palancie? - szturcha go pojętniejszy Cebek.

Ale Bebek coś nie kapuje. Przygłupi? Przyowany?

- Przecież to jakiegoś człowieka taczka. To tak jakby tobie ktoś taczkę podprowadził. Chciałbyś? - mówi.

- W tyłek się ugryź ze swoją teorią. Nikt z nas nie ma taczki - powiada zgryźliwie Abek.

A Cebek nie jest już taki delikatny.

- Ty, z tym twoim pozytywizmem moralnym - podpycha piąść do Bebkowego nosa. - Porządnym być można, ale wszystko ma swoje granice. Nie widzisz czyja taczka? Nie widzisz, że prywatnej inwazyjty? Że on już drugą willę na waflach buduje? Motorówka, sauna, kominki, klozety! Sam mu to wszystko znosiłeś i murowałeś. A zagłędnij mu do kałduna, zobacz co żre. Popatrz z wyobraźnią na te jego krótkie spasilone świńskie nogi. I jeszcze będziesz mu po cegielce drugą willę budował, może mu jeszcze tą taczką pustaki z lewizny pozwozisz. I jeszcze do tyłka na koniec mu wejdziesz, to może coś więcej dorzuci...

W tej chwili Abek, nabuzowany argumentacją Cebka, zdenerwował się i taki oto głos dołączył do argumentacji.

- Morda w taczkę - powiada - i chodu z nami. Co, chcesz może jeszcze raz iść: "Idą i idą", "inkohorentne aspekty" a "skubizowane obłóści" - tfu, caban można pokamać, nie tylko języki! Morda i chodu, powiadam!

I Bebek przystąpił. Jaki on tam dokładnie, przemieniony czy przymuszony, to już wilcy jego władzą. Dość, że są razem. I z taczką. A taczka pyrpyr-pi, pyrpyr-pi skrzypli jak skrzypce, pyrpyr-pi, pyrpyr-pi, pyrpyr-pi...



## STRAJK

- Co to tak pyrpyr-pipa? - zaciekawiła się Efka do męża swego Febka, rozsuwając firanki.

- Pewno coś pyrpyr-pipa - burknął Febek, nie przerywając śniadania.

- Co tak gadasz! Odezwać się po ludzku nie umiesz? - rozsierdziła się Efka.

- Nie miał tyle jęzorem, lepiej w kuchni posprzątaj. O, talerz niedomyty, żółtko rozlane, to już nawet śniadania normalnego nie można dostać w tym domu? - wpadł Febek w gniew jak mucha do rosołu. Oj, ty pogodno, pogodno...

Pyrpyr-pii, pyrpyr-pii, pyrpyr-pii...

- Co to tak pyrpyr-pipa? - zaciekawiła się Efka do męża swego Febka, rozsuwając firanki.

- Jak ja ci zaraz pyrpyr-pipnę! - zdenerwował się Febek już nie nażarty i szurnięwszy od stołu, zasłonił firanki. - Już raz to mówiłaś. I firanki też już odsłaniałaś. Starczy tego dobrego, moja droga, nie masz co robić? Zaraz się znajdzie.

Aha, trzeba zmienić kanał - postanowiło się w Efkowym cabańczyku i ...

- Co to za życie, uu-u, świata bożego człowiek nie widzi, ciągle mało i mało - wpadła w lamenta. - Wille pobudował - mało, kupił drugi samochód - mało, kominek pobudował - to sauny się zachciało, i to mało. Ciągle tylko pieniądze i pieniądze, a ja jak ta głupia, ani w co się ubrać, uu-u... ani gdzie wyjść, uu-u... A on co przyjdzie z roboty to walnie się i chrapie, i żyj tu człowieku. Młodość moją zabrał, uu-u... Jedno tylko to dziecko, Gnębonek, moja słodka nadzieja, mnie przy nim trzyma. Inaczej rzuciłabym tego zbuja!...

I dobrze już żarło, już siebie wzajem dosiedli, już nawet indukcyjnie szczepieni w podrygach neurotycznych prądów już galopowali, już... Raptem bardzo niezdrowy coitus interruptus. Bo oto do zmonotonniałych, zwolna skrzypiących ku przezierniej oczywistości pyrpyr-pipów, domieszwały się głosy nowe i jakieś -ci-tu-takie groźne! A to! rura! - taki głos padł. A to? z przodu siedzieć! - też padło, zaraz po tamtym. Aż tu naraz: osobne rozliczenie! - jak nie grzmotnie.

Zadrżał na to ostatnie szef i właściciel Firmy Przeprowadzowej w przedmiocie samochodu ciężarowego Ford, Feb Fikalczewski, zatrwożył się i "chyba to coś o moje zahacza" doznanie takie przeleciało mu przez skołtuniony cabańczyk. I wypadł przed chałupę, co to teraz willami je nazywają.

- Jezus Maria! - krzyknęła biedna małżonka krwiożerczego prywatnego inicjatywa. - Jezus maria, strajk!

I rzeczywiście. Strajk był.

Wypadł więc Febek przed swoją chałupę... Wypadł i chłopcy zgłupieli. Bo taki szybki wypadek, taki konieczny, taki zdeterminowany, że oni, od czasu jakiegoś w miejscu stojący, z miejsca stracili swój sens.

- I co tak stoicie. Co się gapicie - odważnie, jeszcze z inercji zadzierną Febek.

- Na to mamy oczy - odpowiada Abek.

- To niech wam żaba do nich wskoczy - sprawnie odparowuje Febek.

- A tobie ropucha do samego brzucha - w proletariackiej solidarności! - Bebek.

- Aa... tobie żmija do samego ryja - na to Febek.

- A tobie szczur do wszystkich dziur - wali bez namysłu Cebek.

- A tobie... A tobie... - i tu już Febkowi zabrakło w cabaniu. Próżnia.

Klops. Ale nic nie szkodzi. Komu w głowie sieczka, ten pokręci szyją i też wyjdzie na swoje. Albo lepiej jeszcze. Ot i teraz, Febek. Rozejrzał się tylko po otoczeniu, zrobił oczy - że to niby dopiero co taczkę zauważył i mówi: - O, taczka. Fajnie. Jak raz jest jeszcze trochę czasu, nawieźcie mnie piasku na saunę, chłopaki. Będzie pół litra.

Abek, Bebek i Cebek stanęli jak gawrony... Już im się pokiełbasilo. A tu pół litra, wódeczka, zakąseczka, dymek, pogaduszka, szklaneczka... A żeby was płacz i zgrzytanie zębów. Byle rozstropek, byle pół rury i już. Po strajku.



Dobrze, my was zaraz wykiełbasimy, zaraz wam damy uświadomienie. Proszę bardzo! zaraz wypełźnie Wielki Integrator. Ale żeby potem nikt nie narzekał, samiście chcieli... Jeszcze raz, od "chyba to coś o moje zahacza".

...Feb Fikalczewski, zatrzwożył się i "chyba to coś o moje zahaczyło" - dzwoni mu tak po skołtunionym łbie. I lu, kopnął się przed chałupę (co to teraz willami je nazywają).

Tu stoją ci z taczka, z tej strony wyskakuje Febek - a tu ni z tego ni z tamtego, ni przypiął ni wypiął, oknem piwnicznym wpełza Hop-hopek. Brudny, umorusany, ale nawędzone oczy błyszczą!... jak dwa dialektyczne diabełki.

- Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się! - przeżegnał się na wstępie - O, taczka. Taczka, to rozumiecie, symbol internacjonalny. To rozumie cały świat, cała klasa robotnicza. Proletariusze wszystkich krajów łączcie się. Tak, taczka to przyrząd dialektyczny, służy nie tylko do konstrukcji, ale i destrukcji. Nie tylko do zwożenia, ale i wywożenia. Oj, boją się taczki jak ongiś te wszystkie pasibrzuchy, dzierzymordy, świętoszkowie robotniczej idei! Na co czekacie. Na taczkę antykrysta! Na taczkę złodzieja! Hop-hop!

I teraz dopiero zrozumieli trzej nasi muszkieterowie, teraz dopiero tym swoim zintegrowanym przez Hopka trójcabanem pojęli, że jak jest taczka to przecież można wytaczkować, co nie? Zwywozić. Skompromitować! I się nareszcie zaczęło. Febka za krawat i do taczki. Pierwszy, alfabetycznie, przystąpił do roboty Abek. Jak się nie złapie za taczkę, jak nie!... Dobrze już tam tego Febka wytrząchał.

- Hoo-hop, huzia, huzia - stymuluje Hopek. - Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

- A teraz ja, ja teraz - przepycha się niecierpliwy Bebek. Dali teraz jemu. Ale jeszcze dobrze Febka na tej taczce nie wypodrzucał, a już Cebek marudzi!

- A ja to co, o mnie zapomnieliście? Ja też chcę wytaczkować znieprawionego wroga proletariatu, mnie też dajcie!

Wreszcie i on zaczął używać z ebkiem. Wkrótce cała kawalkada znalazła się przy Fordzie, przebrzydłym środtku pracy i Abek - bo taka alfabetu kolej - wskazuje na zderzak, potem na kabinę, aż wreszcie znalazł się na dachu. I już zaczyna czytać...

- Spokój, spokój - wtrąca się Hoop-hopek: - Jazda mi z samochodu, my do środka pracy, proletariusze wszystkich krajów łączcie się, nic nie mamy. My w ludziach mamy niszczyć, a nie, proletariusze wszystkich krajów, w przyrodzie nieożywionej. Czy włączyć na niego, na Febka. Na Febusa, wszystkie proletariusze, włączyć!

Wlazał Abek posłusznie na samochód osobowy Febka (BMW 2000), wyciągnął z kieszeni świstek papieru i zaczął odczytywanie.

- Żadamy: żeby Fikalczewski Febus zmienił do nas stosunek, bo tak dłużej być nie może!

- Tak jest! - ryknął naładowany Bebek. - Powiedz mu o kabinie. Za co to, że jak jego koła pracuje z nami jak jakaś większa robota, to on cały czas w kabinie jeździ, a nas dwóch to ciągnie z tyłu i z tyłu! (Kabina jest na dwie osoby plus kierowca zarejestrowana). Nie ma tego, "robota jest robota, w robocie wszyscy równi!"

- Żadamy: właściwe potraktowanie pracowników, równe, bezpośrednie, powszechne, proporcjonalne, tajne. Bez względu na wiek, płeć, stan majątkowy oraz rodzaj wielbionego bożyszcza - ciągnie Abek w posłusznej kadencji. - Precz z koleżeństwem. Precz z kokietrią!

- Koterią - poprawił Hoop-hopek.

- Tak jest, właśnie - zgadza się Abek. - I tego... A niech żyje formalna równość personalna kiedy np. pracujemy!

- Niech-żyje! Nie-żyje! Ne-ee! - dali Bebek i Cebek po megafonach.

- A teraz, żeby te żaluzje z tyłu naprawił, bo się przecież można zagazować, jak jechać - podsunął rozplamieniony Cebek.

- Żadamy! - na to Abek. - Poprawienie stanu technicznego pojazdu, ze względu na szkodliwość jaka się wydziela przy specyficznych warunkach transportu ludzkiego!... Te żaluzje żeby jakoś się zasunęły.

- I rurę wydechową żeby przesunął gdzie indziej, albo podłużył czy co, bo to wszystko leci do środka! - wyrzuca Bebek.



- Żadamy! - na to Abek. - Poprawienia stanu technicznego pojazdu, za wale-  
du na szkodliwość jaka nam zaszkaża przy specyficznych warunkach transportu  
siły żywej!... Z tą rurą wydechową, znaczy, trzeba załatwić.

- No, a teraz o sałacie - ze złowieszczym spokojem zapostulował Cebek.  
- Co on nam wypłaca po pięćdziesiąt złotych na godzinę, jak sam bierze trzy-  
sta pięćdziesiąt. Jakim prawem! To tylko dzięki nam każe płacić klientowi  
pięćset złotych za godzinę przeprowadzki, i więcej nawet. To naszą ciężką kli-  
ent widzi, nasz pot i nie podskakuje. Z nas nikt w robocie papierosa jeszcze  
nie zdążył zapalić!...

- Tak jest! - dołącza Bebek. - Zylaki nas co wieczór boją, po tych śhodach  
łazić i łazić, w caban co rusz jakaś szafa stuknie, na żarcie pół zarobku  
przechodzi... A gdzie on by tyle zarobił, gdyby nie nasza krwawica. Żeby tak  
przepisowo, to więcej jak półtorej paczki za godzinę by mu nie wyszło, i je-  
szcze musiałby mocno kilometrą naciągać. To dzięki nam ma dwa razy tyle a  
uszanować nie umie!...

Tu Hopek skinął głową i Abek zapowiedział:

- A teraz prosimy o zabranie głosu pryw. inicj. Fikalczewski Febus.

Ciężko zwywożony Febus podniósł caban znad taczki. Po chwili milczenia  
powiada:

- To wy już chyba wyobraźni nie macie, chłopaki. To trzeba było tak ro-  
bić w Londynie, w tym przekętym "Hiltonie" dziesięć godzin dziennie podłogi  
szorować, pół roku, żeby wóz przywieźć. Cła czterdzieści placków zapładem,  
podatek co miesiąc tysiąc złotych płacę, koncesja rok rocznie ostry kosztuje.  
A eksploatacja, paliwo, o, zatarł mi się na wiosnę, to nie pamiętacie? Pięt-  
naście placków włożyłem. Moje starania, moja inicjatywa, moje kluski - a wy mi  
je wygarniacie... To czemu z tej waszej sztuki cholernej, z tej literatury, z  
tej z piekła rodem kolaboracji chleba nie macie, tylko tu do mnie przychodzi-  
cie po pracę! W swoim dżubiecie to ze swojego chleb jedzcie, a jak już do mnie  
przychodzicie, to nie wybrzydajcie. I czy to taka wielka sałata, ten mój za-  
robek. Tyle lat robię, na okręto od rana do wieczora, w robocie i w domu, i  
ledwie co domek z pustaków postawiłem i bryczkę jaką taką mam. Dużo tego jest,  
tak pomyśleć rozsądnie? Każdy chce żyć!...

- No, no - przybastował go czujny Hopek. - Taczka, taczka.

A na to jak po sznurku...

- Rura! - krzyczy swoje Abek.

- Żaluzja! - dokrzykuje Bebek.

- Sałata! - wciąga krzyk i Cebek.

Znowu groza taczkowa zapanowała. Ale Febek niegłupi, już wie co sięszyku-  
je... Wiert, wiert, wiert - zaczyna się w taczce wiercić.

- Ja chciałym za potrzebą naturalną - powiada z wyrazem ogromnego wy-  
silkku i zażenowania na twarzy.

- He, he, ale zakombinował. Ale przycabanił - śmieją się młodzi robotnicy.

- Ale nie z nami już te historyczne numery. Już się powoli kończy kiskowanie  
klasy robotniczej.

- Ale nie, poważnie - nie ustępuje Febek. - Mam ogromną dystrakcję, chło-  
paki, mówię wam! O, jak burczy.

Może i co tam burknęło mu w brzuchu z tego przestraszenia, są takie reak-  
cje... Robotnicy niepewnie lukają na Hopka. A Hopek też jakiś niepewny, na  
tym odcinku, widać, nie dopracował jeszcze swojej teorii dokładnie. Wyczuł  
to ten pies Febek i jak nie popuszcza.

- Powołuję się na Kartę praw człowieka i obywatela - mówi uroczystym  
głosem. - To jest przeciwne konwencji genewskiej tak człowieka upodlać. Prze-  
cież zaraz się zesram.

No i co, strajk strajkiem, dogmat dogmatem, a człowiek człowiekiem. Trze-  
ba go puścić... Ciężko zwywożony F. Fikalczewski pokuśtykał w stronę chałupy.  
A w kolanach mu pyrpyr-pii, pyrpyr-pii... Oj, niewesoło nieraz jest być pry-  
watnym inicjatywem.

W międzyczasie, kiedy się Febek załatwiał, Hopek zajął się przeszkoleniem  
mas pracujących w duchu marksizmu-internacjonalizmu. Nie zamierzał zbyt  
się rozgadawać, ot, taka sobie tam przypowiadka w stylu ewangelicznym, naj-



wyżej dwie strony maszynopisu. Ale z cabanem nigdy nie ma żartów. Z dwóch zrobił cztery strony, z czterech sześć, osiem... przypowieśćka przerosła w Przypowieść... a Hopek tak się zafascynował tym swoim uświadamianiem mas pracujących, tak się tym zaniósł, napełnił, nawiedził, że w miarę opowiadania co raz to bledszy, nieswój się stawał, coraz to mniejszy, ciemniejszy, i szarzał, szarzał, bełkotał... aż w końcu zupełnie zniknął. Normalnie - przepadł! To tylko mauzoleum zostało, ta oto Przypowieść o Wielkim Integratorze. W odcinkach

### Przypowieść o Wielkim Integratorze

Zył raz sobie kalkulator imieniem Imek. Niczym on się specjalnie nie różnił od innych ludzi, ale miał taki jakiś ten caban, że kalkulował i kalkulował. Ten Imek to nic, ino ciąglem karkuluje - powiadali ludzie. Otóż raz pewnego wracał Imek z obiadu, powolnym spacerkiem jak zwykle. Tuż przed domem od niechcienia uświadomił sobie, że już miesiąc będzie, jak nie czytał gazet. A, trzeba zobaczyć co w sporcie, co w telewizji, myśli. Zawrócił do kiosku "Ruchu", kupił "Trybunę Ludu" i ... co, nie będzie teraz wracał z powrotem do przejścia. Rozejrzał się w lewo i prawo, jezdnia była wolna, więc kalkulując - przechodzi. Nie stanął jeszcze dobrze na przeciwległym chodniku, a tu fiuuu! Gwizdek. I kołysząc się pewnie na dobrze odżywionych nogach wychodzi zła drzewa milicjant.

- Obywatelu - odzywa się do naszego bohatera. - Naruszyliście przepisy ruchu drogowego i w związku z tym zostaniecie ukarani środkiem odciągania nadwyżek pieniężnych ludności.

- E-e? - zgłupiał Imek.

- Mandatem - objaśnił milicjant i wyciągnął zaświadczenie o odc.nadw. pien. ludn.

- Przecież nic nie jechało - rzekł Imek, zwolna, bo już coś tam kalkulował.

- Jechało, nie jechało, piesi mogą przechodzić jezdnię tylko w miejscach do tego przeznaczonych.

- Aha, po zebrach - udał głupiego Imek. Chciał jakoś sprawę rozgadać, a jak się uda to i przegadać, i do widzenia.

- Na przejściach dla pieszych - poprawił milicjant.

- Ale co, miałem się cofać sto metrów, jak tu nic nie jedzie. Przecież jak z daleka nawet bym zobaczył samochód, to na pewno już bym nie przechodził - rozważnia Imek dalej.

Milicjant był jednak dobrze przeszkolony.

- Wy mnie tu nie zagadujcie - powiada. - Dowód tożsamości poproszę.

- Tak, tak, a wie pan, a według mnie jedynym dowodem tożsamości człowieka jest jego rozum...

- Proszę dowód osobisty!

- Proszę bardzo, proszę, już daję, o jest...

Tamten wziął i pisze. A Imek kalkuluje. Tym razem głośno.

- Wie pan, panie plutonowy, ale mnie się wydaje, że racja jest po mojej stronie. Przecież dobrze się w sytuacji rozpatrzyłem, nic nie jechało, nikomu bym nie przeszkodził - więc po co czas tracić. Nęwy. Nogi. Niech pan pomyśli ile czasu społecznie użytecznego marnuje się przez te wszystkie prostopadłe, wytrasowane dogmatycznie ścieżki. A gdyby tak... trochę na ukos, co? Lekko w bok? Ta... po swojemu. Jak pan myśli, panie plutonowy.

Milicjant zamierzał go zignorować, spisać, odciągnąć nadwyżkę pieniężną i do widzenia. Ale akurat wytracił mu się w cabanie dosyć sensowny argument. A wiecie, człowiek jest tylko człowiekiem, i nie wytrzymał.

- Jak by tak wszyscy chodzili jak pan, to byśmy mieli kąpielisko, nie jezdnię - powiada.

Ale nie do Imka z takim sztychem. Imek takich argumentów połyka po trzy i cztery na raz.

- Zaraz, zaraz, panie plutonowy, chwileczkę. A czy ja powiedziałem, że wszyscy? - bardzo głośno się dziwi. - Nie, takiej rzeczy ja nigdy bym



nie powiedział. Przecież ja tylko o sobie mówiłem! Przecież widzę, całe życie oglądam jak niewielu ludzi ma odwagę chodzić na ukos, nawet jak jezdnią na kilometr wolna. Wszyscy porządni, ubezpieczeni, zatrudnieni, zakwaterowani, zaprowiantowani obywatele pokornie czekają na zielone światło i hip-stop chodzą jak im się zaświeci. Ja chciałem to najwyżej powiedzieć, że tym ludziom którym świadomość, utalentowana i pracowita, przekroczyła ustalony kanon poruszania się, nie powinno się zagracać drogi niepotrzebnymi światłami. Oni ruchowi nie zagrażają, na to są za rozumni. A w ostatecznym rozrachunku oka że się że ten ruch tylko usprawniają. Jak i to, że tym właśnie ludziom, właśnie takim zawdzięczamy, obywatelu milicjancie, tę sprawność ruchu, ten cywilizacyjny porządek, jaki już osiągnęliśmy. Ta władza, której pan, panie plutonowy, w tej chwili jesteś stróżem, została kiedyś wymyślona i wysiedziana w więzieniu przez ludzi, którzy właśnie jak i ja dzisiaj, przechodzili ulice swojego czasu - na ukos. To dzięki takim właśnie ludziom zeszedliśmy kiedyś z drzew. Ludzie tacy, to rasa ludzkości.

Milicjant pisał i nie słuchał specjalnie. Urznął się facet, pomyślał. Ale w chwilę potem wytrącił mu się w cabanie sensowny argument. A wiecie, człowiek jest tylko człowiekiem. I nie wytrzymał.

- Fantazjujesz pan, obywatelu - powiada. - Zdajesz pan sprawę co będzie się działo, jak paru takich jak pan pokaże tym co po zebrach hop-hop, pokaże im nowe drogi? Zaraz sto i tysiąc... - zaglądnął do notesu - Zaimków za panem polezie, panie Imek. I co wtedy? Nie, nie, nadwyżkę pieniężną odciągają i nie ma rozmowy. Jakaś konsekwencja musi być, inaczej wszystko się rozlezie.

- At, konsekwencja, proszę pana - machnął Imek trzygnową ręką, widział już, że stówkę jak nie ma odciągniętą, i to przez kalkę. - Pamięta pan, panie plutonowy, co to się działo pięć, dziesięć lat temu. Z włosami. Sam pan, przypominam sobie, wtedy jeszcze kapral ale już w naszej dzielnicy, wyrostków z dłuższym kudkiem przycinał. A nawet artystę, jak gdzieś za mocno zaprawił, też się obcięło, nie było tak? Albo te festiwalowe piosenki, niech pan sobie przypomni. Był taki czas, że warunek stawiano: włoski w ciup, albo do widzenia. No i strzygli się gitarowi chłopcy, pokorni, zbaranieni. I czy to było mądre, nawet w tak drobnej rzeczy, kręgosłupy młodym ludziom podług własnych dogmatów modelować. Przecież człowiek, który różnym niezgodnym z naturą nakazom w skutek różnej presji ulegnie - jest już człowiekiem o skrzywionym kręgosłupie. Garbate A ewokuje garbate B, jak już B to i C, i w ten sposób buduje się alfabet życia człowieka garbatego. A włosy, no śmieszne... to takie naturalne, że ludzie noszą te włosy jak im się podoba. O, i choćby dzisiaj, spojrzeć po ludziach - noszą je jak chcą. Kto długie, kto krótkie, ktoś całkiem nie ma - i też dobrze. A nawet i pan, panie plutonowy, he, he... widzę, też niezłą masz plerezę pod tą czapką na karku. Jak harcap, co? Tak to, panie, jest... nowość schematowi zawsze nie po myśli. Ale, jak pan widzisz, nasiły natury nie ma milicjantów. Natura, wolność, prawda prędzej czy później postawią na swoim. Bo zawsze rodzą się nowi ludzie i zanim stępieje im wzrok i słuch, opadną ręce, najpierw są młodzi. Słachetni. Silni. Odważni. Przyjdzie czas jeszcze, że będziesz mi salutował - za to samo, za co dzisiaj mandaty wypisujesz. Człowieku.

- Pan pozwoli ze mną, obywatelu - krótko zareagował milicjant. I poszli.

c.d.n.

Kiepska sytuacja. Sprawa już rozdmuchana, strajk rozpoczęty, tylko go teraz zwycięsko zakończyć - ale gdzie przywódca? W Przypowieści. W odcinkach. W gadu-gadu. Znowu egotyczna dezintegracja zaczęła zżerać cabany naszych bohaterów. Już się rysują różnice zdań, to Abek wysuwa siebie na przewodniczącego strajku, to Bebek. Cebek mówi, że jeśli o niego chodzi, to na żadnego tam przewodniczącego się nie zgadza. Generałem centralnym chce być. Genera- liasimus. Niedobrze.



W tej chwili Febek pokazał się na ganku swojej chałupy-willi. Ale jakoś tak chytrze, tak z góry, tak nawet nie udaje, że zapina spodnie. Z oddali napływają nowe dźwięki... uu, uu... bul, bul... Po chwili zajeżdżają szusami. Uu, uu radiowóz milicyjny i bul, bul radiowóz prawniczy. Nie zdążyli jeszcze dobrze zajeżdżać, a tu niech-żyje, niech-żyje, niech-żyje fiatem 126p nowa grupa przyjeżdża, jakaś nowa formacja, widać... Ale co się stało! To się stało, że chłopcy w zapamiętaniu strajkowym zapomnieli odciąć telefon. I Febek ich, delikatnie mówiąc, wykołegował. Zanotować: w ruchach robotniczych nic nowego. Godność i honor stają się biletami towarowymi w portfelach przywódców.

- Panie starszy sierżancie - zwraca się Febek do dowódcy radiowozu MO.  
- Proszę bardzo, o, podatki płacę, koncesję mam, cło zapłaciłem, prawo jazdy, samochód, wszystko gra - podaje milicjantowi papiery - a oni zabraniają mi pracować! Hamują zielone światło dla prywatnej wytwórczości i prywatnych usług dla ludności. Taczkoczynów się na mnie dopuścili! Zgodnie z prawem proszę o interwencję.

Dowódca radiowozu spokojnie wysłuchał, następnie zatrzymał ruch na ulicy, obejrzał miejsce akcji, wyciągnął taśmę, pomierzył, kazał chuchnąć, nadmuchać i sfotografować - i wziął wtedy Febkowe papiery. Ale nic tam specjalnie nie rozpatrywał, od razu zwrócił się do dowódcy radiowozu prawniczego.

- Panie mecenasie, zgadza się?

Pan mecenas obie ręce miał zajęte, w jednej napoleon, w drugiej pięćset złotych, ale już z daleka kiwa głową, że jo, szafa gra, wszystko w porządku.

- To o co chodzi, panowie? - zwrócił się milicjant do Abka, Bebka i Cebka.

- Dowody poproszę.

Błąd strach padł na integrację ruchu robotniczego. Ale co, wyciągnęli te swoje tożsamości, i dowódca milicji spisuje, długo, nachalnie. W międzyczasie Febek podchodzi do tych, co przyjechali na małym fiacie i coś tam z nimi szu, szu i gadu, gadu, Abek nareszcie się zorientował.

- Łamistrajki! - krzyczy. - Klakierzy!

Poderwało to chłopaków na nowo. Złapali za kamienie. Cóż, kiedy milicjanci za pałki. A dowódca ich za magnetofon i rozejść się, bo użyjemy gazów łzawiących z helikoptera, powiada. A na to wszystko wysuwa się jeszcze mecenas. Poszperał, poszperał i tak się odzywał

- Dziennik Ustaw z 1973 r. Nr 2 poz. 17. Rozporządzenie Ministra Finansów z dn. 11 stycznia 1973 r. w sprawie podatków obrotowego i dochodowego, par. 11, p. 3). Zwalnia się od podatku obrotowego: osobiste świadczenie usług, oraz sprzedaż rzeczy wytworzonych... to nieważne... hm, hm, hm, hm... gdy łączny obrót z tych tytułów nie przekracza kwoty 12.000 zł rocznie.

Przy wysokości kwoty rocznej mecenas zrobił do Febka końskie oko. Niczego się, cholery, nie boją.

- Znaczy, że ci tu oto obywatele - mecenas wskazał na kilku tych "niech-żyje" - są uprawnieni, za pośrednictwem pańskiego środka pracy, świadczyć usługi w w/w granicach.

Chłopakom zamarzyły cabany. Dopiero poznali strach, bezsilę, bezrobocie bezzasilkowe, związki zawodowe, oj, dopiero. I teraz co robić. Tamten dowody, ten pięćset złotych, a oni gadają do Febka.

- Zle, Febek, na dłuższą metę postępujesz. Bardzo niesolidarnie - gadają.  
- Sam dobrze widzisz jak ciężko tyramy na konto przyszłości, wyrabiamy nasz warsztat literacki, biedę klepiemy, żeby się tylko nie skurwić. Cwiczymy się w odwadze, w uczciwości, w godności - bo jeśli teraz, w początku drogi, cnót tych nie uchronimy, nie rozwiniemy, to potem nie ma już na co czekać, potem tylko literacka hołota, upadający literacki sznaps, literackie synekury i literackie napiwki - orderzy na wagę i "państwowe" nagrody. Sztuka, literatura. Jeszcze jeden rewir, w który wdarta się polityczna demoralizacja. A za nią, jak za swoją panią - produkcja. Anonimowość. Nijakość. Głupota. Literaturę pokryto cyrkowym namiotem, a chytry woltyszer z batem w ręku umiejętnie pogania dobrze odżarte i półślepe konie. Małpy. Papugi. Zaskronce. Zaspłane psychicznie tygrysy i lwy. I głupie epickie słonie. Czasem tylko ktoś niepowołany spadnie z trapezu...



Febek był jednak za konkretny facet. Co mu tam "godność", odwaga, uczciwość - kiedy tu uciekają pieniądze. Klient czeka. Podchodzi do kłamistrajków i z nimi próbuje ubić machloja. Dość ma już zbyt-myślącego personelu. Cóż, kiedy...

- Nie możemy, panie, nie możemy. Skąd - rozkładają bezradnie ręce klakierzy. - Mamy jeszcze dzisiaj cztery miejsca do obskoczenia. A jutro, i cały tydzień, i przyszły miesiąc też zamówione. Roboty huk.

Tak jak i ja, myśli Febek... Tamci dosiedli małego fiata i odjechali. Febek pozostał na łodzi. Zorientowali się nasi.

- Popatrz, człowieku, na siebie, jak ty wyglądasz - powiadają. - Jak ci nie wstyd jak ten ostatni najemnik Anglikom podłogi szorować. Zamiast czołem - tyłkiem świecić. Ty i ci wszyscy kuzyni twoi z całej Polski, ci oklepani "biedni studenci" co w Szwecji, w Anglii, Francji, RFN-ie kufle myją, podłogi zmiatają, trawniki strzygą... Za co, za jakiś tam magnetofon. Za jakieś płyty gramofonowe. Jakieś szmatki z gwiazdkami, naszywkami i suwakowymi zamkami. Nawet do kina, do knajpy dobrze nie wejda, żeby za to wyciukanne kilkaset dolarów Zachód potem w Polsce udawać. I żeby jeszcze od czasu do czasu zawstydziło sumienie - ale nie, skąd! To właśnie uchodzi za model przedsiębiorczości, obycia, towarzyskiego awansu. Jeździsz na tym wyszorowanym z angielskich podłóg Fordzie, te czterdzieści, pięćdziesiąt kawałków na miesiąc ci wpada - ale pomyślałeś o swojej narodowości, cwaniaczku? W powstaniu Warszawskim tacy jak ty właśnie spekulowali chlebem, słoniną, papierosami... Amunicją po prostu. Ty ... Polaczku.

Febek spojrzął żałośnie na mecenasa... Aha, zorientował się: wisi mu nowa pięćsetka. Na to ten człowiek, niezwykle zdolny adwokat, majątny, towarzyski, dobry gracz brydża, poszperał, poszperał i powiada:

- Art. 181 par. 1 kk - powiada. - Kto znieważa inną osobę w jej obecności albo choćby pod jej nieobecność, lecz publicznie lub w zamiarze, aby zniewaga do osoby tej dotarła, podlega karze pozbawienia wolności do roku, ograniczenia wolności albo grzywny.

I znowu opadła chłopakom fujara. Febek zaś uradowany, nadzwyczaj wylewnie podziękował prawu i porządkowi publicznemu. Jak podziękował, to ci wsiedli do radiowozów i odjechali, co mieli robić. No dobrze, ale klient, meble, roboty!.. Febek i chłopcy patrzą na siebie spode łba. Jakos tak przy okazji skończy się pokazało, ciśnienie baryczne się poparwiło... No i krakowskim targiem stanęło, że Febek będzie im płacił po siedemdziesiąt na godzinę. I już.

## DZIEŃ JAK CODZIEŃ

Hop... stop! Czerwone światło. Stoją. Przed nimi przejście dla pieszych, po którym teraz, pracowicie popychając swoje kadłubki i główki nogami, przesuwa się ludzie. W kabinie z początku milczenie, ale Febek już coś tam wyszperaował.

- Popatrzcie, chłopaki, jaki trzepak! - mówi i pokazuje. Istotnie. Przejściem dla pieszych przechodziła właśnie nad wyraz harmonijnie zbudowana kobieta lat około 25. Wdzianko tu, paseczek tam, tam jeszcze klamerka - wszystko to do szaleństwa grało w zgodnym rytmie jej ciała. Co do konduity tej pani to bardzo trudno powiedzieć od razu że trzepak, ale już Febek tam niezłe się orientuje.

- Niezły, niezły - potakują z uznaniem Abek i Bebek (na Gebka wypadło jechać z tyłu).

- Och, aż mi gwizdek oko otworzył - Febek mało co z portek nie wyskoczy. I wreszcie pi-bip! pi-bip! trąbi. "Trzepak" od razu zorientował się o kim trąbia, bo się odśmiechnął. Noo, duża klasa. Duża.

- Ach, chłopaki... - rozmarzył się Febek. - Wiecie, ostatnio miałem ten kurs do Krakowa. Też niezłą mietkę wybykałem. Nie była już pierwszej świeżości, wiecie, ale te cycuchy zmęczone takie, duże, ciepłe... aa! I na konia z nią, wiecie, i tego... A patelnię to jej taką na koniec strzeliłem, że po ścianach, ściany drapała. Mówię wam.

- Ja tam już zakończyłem z patelniami - mówi Abek. - Ja, bracie, jak się zaangażuję w kobietę, jak zakiszę ogóra, to wtedy rozumiem że coś się dzieje.



A nie tam takie te...

- Tak jest - mówi Bebek. - Wszystko to wyczytane. Z książek, bracie. Z gaduł, a nie z erotyki. Z popsutej krwi, nie wybykanej w mózgu. Co nie, Febek?

Febek jakoś nie przyjmuje. Wzrok powiesił na przejściu dla pieszych i jakby na prawo i lewo w cabanie rozrzuca. Szuka co powieźć.

- Ale był antykwareiat, no, no - kręci głową.

- Co, jak? - nie zorientował się Abek. - Jaki antykwareiat? Co wiozłeś ciekawego?

- Antykwareiat, bałwanie! - ucieszył się Febek. - Ona antyk, a ja wariat. Rozumiesz! Jak dymasz jaką starą, taki antyk, to wariat jesteś - nie kapujesz?

- A ty z tą starą jeszcze - kiwa głową Bebek. - Patrz, zielone. Jedziemy.

Ruszvli. Winięli jeszcze kilka przecznic, skręcili tu, tam, i już gazują po docelowej ulicy.

- Zobacz tam, Abek, który numer - odzywa się Febek znad kierownicy.

Abek odszukał numer w notesie i Febek zgrabnie podjechał, tyłem do klatki na metr. Bez pierdu! w szoferskim zawodzie Febek jest nie wyjęty fachowiec.

- Które piętro? - pojawia się zagazowany Cebek.

- Trzecie - odpowiadają.

- Może być - zgodzili się wszyscy. Trzecie to przecież spacerek.

No i zaczęła się robota. Najpierw idzie bajzel, bałagan, szpejstwo, bambetle jak oni to z nudów nazywają - bo w pierwszym rzędzie zapełnia się pawlacz wozu. Potem dopiero idzie cięższy mebel. Na jednym z nich, konkretnie na szafie, na chwilę się zatrzymują.

- Uważajcie, uważajcie panowie. Macie pasy? - drepce klient dokoła lakierowanej szafy. - Na pasach szyfy najbezpieczniej nosić.

Mówi dlatego, że szafa za bagatelna dla chłopców żeby bawili się w pasy, dwudrzwiowa. Takie bierze się w palce - i po herbacie.

- Tak, tak, nie podrapcie, niedawno kupiona - terkoce klientka, żona klienta.

- Ach, ale się panowie namęczą. Taką szafę we dwóch żeby znosić... - białdoli klientka, teściowa klienta.

A dzieciaki klienta stoją, patrzą.

- Proszę państwa - mówi na odchodnym z szafą Abek. - Reklamowy slogan naszej Firmy ogłasza: Firma F. Fikalczewski nawet pajęczynę na meblu przewiezie ci w stanie nienaruszonym.

- No, no, uważajcie panowie - mówi z samczą powagą klient.

- Hi, hi, pajęczynę - śmieją się pojętniejsze życiowo samiczki.

Dzieciaki stoją, patrzą.

Szafy należy nosić tylną ścianą do poręczy schodów. Wówczas można je na zakrętach spokojnie o poręcz opierać, co jest b. konieczne, jeśli wziąć pod uwagę ciasnotę współczesnych zakrętów. W ogóle, należy zawsze orientować się z szafą na poręcz, daje to bowiem pewność nieuszkodzenia pozostałych, eksponowanych ścianek szafy. Jeśli szafa jest dwudrzwiowa, niepaździerzowa, nie ma potrzeby płatać się z pasami. Spokojnie bierze ją dwóch ludzi i śmiga - przewracając, rzecz jasna, na ściankę boczną, dłuższą. Jeśli natomiast szafa jest paździerzowa, ciężka, wówczas najkorzystniejszy jest układ ludzki "dwóch z dołu jeden z góry". W przypadku szafy trzydrzwiowej procedura postępowania jest następująca: Jeden z noszących zwraca się do klienta: "Niech pan ją rozbierze, bo się w zakrętach nie pomieści". Rzecz jasna, pic na wodę. Nie jest aż tak źle z zakrętami. Ale po co zamęczać ludzi, niszczyć szafę, kiedy można szybko i po kawałku. Często jednak się zdarza, że klientowi - z wygody, z braku wyobraźni - nie chce się szafy rozbierać. Wówczas stosuje się argumentum ad pecuniam: "Niech pan ją rozbiera, bo będzie to pana trzysta złotych więcej kosztowało". Istotnie, szafę taką ciąga się, dajmy na to na ósme piętro, jakieś pół godziny. A pół godziny z Firmą kosztuje 250-300 zł. Argument powyższy na ogół skutkuje. Uwaga! W przypadku szaf nieklasycznych tj. o nietypowym gabarycie i nierozbieralnych, stosuje się czy to pasy, czy zwojuje całą siłę życiową Firmy, czy, po prostu, dokonuje się doraźnych racjonalizacji, które sam casus szafy ewokuje. - Niech żyją szafy!... A niech je diabli, dajcie spokój.

A do załadowania została już tylko lodówka (ta idzie na koniec, taki u-



kład wozu). Ale co, dwa miejsca pracy, a trzech pracowników. Zaczyna się targowisko, często też nazywane "społecznym podziałem pracy": Ty zrób. Nie, ty zrób. Co, ja będę robił, a ty będziesz stał?...

- No, weźmy się i zróbcie - dowcipkuje łaskawie szef Firmy, Febus. Na drobny luz można sobie pozwolić, nawet klient półuśmiecha się w przyzwoleniu. Nie dziwota, w półtorej godziny cała chałupa załadowana, ludzkie pojęcie!... Ale siłą rzeczy ktoś stoi bliżej roboty, ktoś dalej, więc biorą w końcu tę łódówkę, klientela resztki gratów w ręce i wszyscy razem wiażą na środek produkcji (bo środek pracy plus przedmioty pracy dają nam środek produkcji). I wio, na nowe śmietnisko!

### Przypowieść o Wielkim Integratorze - o.d.

Wysoko notowany oficer śledczy, porucznik Jebek, z pogodną determinacją przechadzał się w poprzek pokoju przesłuchań. Stup! Stup! Stup - stupają syntetyczne buty po sznurkowym chodniku.

- Taak. Jednym słowem, powiada pan, jesteście Rasą Ludakości - podjął przezwany wątek.

- To było w kontekście, panie poruczniku, jako sui generis metafora, myślowa metafora, tu chodziło raczej o - znowu tłumaczy Imek.

- Rasą, powiada pan. Taak - ciągnie spokojnie porucznik. - A... ile was w tej Rasie jest! Co?

- Jak to, ile? Nie rozumiem - porusza Imek powiekami.

- No właśnie, ile. Powie pan tylko ile i już pójdziemy do domu.

- Ale... Ależ to jakieś nieporozumienie, ja... rasa... tu chodzi o jakiś błąd kościec aksjologiczny w tym rozwartościowanym świecie... ja nie... - gorączkuje się Imek.

Porucznik stracił na chwilę dobrze wyszkolone opanowanie.

- Powiedział pan przecież. powiedział pan: "Ludzie tacy to Rasa Ludzkości". Tak, czy nie!

- No owszem, powiedziałem - potakuje Imek. - Ale zupełnie co innego miałem na myśli. Nie wiem, czy to pana...

- No, no. Słucham, słucham. Oczywiście - znów się otworzył porucznik jak Chrystus.

- Wie pan, panie poruczniku... Człowiek jeszcze się dobrze nie urodził - podjął Imek. - To nie jest tak prosto, powiedzieć "człowiek to brzmi dumnie". "demokracja", "socjalizm" - i puścić maszynę w ruch. To nie jest tak łatwo. Ten człowiek brzmi dumnie, który jest dumny. Kto na dumę kuleje tego się dumą nie nafaszeruje. Trzeba zrozumieć, że człowiek, człowiek jako gatunek, jest w ruchu. Pantha rhei zatem i anthropos rhei. W dzisiejszej populacji ludzkiej mamy jednostki od miliona lat wstecz - do miliona lat wprzód. Ta złota żyłka ludzkości, ta warstwa ludzi szlachetnych, ludzi godnych, ludzi brzmiących dumnie jest tylko połyskującą powierzchnią na ciemnej rzece bytu ludzkiego. Ludzie ci są tak powszechnie obecni, w kulturze, w encyklopedycznej świadomości ludzkiego rodu - bo nikt inny nie umie tak mówić, więc nic dziwnego, że są. Że nie idą w niepamięć, choć jest ich, w proporcji, zaledwie garstka. Ale pomimo tej encyklopedycznej wszechobecności, o wiele mniej są obecni w rzeczywistości bytu ludzkiego. Tu już ta rzeka kieruje się żywiołami, polityką państw, demagogią samozwańców, prymitywnym instynktem masy, wypośredkowanym rozumem ogółu.

Kierunek rzeki wcale nie od kolorowych plam oliwy zależy. Podobnie i z rzeką Człowiek. Wszystko co wymyślone, co wyprodukowane przez mózgi ludzkie, ona pociąga w swój nurt, w swój młyn, i ona to decyduje o ostatecznym podłym losie wielu rzeczy choć wyrosłych z szlachetnych pobudek - lecz z niedoboru rozsądku. Z szlachetnej naiwności... Sformułowanie anthropos rhei oddaje człowieka najważniejszej. Nie jest bowiem atrybutem bytu ludzkiego, tak na prawo i lewo trąbiony rozwój. Atrybutem jest ruch. Tylko ruch. Płynięcie. A to czy ruch ten odbywa się do przodu, czy do tyłu, czy w doskonałość, czy w niebyt - każdorazowo zależy od chwili. Tam, gdzie od rzeki są odsunięci - i tak nieużyto



mając przeciw do powiedzenia w sprawach kierunku - ludzie brząca dumnie, tam się zaczyna szybka jazda w dół. Trzeba sprawę postawić jasno: jest realna idąca w sprzeczne skutki różnica między człowiekiem en gros i człowiekiem brzącym dumnie. Wszyscy ludzie są braćmi, ale nie wszyscy bracia mogą zarządzać rodzinnym majątkiem. Nie można człowieka en gros pozostawić jego samodzielności, na przykład... na stanowisku pracy. Człowiek en gros jedną nogą jeszcze siedzi na drzewie. To jeszcze nie to milonlecie... Tak to rozumiem, panie poruczniku. Trochę nieopatrnie użyłem słowa "rasa", to prawda, bo tym samym przetarłem werbalne ścieżki do pomówienia mnie o... rasizm. Chciałem po prostu dodać trochę szlachetnego pigmentu do tej szarej, asfaltowej, dzisiejszej krwi ludzkiej. Zapewniam, że i Sokrates, i Leonardo, i Bruno - jeśli drgała w nich wewnątrz struna Wielkiej Solidarności z człowiekiem, jeśli kochali człowieka, to nie innego właśnie, tylko tego. Człowieka niezmordowanie przekraczającego - i tłum, i siebie. A nie kokoszącego się w swojej głupocie, ożartego mięsem i ideę cymbała. Czas już najwyższy przestać ubóstwiać przeciętność tylko dlatego, że jest, że się urodziła. Kiedy najwyższe cnoty powrócą na karty książek, do ludzkich umysłów, do zarządzania państwem, kiedy zacukana szlachetność z obrony przejdzie do ataku - wtedy dopiero nasza tępa rzeka dzisiejsza odmieni swój duszny bieg...

Porucznik Jebek cały czas deptał w skupieniu gabinet. Jeszcze. I jeszcze trochę. Raptem buch!

- A gdzie oni mieszkają, ten Sokrates, Bruno i Leonardo? Co? - naskakuje na Imka. - Poda pan tylko adresy i więcej już się nie zobaczymy.

- Pan znowu mnie nie zrozumiał, oni wcale nie mieszkają, przeciw oni...

- Aha, nie mieszkają. No, zobaczymy, czy nie mieszkają - uśmiechnął się przebiegle porucznik. - Oglądał pan wczorajszą telewizję?

- Tak... Przypadkiem oglądałem - uświadomił głośno Imek.

- I jak się panu teatr telewizyjny podobał.

- Tak, dobry.

- Bardzo, prawda, dobry, bardzo dobry był wczoraj teatr telewizyjny. Bardzo dobre dekoracje!

- Nno... tak... chyba tak - nic szczególnego Imek tam nie pamiętał, ale...

- Bardzo dobre. Bardzo dobra w ogóle sztuka, prawda, ciekawa i nowoczesna taka, awangardowa, prawda?

- Nno...

- Ja bardzo lubię awangardowy teatr i nowoczesną sztukę. Jest ona dowodem prężności i siły naszego socjalistycznego państwa! - podkreślił porucznik.

- Tak. Aktorzy byli świetni. Naprawdę bardzo dobrych mamy aktorów. Aktorzy są dowodem!... Szczególnie ten, no ten...

- ... - odpowiedział Imek.

- Bardzo dobry, proszę pana. Bardzo dobry. Bardzo dobry aktor i bardzo dobrze w dodatku gra. Bardzo dobrze gra, prawda?

- Ta...

- A kiedy te cnoty do Polski mają przyjechać?, co? I skąd! Z Ameryki? Szwecji? Szwajcarii? No, no, szybko, szybko, nie zastanawiać się!

Co, jakie cnoty, o co chodzi?... Imek stracił ze wszystkim umysłowy oddech. Ale porucznik nie popuszczał.

- Gdzie macie punkt przerzutowy, co w nim się znajduje, ile macie maszyn do pisania, ile pralek!...

Imek wytrzeszczył oczy.

- Co, gdzie, jakich pralek, o co chodzi? Ja już w ogóle przestaję pana rozumieć...

- Dobrze, dobrze. Za to ja wszystko dobrze rozumiem. Za to ja dobrze wiem o co chodzi. Ja nie wiem na co wam pralki potrzebne? Ja nie wiem, że wy powielacie z ręcznych wyżymaczek robicie, co? Ja nie wiem, co? Ja mam nie wiedzieć, co? Ja, porucznik Jebek, co? Ja...

Dalej nie było już nic słyhać z przemówienia porucznika, bo Imek zaczął płąć, wyć, terkotać, walić po brzuchu, po stole, wrzask, chichot, rżenie... Porucznik zeszytniał. Przez chwilę poruszał powiekami. Aż nareszcie pojął.

- Od jutra zajmie się panem dokładniej psychiatra - powiedział uspokojony.



- A teraz - do celii!

c.d.n.

Granatowy prostopadłościan Febkowego Forda z fantazją przesuwają się między gruzami i wybojami nowego osiedla mieszkaniowego. Wybiera wreszcie jedną z szaf-bloków i podjeżdża tyłem do, wytykanej na wyścigi przez siedzącą obok Febka klientela, klatki schodowej. Ostry gwizd któregoś z chłopaków daje znak, że pasuje, stop. Metr od zadaszania. Z hukiem łańcuchów opada tylna kłapa - będzie teraz podestem. Wysypują się chłopcy, Abek, Bebek i Cebek. Wiedzą już dawno, że czeka ich dziesiąte piętro. To pierwsze i najważniejsze przed robotą pytanie, krótkie "które"? Jedyna teraz nadzieja w windzie. Winda jest wszystkim na rękę. Chłopakom, bo tyle się nie narobią. Febkowi, bo więcej robot obkoczy. Klientowi - bo robota idzie delikatniej, no i szybciej, koszt mniejszy...

Zatem pierwsza rzecz - winda. Abek już ją obadał. Oczywiście. Nieczynna. Ale wiedzą już dobrze, co jest grane. Zaczepiają jednego z pętających się tu i tam robotników. Tak, windziarze w sąsiednim bloku instalują windy. Biegnie Bebek po windziarza. Przychodzi. Młody, spasiony, zadowolony i władczy. Zaczyna się kolejny spektakl w polskim teatrze absurdu.

- O co chodzi - mówi mechanik windy.

- Dzień dobry panu - kłania się jak najukładniej nasz klient. - Czy nie można by tak uruchomić tej windy, proszę pana? Właśnie się przeprowadzam, dziesiąte piętro, sam pan rozumie...

- Nie tylko pan jeden się przeprowadzasz, wszyscy tu się przeprowadzają. I wszyscy meble po schodach noszą. Winda nie jest od tego, żeby meble do niej pakować. O masz pan, widzisz? Pisze: Dźwig osobowy...

- Nie mówi się "pisze", ale "jest napisane" - nie wytrzymuje Abek,

- A ja mówię, że "pisze" - nie traci rezonu windziarz. - A ja mówię, że "pisze", a pan możesz mówić, że "jest napisane". Ale pan tą windą nie pojedziesz, a ja pojedę.

Febek odciąga wkurwionego Abka. Jemu też zależy na czasie. Zrobi więcej przeprowadzek, a wtedy zarobek niepomniernie wzrasta. Dochodzą dodatki.

- Jasne, jasne, panie kolego. A nie ma tu dźwigu towarowego przypadkiem? - pyta.

Windziarz wzrusza ramionami. Jeszcze czego. Kto by tam windy towarowe budował, jak tu kolejki przez całą Polskę za mieszkaniem...

- Ale winda chyba nachodzi? Można ją na godzinę podłączyć - kontynuuje Febek.

- Jasne, że winda na chodzie, przecież sam ją robiłem, nie? - mówi windziarz. - Ale winda nie jest do przewożenia gratów. Windę dopiero otworzę jak wszyscy się już wprowadzą. Tak to tylko windę meblami mi poharatacie.

- Ależ skąd, my, nasza Firma? Panie! - oburza się teatralnie Febek.

- My bardzo delikatnie, ja osobiście zapewniam pana, ja... - gorliwi się klient.

- Taki przepis, nic nie poradzę - windziarz twardo, z godnością obstaje przy swoim.

Jest taki przepis, czy nie jest, nikt nie ma wystarczająco jasnego i energicznego zarazem umysłu, żeby to sprawdzać, nikt nie ma, po prostu, ochoty. Wiadomo, że meble trzeba wtargać na dziesiąte piętro, a klucz od windy ma ten oto łomot w rękę. Febek odciąga klienta na bok i coś mu krótko tłumaczy. Krótko, klient z Ameryki tu nie przyjechał, też orientuje się co jest grane. Wyciąga z portfela dwieście złotych i trochę się krępując, wciska ukradkiem w łapę windziarzowi. Windziarz się nie wstydzi. Nie musi, bo on tylko ma klucz... Jeden z drugim wyzwoleniec głupi nie zdaży jeszcze dobrze zetrzeć z twarzy niedawnej "obrony" społecznej wartości, nie zdaży jeszcze pieniędzy dobrze schować do kieszeni, a już usłużnie odmyka kłódkę, załącza prąd, otwiera windę i z tej psiej jego twarzy możesz po chwili wyczytać to tylko, że jest twoim wierzonym służącym. Żeby choć jakiś element gry był w tym wszystkim, nutka ironii,



choć szczerą świadomość totalnego sklinczowania, jakies "co zrobić, takie czasy, panie", jakies "trzeba jakoś żyć" tak często ratujące jeszcze twarz... I tego nawet już nie ma. Głupawi samodziernicy milionów polskich wind.

Zaczęła się robota. Febek się już nie dotyka. Kiedyś, kiedy był na dorobku jeszcze, targał graty i on, żeby jeszcze i jeszcze więcej zarobić. Teraz nie musi. Czasem coś tam podchwyci, podsunie. Z nudów. A tak to albo śpi w samochodzie, albo łązi i dowcipkuje, albo idzie odżywić się do restauracji, albo ogolić się i kazać się uczesać elektrycznym grzebieniem u fryzjera. Chłopaki robią. Ponieważ jest winda, jeden zostaje na dole, drugi na górze, a trzeci kursuje z windą w te i z powrotem, na dole pomaga załadowywać, na górze wrzucić do mieszkania. Co jakiś czas, dla sprawiedliwości, robi się rotację. Zaczęła się monotonia wielbłądów. Mułów. Perzeronów. Kwadrans. Pół godziny. Godzina...

Po godzinie cała paczka, Abek, Bebek i Cebek, zbiera się na dole. Pora zabrać się za to cholerne pianino, nie mieści się w windzie, jakiś stary grzmot, przekleństwo! Zaczyna się przymierzanie pasów. Zjeżdża z góry Febek.

- Chłopaki - mówi zaafierowany. - Ale ta jego żona to jeszcze całkiem niekiepska miotełka. O, taką to bym jeszcze wybykał. Niezła, nie? Co nie?

- No - mówią. Prostują kręgosłupy. Prostują nogi w kolanach. Pianino dźwignęło się w górę... Zaczęło się pianinowe hop-stop. Pięterko, odsapka i - raz, w górę! Pięterko, odsapka i - raz!...

Z pianinem, po pierwsze, spokojnie. Instrument delikatny, a poza tym łatwo o wypadek. Niesiemy tylną ścianą do poręczy schodów (patrz: Szafy). Zależnie od typu pianina, stosuje się różne metody noszenia. Z grubsza pianina dzielą się na lżejsze i cięższe. Lżejsze, jak np. Calisia, Legnica czy nowsze, prawda, radzieckie niesie się we dwóch na pasach, trzeci tylko podtrzymuje pion - i gra muzyka. Pianina cięższe, jak choćby niektóre roczniki Steinway, Ibacha czy Quandta nosi się też na pasach, ale tu już potrzebna czwórka do roboty. Tych dwóch, co bez pasów są, to wiedzą już dobrze za co i kiedy się złapać, bo za to mają przecież szmalcowane, więc nie ma tu o czym rozpisywać. Bardzo dobrze jest odjąć kilka kilogramów instrumentowi, a to przez: Odjęcie ścianki przedniej górnej. Odjęcie ścianki przedniej dolnej. Pokrywy klawiatury odjęcie. I urządzenie odjęcie młoteczkowego. Uwaga: Przy tym działaniu napotyka się często na opór kołtuństwa. Działanie to jest dobrem, dobrem wielonym dla instrumentu - ale weź i przekonaj kołtuna. Podobna historia z windą. Jeżeli pianino mieści się w windzie, to nie ma co się oglądać, tylko instrument do windy - i jazda! Pianino znacznie lepiej znosi podróże windą niż schodami. I właśnie delikatnie wznosimy je do pionu, pod ściankę boczną dajemy tłuste wałki z koców, wsuwamy czule do windy i już, już... a tu zbiega spieniony klient. Dzieciaki zdążyły naskarżyć, "tata, nasze pianino do windy wpychają". I dopiero zaczyna się pukanie na argumenty. Po co? Kiedy wiadomo, że racja po naszej stronie? Uch kołtuny, w pierwszym rzędzie na was rewolucja potrzebna.

Słowniczek: kołyska - brać pianino "w kołyskę". Tzn. ustawiać je na krawędzi schodów tak, by można nim było kołysać. Daje to przy okazji odpoczynku możliwość manipulacji pasami, gdyż pasy trzeba to skracać, to podkładać, dopasowywać. Ten który idzie niżej, niesie "na krótkim" pasie. Ten z góry "na długim!"

Finanse: Za pianino, niezależnie od pietra i typu, każdy pracownik inkasuje 50 zł. W przypadku gdy jest do zrobienia tylko pianino - 100.

Każda praca potrzebuje usprawnień. Nie ma na świecie takiej pracy, której nie można by jeszcze usprawnić. W przypadku gdy ktoś wpadnie na jakiś pomysł, dobrze jest mówić: "Masz żeb, jak sklep". To śmiesz. A śmiech krzepi, i duszę, i ciało. Niech żyją pianina!...

Ażby one nągdy z piekła się powychodziły. Dajcie spokój.

Po ustawieniu pianina w stołowym pokoju i zmontowaniu ścianek, Abek i Bebek zjeżdżają dalej załadowywać, Cebek ma chwilę spokoju. Byłby zapalił papierosa gdyby nie to, że w Firmie nie uchodzi. Cóż, napił się wody z kranu. Oparł się o framugę drzwi i myśli o niczym. W skroniach, w uszach posapuje zmęczona krew. Pojawia się promieniejąca żona, klientka.

- No i jak się panu nasze mieszkanie podoba? - zadaje kokieteryjne pytanie, których Cebek nasłuchiwał się już jak koń, - ładne, prawda? Słoneczne, i łazienka nie taka znów mała.

- Mmh - mruczy Cebek. - Dobrze byłoby jeszcze żeby sracz był osobno.

- Nie, nie, nam to nic nie przeszkadza - oponuje klientka. - Za to jakie



kafelki do łazienki dostaliśmy. Mąż w Pewexie kupował. Za dolary, wie pan?

- Hiszpańskie. Błękitno-zielone arabeski - mówi Cebek.

- Ta...k. Skąd pan wie? - Cebek miloży.

- Zlewozmywak też mamy blaszany, a nie żeliwny - chwali się dalej kobieta.

- Tysiąc czterysta pięćdziesiąt złotych... A po co pani blaszany zlewozmywak.

- Jak to po co? Jak to... Wszyscy teraz zakładają blaszane!... I trzy pokoje. Ładne pokoiki. Prawda?

- Cebek ciężko odetchnął.

- Kiedy ja tu widzę dwa pokoje - mówi po cichu.

Klientka patrzy zaskoczona.

- Jak to dwa! Trzy, trzy są pokoje, tam za plecami ma pan trzeci.

Cebek odwraca się.

- Nie, tu są dwa pokoje tylko.

- Jak to, proszę pana, tu są przecież trzy pokoje!... Trzy! Trzy!... - kobieta kilkakrotnie przebiega oczami po otworach, a w oczach wykrapla się coś jakby łzy...

- Tak, rzeczywiście. Ma pani rację. Nie zauważyłem tego trzeciego - mówi Cebek.

Kobieta znów promienieje. Szczęście. Worek mięsa w neurotycznym rezonansie. Roboty zostało niewiele. Jeszcze tylko to szpejstwo, to kłamstwo, ten bajzel, bałagan z pawlaczka: drobne przedmioty i paczki, - i szlus. Po herbacie. Nadchodzi czas rozliczenia. W takich momentach robble mówią grzecznie "do widzenia" i zjeżdżają. Do samochodu. Klientela chce ich jeszcze zatrzymać, pewne tradycje jeszcze się w tym narodzie nie zatarły: może herbata, kanapki, paczki jakies może, proponują. Cóż, dla nich przeprowadzka to nowe mieszkanie, to święto, dla chłopaków codzienna haratanina. Zresztą na takie przyjęcia Febek moono się krzywi, nie pozwalają potem tyle wyocukać forsy z klienta.

- No to ile nam płacić i dlaczego tak drogo, he, he - dowcipkuje ukontentowany i nowym mieszkaniem, i sprawną przeprowadzką klient.

Febek zaczyna to swoje...

- Proszę pana... Mieliśmy przyjemność pracować dla pana... cztery godziny i kwadrans... to jest... dwa tysiące sto dwadzieścia pięć złotych... dojazd dwieście pięćdziesiąt... pianino pięćset... Proszę pana, razem to wszystko kosztować będzie: dwa tysiące osiemset siedemdziesiąt pięć złotych.

Bum! Klasyczny szok klienteli. O tym, że stawka jest pięćset za godzinę, dowiedzieli się przez telefon od Febka. Ale że jeszcze te dodatki - tego nie przewidywali. Więc jak to, dlaczego! Febek wkrótce wyjaśnia co za co i dlaczego i powołuje się wreszcie na ciężką i niebezpieczną pracę Firmy. W tym miejscu dyskusja się urywa. Pieniążki z rączki do rączki, do widzenia, na gaz i - w drogę! Wzywa kolejna przeprowadzka.

Jada. Niebieski prostopadłościan Febkowego Forda bezczelnie posuwa się to drugim, to trzecim nawet pasem. Febek mówi, że jakby miał nie wyprzedzać - na co w obrębie miasta wozy ciężarowe mają zakaz - to by na paliwo nawet nie zarobił. Które i tak za 3/4 normalnej ceny kupuje. Jakim cudem? Znany w całej Polsce patent...

Państwowi kierowcy na trasie tankują paliwo w CPNach. Płacą wtedy z kiesy państwowej i otrzymują na to pokwitowanie. Otóż taka historia. Błkierze do baku 100 litrów. Kwit każe wypisać na 200. A płaci, krakowskim targiem, za 150. Przesunie licznik, pojeździ z górki na wyłączonym silniku, tu polehuje go koleś, tam on koleśia - i te brakujące 100 litrów zawsze dostuka, bo przecież chodzi o kilometrąż. Z bazą wychodzi na zero, a pieniądze za 50 litrów do kieszeni. I w porządku. A CPNiarz ma teraz 100 litrów paliwa, które kosztuje go tylko połowę ceny. I które musi upłynnić, żeby się stan zbiornika zgadzał. To też opycha je różnym tam swoim, i za 3/4 ceny. Zarabiają wszyscy: kierowcy, CPNiarze, Febki. Kto traci? Państwo. Czyli wszyscy pozostali. Ale oni też mają cabany na karku, też wynajdują szpary i nieciągłości w przepisach, w kontroli, każdy tam kogoś na coś przewali, przekreśli, wykoleguje, i nie ma przeciętnego Polaka, który by gdzieś, na kimś, na czymś, w tej czy innej postaci, drugiej pensji nie kombinował. A jak tu ludzie, myślicie, żyją. Tak właśnie.



Hop...stop! Czerwone światło. Stanęli. Przed nimi przejście dla pieszych, po którym teraz, pracowicie popychając swoje kadłubki i główki nogami, przesuwają się ludzie. W kabinie cisza, ale tylko przez chwilę. Bebek już się wierci.

- Popatrzcie chłopaki, ale niekiepska miotełka - mówi i pokazuje.

Trafił bez pudła. Przejściem dla pieszych przechodziła nad wyraz harmonijnie zbudowana kobieta, lat około 25, Piers, nóżka, tyłeczek - wszystko to przemieszczało się względem siebie w takiej harmonii, że chłopakom aż dech zaparło, a Febek...

- O jezu, chłopaki, o jezu, już nie wytrzymam, o jezu, jak mi cycek odstaje... - wierci się w siedzeniu, mało co portek nie wyskoczy. I wreszcie pi-bip! pi-bip! trąbi na klaksonie. "Miotełka" od razu zorientowała się o kim trąbienie i nie odwracając głowy, uśmiechnęła się giocondycznie, kątem do chłopaków, a kątem do siebie.

- Ach... - rozmarzył się Febek. - Wiecie, miałem ostatnio ten kurs do Krakowa. Och, jaką ja tam mietkę wybzykałem. Głowa boli! Nie była już taka świeża, rozumiecie, ale te cycuchy, takie zmęczone, duże - żona moja ma małe pierśsi, jak wiecie - ciepłe... ach! ile figur z nią, bracie... Cały ten "świerzczyk" miała, to przez dwa dni prawie wszystkie oblecieliśmy. A patelnie to jej taką strzeliłem na koniec, że mówię wam, ściany drapała...

- Ja tam już zakończyłem z takimi patelniami - mówi Bebek. - Jak tam ja, bracie, prywatnie i romantycznie nie walnę w pieroga, to jakbym wcale. Z tymi patelniami to taka głupota była, pamiętam...

- Jasna sprawa - mówi Cebek. - Wszystko to wyczytane, z książek, bracie, a nie z erotyki. Z gaduż, z nudów, dla koleśków - a nie dla rzeczy samej. Z popsutej krwi, której nie wykorzysta się w życiu, w mózgu, robi się taki... intelektualizm seksualny. I gdzie mu tam do erotyki, co nie, Febek?

Febek, coś milczy. Patrzy na szybę i jakby na prawo i lewo rozrzuczał w cabinie. Trzeba coś powiedzieć. Ale co!

- Ale był antykwarjat, no, no, no - kręci głową, omokając.

- To już mówiesz - stwierdza Bebek.

- Ale antykwarjat, taki gryps, że jak starą mietkę dymasz a jesteś młody, jak my, nie, to wtedy mówisz, że...

- To już mówiesz, bałwanie - stwierdza Cebek.

- ... ona antyk... a ty... wariat... - z rozpędu, z utraconego rezonu, kończy Febek.

- Ot, jaki sens społeczny człowiek sobie wypracował - zwraca się Bebek do Cebka.

- Tak to, bracie, jest - potakuje Cebek. - Nikotyna, gorzałka, seks, żarcie, wyścigi na posiadanie tego lub tamtego, to żałosne masturbacje z krwi swojego człowieczeństwa. Ale co, jasna sprawa, trzeba coś robić. Skoro się nie ma talentu...

Będziawe milczenie opanowało kabinę. Zielone, ruszyli. Ale kiepska jazda.

## REWOLUCJA

No stało się. Febek zachorował. Krew nie zużyta zgodnie z postępującą naturą człowieka odkładała się, wygłupiała, denerwowała, gziła, kombinowała i wydymała, aż w końcu w tym permanentnym przeczeniu najistotniejszej istocie zapległy się robaki. Glisty ludzkie, po prostu. Paskudna choroba. Podchodzi do gardła, nudza, męcza, wiaż zrywa na wymioty, jak nie położysz głowę to młodości i młodości... hh, żyć się odechciewa. Żeby choć jeszcze ten znachor żył stary, co ludzie zawsze do niego chodzili w tych sprawach. Zawsze tam te swoje kłębuszki o zachodzie słońca porobił, spalił nad chorobą, wymamrotał, zamówił - i jakoś się żyło. Cóż, nie ma znachora. Znachor umarł. Pozostał tylko cukier z naftą.

Tylko cukier z naftą Febka w jego chorobie ratował. Bo nafty glisty okropnie się boją, a cukier to żeby łatwiej było przełknąć... hh, mimo wszystko



ohyda. Od tych glist ludzkich tak Febek zrobaoczywał, taki się zrobił umarły, że tylko cień człowieka z niego. Dzień i noc, dzień i noc leżał w łóżku, na plecach się ślaniał, i wyjękiwał z samych ludzkich trzewi:

- Ratuj, Efka, ratuj! Jezus maria, umieram!

Biegła Efka z cukrem i naftą, brał Febus ohydne toto i chwilowo polepszał się trochę, ale zaraz chwilowo i wyjękiwał:

- Ratuj, Efka, ratuj. Ratunku, umieram!

Od tych jęków i wrzasków w całej dzielnicy willowej - chałupniczej - podniosła się atmosfera niepokoju i podenerwowania. Solidarność klasowa, czy inny jakiś czort prywatnych inicjatywów sprawiała, że jeden łobuz pękał - a dygotał wszyscy. I tak - dygotał prodziekan sztuki pięknej, co to ze swoją małżonką gówniane lampy gipsowe po tysiąc złotych produkuje. Dygotał kapitan żeglugi wielkiej, co prywatnie sobie na zachodnio-niemieckich tankowcach kapitanuje. Za dwa tysiące dolarów miesięcznie. Dygot okropny dygotał w chałupie złotowy (czyli taksówkarza), który z kupnem willi pomieniwał nazwiska. Z Lipka na Lipiński. A już najniemniej dygotał w swojej willi-chałupie pewien polityk z warstw średnich, spryciarz-cymbał prywatnie, jak to bywa najczęściej. I pisarz jeden, i jeden dziennikarz, i... .. co ofbojalnie jedno, a chałupniczo drugie. W wielu, wielu prywatnych lokalach różnorakich chałupników dał się ten dygot, dygot, dygot wysłyszeć.

Abek, Bebek i Cebek już. od tygodnia nie mieli sałaty. Snuli się, złościł się i mętnie, to tu, to tam, najczęściej głód przesypiając, i czy to deszcz, czy pogoda, czy złoty olimpijski medal - nic im się nie podobało. Jednego wieczoru wybrali się do lokalu. Bar taki przyjemny, na prywatnej ajencji, dość często wieczorkiem tam zaglądali. Drogo, ale z kulturą. A ktoś się urznie, to też elegancko, portierzy zaraz wołają taksówkę. Palone tam jest najniżej karo i już trzeba kabotyńa niezłego, albo sochlanego arywisty, żeby ćmoktał te helockie, żerujące na sojuszu robotniczo-chołpskim, sporty. Tfu, co za świństwo... Chłopczy zasiedli wzdłuż baru, po starej znajomości dostali po małym fikołku i poplując raz po raz po sportach, czytają "Portret rewolucjonisty". Tekst proza, który ostatnio ukazał się w kraju nakładem popularnej wśród młodych intelektualistów oficyny wydawniczej "Samizdat". Czytają, myślą, myślą, czytają.

- Nie! - podrywa się Abek. - Nie! Nie! I nie!

W Bebku i Cebku obudził się ten sam duch, zabłyśły oczy, ręce poczęły szukać czegoś ciężkiego, na usta cisnęły się przekleństwo - obudził się duch rewolucjonisty. Dziś nie potrzebowali już wodza: po prostu kierował nimi trójtożsamy duch rewolucji - bo dziś już wiedzieli co jest grane. Uświadomienie rewolucyjne w związku z tym osiągnęło u nich b. wysoki poziom.

- Idziemy, kurwa - powiedział Bebek.

I poszli. A taka w nich niecierpliwość, taki w nich duch czynu i taka żądza sprawiedliwości, że nie tylko taryfą podjechać - cóż, kiedy na taryfę nie mieli. Więc rosła w nich jak na drożdżach rewolucja z marszu. Szkoda, że nie z taryfy, zawsze to byłoby szybciej, ale daj na taryfę, to pójdą i przepiją, niech idą piechotą. Jak piechotą, to i doszli. Doszli do chałupniczej dzielnicy willowej. Z daleka już słyszą ten z piekła rodem głos:

- Ratuj, Efka, ratuj, Jezus maria, umieram!

Cebek delikatnie naciska dzwonek. "Tak, słucham" zagdakało w głośniku. "Tu Abek, Bebek i Cebek, ważna sprawa" powiedzieli. Bzzz... brzęczy buczonek, popychają furtkę i idą po przemysłnych schodkach. Z lewej wiwczba, z prawej dwie topole. W głębi ogrodu ciężarowa sztanga, na której ćwicz się w sprawności Febek i prawdziwy mały amfiteatr wokół paleniska, na którym latem piecze się kurczaki. Na ganek wychodzi Efka. Zabiedzona, ziemista cera, na ręku dzieciak.

- My bardzo przepraszamy, że o tak późnej porze - istotnie było już po dziesiątej. - Ale czy możemy zobaczyć się z Febkiem?

- Ale kiedy... chory. Boże, takie nieszczęście, ja już nie mo... - rozchlipała się biedna dziewczyna.

- Ale my tylko na chwileczkę. Może to go rozrusza - kusi chytrze Bebek.

- No... tak. Proszę. Proszę bardzo... On tak cierpi - mówi Efka i prowadzi naszych gniewnych do pokoju Febka.

Leży ta mordą znieawidzona. Rozkopany, rozmamłany, oczy na wierzchu, du-



pa w sianniku.

- O, cześć chłopaki... Jak miko. Siadajcie. O... o jezui - występuje Febus Ford-Fikalczewski.

Ale nie dzisiaj to filuterskie fiku-fiku.

- Zamknij mordę, ty zniechęcony wyzyskiwaczu klasy robotniczej! - przybasta toważe Cepek. - Żadne tam fiku-fiku dzisiaj nie będzie. Już dość na naszej krwawicy się nażerowałeś, ty skandaliczny prywatny inicjatywie!

- Ciszej, chłopaki, ciszej. Sąsiedzi usłyszą - skamle robaczywy Febus.

A żona jego, rozczulając krupska (jak to kobieta), w te pędy do telefonu... Nie, kochana, świat się zmienia - coraz trudniej o jelenia. Telefon już dawno odcięty. Klops. Kicha. Flak.

- Co ciszej, co ciszej, ty jamochłonie! - skandalizuje z kolei Abek. - Ty chorowita plamo na platonicznym ciele naukowego socjalizmu! "Sąsiedzi usłyszą, sąsiedzi usłyszą"... A niechaj słyszą, psiekrwie z tego samego gara! Otwierać okna, chłopaki. Zrobić i tantym trochę wiatru w bździnach! Zakłócić przeżuwanie! Niech nie myślą, że tylko w podatki, przepisy i władze nadrzędne chodzi!

Otworzyli okna i teraz to wszystko runęło na okolicę... Od razu pogasły światła. Jak za okupacji. I czuło się tylko jak jeden z drugim nasłuchują - bo straszna ciszą zewsząd wiało, tyle co tu, tam, poruszy się firana w oknie. Zgroza, zgroza, naprawdę, lód w żyłach, w głowie paraliż. Samczyki łapczywie sztachają się nikotyne, samoczki szukają relanium!

A naszym przeszło już pierwsze wzburzenie. Kiedy bowiem wypłuje się gorycz egzystencjalna, krzyk się wykrzyczy, taczka wytaczkuje a od nieprzerwanego wrzasku o "sprawiedliwości" robi się w głowie pusto i nijako, słowem kiedy ci-chną armaty - następuje najważniejsza część rewolucji. Przekuwanie miecza na lemiesz. Od tego jak się ten surowiec przekuje, zależy kiedy następna rewolucja wybuchnie.

- Siadajcie, chłopaki, siadajcie. Nogi rozbolał tak stać i stać - chytrze podsuwa Febek.

Abek, Bebek i Cepek spojrzeli po sobie... i myśląc nogami, usiedli. Chwila milczenia. Łupia sprawa, dali się posadzić. Jak tu teraz ten ton rewolucyjny utrzymać...

- A co tobie jest - zapytuje humanitarnie w braku czegoś lepszego, Bebek.

- A, robaki, niech je drzwi ścisną - stęka Febek.

- Na robaki cukier z naftą najlepszy, moja babcia mówiła - odzywa się humanitarnie Cepek.

- Znam, znam - macha ręką Febek. - Tak i robię, tylko cukier z naftą przy życiu mnie trzyma.

Ale chłopaki posiedzieli, posiedzieli i widzą, że to siedzenie to nic znowu takiego wielkiego. Tyki już im przestały doskwierać, co prawda, ale nie tylko z tyłka człowiek się składa.

- Złe - mówi Abus - źle czynisz, Febus, że żadnej solidarnościowej więzi z nami nie zawiązujesz. Szmalec tylko tą swoją Firmą młócisz i młócisz, a nas jak za te cepy traktujesz. Żadnego poszanowania, żadnego zabezpieczenia podstawowych praw ludzkich nie mamy. Ot i teraz, w robocie przestój, ty sobie ekskluzywnie chorujesz, a my - z czego mamy żyć! Przypadkiem nie wiesz?

- Daj spokój, rozumiem was - stęka Febus pod wpływem jakiegoś bolesnego robaka, ale po chwili już lepiej się czuje. - To poszukaj gdzie indziej roboty, co się mnie uczepek! Fora ze dwora, jak ci tu niedobrze. Wypierdyki z Ameryki!

- Uspokój się gnoju - odzywa się Bebus, wzmocniony świadomościowo Abkiem i Cebkiem. - Przyszliśmy się z tobą rozmówić jak człowiek z człowiekiem, złodziejku. Więc uważaj, lepiej nas nie prowokuj.

- Bo co - nie wytrzymał Febus, przyślepiony ich siedzeniem.

- Bo gówno - powiada spokojnie Cebus. - Bo zaraz oberwiesz.

- Myśmę cię przyszli przekształcić wewnętrznie, otworzyć cię dla świata, ty sieroto - rozpoczął przekuwanie miecza Abus. - No już, otwieraj się!

- Co... o? - zgłupiał Febus.

- Otworzyć się masz, bydlaku - przetłumaczył mu Bebus.

- Co, jak... Ja nie rozumiem.

- Spolegliwy masz być, skurwysynie!



- Kochać bliźniego jak BMW swoje!  
 - ... A za godzinę roboty to niech nam płaci stówę.  
 - Co tam stówę. Do udziału w zyskach niech nas dopuści.  
 - A co tam zyski. Ma upartyjnić ten swój przeklęty śródek pracy. My też chcemy posiadać Forda.  
 - Jamna sprawa. A w willi niech jeden pokój natychmiast wyszykuje, najlepiej living room, to tam będzie zawsze nasz przedstawiciel...  
 - I drugi, i drugi! Dla vice-przedstawiciela...  
 - I mnie, i mnie! - krzyczy Abus. - Mnie też dajcie pokój osobny! Febek nareszcie pojał w czym rzecz.  
 - Czyście powariowali? - powiada. - Wy-pier-da-łać!  
 No i co. Rewolucja rewolucją, ale z głupimi nie da rady. Bebek zmuszony był stuknąć Febka rzeźbionym Murzynem w głowę. I uspokoił się Febus, pomogło. Nie ma dupy, dyktatura proletariatu jest w takich wypadkach conditio sine qua non.

Leży Febus nieprzytomny pod dyktaturą, chłopaki nareszcie poczuli powiew demokracji. W pierwszym rządzie skierowali się do kuchni. Salami, ananasy, konserwowa szynka - szło do bandziochów jak popadło. Kiedy już se pojedli, zaczęli rozglądać się za wypitkiem. O Febkowym barku śnili po nocach, wiedzieli gdzie szukać. Pierwszy z brzegu stał Johny Walker. Obalili. Cinzano. Obalili. Wiśniówka Bols. Poszło i to. Ale po wiśniówce zrobiło im się trochę nie tak. Chodźcie, chłopaki, weźmiemy saunę - poddał któryś. O, to, to, zgodzili się frontycznie. Po drodze była ubieralnia, poprzebierali się więc w najlepsze garnitury Febka i tacy eleganocy udali się na dół, do piwnicy, tam gdzie się sauna buduje. Położyli się na tych deskach i czekają. Ale nic. Coraz zimniej, zawsze to piwnica. O, jest prysznic, może tak prysznic puścić - mówi któryś. Odkręcili kurek. Zmokli i jeszcze zimniej im się zrobiło. Brr!... Uciekli z powrotem na górę. Ja tam wolę wannę, zwierza się Abus Bebusowi. Ten Abus to prymityw taki, w saunie nawet zachować się nie potrafi, plotkuje Bebus Cebusowi na odwróconego Abusa. Bebusa warto by odsunąć od rewolucji, jakiś nieodpowiedzialny element, wchodzi Cebus w układ z Abusem. Cebus powiedział, że ciębie załatwi, napuszcza Abus Bebusa na Cebusa. Ale kiedy zejdą się razem, krzyczą: tańczyć, tańczyć, muzyczka, wesoło ma być! I puszczają znakomity gramofon Telefunkena. Chata, muzyczka, gorzałka, żarcie...

- Ty, chodźcie bzyknijemy Febusową - judzi podochocony Abus. - No, chłopaki, co się szczypać!

Ale Bebus i Cebus mniej okazali się schlani i mieli jeszcze szczątkową świadomość, że patrzy na nich chwila dziejowa. Powiadają, że dokonali tego tutaj przewrotu aby człowieka na lepsze przerobić, a jeśli zerzną Febusową to nie wiadomo czy jej to na lepsze wyjdzie jako homo sapiensowi, chyba nie. Więc tańczyć, tańczyć, Muzyczka, wesoło mabyć!... Ale co wypłynęło, to już nie utonie. Stuknęli jeszcze trochę gorzałki i nie ma rozmowy. "Na dupy" i "na dupy". I czemu tu się dziwić? Młodość, krew nie woda. Trzeba ich puścić. Na to jak nie podskoczą, jak nie podziękują, jak nie zaczną pakować ze stołu, co popadnie, co się nawinie, wódka, pomarańcze, papierosy amerykańskie, kremowe ciastka... i wypadli z chałupy. Jakiś czas jeszcze biegli w grupie po dzielnicy chałupniczej. Uch, niech no tylko dobiegną, niech no tylko się dorwą, uch, jakie numery z nią będą wyprawiać - niecierpliwili się każdy do swojej zawsze tam gdzieś zaklepanej, szparki. A z niecierpliwości tej aż języki im się ruszały i opowiadali sobie w gorąco gdzie nogi, gdzie ręce i gdzie poślądki będą zakładać. Wreszcie się rozparcelowali. Pozdrawiał ich w biegu przymiłny uśmiech chałupników. "He, he, na dziewczynki, he, he". Powoli zapalały się światła.

Przypowieść o Wielkim Integratorze - zakończenie

Człap. Człap. Człap - człapie głupawy strażnik, zwany w niektórych literaturach szlachetnym, prostym człowiekiem. Prowadzi Imka pod klucz. Przeszli



tak jeden korytarz, drugi, weszli na poziom pierwszy, drugi, trzeci... Aż wreszcie strażnik zatrzymał się obok celi czterdzieści cztery. Z lekkim zazgrzytałem klucz w ogromnym zamku celi.

- W tej celi straszy... - wyszeptał strażnik poblaskami usty.

- Nie mnie nabierać na czterdzieściczteryzm, drogie dziecko - uśmiechnął się Imek i konfidencjonalnie poklepał strażnika po ramieniu.

Na co ten cofnął się jak oparzony i zatrzasnąwszy za Imkiem drzwi, oddalił się chwzię pospiesznymi krokami. Imek został sam. At, tam, przejmować się. Pogwizdując wziął gorący prysznic, umył zęby, przyodział się w pyjamę - i tak gdzieś na pół godziny przed północą, walnął się w szlafroku na łóżko. Leży i kaluluje. Minęło w ten sposób pół godziny. Koło północy, kiedy Imek kończył rozwiązywać właśnie nader interesujący sylogizm i już, już zamierzał z otrzymanego wniosku utworzyć przesłankę mniejszą sylogizmu następnego... usłyszał dyskretne chrząkanie. Roześlony, że mu znów coś w robocze przeszkadza, jednak kątem oka zaglądnął. Pod ścianą... na ławie... siedzą... chyba... trzy duchy! Faktycznie. Ale siedzą pokornie, czasem tylko tam któryś dla kurażu chrząknie. Wiedzą, że z Imkiem żartów nie ma, poczuje tylko ontyczną nachalność i jak nic do niebytu przenosi. Niecierpi chamstwa. Nie będą mi jakieś paskudne emanacje zaświadczości przeszkadzały w cerebralnej robocie, skonstatował Imek po chwili. I wrócił do rozpoczętego sylogizmu. Rach-trach rozwiązał, wniosek odłożył w pamięci, i wtedy się dopiero odzywał.

- Co tak trójkami jak ormowcy chodzicie. Was też cykor oblatuje? - mówi.

Pierwsza z brzegu postać poruszyła się i jakby odsunęła lekko od pozostałych.

- Ja właściwie jestem tu indywidualnie - powiada. - Tak tylko z nimi się zabrałem, bo było wolne miejsce na miotle.

- A zwrot kosztów podróży przy rozliczaniu delegacji do kieszeni, co? Znany znany - uśmiecha się pogardliwie Imek.

- Ja właśnie... Ja mam do pana tylko jedną sprawę.

- No, słucham,

- Jestem duchem Konstrukcji tego utworu i mam tu, z tego miejsca, wyrazić pretensję do pana, że pan nie postępuje zgodnie z zamierzeniami Twórcy.

- A jak mam niby postępować - gburowato pyta Imek.

- No, że pan przecież miał reprezentować tę całą ideę przeowdzenia masom, wszystkie dole i niedole zjednoczenia mas we wspólnym azymucie, może by nawet jakieś nowe wnioski dałoby się z tego wyciągnąć, poprawki jakieś, a tak to co. Dał się pan zamknąć do więzienia, a problem dalej nierozwiązany. Połknął nam pan Hop-hopka, ale nowego bohatera pozytywnego, nowego przywódcy nam pan w zamian nie dał. I co, mają masy pozostawać same? - wypowiedziała się rozsądnie, po kobiecemu, duch Konstrukcji.

- Idź powiedz temu swojemu durnowatemu Twórcy, że ja w żadną tam Integrację wpakować się nie dam - mówi Imek. - Już ja swój caban mam i już ja dobrze wiem, że tam gdzie masa, gdzie Integracja, tam zawsze na koniec wypływa jak gówno kasta kapłańska, a w ostatecznym rozrachunku rządzi kurwa i złodziej. Nie ma głupich.

- Jak pan może! - splonila się duch Konstrukcji. - Takie słowa.

- Dobrze, dobrze, możesz sobie darować - macha Imek ręką. - Powiedz mu jeszcze, że dzisiaj ideały - jak zresztą zawsze - po więzieniach siedzą. Tutaj przynajmniej wiadomo co dobre, a co złe. Ale te wasze "masy" tak znów na brak Integratora nie narzekają. Powinien był wiedzieć, ten twój cały Twórczo, skoro zabierał się do pisania, że masy można integrować wtedy dopiero, jak im źle. A co, źle im jest? Żyć mają co, a jak brakuje kiełbasy to na lewo wyniosą, dach nad głową mają, woda ciepła, zimna, telewizory, dywany, lodówki, urlopy, imieniny, święta, plotki, egzaminy wstępne i dyplomowe, awanse - czego im więcej trzeba. Suwerenności? Wolności myśli? Demokracji? Ależ oni demokracji inaczej nie pojmują, jak tylko taką, co zaspakaja ich potrzeby. A jakież te ich potrzeby!... Integrować praktycznie, sensownie, można tylko wśród takich, którzy mają potrzeby duchowe. Ci nasi zbyt są zajęci przeżuwaniem, by można się było do nich dopukać. Tak mu powiedz. A to że w pierdłu posiedzę, to nie zaszkodzi. Ideał tylko w więzieniu jest ideałem. Na wolności jest jednym z wielu towarem na kos-



mopolitycznym rynku. Narzędziem: ideał. Dzisiaj socjalizm, demokracja, praworządność, niepodległość państw "socjalistycznych" to tylko puste frazesy propagandowej trąby. A jeśli złożona niemocą prawda podniesie na chwilę głowę - musi iść nieodmiennie do pierdła. Więc powiedz mu, że ja: socjalizm, demokracja, praworządność, suwerenność państwa - wróciłem do więzienia. "ożesz iść."

- Dobrze, proszę pana - ucieszyła się duch konstrukcji, że zdąży jeszcze porobić zakupy. I trochę tam jeszcze poszeptawszy z pozostałymi duchami (na pewno zmawiała się na drogę powrotną), znikła.

Imek, w dalszym ciągu leżący zwisowo na łożku, poglądał teraz od niechocia na dwie pozostałe postaci. Duchy czekały w pokorze.

- A wy dwaj - co za jedni? - zapytał.

- My... znaczy... to jest duch Kraju... a to jest duch Karola - wybakali nawzajem.

- No, to który pierwszy?

Duchy przez chwilę wypychały się łokciami, wreszcie silniejszy zwyciężył i wypchnął słabszego. Wystąpił duch Karola.

- Ja... ja będę pierwszy.

Imek przez chwilę tłukł się po swojej pamięci. Duch Karola. Karola. Karola - jakiego znowu Karola?... Aa, Karola! Oj, Karol, Karol.

- Indeks ze sobą wzięłeś? - zapytał.

- Tak, oczywiście, tak jest - duch Karola gorączkowo zaczął szperać w fałdach swojej duchownej sutanny i wreszcie wyciągnął te swoje gaudeamus. - Proszę.

- Tam jeszcze pióro leży, tam na stole, to mi podaj...

- O, jest! - ucieszył się duch Karola i usłużnie doniósł pióro Imkowi.

Imek przez chwilę przewracał kartki w indeksie.

- Co my tu mamy... - mruzczał. - Wychowanie fizyczne, język niemiecki, religia, Hegel, Arystoteles... Nie... Nie... O, jest. Psychologia. Słuchaj no, co jest ważniejsze: socjalizm czy zasada zachowania tożsamości?

- Oczywiście, socjalizm. Socjalizm zwyciężył! - szparko odpowiedział duch.

- Dwójka - spokojnie ocenił Imek. - Zasada zachowania tożsamości człowieka jest ważniejsza. Z przetrąconych kręgosłupów i zaklejonych pysków socjalizmu nie zbudujesz. Z psychologii dwójka.

Imek postawił dwójkę i dalej szperał w indeksie. Wreszcie wyszukał kolejną wolną rubrykę.

- Socjologia. Tak, socjologia. Słuchaj no... co jest ważniejsze, socjalizm czy dobrobyt?

- Socjalizm, oczywiście. Socjalizm zwyciężył! - poderwał się znów duch Karola.

- Gówno prawda - odparł Imek. - To było pytanie podchwytliwe. Na inteligencję. Ani socjalizm, ani dobrobyt nie są w socjologii najważniejsze. Najważniejszy jest zdrowy układ stosunków społecznych. To znaczy zgodny z tą naturą ludzką, jaka w tej chwili określa człowieka. Społeczeństwo potrzebuje ulubieńców i tych ulubieńców lubi osadzać na tronie. Społeczeństwo tak samo lubi gry polityczne jak i politycy. Nawet jeśli ulubieniec przez społeczeństwo wybrany obiektywnie głupszy byłby od tego, którego wybiera tajny aeropag, i tak w rezultacie wpłynąłby korzystniej na kraj, bo rozdyktowanie jest tlenem dla narodowej krwi. A naród rzeczywiście rozdyktowany, jest rzeczywiście twórczy. A jeśli zamiast ulubieńca daje się społeczeństwu nieprzezroczystą płachtę "Trybuny Ludu" - na skutki nie ma co długo czekać. Tak, że z socjologii dwójka. Co teraz...

Imek dalej przewraca kartki. Jest.

- Jest, antropologia filozoficzna. Słuchaj no, ty duchu... co jest ważniejsze, człowiek czy społeczeństwo?

Tym razem duch Karola już się zastanowił. Widać było, jak tam na lewo i prawo przesuwają różne syllogizmy w mózgu. Wreszcie zaczął odpowiedź, ale powoli już mówił i z namysłem.

- Istotą człowieka jest całokształtem stosunków społecznych... Znaczący to, że człowiek jest tym, czym ukształtował się na przestrzeni wieków... Człowiek indywidualny jest niczym więcej, jak tylko nosicielem ogólnego ciągu społecz-



nego... W rozumieniu tego procesu, swojego historycznego i społecznego utreśćcio wienia, człowiek uzyskuje swoją wolność i swój społeczny sens.

- Ale co ważniejsze, społeczeństwo czy człowiek.

Oj, dobrze wiedział duch Karola do czego mu się dobiiera Imek. Wszelakoż odchrząknął i...

- Jedno i drugie jednakowo ważne. Przecież to powiązane - powiada.

- Ta, na papierku... - mruknął Imek. - Paża.

- Jak to - oburzył się duch Karola - Jak to! A jak być powinno!

- Proszę się opanować - wycedził przez zęby Imek. - Tak powinno, że w twoim systemie, co byś tam miną nie nadrobił, człowiek musi być wartością podrzędną względem społeczeństwa - bo ty definiujesz człowieka przez społeczeństwo. Nic z metafizyki. A nie widzisz, że nawet jak położenie głowy zmieni człowieka w czasie myślenia, to i sama myśl ulega zmianie. To powinienś być w pierwszym rzędzie zauważyć. A nie wypychać człowieka społeczeństwem, a społeczeństwo klasą robotniczą. I to by było na tyle. Do widzenia.

Duch Karola aż zmartwił z przerażenia. Jak to! On, tak wielki, tak znaczący wielbiony i opracowywany, studnia doktoratów, docentatów, religia religii, pulpit mówniczy tylu polityków, system systemów... tu, u tego chłystka, miałyby oblać! Nie, no co to jest!

- Jak to! - mówi do Imka. - Jak to dwója. A przecież ja z ekonomii politycznej jaki jestem świetny. Ile tam rzeczy różnych...

- Wiem, wiem - macha ręką Imek. - Znam, "Kapitan".

- Co... ja...! - duch Karola aż stracił oddech. - Jaki "Kapitan"! "Kapitał"!

Imek śmieje się i macha ręką. Przerzuca kartki w indeksie.

- Ale ty masz już stopień z ekonomii... i to nawet piątkę. No, ciekawe kto ci taki pomnik wystawił. Co tu jest na... Le... Le... Lenin. A, też niezłe ziółko. Znamy, znamy. Ale właśnie, a dlaczego duch Lenina nie przylazł z wami do kompletu?

Duch Kraju zaczął się niecierpliwie wiercić w ławce. Znaczy, że wie, zna odpowiedź, chciałby odpowiadać. Imek demagogicznie pominął tego ducha milczeniem, Skierował oczy na ducha Karola. Ten podpowiedział.

- Chciał przyjść koniecznie, ale tu mogły przyjść tylko duchy na "K". A on jest na "L".

- O, to już lepiej - pochwalił Imek. - Tak dzisiaj trzeba zaczynać. Od alfabetu. Od weryfikacji podstaw systemowych. No to dziękuję. Do widzenia.

- Ale... - duch Karola jeszcze sterczał uparcie, bojąc się odejść. No bo jak tu się teraz pokazać przed światem...

- Co, jeszcze nie kapujesz! - odezwał się zirytowany już Imek. - Zapamiętaj, zanotuj i wykuj na blachę: myśliciel jest bez sumienia. Myśl swoją kocha sto razy bardziej, niż jest ona w ogóle warta kochania. A już największe, te najsławniejsze konstrukcje, dokonują z takim zbytkiem miłości, że muszą one co najmniej być tej miłości niegodne. Za to dostajesz dwóję, za miłość myśli - za karygodne zaległości w zakresie helleńskiego sceptycyzmu. Za bardzo kochałeś myśl swoją, za bardzo swoje powołanie myśliciela, historiona - by nie zagubić wektora prawdziwej natury człowieka. Twój doskonały "otwarty" - a z drugiej strony zabity dechami - świat, jest światem twojej woli, zbyt odstający jednak w życzeniach od świata rzeczywistości, by się z rzeczywistością kiedykolwiek pokrył. W tej twojej angielskiej ekonomii, francuskim socjalizmie, niemieckim materializmie, całkowicie utopił się człowiek jaki jest. Wszystko pożarła polityczna ekonomia. Panna do wzięcia. No i co, wzięli ją i wydymali, co mieli robić.

Duch Karola znikł. Załatwiony. Teraz ten trzeci. Duch Kraju siedział trwożliwie i czekał na pierwsze pytanie.

- A ty co tak się marszczysz. Oczy rozboleją - odzywa się Imek.

Ale duch Kraju nie ustaje w obywatelskim marszczeniu twarzy, jak by tam już na niego cała telewizja patrzała.

- Nie, nie - mówi - ale kraj potrzebuje serc, umysłów do pracy, dużo już zrobiliśmy ale i dużo jest jeszcze do zrobienia, musimy się troszczyć, musimy siły zjednoczyć, musimy się wszyscy zjednoczyć we wspólnej trosce o dobro naszej ojczyzny, naszego kraju, wicie, idzie o to...



- Przestań ty najpierw tyłek temu swojemu... Saszy lizać, wtedy porozmawiamy o kraju.

W samą dychę. Duch z mety wyparował.

A Imek powrócił spokojnie do przerwanej pracy. Cóż, trzeba jakoś wyprostować ten zwichrowany Sylogizm Historii.

## WYJSCIE

W uroczych zaułkach uroczego Starego Miasta wśród wielu uroczych kamieniczek znajduje się kamieniczka wcale nie więcej urocza niż inne. Mieści się w niej organ Socjalistycznego Związku Literatów Polskich (SZLP), lokal gastronomiczny "Literatka". Lokal ten dzieli się z grubsza na dwa poziomy. Na poziomie - by tak rzec - zasadniczym znajduje się duża przestronna sala, stylowo i z kulturą wyposażona, w głębi sali alkoholowy barek, na sali dużo, dużo stolików i biegają kelnerzy. Pachnie. Tu się zbierają członkowie SZLP i dymają te swoje synékurki. Piętro niżej natomiast pomieszczenie już bardziej rewolucyjne. To, co kiedyś było piwnicą, przerobiono na suterynę, a suterynę na kawiarnię - dla członków Socjalistycznego Koła Młodych (SKM) przy SZLP. Kawiarenka przytulna, foteliki, kanapy, siedziółki, dwa knoty i zabytkowa lampa, kominek i bar, i jest całkiem przyjemnie, po co zaraz strzelać. Lepiej porozmawiajmy, nie?

Na górze nic ciekawego. Jedzą spokojnie, grzecznie, łokcie przy stole, plecki wyprostowane jak u dumnego Prometeusza, buźki w strokany obywatelski ciup. Nabrali już dobrych manier przez te trzydzieści parę lat. Owszem, nie powiem, nawet w najlepszej rodzinie się zdarzy: czasem coś młśnie, jak by ktoś komuś czemuś za coś po coś w coś... albo albo rozlegnie się chichot... albo ktoś zrobi minę... Ale to betka. Margines. Demokracja. Nad wszystkim i tak góruje z centralnego punktu, w powodzi zgłupiałych biało-czerwonych goździków, w pozłocie łysawej czaszki - popiersie św. Cenzury.

Na dole trochę inaczej. Ale tak samo żałośnie. Zbiorą się raz na tydzień, kogoś zaproszą, on mówi... mówi... mówi... A oni patrzą jemu na buty... na koszulę... na krawat... Kiedy już się napatrzą, następnym razem wołają kogoś bardziej. Wtedy przychodzi łazik w trampkach i opowiada, że postom należy się wszędzie, na całym świecie, noclegi i żarcie za darmo. Na łazik, łazik, łazik to można w wakacje, - a studia rzecz najważniejsza. No to co robić. Co by tu zrobić?... No co, ja np. napisałem już 100 wierszy. Ba, ja już 150. A ja 80. Pytają Opiekuna Koła z ramienia SZLP - co robić? No jak to co robić, wydawać, wydawać - zachęca Opiekun - prędzej wydasz prędzej do Związku cię przyjmą. Więc idzie delegacja do Wydziału Kultury: oni, członkowie SKM, chcą tomiki poetyckie wydawać. Ależ prosimy, prosimy, jak najbardziej, kultura, socjalizm, społeczeństwo, nasze państwo, w pierwszym rządzie.

I właśnie tu, z tego paragrafu, mamy akurat siedemset tysięcy, bierzcie, bo to już koniec roku ekonomicznego i jak nie wydamy, to nam na drugi rok obetną, bierzcie, bierzcie, jak najbardziej - kulturę zawsze dofinansujemy. Na to ci z SKM-u znowóż płaczą, że oni tylko cztery tomiki zbierali, więcej nie da rady. A co to szkodzi, nic nie szkodzi, mówią ci z Kultury, to te trzysta tysięcy gdzie indziej upchniemy, zjazd jakiś się zrobi, czy jubileusz. No to dziękujemy, do widzenia. Do widzenia, do widzenia.

Potem tomiki poszły do ocenzurowania. Tam je smakowali, ślinili, pluli, pocierali, oglądali pod światło, wstawiali do rentgena - na koniec włożyli paperek lakmusowy. A kiedy i to nic nie wykazało - cenzorzy wszystkich delegatur orzekli wspólnie: ZGODA. Nie ma tu nic, co by godziło, uderzało, lub nawiązywało. A nawet przeciwnie. Wszystko to akurat nie godzi, nie uderza i nie nawiązuje - brzmiało orzeczenie na cenzorskim stemplu. Tak że b. Pochlebnie

Z drukiem nie było już tyle kłopotu. Nie minęły trzy lata i ukazał się pierwszy tomik. Jego autor jest bohaterem dzisiejszego wieczoru. Siedzi przy tzw. oficjalnym stole, pali fajkę (od miesiąca) i spogląda odpowiedzialnie jak nigdy dookoła. Znaczący odbędzie się wieczór autorski. W sali prawie komplet, zebrali się wszyscy członkowie SKM-u, plus paru kandydatów, powoli robi się



duszno i chce się człowiekowi pić. Kelnerki jakoś nie widać. Po jakimś czasie trzymania pragnienia za mordę jeden z siedzących, a bodaj czy nie Sekretarz Koła, udaje się na zaplecze. Wraca po chwili, triumfalna mina, i głośno obwieszcza:

- Zaraz przyjdzie kelnerka, skończą tylko pić z bufetową kawę.

O, fajnie - ucieszyli się wszyscy - zaraz napijemy się ciepłej coca-coli.

W tej chwili zjawia się Opiekun. Ale coś zaaferowany. Odciąga na bok rzew wodniczącego i przeprowadza z nim cichą rozmowę. Przewodniczący od czasu do czasu potakuje głową - wszyscy Przewodniczący kiwają głową w jednym kierunku - a w końcu bierze od Opiekuna jakiś papierek, coś szeptem do ucha Sekretarzowi, zasiada przy oficjalnym stole i głośno prosi o ciszę. Jazgot młodych poetów powoli opada.

- Witam was, koledzy, serdecznie, na kolejnym spotkaniu członków i sympatyków naszego SKM im. W.I. Lenina - zaczął Przewodniczący. - Dziś, oczywiście, mamy wieczór autorski Łukasza i zaraz oddamy mu głos. Na wstępie chciałbym tylko dwie sprawy. Więc, po pierwsze... Koledzy, słuchajcie!.. Musimy uchwalić rezolucję... Sprawa jest wszystkim znana i myśmę tu już tekst przygotowali... No więc czytamy!

"My, członkowie Socjalistycznego Koła Młodych imieniem Włodzimierza Ilicza Lenina przy Socjalistycznym Związku Literatów Polskich, domagamy się ukroczenia samowoli nieodpowiedzialnego elementu umysłowego w naszym kraju. Żądamy kategorycznego zapobieżenia dystrybucji nieopodatkowanej twórczości literackiej, zwanej również twórczością podziemną alias samizdat. Nieskodyfikowana ta twórczość literacka stanowi istne zagrożenie dla jedności i jednorodności socjalistycznego frontu literackiego. Pojawienie się prywatnego sektora gospodarki artystycznej może spowodować na manowce część zdrowych ale jeszcze nie dostatecznie prężnych ideowo sił twórczych naszego socjalistycznego społeczeństwa. Burżuazyjnej bandzie chronicznie niezadowolonych literackich bankrutów i graczy mówimy nasze socjalistyczne: precz! Domagamy się środków radykalnych i natychmiastowych, póki jeszcze wszystko kupy się trzyma.

Jednocześnie, w tej kolejnej krytycznej chwili, pragniemy zapewnić Was, Towarzyszu Pierwszy Sekretarzu, a za Waszym pośrednictwem cały nasz socjalistyczny naród, o naszym całkowitym poparciu dla waszej polityki tak wewnętrznej, jak i zewnętrznej, pragniemy również podkreślić, że nasz braterski sojusz ze Związkiem Radzieckim jest gwarantem.

Członkowie Socjalistycznego Koła Młodych imieniem Włodzimierza Ilicza Lenina przy Socjalistycznym Związku Literatów Polskich zawsze z Partią!"

W tym momencie Przewodniczący, Sekretarz, Opiekun i autor świeżo wydanego tomiku, Łukasz, odbyli oklaski. Potem zapadła cisza. A teraz każą podpisywać - myślą spode łba członkowie SKM-u. Ale zaraz wszystkim zrobiło się lżej na sercu, bo oto Przewodniczący ogłosił: "Przyjęto przez aklamację" i wpakował dokument do szarej koperty. W tej chwili na schodach pojawił się doręczyciel. Zbiegł szybko, schwycił ze stołu szarą kopertę, dołożył do stosu takich samych i nawet nie mówiąc "cześć pracy", pobiegł zbierać dalej. Prasy drukarskie czekały...

- A teraz druga sprawa - zabiera znów głos Przewodniczący. - Odczytam piśmo, jakie do nas wpłynęło z Zarządu Głównego... Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Literatów Polskich, Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej i Polsko-Radzieckiej ogłaszają konkurs otwarty na opowiadanie lub wiersz - w socjalistycznym języku rosyjskim. Przewidziano liczne nagrody... Samowar z Tuły, przejażdżka pociągami Przyjaźni, oraz - i tu uwaga - nagroda główna: dwutygodniowy wyjazd na Wielką Socjalistyczną Olimpiadę Moskiewską w roku 1980-ym. Rozstrzygnięcie konkursu, etc... Ja to wszystko wywieszę w Związku, koledzy, to się dokładnie zapoznacie. A teraz oddajmy głos Łukaszowi. Prosimy, Łukasz.

Łukasz pyknął z fajki, otworzył cieniutki kajecik zwany też górnio "książką poetycką" i już, już zamierzał otworzyć usta charakterem wstępu, kiedy dał się nagle słyszeć okropny rumor, jazgot, krzyk, wrzask, tupotanie - i po chwili po schodach wiodących do naszej przytulnej kawiarenki w wielkim pisku wbiegła jakaś biała postać z patelnią w ręku. I skryła się za filarem. Wszyscy oniemieli. Po jakimś czasie z takim samym rumorem wbiegła druga postać po-



dobna, tylko z wiadrem zamiast patelni. Ta chwilę się rozglądała, a kiedy znalazła, lu! - wylała ten kubeł wody na postać pierwszą. Pierwsza wrzeszczy, druga wyje ze śmiechu, a jeden z młodych - jeszcze widać do końca nie otruty, wziął się normalnie i wkurwił... Stop, stop, bastuje go Opiekun, uspakaja, głaska, sadza, wyjaśnia że pozwólmy, że nie należy się dziwić, wielowiekowe obywatelskie zaległości, nowe warstwy społeczne etc. - że kucharki z góry, krótko mówiąc, dla zabicia czasu leją się wodą. Taki śmigus-dyngus, święto ludowe, folklor w zakładach pracy, Po chwili, bogu dziękować, już się oblały i Łukasz mógł przystąpić do odczytywania utworów. Jak zwykle na takich wieczorach, najpierw ktoś czyta swoje wiersze, a potem się dyskutuje - czyli wypowiada się to, co się ostatnio pomyślało w związku z zupełnie czymś innym.

W utworze pierwszym Poeta głośno obwieścił swoje zniechęcenie światem. W udatnych słowach jasno ukazał jego głupotę i bezwładność, która Poetę, człowieka, jednostkę, czyni nędzną "pacynką w glinowisku niespełnionych nadziei". W finale Poeta wyciągnął przed siebie dłoń i poszukał drogi w "przedłużeniu palców" W utworze drugim chodziło o to samo, tylko zamiast palców była "igła magnetyczna ręki". W utworze trzecim autor, dobrze filologicznie wyszkolony, posługując się z dużą kulturą obscenizmami, opisuje samotność dwojga w łóżku. "Gdy północ baczność wybiła" określa krótko swoją gotowość. I przystępuje. Ale... jednak autora nie cieszy, bowiem nad wszystkim "jak krzyk" unosi się widmo "ich nienarodzonego dziecka". Poeta zapewne tu protestuje przeciwko usuwaniu ciąży. A wcale by nie musiał ślęczeć po nocach nad wierszami, gdyby korzystał z Poradni Świadomego Macierzyństwa. W wierszu kolejnym znowu chodziło Poecie o dłonie. Tym razem na ich krawędziach wyciągniętych w przestrzeń odbywał rodzaj anametycznego odpoznanie siebie. Całkiem to było udatne, i rytm, i metafora. Nastąpiły kolejne utwory w niczym nie ustępujące pierwszym. Przy wierszu siedemnastym rozległ się nieoczekiwany łomot!... Gdzieś od dołu chyba!... Członkowie SKM-u, wychowani od dziecka w duchu obywatelskiej pomocy, szybko odsunęli sznurkowy chodnik. Patrzę - a tam w podłodze drzwi, a w drzwiach taka szpara, taka szczelina na listy. A w tej szczelinie... kartka. Zwykła kartka papieru, zapisana maszynowym pismem. Nawet czy nie przebitka. Zaraz to wzięli i już, już tam do niej zaglądnęli, ale barczysta, dobrze odżywiona postać Opiekuna szybkim, wytrenowanym ruchem wydarła im z rąk ten... tę... Opiekun zaglądnął i rzekł "nic ciekawego", wracamy do przerwanej tematyki. Ale nic podobnego. Część członków już zdążyła przeczytać tytuł: "Portret rewolucjonisty" i odezwały się głosy domagające się zaznajomienia ogółu z treścią. Poeta na skinienie Opiekuna zaczął już czytać osiemnasty wiersz, ale szum i brum członków Koła nie ustawały, jak po niesłusznym werdykcie w boksie. W końcu zrodziły się krzyki... Czytać! Czytać! - krzyczała zdrowa artystyczna ciekawość młodych.

Jest w nich jeszcze dużo dobrej krwi, przecież to młodość. Tylko taka ogólna humanistyczna lodówka, że biedne, niewykształcone dipole ich mózgow nie dają rady temu schorowanemu polu magnetycznemu polskiej współczesności. W warunkach normalnych, w warunkach wolnego i zdrowego społeczeństwa i oni, na miarę swoich ówierć i półtalentów znosiliby pożyteczne ziarenka do ogólnego społecznego kopca. A tak, to co w robaczywym społeczeństwie i szkoły i biblioteki i apteki pracują na rzecz robaczywienia. I oni powoli będą cichnąć, cichnąć, głupieć... Aż staną się literatami.

Na razie jeszcze krzyczą, bogu dzięki. Opiekun uspakaja, mówi że po wieczorze autorskim, że nic ważnego, że przedyskutować to najpierw trzeba... Nic z tego. Krzyk. Jeszcze chwila a wzniesi się wiecowisko. Nie daj boże rezolucję uchwała, zaczną zbierać podpisy, nie da rady odebrać, dowie się zagranica i co wtedy! Opiekun w kropkę, ale myśli - jakoś już tam tym w POP-ie wytłumaczę. Ustąpił. Papier wziął któryś z chłopaków i czyta.

### Portret rewolucjonisty

Rewolucjonista naszych czasów wstał rano głodny jak pies. Rodzina go się



wyrzekła, bo położył łagę na ogólnie dostępne studia, prozy drukować wydawnictwa nie chcą, albo mają pietra, roboty chwilowo brak. Poszperał w kieszeni przepierdzianych portek, wyciągnął dwa sporty i cztery złote. W pierwszej kolejności wypalił pod rząd obydwa papierosy, oddając się okliwym marzeniom o prawdziwej demokracji. Po tym, niezwykle intensywnym akcie świadomości skonstatował, że warto by było coś zjeść. Rzecz jasna nasunął mu się bez wyjścia jedyny w dzielnicy sambar mleczny "Obywatelski", gdzie też chyżo popieszył i zamówił talerz zupy mlecznej.

Do bani ta zupa, mleko prześwituje, makaron ma charakter gumowego gniota, gorąca to chyba nigdy nie była - i jedz taką. Zryj. Ale co, trzeba jakoś żyć. No więc wiosłuje. Wiosłuje, wiosłuje... Za piątym czy szóstym razem zobaczył w łyżce jakąś czarną kuleczkę. Stracił ją machinalnie na brzeg talerza i konsumuje dalej. Nie zdążył jeszcze połknąć trzech kolejnych łyżek, a tu znowu czarna kuleczka. Po chwili znowu to samo. Przedziwnym w tym kraju trafem mózg naszego bohatera funkcjonował jeszcze normalnie... Powiedział "co to jest, żarty żartami, do trzech razy sztuka, trzy sztuki wyglądają mi na regularność przebadania!" I podniósł wewnętrzny alarm. Kiedy alarmowy sygnał przyrznął bez pardonu w rozleniwiony tyłek konsumującej świadomości - bohater nasz przeniósł oczy, tym razem już aktem woli, na trzy obok siebie leżące drobiny. Wysilek woli - skupienie - pobór wrażeń wzrokowych wydatnie się zwiększa - obraz drobiny uzyskuje bezpośrednie połączenie z ugrupowaniami pamięciowymi i dyskursywnymi mózgu. W afekcie wytrąca się supozycja: "rozdzłubać". Następuje nieskomplikowana korelacja manualna: bohater rozdzłubuje łyżką jedną z drobin na brzegu talerza. Ta analiza już wystarczyła. Mózg krótko stwierdził: "mysie gówno"... i nasz bohater się poderwał. Co, mysie gówno, mysim gównem będziecie karmić człowieka, ja wam dam mysie gówno! (Reakcja najzupełniej prawidłowa dla przedstawicieli gatunku homo sapiens). Wszystkie drobiny umieścił na papierowej serwetce, która cudem znalazła się na sąsiednim stoliku, i z tym towarem ruszył do kasy. A na prawo i lewo siedzą osoby i żłopią mleczne śniadania. Położył gówna na ladzie obok kasjerki i odzywa się w te słowa:

- Proszę panią, znalazłem w zupie mlecznej trzy mysie gówna. To jest skandal.

Zawisły w powietrzu wiosła osobom, zeszytywniała kasjerka i tylko gówna, gówna latają po skołowanych cabanach.

- Zaraz panu wymienią - wystukała kasjerka znad maszyny.

- Nie wymienią, proszę panią, nie wymienią, tylko to jest skandal. W zupie mlecznej - mysie gówno.

- Zwrócę panu pieniądze - wystukuje z kolei kasjerka.

- A niech się pani uspokoi z tymi pieniędzmi! W zupie mlecznej jest mysie gówno i to jest skandal. W tym rzecz.

Kasjerka straciła kontenans. Twarz jej stężała jak żelatyna - widać myślała.

- No to o co panu chodzi - rzekła odmienionym głosem, chyba swoim.

- Proszę zawołać kierownika - powiada bohater.

Kasjerka udała się na zaplecze. Nie było jej dłuższy przedział czasu. Za to dały się słyszeć jakieś szepty, szepty, szepty... Po chwili ktoś chrząknął, coś mówi głośno i z tupetem - i wychodzi. Osoba nad wyraz odżywiona, ale to tylko, nie więcej na twarzy ponad kalorie.

- Słucham pana - powiada.

A bohater, że gówno.

- W waszej zupie mlecznej jest gówno - powiada.

Kierownik lokalu wyprostował się na całą wysokość i ściągawszy usta, mocno powiedział:

- Jak pan się wyraża, proszę pana! Proszę nie zapominać, że znajduje się pan w miejscu publicznym. Tu są kobiety!

- A ja znalazłem w zupie mlecznej gówno - spokojnie mówi bohater.

- Proszę się uspokoić! Pan jest nieprzyzwoity! Zaraz dzwonię po milicję!

- krzyczy kierownik.

- W waszej zupie mlecznej jest gówno - słyszy w odpowiedzi.

- To co, to takie dziwne, że znalazł pan nieczystość? Ludzka rzecz, wlaźła



w nocy mysza i narobiła fekalie. Zwykła ludzka rzecz. A pan, proszę pana, niech pan się liczy ze słowami! To jest bar mleczny. Lokal publiczny. Państwo-wy!... Narodowy!... Socjalistyczny!...

Nasz bohater nie dał się sprowokować.

- Ale to wcale nie jest nieczystość, czy kał, czy fekalia - powiada - tylko to jest gówno. Niech pani weźmie do buzi i skosztuje. Fekalia to jest, czy gówno.

- Tfu, co za obrzydliwiec, jak pan śmie! - pieni się kierownik. - A co pan tu robi w ogóle. Jest dziesiąta rano, dlaczego nie w pracy. Jakiś niebieski ptak! W niedzielę urodzony!

Bohater uprzejmie objaśnia, że jest młodym pisarzem klepiącym tę starą ko-byłę - biedę. Kierownik podejrzliwie skontrolował wzrokiem jego liche odzienie i obcesowo zapytał:

- A jest pan chociaż skodyfikowany? Partycuje pan w Socjalistycznym Koło Młodych?

- Oczywiście, że tak - skłamał dla doświadczenia bohater.

Kierownik serdecznie się ucieszył. Naprawdę się ucieszył. Złapał zaraz naszego bohatera pod ramię i poprowadził serdecznie na zaplecze.

- No widzi pan, widzi - mówi po drodze. - To trzeba było od razu tak mówić, teraz to coś zupełnie innego. Ale niech pan słucha, proszę pana. Tak nie można. My rozumiemy, młodość, serca, krew nie woda, ale to trzeba przemyśleć, przedyskutować, rozważyć zanim powie się słowo. Bardzo, bardzo nieodpowiedzialnie zabrał pan przed chwilą głos na publicznym forum. Bardzo nieprzemyślenie. A nie można to było przyjść do nas, wszystko byśmy wyjaśnili, przedyskutowali, napisali, podali wyżej. Tak trzeba, proszę pana, służyć ojczyźnie, tak jest najtrudniej. Trzeba zrozumieć. Mamy trudności. O, lato na przykład wiadomo było. A wkrótce perspektywicznie przewidujemy jesień, też nowy kłopot. A zima, a wiosna - to nie tak łatwo cały rok na okrągło wiązać koniec z końcem. No i pułapki na myszy zawiiodły. Skutkiem obiektywnych zakłóceń w dostawach kooperantów nie wszystkie części zamienne doszły na czas. Duża część pułapek stoi bezczynnie. I, jak pan widzi, wszystko to razem obiektywnie się składa, że chwilowo, przejściowo, trudny okres, pogoda, przyspieszenie, w trzecim kwartale, do końca lat osiemdziesiątych. Jak więc pan może, w tak trudnej sytuacji, kiedy tu trzeba na przód, do przodu i naprzód, naprzód, a pan tu wyjeżdża z tymi fekaliami... Ale jak jest pan członkiem SKM-u, my bardzo otaczamy opieką naszych młodych twórców, zielone światło, a moja żona wszystkie wasze tomiki poetyckie kolekcjonuje, to może by pan coś o barze napisał, o naszej ciężkiej pracy codziennej - ma się rozumieć na umowę, na umowę, zaliczka, stawka, honorarium, zaraz my tu...

Rewolucjonista naszych czasów roześmiał się.

- Kiedy ja nie jestem członkiem żadnego Socjalistycznego Koła Młodych - śmieje się na cały bar mleczny. - A to o co chodzi, to wcale nie fekalia, czy kał, czy nieczystość - tylko gówno! Gówno! Gówno!...



Leszek Budrewicz

## W I E R S Z E

## PORANEK

O piątej rano wstaje Polska  
 która nie śpiewa psalmów  
 dowódcy okręgów wojskowych jeszcze śpią  
 lunatycy kładą się do łóżek  
 bywalcy nocnych klubów zapadają w sen  
 Polska przedwczorajszych butów  
 i braku przeceny własnych możliwości  
 żegluje gondolami tramwajów  
 i wiatr wieje  
 w twarz  
 nie w podszwach  
 Godziennie o piątej rano  
 Polska wstaje ze snu  
 jak z przechowalni  
 rano jest tak znajomo  
 że Polska Tramwajowa  
 milczy na dźwięk świtu

## CO MÓWIMY NASZYM DZIEWCZYNOM

## W SŁONECZNE POPOŁUDNIE

Chcę ci przynieść raj  
 Chcę Cię przenieść do raju  
 tutejszy raj  
 jest dla ściśle zarachowanych  
 Dla tych co wchodząc  
 płacą odwróceniem głowy  
 tracą czucie w stopach  
 zapominają że tam  
 tuż pod powierzchnią  
 twarzy i chodników  
 kuja w sztolniach



## SZARZA NA SEN I WIDELEC

Każdemu z nas  
 obywateli bezzębnej przysięgi  
 to znaczy mnie i komuś  
 jakiejś spośród  
 czytających wam przez ramię  
 w nocy  
 śni się Angola  
 nieufnie wciągamy  
 mundur znany dotąd  
 z diariuszy wypadków drogowych  
 na krętych serpentynach pomyłek  
 architektów gorącej wojny  
 w obcokrwistym buszu  
 macamy po żebrach Kubańczyków  
 wrośniętych w nasz strach  
 w nocy  
 śni się Angola  
 w dzień  
 noc  
 idzie ku nam  
 nad talerzem z nieświeżym śledziem  
 na bluzie afiszowatego kombatanta  
 z dłońmi złamanymi przez pancerz  
 śpią jak tatrzańscy rycerze  
 ułani jazłowieccy

## W AUTOBUSACH NADLUDZKICH

Dzisiaj mogę już  
 z nieukrywaną dumą  
 nosić włosy po ramiona  
 jak jeden z bohaterów  
 Garibaldi  
 Nasi rodzice nie robią już co tydzień  
 nabożnych postrzyżyn myśli  
 Bohaterowie pogrzebanych wojen  
 odchodzą z pierwszych szpalt  
 w ciche mogiły podręczników historii  
 W nocy śni mi się jak razem z piłkami  
 amputowano nam nogi  
 z gitarami  
 ręce  
 pozostaje jeszcze po kilku transfuzjach  
 wiara w nierzeczywistą w swej sile  
 miłość  
 Dookoła skórogłowi rówieśnicy  
 na czasie  
 sprzedają w antykwariatach  
 pradawne bunty i powieści Kafki  
 W kartotekach Biur Śledczych  
 czekają już  
 sanatoria romantycznej gorączki  
 i robotniczych marszów o chleb



z braku igrzysk  
 Stąd zbawcy  
 coraz nieufniej spoglądają w oczy  
 najbliższych przyjaciół  
 Najbliżsi przyjaciele  
 z coraz większą nadzieją  
 w oczy mrocznych butelek  
 ze śmiercią  
 Jedziemy różowym autobusem  
 dłonie drżą mi o Ciebie  
 kiedy bada nas łapczywie  
 wzrok tatuowanych osiłków  
 Kto wysiada?

#### LEGENDY KAMIENNE U SZYI

Bądź gotowy  
 przyjdą w nocy  
 z białymi orłami  
 pałek  
 będą bili  
 do ostatniego tchu  
 wtedy nie krzycz za głośno  
 każdego dnia są powody  
 dla których nie należy  
 przerywać sąsiadom w pół zdania  
 jak opowiadają dzieciom  
 o strasznym hitlerze  
 o dzielnych akowcach

#### SEKTA

Tego dnia zapłonimy jak pochodnie  
 na głównych ulicach  
 gdzieśgdzie  
 będą gryźć trzewiki kątem

zdziwienie  
 swąd aureoli wykreślonych na czole  
 przez Stróżów Praw  
 obok francuscy dziennikarze nawet nie spluną  
 za sprawą nieznamości języka

dziewczynki podrzucające na stadionach  
 kolorowe wstażki  
 na moment zastygną  
 ale nam już benzyna  
 wejdzie w krew

Leszek Budrewicz



Witold Wirpsza

POLAKU, KIM JESTES  
(fragmenty)

## MIT CZY HISTORIA?

Jak się miewasz, Polaku, w Polsce? Jak czuje się Polak? Czy jest zadowolony ze swojej ojczyzny? I co Polak uważa za swoją ojczyznę? Państwo, którego jest obywatelem i rząd, jaki nim rządzi, ziemię na której żyje, społeczność, której jest członkiem, czy może naród, z którym się utożsamia, tradycję, na którą się ogląda i historię jako rzecz obecną, kształtującą jego świadomość, czy też język, którym mówi? Domniemywam, że Polakowi trudno byłoby odpowiedzieć na tak postawioną sekwencję pytań: każde poszczególne pytanie bowiem wywołałoby natychmiast szereg innych wymagających z kolei nowych odpowiedzi, niejednokrotnie ze sobą sprzecznych.

Państwo, którego Polak jest obywatelem, miało od 1795 r. "przerwę w istnieniu" trwającą ponad sto dwadzieścia lat, i rząd, jaki nim rządzi, ciągłością rządów normalnego kraju europejskiego wykazać się nie może, ziemia, na której żyje, została przesunięta o przeszło sto kilometrów na zachód, społeczność, której jest członkiem, bywała jednolita, jak dotąd, jedynie w chwilach gwałtownego zagrożenia, naród zaś w rozumieniu nowożytnym formował się w warunkach opresji, tradycja rwała się co chwila, częściej, niż byt państwowy, choć można i w niej znaleźć pewne wątki trwałe, a im trwalsze, tym bardziej zbliżone do mitu raczej, niż do historii.

Zostaje język. Ale zostawmy język na nieco później, jako niespodziankę i jako kłopot. Zawilą jest nadto rzeczą odpowiedzieć na pytanie, czy ktoś jest zadowolony ze swego języka narodowego - ten ktoś musiałby bowiem, aby wyrazić się swobodnie i bez oporów, odpowiedzieć na nie w tym właśnie narodowym języku.

Zostaje mit. Jako zjawisko powierzchniowe zapewne, ale zadajmy sobie i to pytanie: czy Polacy są zadowoleni ze swoich mitów narodowych, inaczej: ze swojej wyobraźni ogarniającej mity zarówno minione, teraźniejsze jak i przyszłe? I jakie to są mity, które ważą na teraźniejszości, które cisną na teraźniejszość wyobraźni?

O roku 1939 dwóch pisarzy, niemiecki i polski, pisało w zadziwiająco podobny sposób. Günter Grass daje w "Blaszonym bębnie" zamaszystą wizję polskiej szarży kawaleryjskiej, rozpędzonej po chmurach z okrzykiem "Jeszcze Polska nie zginęła", szarży, którą wiedzie wiara we wstawiennictwo Matki Boskiej Częstochowskiej. Konstancy Ilderons Gańczyński w wierszu poświęconym legendarnym już obrońcom gdańskiej Westerplatte w 1939 r. powiada, że "słychać w chmurach twardy krok Morskiego Batalionu". Osobliwa to rzecz, że w wyobraźni obu pisarzy powstał \* i to całkiem niezależnie, bez wpływów wzajemnych - obraz woj-ska polskiego w chmurach, czyli obraz czegoś mało rzeczywistego o dużym oddziaływaniu uczuciowym. A przecież wojsko polskie - lepsze czy gorsze - było w 1939 roku czymś realnym, tak dalece realnym, że po zaciętym oporze przegrało kampanię.

Popularna w czasie rozbiorów była w Polsce pieśń patriotyczna, zaczynająca się od słów: "Patrz Kościuszko na nas z nieba" - z nieba, a więc od biedy powiedzieć można, z chmur lub zza chmurki. Ze zwycięską bitwą, stoczoną pod Warszawą podczas wojny polsko-radzieckiej w 1920 r. dnia 15 sierpnia, a więc w dniu Matki Boskiej Zielnej, łączy się legenda o "Cudzie nad Wisłą", jarmarczne obrazy ukazywały Marię Pannę wiodącą w obłoku żołnierzy polskich do boju. Natomiast polski dowódca naczelny w owej wojnie, Józef Piłsudski, napisał kilka lat później w teoretycznym szkicu strategicznym, że bitwa była z obu stron źle dowodzona i że przypadek zrzucił, na czyją stronę przechyliła się szala zwycięstwa. I jeszcze: pod koniec dziewiętnastego wieku Jan Matejko namalował wielkie paneau batalistyczne, przedstawiające bitwę między wojskami polskimi



a siłami Zakonu Krzyżackiego w 1410 roku. Mity wygrali Polacy, na obrazie wszelako, pośrodku i u góry, wyobrażona jest w świetlistej chmurze Najświętsza Maria Panna, przy czym nie zawadzi przypomnieć, że pieśnią bojową rycerstwa polskiego i zarazem czynną w rodzaju hymnu państwowego był w piętnastym wieku chóral, którego początek brzmi: "Boguǳzica Dziewica..." Pieśń ta, prawdopodobnie tłumaczona z łaciny, jest jednym z najstarszych zabytków języka polskiego.

Cóż to więc za skłębiony mit: militarny, religijny, podoboczny? Czy mitem jest wojsko, czy mitem jest religia, czy mitem są obłoki? Czy, jeśli te mity, a raczej ich sprzężenie, nadal są powszechnie żywe w świadomości społecznej, Polacy żywią wobec swego wojska ciepłe uczucia, czy są narodem osobliwie i głęboko religijnym, czy naprawdę nie mają poczucia rzeczywistości, przenosząc fakty realne w obszary chmur lub spodziewając się znaleźć w obłokach realne rozstrzygnięcia?

Jeśli teraz odpowiem, że wszystkie te mity są nadal, choć w sposób szczególny, społecznie żywe, ale Polacy współcześnie wojsko lubią nie nazbyt, choć do idei wojska są zawsze uczuciowo przywiązani, dzieje zaś wojska stanowią przedmiot ich dumy narodowej, że Polacy na ogół żarliwie biorą udział w praktykach religijnych oraz szanują i przestrzegają w tej mierze obyczaju, natomiast religijność ich nie jest ani zbyt głęboka, ani, śmiem powiedzieć, autentyczna, i w końcu, że dokonali, zwłaszcza w ostatnim półwieczu, wielu dzieł bardzo konkretnych i przyziemnie dostrzegalnych, ale nie mają nazbyt realnego poczucia tego, czego dokonali - jeśli tak, przynajmniej z grubszą zgodzie z rzeczywistością odpowiem, to każdy prawie Polak będzie wiedział, że odpowiadam częściowo choćby, na pytanie, czy jest zadowolony ze swojej ojczyzny. Cudzoziemiec nie będzie wiedział nic, albo będzie podejrzewał, że na proste pytanie uzyskuje zawiłą odpowiedź.

## GEOGRAFIA POEZJI ROMANTYCZNEJ

Do sekwencji pytań, postawionych na wstępie, przyda się dołączyć i takie: Jak się miewasz, Polaku, w swym krajobrazie?

Wyobraźmy sobie, że francuski epos narodowy zaczyna się od inwokacji: "Hiszpanio, ojczyzna moja..." Gdyby dzieci francuskie musiały się tej inwokacji po szkołach uczyć na pamięć, przypuszczalnie powstałoby zamieszanie i na lekcyjach, i w młodych głowach. W Polsce natomiast corocznie miliony dzieci uczą się na pamięć inwokacji do poematu, uznanego zarówno przez oficjalną historię literatury, jak i przez najszerszy ogół społeczeństwa, za epos narodowy, i więcej nawet - za narodową świętość. Inwokacja ta brzmi: "Litwo, Ojczyzno moja..." I nie powstaje zamieszanie ani na lekcjach, ani w głowach.

"Pan Tadeusz", który tą właśnie inwokacją się rozpoczyna, kształtował przez półtora wieka polską wyobraźnię narodową i to pod wieloma względami. W tej chwili interesuje nas jeden tego aspekt: opisy krajobrazu. Opisy tych także uczą się dzieci na pamięć, z pokolenia na pokolenie, i w świadomości współczesnego Polaka krajobrazy te są w najgłębszej swojej istocie polskie. "W najgłębszej swojej istocie" oznacza tu: w szacie słownej, w kształcie werbalnym. W rzeczywistości bowiem, w Polsce dzisiejszej, krajobrazów tych ani miejsce, gdzieby być mogły, nie ma.

"Pan Tadeusz" nie jest pod tym względem wyjątkiem. Wielka polska poezja romantyczna opisuje krajobrazy, których w Polsce nie ma, ale które ze względu na wagę literatury romantycznej w wychowaniu narodowym powszechnie odczuwane są jako kwintesencja polskości. I tak u Juliusza Słowackiego znajdujemy wielkie sprawozdanie o krajobrazie Podola, o polaciach, rozciągających się między Dniestrem a Dnieprem, o stepach, chutorach, stanicach, burzanach, burzach i grzmotach nad Dzikimi Polami. Jedną z takich opisowych oktaw, z rozmyślnie wbudowanym błędem gramatycznym, potraktowanym jako ironiczne concetto, zaczyna się następująco:

"Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,  
Aby się w konia przeglądał kopytach,



Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,  
Dziwannon, które całe stoje w kitach".

Tego w dzisiejszej Polsce nie ma. I nie ma nawet terenów, które w zamierzonej przeszłości pokrywał step.

Powtarzamy więc pytanie: Jak się miewasz, Polaku, w swym ojczystym krajobrazie? Polska współczesna, w granicach, jakie ustanowiły dla niej wielkie mocarstwa w roku 1945 na konferencjach w Jaltcie i Poczdamie, rozpościera się od Bałtyku na północy do Karpat na południu i od, z grubszą biorąc, Bugu na wschodzie do Odry i Nysy na zachodzie. W roku 1939 połacie wschodnie Drugiej Rzeczypospolitej obejmowały jeszcze skrawki tych ziem, których krajobrazy stanowiły natchnienie dla postów romantycznych i dla Sienkiewicza. Dzisiaj i tych skrawków już nie ma. Ludność natomiast, która skrawki te zamieszkiwała i która strzępy tych pejzaży być może jeszcze ma w pamięci, przeniosła się w okolice całkowicie odmienne: w gospodarne, miejskie i wiejskie obszary pruskiej prowincji. Są to zresztą już ludzie w wieku albo dojrzałym albo podeszłym, młodzież nie zna ani Podola, ani okolic Wilna. Podola i okolic Wilna nie znają również mieszkańcy Polski centralnej, Warszawy, Krakowa, Poznania, a więc mieszkańcy niziny polskiej i polskiego pogórza. Geografia polskiej poezji romantycznej, a i późniejszej również, nie jest geografją Polski współczesnej - ani w sensie politycznym, ani w sensie gospodarczym, ani w sensie etnicznym, ani w jakimkolwiek sensie realnym, lecz kształtuje ona nadal pewne właściwości polskiego życia duchowego, duchowy krajobraz Polaka (a mówię o krajobrazie mimo wszystko jako o widoku ziemi) jest przez to w pewnej mierze rozszczepiony: to, co mu przekazuje tradycja słowa pisanego i mówionego (a także, ostatnio, i obraz telewizyjny) pozostaje w jakiejś tam niezgodzie z tym, co mu przekazuje życie codzienne. Ale myślę, że ta niezgoda nie wywołuje objawów - powiedzmy - schizofrenicznych.

Dotykamy tu jeszcze jednego mitu, bodaj zasadniczego: mitu języka. Dzięki temu mitowi bowiem Polak może się w swym krajobrazie miewać zupełnie nieźle.

## NA POCZĄTKU BYŁO SŁOWO

Powszechnie panuje przekonanie, iż mit jako forma świadomości społecznej wyraża się w pewnym określonym systemie znaków, najczęściej w systemie danego języka. Stajemy tu wobec zagadnienia pozornej sprzeczności wewnętrznej: mit językowy wyrażać się może jedynie w samym języku i istotnie tak przedstawia się zewnętrzna strona owego zjawiska, jakie możemy zaobserwować w Polsce. Lecz gdy przyjrzedź mu się głębiej, sprawa ma się nieco inaczej. Wówczas dopuszczalne jest nawet przekonanie, że mit językowy może znaleźć wyraz w postaci ogólniejszej, na przykład w stosunku do otoczenia, w temperamentcie, charakterze, a nawet w działalności praktycznej.

Żeby to zjawisko wytłumaczyć, należy sięgnąć do historii powstania polskiego literackiego języka narodowego, jako do tego elementu, który w sposób zasadniczy i uporczywie trwał ukształtował i kształtuje po dzień dzisiejszy świadomość narodu.

Wprawdzie ostateczne okrzepnięcie języków narodowych przypada w Europie na okres Odrodzenia, ale było to w większości przypadków okrzepnięcie właśnie, a nie powstanie: we Włoszech, we Francji, w Anglii, w Niemczech, a także w tych krajach, które w ogóle Renesansu nie doświadczyły, języki narodowe - wysoko ukształcone, dokładne, literackie, a zarazem powszechne - nie powstały na ogół z nagła: były to długie, stulecia nieraz trwające procesy "powstawania". U źródeł tych procesów leżała pewna społeczna i psychologiczna dyspozycja, wywodząca się ze stosunków plebejskich, miejskich lub rustykalnych; ufność, że słowo odnosi się do rzeczy lub do wydarzeń, które pragnie pochwycić. Tak powstawały pieśni miłowe, poematy epickie, gry sceniczne, żarty waganekie, anonimowe, ale także i tworzone przez ludzi, których dzisiaj skłonni byłibyśmy nazwać zawodowymi pisarzami. Z chwilą, kiedy przystąpili do pisania Dante i Petrarca, poeci Flejady i Luter, Rojas i różni Anglicy, praca ich była poprzedzona długotrwałym wysiłkiem jednostek i całych społeczeństw. To, co stworzyli, po-



wstawiało w naturalnej relacji "słowo-rzecz".

W Polsce natomiast stało się inaczej. Polski literacki język narodowy, obojętny w zasadzie po dzień dzisiejszy, nie formował się przez stulecia. Powstał z nagła właśnie, od jednego zamachu, był dziełem jednego w istocie człowieka i od razu stał się narzędziem bardzo precyzyjnym, o wysokim poziomie kulturalnym. Ale było zarazem i tak, jakby urodziła się zniecierpliwiona dorosła kobieta, nie będąca nigdy przedtem dziewczyną. Ufnosć w naturalną relację: "słowo-rzecz" nigdy nie była w nim zawarta, jedyną rzeczywistą relacją w tym języku była relacja: "słowo-słowo".

Jeszcze do połowy szesnastego stulecia język polski, jak o tym świadczą zabytki pisane, był nieokrzesany, niezdarny, i nieporadny, ale już parę dekad później Jan Kochanowski, opisując skamieniałą z żałości Niobe, kończy swój wiersz następującym dystychem:

"Ten grób nie jest na martwym, ten martwy nie na grobie,

Ale sam jest martwym, samże grobem w sobie".

To już zostało powiedziane językiem nie tylko bardzo wyrafinowanym, ale również i niesłychanie swartym, skoncentrowanym, więcej jeszcze: nie odwołującym się do swojej przeszłości i tradycji, ale wybiegającym w przyszłość i samowolnie ustanawiającym dla tej przyszłości tradycję, nadto tradycję nie zakorzenioną w rzeczywistości pozajęzykowej, ale w sobie samym, to jest w języku właśnie. Zwróćmy uwagę: w tym dystychu poezji renesansowej zawarte jest już wszystko, co stanowi istotę poezji późniejszej - barokowej, a nawet i romantycznej. Mamy tu i ściśle zastosowanie zasady włoskiego *concetto*, i tak charakterystyczną dla siedemnastego wieku technikę, opartą na *coincidentia oppositorum*, i oderwanie się od realnego życia.

Dystych ten został wyjęty z wielkiego cyklu żałobnego, z "Trenów" Jana Kochanowskiego, opiewających żal ojca po stracie córki. Otóż wydaje się rzeczą co najmniej podejrzaną, że żadnych dowodów na istnienie tej córki poza tekstem samego poematu nie ma. Na domiar czytając poemat, dochodzi się do wniosku, że mamy tu w istocie do czynienia ze swego rodzaju traktatem filozoficznym, z próbą sprzężenia postawy chrześcijańskiej z epikurejską, przy czym próba ta wykonana została bardzo rozumnie w obrębie chłodnej i zdyscyplinowanej refleksji poznawczej i moralnej. Nasuwa się więc przypuszczenie, że córki tej nie było na świecie i że wobec tego także i nie umarła; że ból i żal ojcowiska są tu fikcją literacką, doświadczeniem poetyckiego pióra i poetyckiej mowy.

Ta poetycka mowa nie nawiązywała w swej najistotniejszej substancji ani do tego, co podówczas czy tuż przedtem w Polsce było pisane, ani też do używanej wówczas mowy potocznej. Kochanowski, wychowanek uniwersytetów włoskich, bywał w Anglii i we Francji i prawdopodobnie w Niderlandach oraz w Niemczech pierwsze swe utwory pisał po łacinie. Dyscyplinę języka łacińskiego, jego cały tok wyobrażeń i rozumowania przeniósł całkiem świadomie do toku literackiego języka polskiego i poprzez ów tok stworzył nie tylko obowiązujący po dziś dzień język literacki, lecz ukształtował także ogólnonarodowy język i ogólnonarodową wyobraźnię. Stało się to niezamierzenie zapewne, ale i nieodwołalnie, nadto stało się arbitralnie, zostało niejako narzucone.

Podstawą więc tego języka, wyobraźni i świadomości jest przeto nie naturalna i ufna relacja: "słowo-rzecz", ale o wiele mniej naturalna i wywołująca zasadniczą nieufność relacja: "tekst-tekst", w samym zaś tekście sprawą największej wagi okazuje się relacja: "słowo-słowo".

Tak to za przyczyną twórczości jednego poety w szesnastym wieku stali się Polacy nominalistami. Nazwa ta wywodzi się ze średniowiecznej scholastyki, gdzie doszło do rozwoju dwóch szkół filozoficznych: realistów i nominalistów. Pierwsi opierali się na początkowym zdaniu księgi Genesis: "Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię!", drudzy na pierwszych słowach Ewangelii św. Jana: "Na początku było słowo". Użyte tu przez nas określenie "nominalizm" nie pokrywa się oczywiście w pełni ze znaczeniem, jakie kierunek ten posiadał w średniowieczu, ważne jest jednak dla zrozumienia świadomości Polaków, jak również pewnych aspektów historii Polski: nazwa rzeczy ma dla Polaków większą wagę, aniżeli rzecz sama.



Słowo ma przewagę nad światem i, trawestując znane powiedzenie Hegla, można powiedzieć, że - w rozumieniu Polaka - jeśli świat nie zgadza się ze słowem, tym gorzej dla świata.

Gorzej nie bywało oczywiście ani dla słowa, ani dla świata, gorzej natomiast bywało dla Polaków. Nie znaczy to jednak bynajmniej, że nominalizm ten przynosił narodowi same nieszczęścia.

### GRA "OJCZYZNA"

Nominalizm jest strukturą języka polskiego, język ten spoczywa niejako w swym własnym łożysku. i to jest jego słabością, ale i siłą zarazem: z trudem dostosowuje się do zmiennej rzeczywistości, posiada wewnętrzną moc trwania i przetrwania, stosuje się do własnych reguł gry. Ta jego trwałość wszelako jest zarazem i mitotwórcza - w czasach zagrożenia narodowego, jak na przykład w okresie rozbiorów, stał się jedyną nieomal we wszystkich swoich przejawach, z literaturą narodową na czele - instytucją: wówczas, kiedy wszystkie instytucje narodowe i polityczne, państwo przede wszystkim, przestały istnieć. Ustanowił się wtedy znak równania między językiem a ojczyzną. Późnromantyczny poeta polski, Cyprian Kamil Norwid, pisał w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, że istnieją trzy emigracje polskie: pierwsza na Zachodzie, mająca możliwość swobodnego rozwoju zasobów myśli i wartości politycznych i duchowych, druga w katogach i zesłaniach Sybiru, której jedyną siłą jest bezbronność i uporczywość, i trzecia wreszcie, w kraju, której szansą jest zachowanie substancji narodowej. Poza tymi trzema emigracjami (czyli Polska była według Norwida w owym czasie jedną, trójdzieloną emigracją) ojczyzna nie istniała: nie istniała władza polityczna, nie istniało terytorium, istnieli jedynie Polacy, czyli ludzie mówiący po polsku i w swojej polskości zdeterminowani przez swoją polszczyznę. Oczywiście, w tych warunkach wszystko sprowadza się do nazwy i nazwa wszystko określa, "wehikuł" zaś tej nazwy, język, staje się mitem, posługiwanie się zaś tym "wehikułem" czynnością bezmała sakralną. Całość świadomego życia narodowego podporządkowała się tej regule gry, w tej grze znajdowała oparcie i siły do oporu. Polska była wówczas nazwą, historia i jej ustawiczna ewokacja sprowadzała się do procederu nazywania, teraźniejszość i przyszłość ukazywała się w tym procederze. Obrona języka, czy to przed zruszczeniem, czy to przed germanizacją, stanowiła zadanie naczelne i obrona ta była głównym motywem zarówno, powiedzmy, w okresie Bismarckowskiego kulturkampfu, jak i w czasie strajku dzieci szkolnych w zaborze rosyjskim w roku 1905.

Ta mitologizacja czy, jak kto woli, sakralizacja języka, wywoływała z kolei nowe mity lub utwierdzała dawne, lub wreszcie dawne przekształcała, nie zmieniając co prawda ich istoty, ale regulując ich natężenie lub funkcję społeczną, jednocześnie mity te, odradzając się albo pozornie zanikając (żeby się znów w stosownej chwili ukazać), stawały się czymś w rodzaju społecznej instancji odwoławczej, czymś w rodzaju wspólnego i pospólnego mianownika, w gorszych zaś, szkodliwszych przypadkach przeistaczały się w stereotyp, w kompleks, w uraz, w natręctwo. Przez długi czas i po dziś dzień jeszcze język pełni rolę i katechizmu i liturgii.

Nie należy przy tym zapominać, że i katechizm, i liturgia mają właściwości ludyczne.

Pytanie więc, jakie postawiliśmy na początku, może również brzmieć: Jak rozgrywasz, Polaku, tę twoją grę w ojczyznę, w państwo, w naród, w ziemię rodzinną, w tradycję i w historię, w przeszłość i w teraźniejszość, i w przyszłość, w wiarę, wiedzę i przesady, w rzeczywistość i w marzenie, w ideał i w konkret?

Gra i zabawa, jak to sformułował John Huizinga, nie jest opozycją powagi, zabawa nie musi być niepoważna, gra zaś toczyć się może o wysoką stawkę - po życie włącznie.

Należy przyjąć, że gra językowa jest dana, ten cytat uzupełniający biorę z Ludwiga Wittgensteina.



## KOCZOWNICTWO

Na żadne z pytań postawionych na samym początku tych naszych rozważań nie dało się odpowiedzieć w sposób prosty albo oczywisty, albo zadawalający. Zagadnienia tak naturalne jak problem ojczyzny, krajobrazu, samopoczucia narodowego, religijnego temperamentu i obyczaju jeły się, skoro się tylko ich tknęło, gmatwać, wszystko stawało się zawiłe, konkrety życiowe nie pokrywały się z substancją duchową. Czyżby ta zawiłość i pogmatwanie były jakąś stałą właściwością tego społeczeństwa?

Cytowałem już przenośnie Norwida o trzech emigracjach, przenośnia ta określała pewien stan rzeczy w dziewiętnastym stuleciu, kiedy Polska była pozbawiona samodzielnego i niezawisłego bytu narodowego. Po stu dwudziestu latach istnienia bezpaństwowego Polska przywrócona została do życia w postaci republiki mieszczańskiej, której ówczesne granice nie pokrywały się z granicami Polski współczesnej. Po katastrofie drugiej wojny światowej, podczas której Polska była przez pięć lat okupowana przez obce mocarstwa, powołane zostało do życia nowe państwo polskie: po republice szlacheckiej (1454 - 1795) i republice mieszczańskiej (1918 - 1939) powstała republika ludowa. Jest terytorium, ludność, jest władza zwierzchnia. I wydawałoby się, że pytanie o ojczyznę nie powinno już być problematyczne. Wszelako: jest ono problematyczne i to dla wielu powodów.

Polska z okresu po drugiej wojnie światowej zawdzięcza swój sposób istnienia rozlicznym ruchom ludnościowym: emigracyjnym, reemigracyjnym, imigracyjnym, to w płaszczyźnie, rzec by można, poziomej, prócz tego dokonały się przemieszczenia strukturalne ludności. Społeczeństwo znalazło się nagle w wielokierunkowym ruchu, przesadzając, dałoby się nawet powiedzieć, że się w pewnym momencie przelstoczyło ze społeczeństwa od wieków osiadłego w ludność przemieszczającą się, w ludność bezmała koczowniczą. Koczownictwo to odbywało się zarazem z olbrzymim, jak na tego rodzaju ruchliwość, bagażem doświadczenia historycznego, zakorzenionych od stuleci nawyków, wyobrażeń i namiętności. Nadto ruchliwość ta nie wynikała z wewnętrznych potrzeb społecznych, ani z własnych życzeń i dążeń narodu. Naród został pchnięty z zewnątrz.

Pierwszym pchnięciem, które rozbrząciło osiadłość narodu polskiego, była wojna 1939 r. oraz jej skutki. Kiedy załamał się opór armii polskiej, a nawet jeszcze w czasie tego załamania się, ludność jeła uciekać falami we wszystkie strony róży wiatrów: psychoza paniki miała w sobie również i coś nieracjonalnego: uciekano nie tylko przed wojskami najeźdźcy i nie tylko dlatego, że urzędujące władze cywilne i wojskowe napadniętego kraju wydawały w tej mierze osobliwe rozkazy, polecenia i rady, uciekano chyba przede wszystkim po to, aby nie pozostawać na miejscu - pozostawanie na miejscu bowiem wydawało się szczególnie niebezpieczne, zagrożenie w miejscu zamieszkania szczególnie wielkie. Kiedy siedemnastego września wschodnią granicę Polski przekroczyły wojska radzieckie, zamrowiły się i tamte obszary: uciekano przed Niemcami do Rosjan i przed Rosjanami do Niemców. Później zaś, niezależnie od wszelkich samodzielnich przemieszczeń i ucieczek, zaczęły się wysiedlenia i przesiedlenia.

Niemcy wysiedlali masowo ludność, zwłaszcza miejską, z Wielkopolski, Pomorza i Śląska, konfiskowano mienie, pozwalano zabierać tylko tobołki, miejscem pobytu dla Polaków miała być jedynie tak zwana Generalna Gubernia (nazwa administracyjna, przejęta przez hitlerowców od caratu) i w tejże Generalnej Guberni zrobił się wielki tłok. Szczególnie przeludniona była Warszawa. Rosjanie dokonali na dawnych terenach wschodnich kraju osobliwych manipulacji demograficznych, których głębszego sensu po dziś dzień dorozumieć się trudno. Lwów był wówczas nominalnie ukraiński, Wilno przekazano Republice Litewskiej, która niebawem stała się jedną z republik ZSRR. Polskie instytucje gospodarcze i kulturalne przestały istnieć urzędowo, nieurzędowo natomiast w Warszawie na przykład istniały dwa tajne uniwersytety: warszawski i poznański. Uniwersytety lwowski i wileński stały się uczelniami radzieckimi, chociaż we Lwowie pozwole no niektórym profesorom polskim wykładać. Uniwersytet krakowski, najstarszy w Polsce, cztertnastowieczny, przestał istnieć: profesorów i pracowników nauko



wych wywieziono podstępem do obozu koncentracyjnego, gdzie wielu wyginęło.

Roztrącenie i przemieszczenie ludności oraz częściowo udana likwidacja warstw oświeconych czyli tak zwanego duchowego przywództwa narodu (polityczne przywództwo sdołało, jak to zazwyczaj z tego rodzaju przywództwem bywa, uniknąć katastrofy większych rozmiarów), zapoczątkowało pierwszą fazę procesu wykorzeniania: nie tylko z gleby i podglebia, ale również z solidarnych zespołów. Społeczeństwo składać się jeło z luźno powiązanych grup, komórki społeczne kurczyły się częstokroć do powiązań towarzyskich, czynnikiem spajającym był w gruncie rzeczy tylko ruch oporu, a więc wojsko, mityczne i nielegalne zarazem, barwne było życie religijne, też na pół utajone, ale też i na pół tylko religijne.

Rzeczą znamionną dla tego pierwszego okresu wykorzeniania się społecznego podczas okupacji było podwójne niejako przemieszanie się ludności, przestały obowiązywać tradycyjne i dobrze już w dziewiętnastym oraz w początkach dwudziestego wieku opisane podziały na klasy, warstwy itp. Nawet chłopstwo, z natury swej bardzo konserwatywne i (na zewnątrz przynajmniej) zwarte straciło wiele ze swej patriarchalnej ekskluzywności. Zaczęły obowiązywać inne podziały i tak, powiedzmy, przedział pokoleniowy, który w pozostałych krajach europejskich przybrał na ostrości dopiero chyba sześćdziesiątych, zaznaczył się w Polsce lat czterdziestych niezwykle wyraziście, solidarność pokolenia dwudziestolatków nad wszelką inną, była agresywna i drecząca zarazem. Drugim objawem tego przemieszania się demograficznego było wytracanie cech specyficznych poszczególnych ośrodków wielkomiejskich. W Warszawie przebywali poznańscy, wileńscy, gdynianie, lwowianie, krakowianie, mieszkańcy Równego, Radomia czy Kielc, w Krakowie znalazło się sporo dawnych obywateli Katowic, Łodzianie bywali rozproszeni powszędę: Lwów po pierwszych sukcesach niemieckich w 1941 roku przyłączony do Generalnej Guberni, przeżył inwazję krakowiaków i nawet warszawiaków, Kraków i Łódź, zwłaszcza po nieszczęsnym powstaniu warszawskim w 1944 roku, ledwie mogły bezdomnych warszawiaków pomieścić. Wszystko przestało istnieć w sposób ukształtowany: klasa robotnicza, patrycjat, rzemioło, a także indywidualność poszczególnych dzielnic i regionów.

Wymordowane zostało Żydostwo polskie.

Niszczenie Warszawy jako miejsca zabudowanego odbyło się w trzech fazach: poprzez bombardowanie w 1939 r., przez spalenie getta po rozpaczliwej insurekcji żydowskiej w 1943 r., oraz przez spopielenie i obrócenie w perzynę pozostałości tej stolicy w roku 1944.

Wtedy to zaczęła się druga koczownicza faza mieszkańców Polski, sięgająca głębiej jeszcze i bardziej jeszcze niszczyielska i demoralizująca, tym zaś groźniejsza, że trwała krótko i szybko przeszła w następną, wywołaną przez inne jeszcze siły i inne, niespodziewane układy stosunków.

## DRWIĄCY ŚMIECH POKOLEN

Jeśli się traktuje rzecz nie jak historyk, zbierający fakty, aby z nich zbudować inną całość, aniżeli polityk, i nie jako polityk, oglądający fakty pod innym kątem widzenia i budujący z nich inną, często służącą własnym jego aktualnym interesom, całość, aniżeli historyk, ale jeśli się traktuje rzecz jako samozwający być może portrecista i psycholog narodu, wówczas Powstanie Warszawskie z roku 1944 staje się zjawiskiem kluczowym dla zrozumienia stanu ducha dwudziestomilionowej, dziś już trzydziestomilionowej społeczności.

Samozwający portrecista i psycholog także zapewne sprawiedliwym nie będzie, ale przywłaszcza sobie prawo do artystycznego komponowania tego materiału, co w pewnej mierze jego niesprawiedliwość może usprawiedliwić.

W pogranicznej sferze wiedzy i sztuki, w swobodnej stylistyce, da się sformułować łańcuch szybko po sobie następujących pytań i odpowiedzi:

1/ - Czy jest rzeczą nową dla tego kraju, że ludność jego porywa się na przeważającą liczebnie i materiałowo przemoc, czy decyzję taką trudno jest przecię-







bójstwo w chwili, gdy żona jego przebywała jeszcze z nowo narodzoną córką w klinice. Jego rówieśnicy o talencie równej miary - jeśli tylko byli podówczas w Warszawie - polegli. W tym sensie zwrot o złomie żelaznym okazał się proroczy.

### ZŁUDZENIE NIEPODLEGŁOŚCI: KONGRES WIEDENSKI I JAJTA

Trzecia faza wędrówki narodowej, przesiedlania się i koczownictwa rozpoczęła się, i to w sposób bardzo natężony, natychmiast po zakończeniu wojny.

Ludzie wracali do domów, ale czasami nie mieli dokąd wracać, bo tam, gdzie niegdyś był ich dom, teraz było pustkowie, wracali z czterech stron świata: ci z obozów niemieckich, jenieckich, koncentracyjnych i pracy przymusowej, i ci, co zrazu, od 1939 roku przebywali w obozach radzieckich i potem przemierzali kraj z bronią w ręku (z boku Armii Czerwonej i nawet w szeregach Armii Czerwonej, i ci, co z obozów radzieckich pod dowództwem generała Władysława Andersa przez Persję i Afrykę wdarli się we Włoszech do macierzystej Europy, i ci, co z początkiem wojny przerwali się przez Rumunię do Francji i przez ogień Dunkierki dalej do Anglii, aby w końcu wrócić na kontynent, wyswobodzając Holandię. Niektórzy z nich, jako się rzekło, wrócili na pustkowie, niektórzy wrócili do kraju, ale nie do domu, ponieważ ich dom znalazł się poza granicami kraju, inni jeszcze wracając, wracali do siebie, na ziemię, które przedtem były poza granicami ich kraju.

Przemierzano więc kraj wzdłuż i wszerz i po przekątnych, i po elipsach, i po spiralach, szukając miejsca dla dachu nad głową i schronienia dla rodziny, którą najpierw trzeba było zebrać wokół siebie, czasami w ogóle jej pozbierać nie było można. A jeszcze zdarzało się, że na skutek zadawnionych waśni, zatarłów i nieufności sąsiedzkiej, ówże nieufny a zwycięski sąsiad brał kogoś, komu się zdawało, że jest u siebie, i przymuszał go do wędrówki w krainę, która dla niego samego była krainą daleką, choć nią w dumie swojej władał; powtarzał się w nowej wersji wiek dziewiętnasty.

Oczywiście - wiek dwudziesty jest inny niż wiek dziewiętnasty. Jest, powiedziałbym, radykalniejszy. Wprawdzie, jeśli porównać Kongres Wiedeński z konferencją w Jajcie, to okaże się, że w jednym i drugim przypadku udreńczona srode Polska była zarazem i, kością niezgody, i drenczycielem wyższych od niej układających się stron, w jednym i drugim wypadku Polacy nie brali udziału w obradach, które ich dotyczyły i w czasie których o nich rozstrzygano, jeden i drugi okres można nazwać okresem tajnej dyplomacji z charakteryzującym ją umownym zakłamaniem. Wiek dziewiętnasty wszyskże był w decyzjach swoich połowiczny: aneksję Królestwa Polskiego przez Cesarstwo Rosyjskie określono w roku 1815 jako unie personalną; car Wszechrosji miał być jednocześnie konstytucyjnym królem Polski, kłamstwo było więc niepełne, a to dlatego, że dyplomacja w tajności swej nie była całkiem szczelna. Wiek dwudziesty tej połowiczności już nie uznawał: tajność dyplomacji żadnej szczeliny nie ukazała, przynajmniej do czasu, i kłamstwo mogło być zupełne: uznano suwerennosc i niezawislosc Polski, z tym tylko, że swobodnie wybrany przez Polaków rząd, powstały na zasadzie realistycznych rozmów między różnymi polskimi stronnictwami, złożony był z tych reprezentantów Polski, których wysokie układające się strony wyznaczyły i właściwie do tego przymusiły.

Zarazem rozstrzygnięto wówczas, jaką połać Europy wyznaczyć Polakom na mieszkanie i podano to Polakom do wiadomości. Mówię: Polakom, bowiem u końca wojny Polska była jedynym krajem w obozie zwycięzców, który nie miał międzynarodowo uznanego rządu: polski rząd emigracyjny w Londynie, będący w sensie litery prawa legalną kontynuacją władz przedwojennych, nie był podówczas uznawany przez Związek Radziecki, drugi rząd, utworzony później na terytorium Związku Radzieckiego, rozpoczął organizowanie swej administracji - pod nazwą Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego - w roku 1944 w Lublinie, natychmiast po wkroczeniu tam Armii Czerwonej, rugując jednocześnie działające tam ekspozytury krajowe rządu londyńskiego, ten drugi rząd z kolei nie miał uznania mocarstw zachodnich. Rosjanie, Amerykanie i Anglicy wzięli na siebie zadanie pośredni-



czenia między tymi dwoma rządami, celem utworzenia kompromisowego i tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Przetargi trwały długo, obie strony polskie były raczej przedmiotem niż podmiotem przetargów.

Sytuacja stała się tak paradoksalna, że w chwili konstytucyjnego zebrania Organizacji Narodów Zjednoczonych Polska była jedynym krajem spośród członków -założycieli ONZ, który nie miał na tym zebraniu swej reprezentacji. Znany pianista Artur Rubinstein przyjął wówczas zaproszenie, aby recitale zainaugurować pierwsze posiedzenie: podszedł do fortepianu, odegrał polski hymn narodowy, zamknął wieko i na tym recital i inauguracja się zakończyły - bolesnym paradoksem, który znaczył coś dwóistego i dwuznacznego: nieobecność Polski na sali obrad i obecność jej wobec tego na podium, w osobie artysty i w artykulacji muzycznej. Wiadomość głosi, że Rubinstein oklasków, na szczęście nie zebrał.

Mimo, że rządu i żadnej innej reprezentacji nie było, problemy terytorialne jako się rzekło, zostały rozstrzygnięte. Zmieniono wschodnią granicę Polski, opierając się w zasadzie na tak zwanej linii Curzona i przedłużając ją pionowo na południe aż po Karpaty. A że, według formuły Winstona Churchilla, Polska winna była uzyskać rekompensatę na zachodzie, przesunięto również granicę kraju na zachód, tak powstała linia Odry i Nysy Żużyckiej. To siłą rzeczy rozpełtało i tak już rozpasane ruchy migracyjne i koczownicze do rozmiarów niebywałego i zagrażającego rozgardiaszu.

Administracja polska w swoim przekornym nominalizmie znalazła dla całego tego dziwnego procesu wykorzenia i koczownictwa, przypominającego w miniaturze wędrówkę ludów, dość osobliwą nazwę: repatriacji. Tu także więc mamy element mitu, ocierający się wręcz o magię: słowo, nazwa, miały zażegnać realną istotę rzeczy i przeobrazić ją w jej przeciwieństwo, niepewności nadać pewność, przegnanie przestoczyć w powrót.

Trzeba przyznać, że to się częściowo udało.

## CZY OJCZYŻNA POLAKÓW JEST DZIEŁEM POLAKÓW ?

Nadeszła chwila odpowiednia, i to, ażeby w toku tej relacji utrzymać rytm (nie: w miarę materii, ponieważ nie jest ona bynajmniej pomiarkowana), na powrót pytań początkowych. Zrazu postawiliśmy ich kilka i odpowiedzi natychmiastowe zawiodły raczej do bezładu, niżli do rozumnego porządku, potem postawiliśmy hipotezę, że pytania te zostały postawione być może tylko nazbyt pochopnie. Przypomnijmy sobie, że najogólniej rzecz biorąc - pytania te dotyczyły samopoczucia Polaków w ich ojczyźnie, teraz da się powiedzieć, że błąd początkowy polegał na statyczności tych pytań i na próbie równie statycznych odpowiedzi. Tymczasem materia o d p o w i e d z i dlatego nie jest pomiarkowana, gdyż jest dynamiczna i nazwy rzeczy pozostają i nawet zawartość tych nazw pozostaje niezmienna, ale coś się zmienia we wzajemnym stosunku tych nazw, geografia wewnętrzna tych nazw ulega dyslokacji.

Bardzo szybkiej i burzliwej dyslokacji. Wykorzeniony z okolic podwileńskich wieśniak, którego losy rzuciły do przystani rybackiej na wyspie Wolin u ujścia Odry, będzie, przedstawiając sobie krajobraz ojczysty, powtarzał inwokację Mickiewicza: "Litwo, ojczyzno moja...", i to samo będzie robił jego syn, okolic podwileńskich już nie znający, czy nie pamiętający, i będzie to uważał za rzecz naturalną. Czy syn ten jest równie wykorzeniony, jak jego ojciec? Coś w tym szczególnie, zdawałoby się, marginesowym pytaniu jest mimo wszystko racjonalnego.

Ojczyzna, o której mówi Mickiewicz, jest w poczuciu olbrzymiej większości Polaków ich własnym dziełem, przypuszczalnie dlatego właśnie, że ukazuje się im ona w szacie słownej, niejako aere perennius. Ojczyzna, w której Polacy obecnie żyją wydaje im się, dla powodów obiektywnie słusznych albo niesłusznych, zostawmy to na razie na boku, nie ich własnym dziełem, zwłaszcza nie wydaje im się ich własnym dziełem po roku 1945. Jest to co prawda ich ojczyzna, lecz nie ich dziełem. To subiektywne samopoczucie było szczególnie mocne w pierwszym dziesięcioleciu powojennym. Coś w tym jest z dziecięcej bezradności, pojawiającej się wówczas kiedy rodzice przerowadzają się nie tylko z jednego mieszkania do drugiego, ale i z jednego miasta do drugiego, kiedy na nowe mieszkanie kupują sobie nowe meble



kiedy rozkład mieszkania jest inny i dom, gdzie ono się znajduje, pobudowany jest na innej architektonicznej zasadzie, kiedy dzielnica nosi zgoła inny charakter i ludzie ją zamieszkujący w innej są niejako krzątaninie. Dziecko zabiera ze sobą wtedy tylko swe zabawki, i to nie wszystkie, ponieważ wiele z nich, jako zbyt ciężkie obciążenie, rodzice nakazują po prostu wyrzucić albo rozdać - a bywa przecie wśród nich wiele ulubionych. I nagle pośród tej bezradności uratowane zabawki stają się dla dziecka rzeczą najważniejszą - ustanawiają niejako ciągłość jego osobistego życiorysu, wzmagają pobudliwość i działanie pamięci, utwierdzają tożsamość.

Wzmocniona pobudliwość i działanie pamięci oraz utwierdzenie tożsamości jest niczym innym dla dziecka, czym dla narodu jest świadomość ciągłości wspólnego życiorysu: historii. Zmierzam do tego, aby zaryzykować hipotezę, że o ile Polacy, przynajmniej w pierwszym okresie powojennym, nie odczuwali ojczyzny jako swego dzieła, to jako swoje dzieło, przynajmniej po części, odczuwają historię swojej ojczyzny, dzieje swojej ojczyzny, wyrażane w mitach magii werbalnej - tak samo jak dziecko po przeprowadzce posługuje się, aby się w ogóle móc porozumieć, tą samą mową, jaką posługiwało się w dawnym swoim mieszkaniu, i nic tu nie ma do rzeczy - a może przeciwnie, wiele ma akurat do rzeczy - okoliczność, że nawykłymi sobie słowy nazywa otoczenie i przedmioty nowe, mimo iż słowa te odnoszą się do otoczenia i przedmiotów dawnych i nader często do nowych nie przystają.

Witold Wirpsza



W I E S Z E

TEMATYKA

W dorzeczniu mowy polskiej, w wszelkiego rodzaju narzeczniach, w niepojętym języku godności jestem, w niepojętym i smiesznie. Tu, na tym skrawku ziemi, w grodku Europy jestem bezradny, w tym tygrysie, na tej scenie obchodzi nas wszystko. Nie obchodzi nikogo. Ktoś ma być na murze byłymy, jesteśmy, Przekłamać to na litewski, gruziński, ukraiński. Przekłamać to na język, którego nie ma, na wszystkie onieśniewane języki świata.

CO ROBIĆ

Urodziłem się ledwie wczoraj, co robić? Smakuję słowo życie i ogładam spadające w przepaść kaskady smierci: co robić? Smakuję słowo wolność i potrzebuję kądzieli ciasta, wlokę kulę śmierci: co robić? Smakuję słowo rewolucja, przeczuciem smierci i terror. Przeczuciem nowa wiara, która ledwie wczoraj okazała się wzięciem.

TO

nowe bądź oterpiamy nie wszystko jeszcze można powiedzieć to cięgie jest zbyt żywe nie da się ująć w słowa bożekaj troche jestes młody brak ci dystansu mowy bez oszronek mowy mamy oszronka trzeba to przemyśleć prawda jest względna i komu to komu to to służy pomocy

FILOSOFIA DEMONSTRACYJNYCH DEJEKCI

jestem niewinny, lecz jestem niewinny. Należa niewinność jestem nie jest żadnym argumentem.



Nikogo nie przekonuje. Nikogo  
nie powinna przekonać. Nie powinna  
przekonać  
nas samych.

Tak, nasza niewinność jest  
grzechem. Wymaga  
kary. Wymaga kary, która  
znów nie jest żadnym argumentem.  
Nikogo nie przekonuje. Nikogo  
nie powinna przekonać. Nie powinna  
przekonać  
nas samych.

#### SPOSÓB

w ciasnej celi snu oddychamy  
ciężko obracając głowy w kierunku słońca  
które nas oślepiając mającymy przebiegle  
kontrolując słowa uczymy się mówić  
we właściwej tonacji z akcentem  
na przedostatniej sylabie hodujemy  
w sobie  
anioła stróża który nas broni  
przed atakiem nadziei gdy  
trzeba puścić krew otworzyć  
żyły zamknąć  
oczy i zachować  
spokój

1971

#### WIEZIENIE

Zamknięto mnie zniecka w ciasnej celi  
snu. Krzychałem prasa kłamie palikem gazety dym  
gęstniał słowa rozmywały się w ciszy. Na zewnątrz  
czuwał strażnik uzbrojony rutyniarz z wysuniętą  
szczęką. Krzychałem kłamstwo prasuje a gazety  
pała. Strażnik spał szczęką mu  
opadła i z otwartych ust  
wydobywał się cichy przyduszony jęk.

#### DONOS NA KILKU NIEZNANAJOMYCH FACETÓW

Między bogiem a prawdą  
jest filozofia - mówił mi  
o tym jeden, który  
czytał Kanta oraz Husserla  
wyszedł z tego  
cało, lecz jego powieki  
nie domykają się teraz. Drugi  
który nie uznaje  
współczesnej poezji i czyta  
tylko gazety poranne, bez



przerwy  
myje ręce oraz  
zgrzyta zębami  
przez sen: on  
już nic nie mówi, ale  
spod jego powiek widać  
zaciśnięte pięści. Et  
caetera.

Leszek Szaruga



## FILOZOFIA DZIEJÓW A TEORIA SPOŁECZNA

## I. Bezdroża filozofii

Sytuacja, w jakiej znalazły się nauki społeczne, narzuca pytanie, jakie przyczyny spowodowały ich obecny zastój - bezradność wśród obfitości empirycznego materiału, przy równoczesnym waroście teoretycznych i metodologicznych wymogów stawianych naukowemu badaniu. Dlaczego nie spełniły się w stosunku do nich nadzieje, jakie zdawał się zapowiadać wiek XIX? Wśród wielkich teorii tego stulecia przynajmniej trzy zdawały się wskazywać podstawy, na których będzie się mogła oprzeć nauka o społeczeństwo: Comta, Darwina i Marksa. Zestawienie to nie ma sugerować równoważności tych teorii - zwłaszcza że ewolucyjna teoria Darwina do zjawisk społecznych mogła się odnosić jedynie pośrednio. W istocie, mimo chronologicznego sąsiedztwa, są one wyrazem nie trzech kierunków, lecz trzech etapów rozwoju wiedzy o społeczeństwie. Niewątpliwie koncepcja Marksa była produktem końcowym, w jakimś sensie syntezą dotychczasowych poszukiwań praw i mechanizmów rządzących życiem społecznym. Sformułowane przez Marksa tezy które stały się podstawą nowej koncepcji i interpretacji ludzkich dziejów - teorii "materializmu historycznego" - stwierdzające zależność form i treści społecznego życia od sposobów zaspokajania materialnych potrzeb społeczeństwa - były odkryciem rewolucjonizującym dotychczasowe poglądy, zdawały się dawać badaczowi nić prowadzącą przez zawiły labirynt dziejów, wskazywały główną przyczynę i wewnętrzne prawidłowości różgrywających się zjawisk. Teoria ta wykazywała ponadto uderzającą adekwatność do aktualnej rzeczywistości, potwierdzały ją nie tylko fakty ówczesnego społeczno politycznego życia, ale weryfikowała ją także wynikająca z niej praktyka: fakt, że stała się ideologiczną podstawą potężnego ruchu klasy robotniczej.

Od tamtych czasów przez przeszło stulecie trwało powolne przenikanie marksowskich tez do nauk społecznych. Po długich sporach różne kierunki, nawet obce i wrogie marksizmowi, godziły się, że właśnie te tezy stały się punktem wyjścia dla współczesnych koncepcji i teorii społecznych.

W miarę jednak jak przed naukami społecznymi stawały nowe, coraz bardziej szczególne problemy, zaczął się coraz ostrzej ujawniać niedostatek marksowskich założeń, ich nadmierna ogólność i brak sugestii co do dróg prowadzących do twierdzeń bardziej szczegółowych. W ostatnim bliskim nam okresie nauki społeczne doszły do jakiegoś progu, którego nie są w stanie przekroczyć. Zjawisko to ma ogólny - światowy charakter, a w ostatnim dziesięcioleciu ukazało się na Zachodzie wiele dzieł i rozpraw poświęconych ich kryzysowi. Najbardziej znamienne, że kryzys ten równie ostro przejawiał się w szkole marksowskiej. Mamy na myśli sytuację nauk społecznych w kraju, w którym marksizm jest oficjalną i obowiązującą doktryną, a także i przedstawiciele marksizmu działających w krajach zachodnich.

Wydany niedawno zbiór artykułów poświęconych problemom teorii społecznej<sup>x/</sup> z wyraźnym zatroskaniem zwraca uwagę, iż mimo podkreślanej przez władze ważności "opracowania zagadnienia prawa społecznego i mechanizmu jego działania - w naszej radzieckiej filozoficznej i socjologicznej literaturze brak choćby nieco poważniejszych prac na ten temat". Z dalszych wywodów autorów wynika, że zagubiły się ślady, którymi dotychczas szły wysiłki nad stworzeniem teoretycznych podstaw nauk społecznych, nie wiadomo w jakim kierunku prowadzić poszukiwania, jaki charakter mają mieć społeczne prawa, czego mają dotyczyć, jakie empiryczne fakty uogólniać.

Najbardziej chyba wymownym dowodem tej dezorientacji jest wniosek, jaki autorzy wyciągają ze zdania Marksa: "historia to nic innego jak działalność dążącego do swego celu człowieka". Ma stąd - ich zdaniem - wynikać, że klucz

x/ Problema zakona i zakonomernostej w obszczestwoznanii, Izd. Leningradskogo Universiteta, 1975.



do prawidłowości w procesach społecznych należy szukać w ludzkiej działalności. Piszą oni: "prawa społeczeństwa to prawa ludzkiej działalności". "Napędowe siły społeczeństwa występują jako całość interesów masy ludzi, narodów, klas... poszukiwanie treści prawa społecznego zakłada analizę napędowych sił czyli społecznej przyczyny, dzięki której możliwe jest zrozumienie mechanizmu działania praw społecznych".

Przytoczone zdania zawierają całe kąbowisko nieporozumień, choćby np. w interpretacji pojęcia "napędowej siły". Niewątpliwie napędową siłą historii jest ludzka energia, a każdego ludzkiego aktu - dążenia do jakiegoś celu. Ale przecież rewolucja dokonana przez Marksa polegała na wskazaniu całkiem odmiennego znaczenia "napędowej siły" - tkwiącej nie w subiektywnej płaszczyźnie świadomości i dążeń (interesów), lecz w obiektywnych materialnych podatawach społecznego życia, na podkreśleniu, że działanie tych sił jest niezależne od stanu ludzkiej - społecznej świadomości. Jak tedy w działalności ludzkiej szukać wyjaśnienia historii i jej praw, skoro właśnie historia tę działalność kształtuje?

Historia Europy XVIII i pocz. XIX w. dla wiedzy społecznej odegrała rolę, jaką dla geologów mają tektoniczne wstrząsy obnażające strukturę skorupy ziemskiej - całą ukryta przed ludzkimi oczami historia została ujawniona, tajemnica wyjaśniła się. Już "Manifest Komunistyczny" stwierdza, że struktura społeczna uprościła się a mechanizmy zachodzących zjawisk stały się widoczne. Najładniej wyraził tę myśl Labriola: "prawdziwymi prekursorami nowej doktryny były w rzeczywistości fakty najnowszej historii, która stała się zupełnie jasna i przejrzysta sama w sobie od czasów wielkiej rewolucji przemysłowej w Anglii i po wielkim przewrocie społecznym we Francji, wszystkie te wydarzenia powtórzyły się potem mutatis mutandis w najróżniejszych kombinacjach w całym cywilizowanym świecie". (Szkice o mat. pojm. dziejów, s. 151)

Istotnie, dopiero w XIX w. ujawniły się z taką wyrazistością zależności zjawisk zachodzących na powierzchni społecznego życia - idei, politycznych tendencji, konfliktów i walk - od zmian jakie zaszły i zachodziły w ekonomicznych podatawach całej społecznej struktury. Świadomość tych związków i zależności istniała już wcześniej, zwłaszcza w myśli francuskiej, dopiero jednak koncepcja marksowska nadała jej spójny konsekwentny wyraz, stworzyła teorię dającą w swej prostocie i adekwatności interpretację już nie tylko wydarzeń, ale głównych procesów zachodzących przed oczyma współczesnych.

Podkreślić trzeba, że długotrwały opór całej oficjalnej myśli, środowisk naukowych, przed akceptacją tej teorii, tzn. wzięciem jej pod naukową rozważanie, wynikał z przyczyn "pozamerytorycznych" - tkwiących nie w samej teorii, lecz w jej społeczno-politycznych implikacjach, merytorycznie bowiem nie miała ona a i do dziś nie ma, równoważnej koncepcji alternatywnej. "Opór ten (poza wszystkim innym) jest wyrazem reguły obowiązującej na przestrzeni całych dziejów, że myśl społeczna zawsze i w każdym społeczeństwie pełni funkcje usługowe wobec panującego systemu, jest jednym z podstawowych czynników petryfikacyjnych. Wiedza społeczna jest epifitem karmiącym się produktami rozkładu systemów społecznych, że nawet to, co wydaje się świecić jaśniejszym blaskiem, jest tylko świeceniem próchna. Odstępstwa od tej reguły są wyjątkowymi, w szczególnych sytuacjach dziejowych, erupcjami myśli, która nie prędzej zostaje włączona do społecznej wiedzy, aż straci swą rozsądzającą siłę i da się włączyć do obrony status quo. Oczywiście byłoby krótkowzrocznością nie dostrzegać merytorycznych argumentów, jakie wobec tej teorii wysuwali jej przeciwnicy, tylko, że ta strona w dziejach myśli społecznej nie odegrała roli. I wyznawcy jej i przeciwnicy toczyli bój na ideologicznej, politycznej płaszczyźnie i do niej dostosowywali argumenty.

Rozważając z dzisiejszej perspektywy recepcję marksowskiej teorii od połowy ub. wieku trzeba widzieć dwie całkowicie różne strony tego procesu: awywieśki pochód społecznej, rewolucyjnej ideologii, obudzenie, skoordynowanie i ukierunkowanie potężnej fali ruchów klasy robotniczej - i z drugiej, wegetację teorii społecznej zepchniętej na margines walk ideologicznych i politycznych, sprowadzonej do usługowej wobec tych walk roli. Tam, gdzie teorię marksowską przyjmowano, traktowano ją jako wskazanie celu i dróg stojących przed ludzkością.



Całą przeszłą i obecną historię rozpatrywano wyłącznie jako potwierdzenie prawdziwości haseł i postulatów ideologii. Związała historiofilozofia syntezą, jaką dawało materialistyczne pojmowanie dziejów, całkowicie wystarczała dla poparcia ideologii i programów politycznych działania. Nie tylko nie wymagała rozwinięcia, ale przeciwnie, wobec pojawiających się rozbieżnych tendencji głównym zadaniem było strzeżenie jej nienaruszalności.

To też gdy w obecnej epoce, po całej serii rewolucyjnych zwrotów w dziejach społeczeństw, po ujawnieniu się nowych "geologicznych odkrywek", nauki społeczne stanęły wobec nowych faktów, wyłaniających się nowych prawidłowości, kiedy w dodatku teorii społecznej zaczęto stawiać znacznie wyższe formalne wymagania z punktu widzenia zasadności i konsekwencji jej założeń, jej wewnętrznej struktury - zaczęły się ujawniać dotkliwe luki, sprzeczności i "nieadekwatności" dotychczasowych koncepcji, niemożność zbudowania na ich podstawie konsekwentnego systemu szczegółowych twierdzeń.

Nieoczekiwanie okazało się, że po stu latach zaciętych teoretycznych sporów i obfitego na ten temat piśmiennictwa teoria marksowska znajduje się dokładnie w tym samym stanie, w jakim pozostawili ją jej twórcy, że nie dodano do niej dosłownie nic. Ciągłe jedynymi tezami, do których się można odwołać, jest kilkanaście zdań znanych już każdemu z "Przyczynka do krytyki ekonomii politycznej" i niewiele fragmentarycznych uwag rozsianych w pismach Marksa - na ogół poza "Przyczynek" nie wychodzących. Grube tomy poświęcone historycznemu (i dialektycznemu) materializmowi nie oferują więcej ponad te kilkanaście zdań rozprawionych na setki stronich jałowych frazesów.

x x x

Wiedza społeczna - bardziej niż jakakolwiek inna dziedzina - ponosi do dziś konsekwencje, że również i jej kolebką była filozofia. Naczelnym problemem, jaki stanął przed człowiekiem było pytanie o sens ludzkiego życia, to zaś prowadziło do pytania o sens dziejów, o przyczynę sprawozą zmian, jakim podlegają formy społecznego życia. Odpowiedzi na te pytania nie dało się wyłuskać z najbardziej nawet drobiazgowego opisu przeszłych i obecnych wydarzeń, nie dawało ich także ujawnienie subiektywnych motywów, jakimi kierowali się ludzie realizujący swoje cele. Różnorodność, rozbieżność i wzajemne sprzeczności ludzkich poczynań uniemożliwiły wykrycie w nich jakiegokolwiek konsekwencji, jakiegoś nadrzędnego planu. Jeśli historia ma sens i działalność ludzka nie jest tylko chaotycznym szamotaniem się wśród żywiołów - sensu tego należy szukać głębiej poza powierzchnią, fenomenologiczną warstwą - a dokonać tego może jedynie filozoficzna refleksja ogarniająca całość losów człowieka i świata.

Od europejskiego średniowiecza głównym przedmiotem sporu był problem transcendencji: czy główna przyczyna sprawozą, motoryczny czynnik dziejów jest wobec tych dziejów zewnętrzny, jest ponadhistoryczną Opatrznością realizującą w dziejach sobie tylko znane plany, czy też tkwi on w samej historii - w Naturze działającej mocą własnych immanentnych sił, według określonych właściwych im praw? Myśl filozoficzna Odrodzenia odrzucała augustyńską tezę o bezpośredniej interwencji Opatrzności w przebiegu ziemskich procesów - bynajmniej nie dlatego, że kwestionowała jej istnienie. Odrzucała przede wszystkim jej naiwną personifikację - metodę kierowania przez Opatrzność ziemskimi sprawami. Teologiczna koncepcja stawała w coraz ostrzejszej sprzeczności z rozwojem ludzkiej wiedzy wykrywającej coraz więcej spraw, jakimi rządzi się natura, sprzeczna była z samym charakterem ludzkiego umysłu skazując go na bierne podporządkowanie zapadłym wyrokom. Bardziej zgodna z doświadczeniem była koncepcja, że cała Natura wraz z człowiekiem i jego historia została obciążona immanentnymi siłami podporządkowanymi określonym prawom - została "zaprogramowana" nie w sensie fatalistycznego przesądzenia jej losów, lecz w cybernetycznym rozumieniu systemów samosterownych.

Koncepcje te rozwijane przez filozofów Oświecenia usuwały wpływ transcendentnych sił ze sfery zjawisk, pozostawiały jednak z dawnej metafizyki dwa naczelne założenia: ideę początku i celu. O ile poglądy na to, czy natura ma jakiś cel, były zróżnicowane, nie wątpliwo, że cel ma ludzka historia, że dzieje społeczeństw zmierzają do jakiegokolwiek mety, którą będzie zrealizowanie ludzkich pragnień, osiągnięcia przez człowieka stanu doskonałości, zapewnienie ludzko-



ści harmonii i szczęścia.

Te fundamentalne problemy filozofii dziejów - i filozoficznej refleksji w ogóle - trzeba mieć na uwadze, kiedy szukamy źródeł XIX-wiecznych koncepcji społecznego rozwoju. Wspomniane już obnażenie napędowych sił społecznych przeobrażeń w krajach zachodniej Europy zawierało konkretną, opartą na obfitym materiale doświadczalnym, odpowiedź na oba pytania filozofii. Przyczyną sprawczą - siłą motoryczną społecznych przemian są zmiany w sposobach produkcji pociągające za sobą przeobrażenia społecznych stosunków. Co ważniejsze - zmiany te mają określony kierunek, wyłaniają nowe siły społeczne i ujawniają konflikty, których rozwiązanie kierunek ten przesądza. Jest to więc zarazem odpowiedź na pytanie o cel dziejów. Kapitalizm jest ostatnim antagonistycznym etapem rozwoju w stosunkach społecznych, sam tworzy przesłanki swego własnego unicestwienia, po którym ludzkość wejdzie w epokę harmonijnego, kierowanego rozumem bytowania.

Fragniemy tu jedynie podkreślić, że cała empiryczna wiedza społeczna XIX w. została rzucona na kanwę filozoficznej koncepcji dziejów, jednakże na tradycyjne pytania dawała nieporównanie bardziej uzasadnione, bardziej do rzeczywistości przystające odpowiedzi.

W tym właśnie miejscu narzuca się refleksja na temat roli, jaką dla marksowskiej teorii odegrała filozofia Hegla. Współczesnemu badaczowi niełatwo zrozumieć, w czym tkwiła sugestywna siła koncepcji heglowskich tak odległych i przeciwnych koncepcjom Marksa. Nie o "idealizm" tu idzie, nie o założenie, że dziejami kieruje Rozum. Rzecz w tym, że podstawowy aksjomat jego filozofii - odpowiedź na pytanie, czy historią kieruje transcendentna siła, czy też tkwi ona w samych dziejach, polega na mistyfikacji. Powszechnie przyjmuje się zapewnienie Hegla, że rządzi światem Rozum-Duch tkwi w samej historii: "Rozum jest immanentny historycznemu istnieniu i spełnia się w nim i przez nie". Ale uwierzywszy temu zapewnieniu pominięto fakt, że wszystkie heglowskie definicje Rozumu są (jeśli nie w samej stylistyce to w treści) tożsame z teologicznymi definicjami boskiej Opatrzności. Skoro kierujący światem rozum nie ma żadnego odniesienia do rozumu ludzkiego, skoro jest siłą niczym nie uwarunkowaną, nie potrzebującą ziemskich środków dla realizacji swych nieznanym człowiekowi celów - jego immanentyzacja jest fikcją, czysto słownym wybiegiem logicznie sprzecznym z pojęciem immanencji. "Rozum" zastąpił po prostu "Opatrzność" przybierając ten sam transcendentny wobec historii charakter. (Nb. Opatrzność wg teologów zostawiała ludzkiej świadomości i woli większy udział w historycznym procesie). Hegel był świadomy resztą wątpliwości, jakie może wywołać jego terminologiczna manipulacja - przyznaje, że "rozum", o którym powiedzieliśmy, że rządzi światem, jest wyrażeniem równie nieokreślonym jak opatrzność".

Była więc koncepcja heglowska głębokim cofnięciem w stosunku do myśli Oświecenia - o ile "naturaliści" przynajmniej potencjalnie otwierali drogę do poszukiwania sił sprawczych i praw rządzących ziemskimi zjawiskami, heglowski rozum wolny od wszelkich ziemskich serwitutów zamykał ten kierunek dociekani.

Był jednak w heglowskiej metafizyce element, który na współczesnych wywarł wielkie wrażenie: oto istnieje prawo, któremu podlega rządzący światem rozum - ściślej: którym rozum posługuje się w realizacji swego celu - prawo "dialektyki". Oznacza ono, że rozum w realizacji swego celu nie postępuje po drodze harmonijnego rozwoju poprzez stopniowe zmiany, lecz dokonuje tego poprzez fazy i formy

x/ Rozum-Duch "jest zarówno substancją jak nieskończoną mocą, jest sam dla siebie zarówno nieskończonym twórcyem wszelkiego życia przyrodzonego i duchowego, jak i nieskończoną formą wprowadzającą ową treść w czyn". "Rozum nie potrzebuje ... uwarunkowania przez zewnętrzny materiał środków... żywi się samym sobą i sam dla siebie jest materiałem, który przetwarza..." "Żywe jednostki i narody dążąc do swych celów i spełniając je są zarazem narzędziem i środkiem do ... celów wyższych i szerszych, o których wolała nie wiedzą i dla których pracują bezwiednie..."

(Hegel, Wykłady z filozofii dziejów, wyd. pol. z r. 1958, s. 15, 38, 39, i passim)



wzajemnie sprzeczne, których sprzeczności tworzą jedność i są niezbędnymi elementami całości i warunkiem ruchu. Nie jest to więc rozwój ciągły, lecz dokonuje się skokami: proces gromadzenia się zmian ilościowych przerywa się skokiem do innej jakości. "Zmiany bytu - pisze Hegel w "Logice" - polegają nie tylko na tym, że jakość przechodzi w ilość i na odwrót, każde z przejść tego ostatniego rodzaju stanowi przerwę w rozwoju stopniowym i nadaje zjawisku postać nową jakościowo odmienną od poprzedniej".

Było to niezwykle pomysłowe rozwiązanie problemu tak uporczywie narzucanego przez doświadczenie. Wszak cała ludzka historia stanowi jedno kłębowisko sprzeczności, walk jednych sił i form przeciwko drugim - przekonywująco ilustrowały to aktualne dzieje Europy od rewolucji francuskiej. Sprzeczności te, ich źródła, charakter, historyczna rola, stanowiły główną trudność, o którą potykała się myśl społeczna. Zabieg Hegla polegał na uznaniu sprzeczności za konstytutywną cechę dziejów - podniósł ją do ontologicznego aksjomatu. W płaszczyźnie metafizycznych założeń "prawo dialektyki" stało się konstrukcyjną osią filozoficznej koncepcji dziejów - "wyjaśniało" je. Trzeba jednak od razu wyjaśnić nazbyt częste nieporozumienie: w płaszczyźnie poznawczej "prawo dialektyki" traciło swoje eksplikacyjne wartości - tu jego logiczny sens sprowadza się do zwykłej tautologii i nie zawiera więcej treści informacyjnej od molierowskiej odpowiedzi, dlatego opium usypia.

Niezależnie jednak od swej logicznej treści sugestie wynikające z heglowskiej "dialektyki" mogły wywrzeć na współczesnych duże wrażenie. Zwracały one uwagę na co najmniej dwie najtrudniejsze do wyjaśnienia sprawy: rolę sprzeczności oraz całość dziejów jako spójny wewnętrznie proces mimo sprzeczności i mimo pozornych przerw w ciągłości.

Dostrzeżenie jedności procesu wśród mnogości sprzecznych sił i tendencji było zasadniczą nowością, jaka do analizy zjawisk społecznych wniosł Marks pod wpływem heglowskiej dialektyki - po odrzuceniu z niej, jak pisał, mistycznej formy. Akceptacja sprzeczności pozwoliła umieścić w nich główny czynnik ruchu, zmian - bez sprzeczności, bez antagonistycznych sił wewnątrz systemu życie społeczne popadłoby w kompletny zastój.

Tezy te, które dziś weszły już do potocznej świadomości, uważamy je za wątpliwe założenia teorii rozwoju, bynajmniej nie były tak oczywiste sto lat temu, a jeszcze obecnie możemy obserwować jak niektóre szkoły (np. amerykańska z Parsonsem na czele) biedzą się nie mogąc pogodzić w jednym procesie "konfliktu i zgodności".

Heurystyczne sugestie heglowskich praw dialektyki okazały się płodne. Przekształcone z cechy transcendentnego (sic!) rozumu w immanentną cechę społecznej struktury tworzyły podstawę dla nowego poglądu na całość społecznych procesów - nowej filozofii dziejów, niewspółmiernie adekwatniejszej wobec historycznej rzeczywistości od naiwnego i bezradnego wobec niej heglowskiego pierwowzoru.

Ale heglowskie dziedzictwo pozostało także następstwem, którym nie poświęcono dostatecznej uwagi. Teoria materializmu historycznego odziedziczyła podstawową cechę koncepcji heglowskiej, pozostała filozofią historii. Wprawdzie odwróciła, jak mówił Marks - postawiła na nogach to, co u Hegla stało na głowie, ale odwrócenie nie zmieniło jej wewnętrznej logiki: pozostała koncepcją opartą na założeniach "filozofii pierwszej" (tzn. ontologii) przeniesiony na materię cechy, które Hegel nadał duchowi-rozumowi. Było to, obrazowo mówiąc, odwróceniem metafizycznego lustra, aby odbijało nie to, co dzieje się w niebieskich sferach ducha, lecz na materialnym świecie. W ten sposób teoria ta stała się nieporównanie bardziej "przymierzalna" do rzeczywistej historii, dająca się przekonywująco ilustrować - ale właśnie ta przymierzalność (zwana inaczej adekwatnością) zasłaniała fakt, że cała konstrukcja oparta została na tezach ontologii orzekających o cechach bytu. Stwarzało to dostateczne podstawy dla spójnej logicznie filozofii dziejów, ale nasuwało zasadnicze trudności w budowaniu odpowiedniej teorii, w płaszczyźnie poznawczej (od metafizyki do fizyki nie prowadzą bowiem żadne bezpośrednie stopnie).

Doskonałą ilustracją tych trudności stały się właśnie łozy dialektyki. Prawa heglowskiej dialektyki znakomicie tłumaczące ewolucje wolnego od ziemskich serwitutów ducha-rozumu traciły swą jasność przeniesione na płaszczyznę zjawisk



empirycznej. Tu poza szczerą sugestią, aby zjawiska rozpatrywać w ich złożoności, były tylko tautologiami, a w potocznym zastosowaniu przekształcały się w nie nie znaczący ogólnik - jako że wszystko na świecie jest złożone i pełne sprzeczności. W piśmiennictwie współczesnym, bynajmniej nie tylko marksistowskim, określenie "dialektyczny" stało się leznanem zastępującym wszystko, o czym autorzy nie mają nic do powiedzenia - osłoną niewiedzy i umyślowego lenistwa. Wszystkie te teksty zyskałyby na jasności, gdyby zamiast "dialektyczny" wstawić "tajemniczy" lub "niezbadany". (Wysocze znamienne, że Engels w sporym tonie uwag i notatek o dialektyce, wydanym pośmiertnie jako "Dialektyka przyrody", ilustruje dialektyczność zjawisk świata fizycznego - najlepszych jego zdaniem przykładów dostarcza tu chemia - natomiast społeczna egzemplifikacja ogranicza się do kilku zdań).

Tezy materializmu historycznego były przymierzaniem do rzeczywistych zjawisk i procesów modelu przeniesionego z innej płaszczyzny, pomagały porządkować zjawiska w określone sekwencje rozwojowe, ale nie stwarzały szczebli dla teorii wchodzącej w głąb zjawiska. Tym tłumaczy się wspomniana już cecha ilustracyjności marksistowskich analiz - znakomita większość prac wychodzących z założeń mat. hist. ogranicza się w gruncie rzeczy do egzemplifikacji skuteczności tych założeń.

Autorzy podejmujący współcześnie próby uściślenia tych tez, wyrażenia ich w formie odpowiadającej dzisiejszym wymogom stawianym naukowym teoriom<sup>x</sup>, główną trudność przypisują swobodnemu, pełnemu metafor językowi, jakim posługiwali się Marks i Engels - stąd mają pochodzić wszystkie niejasności i wieloznaczności. Wydaje się, że cechy języka, jakim wyrażone zostały tezy materializmu historycznego, mogą stanowić przeszkodę tylko dla "dogmatyków", dla których "duch wstąpił w literę". (Nb. popularna obecnie moda w wielu dziedzinach humanistyki na formalizowanie języka i wyrażanie zdań w postaci symboli i wzorów logicznych i matematycznych - jakże często ma po prostu osłonić mętność i jałowość tych zdań)

Przyczyna trudności, jak staraliśmy się wskazać, leży całkiem gdzie indziej. Z tych przyczyn tak trudno znaleźć odpowiedź na zadawane często pytanie jakie miejsce w naukach o społeczeństwie zajmuje teoria materializmu historycznego i jaką pełni rolę. Tezy jej nie są twierdzeniami socjologii, nie tylko ze względu na wysoki stopień ogólności, ale ponieważ nie są uogólnieniami empirycznymi - niezależnie od stopnia przymierzalności do empirycznych zjawisk. Najczęściej uważa się ją za "metasocjologię", co jest innymi słowy uznaniem za koncepcję filozoficzną.

Następną trudnością wynikającą z uznania prymatu zjawisk (procesów) materialnych (ekonomicznych) i epigenetycznego charakteru zjawisk "duchowych" jest zamęt i niekonsekwencje w rozgraniczeniu tych dwu sfer rzeczywistości. Przechodząc ze świata przyrody do świata ludzi i ich wytworów, w którym wszystkie elementy noszą w jakimś stopniu - bardzo zróżnicowanym - piętno nadane im przez duchowe siły człowieka (intelekt, psychikę) - jak przeprowadzić granicę między tymi czynnikami, które uznamy za materialne, pierwotne, motoryczne - a tymi, które uznamy za wywołane i uwarunkowane przez nie epifenomeny? Jeśli proponujemy jakiś podział (np. na "bazę" i nadbudowę"), powstaje dalsze pytanie: czy te wtórne zjawiska (takie jak formy instytucjonalne, zjawiska kultury itp.) mogą być samodzielnym źródłem impulsów oddziałujących na społeczne procesy, i jeśli tak, jak określić zakres ich autonomii w stosunku do czynników, które uznaliśmy za podstawowe?

Ten typ trudności dał o sobie znać najwcześniej. Już Marks, a jeszcze częściej Engels, musieli protestować przeciwko uproszczonemu światopoglądowi wywodzącemu wszystkie zjawiska z czynników materialnych, ekonomicznych. Wie-

x/ Z ważniejszych polskich prób por.: O. Lange, *Ekonomia polityczna*, t. I, J. Hochfeld, *Studia o marksistowskiej teorii społeczeństwa*, A. Malewski, *Empiryczny sens teorii mat. hist.*, *Studia Filoz.* 1957 nr 2, L. Kożakowski, (w szeregu prac), J. Topolski, *Metodologia historii*, II wyd. 1973.



lokrotnie podkreślali, że "według materialistycznego pojmowania dziejów momentem w ostatniej instancji decydującym w historii jest produkcja i reprodukcja rzeczywistego życia". (Engels, podkr. oryg.) Zdanie to nie budzi wątpliwości - tylko należy z całym naciskiem podkreślić, iż jest ono tezą filozofii dziejów (ontologiczną) pozbawioną znaczenia dla badania zjawisk społecznych, dla wszelkiej naukowej teorii. Zadaniem nauki jest bowiem badanie nie ostatniej, lecz właśnie wszystkich pośrednich instancji, zależności i wzajemnego oddziaływania zjawisk. Teza o ostatniej przyczynie będzie zawsze tezą metafizyki nie mającą bezpośredniego odniesienia do empirycznej rzeczywistości. (W koncepcjach teologicznych Opatrzność jest również czynnikiem decydującym w ostatniej instancji, zostawia przecież człowiekowi jakiś zakres wolnej woli)

Nie idzie tu w najmniejszej mierze o kwestionowanie tezy o prymacie materii ani podawanie w wątpliwość roli, jaką odgrywają materialno-ekonomiczne czynniki dla całości społecznych stosunków i społecznego rozwoju. Idzie o uświadomienie sobie, że pierwsza teza jest aksjomatem ontologii, druga zaś jego transpozycją w filozoficznej koncepcji historii. Koncepcje filozoficzne zaś mogą odgrywać doniosłą rolę, są na pewno niezbędnym składnikiem świadomości pozwalającym człowiekowi odnaleźć sens życia i miejsce we wszechświecie, pobudzają poznawcze impulsy i nasuwają intuicje - ale same nie są elementem wiedzy o świecie i nie tworzą szczybeli naukowego poznania. Oprócz roli zapładniającej ileż to razy w dziejach właśnie filozofia kierowała myśl ludzką na fałszywe (jak się później okazało) tory, jej zakorzenione w umysłach przesady nie raz stanowiły potężny hamulec w rozwoju badań i wiedzy. Filozofowie bowiem - jak mówił Epiktet - za swoje twierdzenia nie ponoszą odpowiedzialności. W rozważanym tu przypadku relikty filozoficznych koncepcji zablokowały w pewnym sensie drogi poszukiwań teorii społecznej, mimo - czy może właśnie dlatego - że były jej tak blisko, spowodowały, że podejmowane próby obracały się jałowym biegiem nie mogąc przekroczyć zaklętego koła.

Następnym obciążeniem materializmu historycznego odziedziczonym po całym, nie tylko heglowskim, filozoficznym pojmowaniu dziejów - jest teologia. Pytanie o sens historii jest pytaniem o cel, do którego zmierza. Tylko bowiem jakikolwiek wnioskowy, choćby odległy, odpowiadający ludzkim pragnieniom może uzasadnić i usprawiedliwić bezmiar cierpienia, chaosu i zbrodni jakich widowiskiem jest historia. Myślenie człowieka jest ze swej natury i struktury finalistyczne. Jest przecież jakimś uogólnieniem doświadczeń, całej aktywnej działalności człowieka, w której każdy ruch, każde zachowanie jest intencjonalne, celowe. Toteż eschatologia, jak wynika z badań antropologii i historii kultury, jest najwcześniejszą dziedziną filozoficznych (religijnych) koncepcji. Finalizm, świadomość celu, jest niezbędną przesłanką wszelkiego działania zarówno w płaszczyźnie prakseologicznej - doboru środków prowadzących do celu, jak i psychologicznej - jako bodziec mobilizujący ludzką energię.

Analizując tę stronę poglądów Marksa trzeba mieć na uwadze, że dopiero w stosunkowo niedawnych czasach rozważania nad teorią i metodologią nauk dążą do wyeliminowania jawnych lub ukrytych apriorycznych założeń odziedziczonych po filozoficznej metafizyce. Problem ten zresztą na terenie nauk społecznych jest przedmiotem zaciętych, dramatycznych nawet sporów. W połowie ub. stulecia, kiedy rodziły się koncepcje Marksa, nad całą myślą społeczną dominowała filozofia (w tej czy innej odmianie), w której początek i koniec - alfa i omega dziejów stanowiły podstawowy szkielet konstrukcji. We wszystkich bodaj rozważaniach teologiczne założenia tkwiły implícite jako element, którego teoretycznych i metodologicznych konsekwencji raczej sobie nie uświadamiano.

W formułowanych twierdzeniach i metodach analiz można znaleźć u Marksa oba typy myślenia - zarówno wolnego od teleologii, jak i obciążonego nią. Czynnikiem, który odegrał decydującą rolę w teleologicznym nachyleniu, były potrzeby ideologii - stworzenia teorii, która wytyczałaby cel i wskazywała wiodące do niego drogi. Toteż nie bezpodstawne są próby rozróżnienia Marksa badacza od Marksa ideologa. Ideologia rządzi się bowiem innymi prawami niż wiedza, i jeśli nawet wiedza stanowi jej punkt wyjścia, drogi ich muszą się różnić. Ideologia stawia inne pytania i innymi metodami szuka na nie odpowiedzi.



Teleologicznym założeniem jest historiozoficzna koncepcja społecznego rozwoju, według której siły wytwórcze jako primum agens (określenie Engelsa) społecznych przeobrażeń mają "zakodowany" kierunek rozwoju nieuchronnie wiódący historię do rozwiązania gordyjskiego węzła, w jaki wplątała ludzkość prywatna własność środków produkcji - wraz ze wszystkimi jej następstwami: klasowym zróżnicowaniem, konfliktami i walkami. Historia, która zaczęła się od rozpadu społecznej własności, po dramatycznym epizodzie (niewolnictwa, feudalizmu, kapitalizmu) zakończy się jej uspołecznieniem, rozwiązując tym samym wszystkie narosłe w ciągu tysięcy lat problemy.

Nie musimy dopatrywać się sprzeczności w wyobrażeniach Marksa, że to co było - i jest - przekleństwem tego historycznego epizodu: nierówność społeczna, wyzysk i ucisk, nędza i ofiary ponoszone w walce - było koniecznym warunkiem, a klasowe sprzeczności główną dźwignią rozwoju, że właśnie dzięki temu uspołecznienie i bezklasowość przyszłego społeczeństwa nie będzie powrotem do prymitywnego bytowania w plemiennym komunizmie, lecz wzniesieniem na najwyższy wyobrażalny poziom zaspokajania ludzkich potrzeb i pragnień. Widocznie historii potrzebna była ta ingerencja, aby doprowadzić ludzkość do rzeczywistej cywilizacji, w której jej rola się zakończy, ster spocznie w rozumnych rękach wyzwolonego człowieka.

I znów całkowicie niezależnie od przymierzalności tej historiozoficznej koncepcji do rzeczywistego przebiegu procesów, od tego w jakiej mierze ekstrapolacja dotychczasowych doświadczeń uprawdopodobnia ten właśnie kierunek - przynajmniej w poddającej się przewidywaniom przyszłości - musimy być świadomi konsekwencji, jakie z tych założeń wynikają dla wszelkiego społecznego myślenia, dla nauk społecznych w pierwszym rzędzie. Teleologiczne założenia w zasadniczy sposób ingerują w metodę badań. Skoro znamy kierunek i cel rozwoju, główne zadanie badacza sprowadza się do oceny faktów z punktu widzenia realizacji, zbliżania procesu do tego celu, narzuca to zarazem określoną selekcję faktów i ich interpretację. Prowadzi to nieuchronnie do naruszania elementarnych postulatów metod badania, a w konsekwencji do tworzenia wypaczonego obrazu świata, który stopniowo będzie się coraz bardziej oddalał od rzeczywistości.

Nie podejmujemy wyłaniającego się tu - niezwykle aktualnego i żywo dyskutowanego - tematu obiektywizmu i subiektywizmu w badaniach społecznych. Problem został w toku dyskusji doszczętnie zagmatwany i dla rozplątania jego wątku wymaga osobnej rozprawy. Zauważmy jedynie, że pod pojęciem "uwarunkowania" badacza wynikającego z jego sytuacji społecznej, z językowych konwencji i tradycji kulturowych podciąga się najrozmaitsze zjawiska włącznie z presją potężnych zinstytucjonalizowanych sił społecznych, a uleganie im nazywa się eufemistycznie "zaangażowaniem".

x x x

Intencją przyświecającą tym wywodom było poszukiwanie nie rozwiązań poruszonych tu problemów, lecz jedynie przyczyn, które spowodowały obecny zastój w rozwoju teoretycznych i praktycznych badań społecznych - wbrew perspektywom jakie zdawała się zapowiadać teoria materializmu historycznego.

Oczywiście cały czas stąpaliśmy po niezwykle wąskiej krawędzi między teorią naukową a ideologią w subiektywnym przekonaniu, że taka krawędź istnieje. Nota bene, jeśli - jak twierdzi wielu - takiego przedziału w ogóle nie ma, problem odpada, ponieważ nie istnieje nauka jako dziedzina, która ludzkiej intelektualnej działalności stawia określone warunki i narzuca określone rygory. W tym przypadku wartoby tylko przypomnieć słowa Marksa, potwierdzone przez Engelsa, że rewolucyjna ideologia winna opierać się na twierdzeniach nauki a nie na odwrót.

Ponieważ problem jest zagmatwany i drażliwy, należy uspokoić podejrzliwych, że tezy materializmu historycznego nie straciły swej ważności, że sławne i mechanicznie przy każdej okazji cytowane zdania Marksa z przedmowy do "Przyczynka do krytyki ekonomii politycznej" są dziś tak samo prawdziwe jak były sto lat temu. Tylko że dziś już o wiele mniej z nich wynika. To co w nich było nowego i rewolucyjnego zostało już skonsumowane przez ogólny rozwój myśli i wiedzy społecznej - a w dużej mierze także przez sam rozwój społecz-



nej rzeczywistości. Aby dalej rozwijać nauki społeczne, umożliwić im ogarnięcie ogromu nowych nagromadzonych przez historię zjawisk i problemów, trzeba wyjść poza nie, może sięgnąć do ich głębszego dna, czy znaleźć poza nimi nowe sugestie i intuicje, których te nauki potrzebują bardziej niż kiedykolwiek.

Sytuację dzisiejszą dla zbudowania (czy rozwijania) teorii społecznej, można ocenić zarówno jako łatwiejsze, jak i jako trudniejsze, niż przed stuleciem. Niewątpliwie rozporządzamy dziś nieporównanie bogatszym materiałem empirycznym i arsenalem środków badawczych. Nauki społeczne dopracowały się wyspecjalizowanych i często przemysłnych metod. Z drugiej strony zwiększyły się trudności - procesy, które w tamtej epoce zdawały się obnażone do samych korzeni, skomplikowały się ukazując badaczowi coraz to głębsze i bynajmniej nie ostatnie jeszcze dno. Największą jednak trudność będzie niewątpliwie stanowił fakt, że nauki, w ogóle społeczne myślenie, utworowało już sobie wiele dróg, które wyprowadziło do nikąd nie prowadzą, ale nic nie jest tak uporczywe w uporze jak wyłobione koleiny myślenia.

Ponieważ w naszych rozważaniach sporo uwagi poświęciliśmy Heglowi, wróćmy do niego i na zakończenie. W "Fenomenologii ducha" wypowiedział Hegel pytyjako prorocze zdanie: "W naturze prawdy leży, że toruje sobie drogę wtedy, kiedy nadszedł jej czas, i że pojawia się tylko wtedy, kiedy czas ów nadszedł, i dlatego nigdy nie pojawi się za wcześnie, ani nie staje wobec publiczności niedojrzałej". - Może więc obecnie nadszedł już jej czas, i publiczność już wreszcie dojrzała?

(Dalszy ciąg nastąpi)

Władysław Bieńkowski



## G O R B A N I E W S K A

Natalia Gorbaniewska jest poetką liryczną, nią przede wszystkim, ale bardziej niż w wierszy znana jest z życia, wierszy przez wiele lat nie publikowała, a życie jej było i jest publiczne - w najbardziej dobitnym, pięknym, a często bolesnym sensie tego słowa.

25 sierpnia 1968 roku, w samo południe, wraz z niewielkim gronem podobnie myślących demonstrowała na Placu Czerwonym w Moskwie przeciwko inwazji na Czechosłowację. Nad demonstrantami powiewał transparent: "Za waszą wolność i naszą". Gorbaniewska pchała przed sobą wózek z dzieckiem, a drugie, trochę większe, prowadziła za rękę. Policja (częściowo przebrana za "gniewny lud") rzuciła się na garstkę "zdrajców", obsypując ich wyzwiskami, bijąc i wciągając do samochodów... Okoliczności tej pierwszej od dziesięcioleci jawnej manifestacji politycznej w ZSRR, to co ją poprzedzało i co nastąpiło po niej, opidała później Gorbaniewska w wydanej na Zachodzie książce dokumentalnej pt. "Połdzień" (Południe)

Gatunek surowego dokumentu jest jej w ogóle bliski. Przez szereg lat ukazywała się w rosyjskim samizdacie periodyczna "Kronika bieżących wydarzeń": zapis wysiłków, podejmowanych w ZSRR przez poszczególnych ludzi i grupy osób, aby ocalić swoją wolność i godność - oraz represji, aktów gwałtu i bezprawia, które na nich spadały. To Gorbaniewska była inicjatorką i wytrwałą animatorką owej "Kroniki", bez której świat wiedziałby o wiele mniej o totalnym społeczeństwie naszych czasów, jego buntownikach i strażnikach więziennych. Być może, sami ci buntownicy czuliby się bez "Kroniki" dużo bardziej samotni, bezsilni i rozproszeni...

Powszednie nękanie zastąpione zostało w pewnej chwili przez ostrzejsze środki: w grudniu 1969 Gorbaniewską aresztowano, najpierw umieszczając ją w słynnych Butyrkach (moskiewskim więzieniu), a następnie - zgodnie z wchodzącą w zwyczaj regułą "leczenia" dysydenckiego szaleństwa - przenosząc do specjalnego szpitala psychiatrycznego w Kazaniu. Wyszła stamtąd w lutym 1972 roku, widać nie wylęczona, bo jeszcze po jakimś czasie władza uciekła się do kolejnego środka ze swego arsenału i zmusiła Gorbaniewską do emigracji. Od ponad dwóch lat poetka przebywa w Paryżu i współredaguje kwartalnik społeczno-literacki "Kontynent", nie przestaje też uczestniczyć w walce o prawa człowieka, jeździ, przemawia, pisze, mobilizuje opinię świata i nie wygląda na to, żeby miała ustać w tej działalności.

Tak wygląda wspinające, bohaterkie, godne najwyższego podziwu życie publiczne Natalii Gorbaniewskiej.

A jednak powtórzmy - przede wszystkim jest ona poetką liryczną, o głosie przyciszonym, lecz wyraźnym, o specyficznej emocjonalności i darze refleksji, o potrzebie stałego tworzenia poetyckiego zapisu stanów psychicznych, nastrojów związanych z miejscami i momentami życia, potrzebie ponownego - wysublimowanego, udźwięcznionego (ta dźwięczność jest dana, tylko głęboko ukryta, trzeba ją wydobyć, rozbudzić) - przeżywania samej siebie w różnych sytuacjach, na różnych (żeby zapożyczyć określenie od innej, polskiej, autorki) "postojach pamięci", potrzebie tworzenia nowej rzeczywistości, czerpiącej i budującej siebie z tej zaznawanej potocznie, ale nieprzekładalnej na nią z powrotem, niesprowadzalnej do swych elementów - poetyckiej właśnie! Tyleż co w indywidualnym przeżyciu, tkwi ten poetycki świat Natalii Gorbaniewskiej w tradycjach poezji rosyjskiej, w związanym z nimi żywole wyobraźniowym i językowym, zwłaszcza w tym nurcie poezji nie zawsze łatwej, choć przedzierającej się do jakiejś prostoty, ale bardzo subtelnej, łączącej ryzyko introspekcji psychologicznej z próbą zobaczenia materialnego świata za każdym razem w jego pierwotności, w nurcie idącym bodaj od Tiutczewa, później Feta, Słuczewskiego i Anninskiego. Sama Gorbaniewska deklaruje się zresztą jako uczennica Achmatowej, czego nie ma powodu kwestionować, choć wolno chyba ujrzeć ją u wcześniejszych źródeł, nad którymi i Achmatowa się nachylała. Na dokładniejsze ustalenie jej miejsca przyjdzie wszakże czas, poprzestajmy na razie na tym.

Jaki związek istnieje między tą, która jest przede wszystkim poetką liry-



czną, a tą, której działalność publiczna znana jest światu? Najprostszy: na tych obszarach życia, których tak wytrwale i z poświęceniem broni Gorbaniewska -bojowniczką, poezją, liryczną, w ogóle twórczość - nie jest fasadą, "częścią artystyczną", kwiatkiem do kożucha, polityką, lecz sposobem istnienia, sposobem, jednym z możliwych, realizowania swojej wolności, jest darem przyjmowanym z powagą i nie wymagającym usprawiedliwień. Natalia Gorbaniewska jest jednakowo sobą i wówczas, kiedy udziela głosu niezależnemu od niczego j a lirycznemu, i wówczas, kiedy, również w obronie t e g o , włącza się w życie do społecznego m y odpierającego natarcie despotyzmu i nieludzkości. To ostatnie czyni także z lirycznym zaangażowaniem i talentem.

W.W.

Natalia Gorbaniewska

Z W I E R S Z Y 1975

X X X

Cień mój, ślad, zduszony jęk  
strun na ściany naciągniętych,  
kameralna muzyka  
i przekleństwo koszarowe.

Ja do dzisiaj tam się ślaniam,  
przed smutkami się oganiam,  
łazę, marzę - i ta sama  
krata wszystko mi przesłania.

To co moje - z sobą mam:  
stroma piętra w siatkach sprężyn,  
nieskończoną desperację  
i codzienne zwykłe życie.

Tylko cień w krainie cieni  
z gęstszych plecie się deseni,  
a dni nowych dawny szron  
białym blaskiem tam się mieni.

X X X

Jak bardzo chce mi się  
wam  
w darze przynieść balladę,  
lecz deszcz w przemoknięte drwa,  
w skład drew, ze składem i ładem  
na udry, siepiąc i siekąc,  
brzozowe drąży szorstkości,  
i z dziur się wydziera przeciąg,  
i drze fortepianu kości.

Suchoty wpatzonego w mgłę Szopena  
w okowach niewidzialnych, ale rdzawych -  
nie ton, nie temat, tylko trocin pełna  
bezdromość wieczna i ruiny w trawach.



Na cmentarzyku płasa w swej nagości  
włosna,  
a stolic kopeć - tłusty taki,  
że pojdziesz: my tu - nie po drodze w gości,  
gościmy tutaj, na krótko, jak ptaki.

x x x

Umilowaną, moją szosę  
wnet w rulon zwinę, w schowku zmieszczę  
pamięci, w którym trzymam jeszcze  
parę lat szczęścia; ranek, rosę.

i nawet w to miasteczko wplączę,  
gdzie nozdrza zawsze pełne kurzu,  
gdzie radar czai się na wzgórzu  
jak oko zapatrzone w bączek.

Pod koniec dnia najgorętszego  
ciężki, męczący sen w kabinie,  
westchnienia w spiecu i benzynie,  
i krok ku miłym dla mnie brzegom.

x x x

O, jak kole koniec  
ścierniska - dna  
na nieboskłonie  
nocnego dnia.

Pół nieba cienia,  
ciemności strzęp,  
losu zachcenia  
jak laso-step.

Lecz ; sianem ciemnym  
chrzęszcząc, w tym sęku  
nie zaraz przemiń,  
trwaj nie przez sen.

x x x

- Dokąd tak lecisz, śmieszna?  
Po co tak i dlaczego?  
- Sama tej drogi nie znam,  
nie rozumiem niczego,  
nie mam nikogo, nie znam  
przyjaciela wiernego,  
przyjaciółki od serca  
ni mego najdroższego.



Pod okrągłe okienko  
wślizgują się obłoki,  
czy porośnie ich stoki  
choć maliny małeńko,  
ogrzeje chłodne boki,  
e tam, śmieszna panienko,  
zróbmy swoje dwa kroki  
† "Cześć" machnijmy ręką.

x x x

Panie Jezu, Mario Panno Najświętsza,  
Co za narodek narodzi się z naszego wnętrza?  
Jak w rurkę zwinięty listek czarnej porzeczeki,  
przez bezdroża pędzony, niesiony po wietrze,  
przez wyboje, wądoły i usypiska,  
gdzie skowyczą tylko bezdomne psiska.

Co za narodek, co za kraj i mowa  
narodzi się, co za ludzkość nowa?  
Jak przestała, pozaprzeszła, końska  
palemka Bogu miła wileńska,  
palemka malowana, palemka sucha,  
co osypując się na mnie chucha i dmucha...

x x x

Sadło fraszka - zostać żywym,  
żywym - tyle tylko życzę,  
nie ustąpić suchej żyły  
do wplecenia w cudzy smyczek.

Przełożył Wiktor Woroszyński



## OSTATNI A ROZMOWA

Miałem wtedy chyba szesnaście lat, a było to w głębokich latach pięćdziesiątych, kiedy udało mi się namówić niejakiego pana Jirhovskiego, opiekującego się w Bibliotece Uniwersyteckiej książkami nie przeznaczonymi do wypożyczania, aby mi udostępnił "Świat przyrodzony jako problem filozoficzny" Patočki. Czytałem tę książkę z takim samym głębokim przejęciem, z jakim wtedy przeczytałem i kilka innych trudno dostępnych książek czeskich (jak choćby stare zbiorki poezji Kolara). Książki te, których magiczne oddziaływanie na mnie spotęgowne było jeszcze faktem ich prześladowania, oznaczały dla mnie w tych czasach - prawdę, rzeczywistą kulturę i inspirację, i na długo jeszcze pozostały tym jedynym, co z nowożytnej kultury czeskiej do mnie przemawiało, tym, co było warte wielokrotnego czytania. Autorzy tych książek żyli gdzieś na uboczu życia publicznego ("pod lodem czasów", jak mówi Pasternak) i jeszcze bardziej poruszał moje myśli fakt, że są oni gdzieś tu, w Pradze, że jest możliwe, że ich codziennie spotykam nie wiedząc, że to właśnie oni. Szukanie ich i pierwsze spotkanie z nimi, odkrywające przede mną fascynujący świat nowoczesnej myśli i sztuki, były najpiękniejszymi przygodami tamtych lat i do dziś w moich wspomnieniach nadają im niepowtarzalne wymiary i atmosferę. Przecież odkrywanie i kreślenie mapy "tych wód podskórnych" było wtedy moim rzeczywistym życiem.

W lekturze dzieł Patočki nie przebierałem, przestudiowałem wszystko, co udało mi się dostać. Żywego Patockę po raz pierwszy zobaczyłem gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych na zamkniętym wykładzie o Komenskim w Muzeum Narodowym, na który Bóg wie jak się wdarłem. Był człowiekiem nobliwym i nie rzucającym się w oczy, a każde jego słowo trafiało do mnie. Były to właśnie te inne, głębsze i prawdziwsze słowa, które mnie tak pociągały w książkach nie przeznaczonych do wypożyczania: słowa, które tak rzadko mogłem usłyszeć w otaczającym mnie świecie.

Osobiście poznałem Patockę później, gdzieś w roku sześćdziesiątym, kiedy Ivan Vyskočil zaczął z nim przychodzić do teatru na Zabradli, a on długo w nocny opowiadał nam o fenomenologii, egzystencjalizmie i w ogóle o filozofii. Słuchanie go było rozkoszą: mówił powoli, czasem przez dłuższą chwilę milczał szukając właściwego słowa, ale mówił chętnie, zajmując i z wewnętrznym przekonaniem, że go z napięciem słuchają nawet aktorzy. Siła jego wykładu polegała nie tylko na tym, że wszystko wiedział, i jak bezsprzecznie dowiódł, przenikał pod powierzchnię zjawisk i stosunków, ale leżała w całej jego osobowości, w jego szczerości, skromności i humorze. Te nieoficjalne seminaria unosiły nas w świat filozofowania w tym prawdziwym, pierwotnym sensie tego słowa. Żadna akademicka nuda, ale interesujące, żywe szukanie sensu rzeczy, przeświechtanie samych siebie, swojej własnej sytuacji w świecie.

Później poznaliśmy się już lepiej, widywaliśmy się od czasu do czasu, ale nie mogłem się w stosunku do niego wyżyć pewnego rodzaju dystansu, jaki mi chronicznie przeszkadza w kontaktach z ludźmi, których sobie bardzo cenię, a zwłaszcza z tymi, którzy dla mnie coś ważnego znaczyli w okresie moich pierwszych prób samookreślenia. Zawsze w stosunku do tych ludzi jestem jak sparaliżowany, wstydzę się czegoś, nie wiem dokładnie czego, ale widać wszystkiego: że nie jestem tak wykształcony, czy tak dokładny w myśleniu jak oni, że jeszcze tak mało zrobiłem, że cieszę się niezasłużonym zainteresowaniem w pozytywnym sensie tego słowa (kiedyś), a w negatywnym (dziś). Gdyby nie te głupie bariery, mógłbym częściej słuchać Patočki i uczestniczyć w jego wykładach.

Ten dystans zaczął się zmniejszać dopiero teraz, ostatnimi czasy, kiedy zaczęły nas łączyć nie tylko jednakowe poglądy na niektóre sprawy nas dotyczące, ale i jednakowe poglądy na to, jak działać, i wąski odcinek wspólnej pracy. W tych wstrząsających dniach Patočka przestał być dla mnie tylko jakimś rodzajem bóstwa, a stał się bardziej człowiekiem, a ja, o dziwo, nie bałem się



już wyjść z roli oddanego słuchacza i zająć pozycję partnera. Dopiero teraz zacząłem sobie w pełni uświadamiać, w jak małym stopniu z własnej głupoty wykorzystalem możliwość swobodnego rozmawiania z profesorem, a z drugiej strony zacząłem w całości pojmować moralną wielkość jego osobowości. Czułem się tak jak gdyby ktoś lał balsam na moją duszę, kiedy uważałem coś za słuszne, ale nie potrafiłem tego udowodnić (albo odwrotnie, udowadniałem zbyt szeroko, zbyt zawiłym sposobem, tak że sam czułem, jak mój wykład traci wiarygodność), a on potrafił objaśnić to tak prosto, tak komunikatywnie, aż krystalicznie czysto, że dzięki niemu rozumiałem sam siebie i utwierdzałem się w swojej racji.

Najwyraźniej wszystko to uświadomiłem sobie podczas mojego ostatniego spotkania z profesorem: znajdowaliśmy się wtedy - jeszcze z trzecim podejrzany - w poczekalni dla przesłuchiwanym ruzyńskiego więzienia. Ostatnią przerwę między przesłuchaniami spędzaliśmy na filozofowaniu. W każdej chwili mogli po któregoś z nas przyjść, ale to panu profesorowi nie przeszkadzało. Podczas swojego zaimprovizowanego seminarium o historii idei nieśmiertelności i odpowiedzialności ludzkiej ważył słowa tak samo troskliwie, jak gdyby miał przed sobą nieograniczony czas. Ja nie tylko zadawałem pytania, ale przedstawiłem mu również własne pomysły filozoficzne (rzecz przed tym nie do pomyślenia). Zdawało mi się, że on ożywił się tym, iż nie ma przed sobą wyłącznie uśrednionego słuchacza. Na koniec zaprosił mnie, bym przyszedł do niego, ponieważ chce jeszcze o tych sprawach porozmawiać dokładniej. Kiedyś tego typu zaproszenie wziębym za zaszczyt, ale wizytę odkładałbym z zażenowaniem, w tej chwili jednak czułem tak silną potrzebę porozmawiania z nim o podstawowych sprawach bytu, że byłem gotów, w tych czasach tylu kłopotów i przykrości - przyjść do niego jeszcze tego samego wieczora.

Nawet gdybym się w końcu odważył, nie mogłem już tego uczynić. Tego dnia do domu z więzienia już nie wróciłem, a rozmowa z Patočką na temat nieśmiertelności pozostaje do dziś (nie licząc krótkiej wizyty mojej żony w obecności śledczego) ostatnią rozmową, którą prowadziłem z kimś innym niż pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (śledczy) i Ministerstwa Sprawiedliwości (klawisze). Bardzo się cieszyłem myślą, że gdy kiedyś tę ponurą budowlę opuszczę, jedna z moich pierwszych dróg powiedzie do niego, abyśmy mogli kontynuować rozpoczętą rozmowę. Ile pytań i problemów sobie przygotowałem. Był to mój ulubiony sposób, który pozwolił mi na chwilę ulecieć z tej depresyjnej pustki, z beznadziejnej, wewnętrznej samotności.

I wtedy przysłała wiadomość, że moja ostatnia rozmowa z Patočką pozostanie już na zawsze ostatnią. Nie będę pisał, jak tę wiadomość o śmierci kogoś bliskiego dosięgnie człowieka tu, to jest to wielokrotnie cięższe, trudno powiedzieć dlaczego, chyba z wielu przyczyn, między innymi z tej, że tu nie ma nikogo, kto by mógł choć częściowo zrozumieć, co się stało.

Dla mnie sprawa ta miała jeszcze tę szczególną, paradoksalną okoliczność, że był ostatnim z "naszego świata", kogo widziałem. Było to ostatnie spotkanie, które bardziej niż ktorekolwiek z poprzednich wywołało we mnie chęć widywania się z nim częściej, i dopiero teraz uświadomiłem sobie w pełni, co chcę mu jeszcze powiedzieć i czego chcę się od niego dowiedzieć. W dodatku temat tej rozmowy: mówiliśmy przecież właśnie o śmierci.

Zawsze mnie zaskakiwała szczególna sprawa, że umierają również tacy ludzie, którzy całe życie myśleli o śmierci, którzy tyle z niej i jej sensu zrozumieli, dla których temat istnienia i nieistnienia był tematem życiowym. Wiem, że jest to niedorzeczność, ale zawsze mam uczucie, że ci, którzy tak radykalnie przekroczyli horyzonty ludzkiej vegetacji i tak głęboko oddawali się, całym swoim jestestwem, pytaniu o sens ludzkiej doczesności, powinni być jakoś zawczasu wykupieni czy amnestiowani: jakby śmierć miała odczuwać choćby przed tymi, których duch żył tak długo w tak intymnej łączności z nią, jakiś respekt czy wstyd. I zawsze zostaję zaskoczony odkryciem, że tak nie jest - a jest wręcz przeciwnie, jakby właśnie na tych, którzy z niej najwięcej zrozumieli, najbardziej jej zależało: chyba ze strachu, że mogliby jej tajemnice w końcu przejrzeć, spieszy się do nich bardziej niż do innych.

Ale spójrzmy na sytuację rzeczową. Nie jestem całkiem pewien, że to, co się raz stało, co raz było, nie może się odstać, "od-być" jakimś sposobem,



mianowicie tu - tam - kiedyś, a żadna martwica mózgu nie może w tym nic zmienić. I wydaje mi się, że tacy jak profesor Jan Patočka, ze wszystkim, czym byli, co przemyśleli, co zrobili, istnieją dalej - tu - tam - kiedyś - nawet jakoś znacznie bardziej niż ci liczni, których śmierć nie ma się co obawiać i w stosunku do których nie ma powodów do pośpiechu.

Więzienie w Ruzyną ,1 maja 1977 r-

Vaclav Havel



Andrzej Kijowski

PRZYCZYNEK DO DYSKUSJI O INTELIGENCJI

Dyskusję wywołał artykuł Henryka Kowalczyka pt. "Ani ohmurni, ani durni" ogłoszony w "Polityce". Autor przeciwstawił dawną inteligencję żyjącą mitami i fikcjami inteligencji nowej, która jego zdaniem - żyje rzeczywistością. Dawna była humanistyczna, nowa jest techniczna. Dawna miała pretensje do przewodzenia narodowi, nowa zna swoje miejsce w społeczeństwie. Dawna wodziła naród po manowcach swoich urojeń, nowa tworzy jego cywilizację materialną. Dawna poświęcała wiele uwagi wewnętrznym formom bycia, modom, manierom, nowa natomiast jest prosta jak lud, z którego pochodzi. Panu Kowalczykowi odpowiedzieli już świetnie Adam Krzemiński w "Polityce", który dowiódł, że technokratyczna utopia jest jednym mitem więcej, oraz Kisiel w "Tygodniku Powszechnym", który wziął w obronę ową starą, humanistyczną, ideową, "uwodzieleńską" inteligencję, przypominając co jej Polska zawdzięcza.

Problem inteligencji od dawna i nadal budzi kontrowersje, a sprowadzają się one do następujących pytań:

- 1/ czy jest to elita umysłowa, czy tylko grupa zawodowa,
- 2/ czy jest to polska osobliwość, czy zjawisko powszechne,
- 3/ czy znajduje się ono w trakcie zanikania, czy wzrostu,
- 4/ czy rola i aspiracje inteligencji maleją, czy też rosną.

Do niedawna uważano, że inteligencja jest szczególnym rosyjskim zjawiskiem posiadającym odpowiednik w innych krajach Europy wschodniej, tych mianowicie, które jak m.in. Polska nie miały rodzimego mieszczaństwa. "Na zachód od Łaby nie wytworzyła się właściwie warstwa inteligencji w kształcie takim, jaki przybrała w krajach środkowej i wschodniej Europy" - pisał Janusz Żarnowski we wstępie do książki pt. "Struktura inteligencji polskiej w latach 1918-1939".

Inteligencja w Rosji carskiej oznaczała opozycję, która nie pretendowała do objęcia władzy, lecz proponowała reformy. Termin pojawił się dopiero w latach czterdziestych XIX wieku, natomiast grupy reformistów tworzyły się już za Katarzyny II i za Aleksandra I. "Preinteligenci" pochodzili ze szlachty, spotykali się, nawiązywali związki i tworzyli programy w wojsku lub na dworze, gdzie służyli zgodnie z obowiązkami swego stanu. Surowe rządy Mikołaja I, jego nieufność do wykształconej szlachty i zastąpienie jej w wojsku i na urzędach zawodowcami sprawiły, że miejscem spotkań i wypowiedzania poglądów stały się uniwersytety oraz czasopisma. Zbuntowani, myślący synowie szlachty spotkali się i zmieszali z ambitnymi synami chłopów, kupców i duchownych, tak powstała inteligencja. Na marginesie mikołajewskiego systemu, z oporu przeciw żandarmowskiemu uciskowi, w poczuciu misji wobec kraju i ludu, w odosobnieniu od biernych, ciemnych mas. W latach czterdziestych XIX wieku liczone owych "inteligentów" około 3 tysiące na 40 milionów mieszkańców Rosji, w latach siedemdziesiątych przypada ich około 5 tysięcy na 75 milionów. To obliczenie obejmuje zapewne ludność "Przywiślańskiego Kraju" wraz z jego stolicą Warszawą. Polska inteligencja powstała w tym samym mniej więcej czasie i z podobnych przyczyn, choć misję miała inną i inne tradycje. Jej kolebką było Stronnictwo Patriotyczne Wielkiego Sejmu, jej misja była potrójna: obrona wartości duchowych ujarzmionego narodu, organizacja walki zbrojnej i cywilnej, projektowanie form ustrojowych przyszłej wolnej Polski.

"Jakiego rozumienia wymaga nasze społeczeństwo u członków swoich, aby ich nazwać mogło inteligencją?" - zapytuje w 1841 roku publicysta "Dziennika Literackiego" podpisujący się G.Ch. (cytuje za R.Czepulis-Rastenis: "Klasa umysłowa Królestwa Polskiego..." Warszawa 1973). I taką znajduję odpowiedź: "Jestem pewien, że gdybym przeszedł wszystkie ziemie dawnej Polski od końca do końca z tym zapytaniem na ustach, wszędzie by mi odpowiadano: wymaga rozumienia sprawy narodowej, ukochania jej, pracowania i poświęcenia się dla



niej, słowo wymaga miłości Ojczyzny..."

Jak jest dzisiaj?

Dzisiaj przestano "inteligencję" uważać za osobliwość Europy wschodniej i Rosji. To słowo w jego rosyjskim brzmieniu ("intelligentsia") zadomowiło się w zachodnich językach i bywa używane na przemian z tamtejszym słowem "intelektualiści". Wskazuje się na to, że inteligencja rosyjska wzorowała się co do myślenia i sposobów organizacji na klubach politycznych rewolucyjnej Francji, a później na niemieckich związkach burszowskich. W porównaniach tych można pójść jeszcze dalej: status pisarza, artysty, filantropa w społeczeństwie burżuazyjnym, ujęty w romantyczne antynomie i konflikty, wyrażający się w mitach "poety przeklętego", "cygana", "idealisty", odpowiada mniej więcej "dali" inteligenta rosyjskiego, polskiego, ukraińskiego, litewskiego czy serbskiego. Najogólniej powiedzieć można, że status tej grupy społecznej i losy ludzi do niej należących odzwierciedlają losy książek, myśli, dzieł sztuki, inteligent jest samotny i tragiczny, jak myśl, jak dzieło sztuki, jak wszelki ideał.

Wszystko się zmienia, gdy na skutek rewolucji politycznej na wschodzie, a na skutek rozwoju społeczeństwa konsumpcyjnego na zachodzie zaczynają zanikać warstwy pośrednie między elitą władzy a masami, na wschodzie zniknęła szlachta, na zachodzie zanika teraz mieszczaństwo. Rolę owej warstwy pośredniej, która z mas wyrasta a zarazem wychowuje kandydatów do elity politycznej i gospodarczej władzy, przyjmują absolwenci uniwersytetów, uzdolnieni stypendyści przeróżnych fundacji, aktywni uczestnicy klubów dyskusyjnych, uważni czytelnicy czasopism - słowem "intelektualiści", ludzie o skłonnościach do roztrząsania problemów ogólnych i wywierania wpływu na innych. "Intelektualista jest to osoba fascynująca się ogólnymi ideami i pragnąca, aby były one możliwie najciekawsze i miały szerokie oddziaływanie" - tak definiuje tę postać społeczną autor książki o intelektualistach angielskich (T.R.Fyvel: "Intellectuals Today", London 1968). Piśsze ponadto, że owi "intelektualiści" po obu stronach Atlantyku, na wschodzie i zachodzie Europy, w Azji i w Afryce rozpoznają się po wspólnych upodobaniach, animozjach, zainteresowaniach, po sposobie życia, ubierania się, meblowania mieszkań, i że pomimo dzielących ich różnic narodowych i politycznych stanowią klasę tak jednolitą, jak była nią kiedyś kosmopolityczna arystokracja. Przesadza, ale nie bardzo.

Wszyscy piszący na ten temat autorzy twierdzą, że owych intelektualistów, czy "inteligentów" przybywa w miarę, jak wzrasta zasięg i prestiż wykształcenia uniwersyteckiego (patrz bardzo ciekawa książka Andrzeja i Agnieszki Wróblewskich pt. "Dyplom w herbie") oraz w miarę, jak podnosi się ilość i jakość informacji wszelkiego typu. Jedną z autorów twierdzi, że "eksplozja informacyjna" jest obok nuklearnej i demograficznej trzecią bombą, która zburzyła stary świat a wzbudziła do życia nowy. Oblicze nowego społeczeństwa będą tworzyć ludzie wykształceni i kształcący, poinformowani i informujący, ci sami, z których tworzyła się kiedyś inteligencja krajów, gdzie wielkie masy nieoświecone były narzędziem elit nie podlegających żadnej instytucjonalnej kontroli, i gdzie rozum i serce wyklętego inteligenta służyły za parlament, wolną prasę i niezależny trybunał.

Jakże inna jest ich sytuacja, jakże inne liczby! L.G.Churchward w książce pt. "The Soviet Intelligentsia" (Londyn 1973) przewiduje, że w roku 1980 inteligencja radziecka liczyć będzie ok. 80 milionów i że ubędzie w niej proporcjonalnie fachowców o prostym wykształceniu mechanicznym czy administracyjnym, przybędzie natomiast specjalistów wykształconych w dziedzinach o silnym podłożu teorii (informatyka, cybernetyka, biochemia, fizyka jądrowa) oraz z pogranicza humanistyki (socjologia, psychologia, ekonomia polityczna).

Tak jest i tak będzie wszędzie. Nowa inteligencja będzie zatem o wiele bardziej niż dawna i dzisiejsza zainteresowana myśleniem abstrakcyjnym, lepiej przystosowana do rozważań ogólnych, bardziej skłonna do refleksji filozoficznej i o wiele, o wiele silniej związana z aparatem władzy.

Martin Malia, jeden z autorów książki zbiorowej uniwersytetu Columbia pt. "The Russian Intelligentsia" twierdzi, że inteligencja rosyjska była produktem "niezadowolającego ruchu elit" oraz nadmiernej produkcji indywidualności jak na potrzeby biurokratycznego państwa. W krajach rozwiniętej produkcji przemysłowej



akumulacji kapitału też ich nie trzeba było wielu. Tu i tam żyli oni własną problematyką oraz odbitym blaskiem burżuazji, szlachty czy monarchii. Dziś inteligencja edukuje i informuje masy, państwu i przemysłowi dostarcza kadr, danych i pomysłów, z mas się wywodzi, sięga elit. Jest w samym środku całego społecznego ruchu. Jest osią nowego społeczeństwa. Takie będzie nowe społeczeństwo, jaka będzie jego inteligencja, jakie będą uniwersytety, czasopisma i ja- cy będą ci, którzy nadają jej ton, ci, których życie . . . umysłowe stanowi własność publiczną, którzy myślą głośno i jawnie, którzy z upodobań swoich tworzą mody, prądy, style, którzy swe oburzenie lub swą aprobatę głośno wyrażają, którzy ostentacją swych myśli i czynów dorabiają się istnienia imiennego.

Andrzej Kijowski



## DWA SZKICE O CENZURZE

## 1. Kierunki badań cenzuralnych

Cenzura istnieje. To wystarczy, by zajęła się nią nauka (w nauce zresztą rozpatruje się również zjawiska nie istniejące). Cenzura zniekształca obraz świata, w którym żyjemy. Ale badanie cenzury zaspokaja naszą potrzebę rozumienia świata, w którym żyjemy. Skoro jesteśmy w rękach potwora, warto wiedzieć jak się zachowuje. Intelktualiści długo potwora drażnili, a czasem też próbowali zmienić. Należy potwora poznać. Służą do tego opisowe studia nad cenzurą współczesną. Ale niezbędne są również podstawowe badania cenzuroznawcze - cenzuroznawstwo teoretyczne i historyczne. Ważne też są poszukiwania źródłowe. Zbieranie informacji rzeczywistości stanowi przecież podstawę każdej rzetelnej pracy naukowej. Cenzorzy wiedzą o swej instytucji więcej niż autorzy. Proponuję, by co roku przyznawać nagrodę honorową imienia Tomasz Strzyżewskiego dla cenzorów, którzy zechcą wzbogacić archiwum danych o działaniu cenzury w naszym kraju.

Interdyscyplinarny charakter badań cenzuroznawczych nie budzi wątpliwości. Prowadzono badania nad cenzurą w stylu ściśle prawniczym (por. studium Kazimierza Orłosa w "Zapisie" nr 4). Rozwija się cenzuroznawstwo historyczne i porównawcze. Stefan Kisielewski, zasłużony badacz eksperymentalny spraw cenzorskich, pisał (również w "Zapisie" nr 4) o wyjątkowym charakterze naszego systemu cenzury. Wcześniej w "Zapisie" (nr 2) ukazał się tekst Jana Kucharzewskiego o cenzurze carskiej, który redakcja opatrzyła tytułem "Nic nowego pod słońcem". Redakcja "Zapisu" byłaby więc zapewne skłonna stwierdzić ponadhistoryczny charakter wielu współczesnych praktyk cenzorskich. Rysuje się kontrowersja, a jej rozwiązanie wymagałoby dalszych badań historycznych i porównawczych

Zauważmy, że Stefan Kisielewski nie tylko prowadzi badania eksperymentalne nad działaniem cenzury i nie tylko wypowiada się jako historyk. Jest on też cenzuroznawcą praktykiem, który chociaż ośwoić i ucywilizować potwora, a to dzięki utrudnieniu warunków jego egzystencji (Kisielewski jako poseł próbował wpłynąć na zmniejszenie budżetu cenzury). Jest to sprawa interesująca dla cenzuroznawstwa traktowanego jako nauka stosowana: czy i jak można oddziaływać na cenzurę. Finansowo, prawnie, perswazyjnie? Można oczywiście cenzury nie zauważać i publikować poza zasięgiem jej interwencji. Niestety jednak nie gromadzi się wtedy danych o działaniu cenzury (a dane te są niezbędne dla rozwoju cenzuroznawstwa).

We wszelkich naukach i badaniach cenzuroznawczych jest niezmiernie istotne czy instytucję cenzury ujmuje się jako część większego mechanizmu, czy przeciwnie: w sposób oderwany od systemu. Cenzuroznawstwo dialektyczne i funkcjonalne wypowiada się, jak wiadomo, przeciw izolowaniu zjawisk. Zwraca ono uwagę na otoczenie społeczne instytucji cenzury i na jej związek z innymi sferami życia społecznego i politycznego kraju i za granicą. Cenzura nie jest sama. Nie jest instytucją biedną ani opuszczoną i następcom Kisielewskiego (jeśli się znajdą) nie będzie łatwo zredukować jej budżet (a tym bardziej jej aktywność). Nie tylko Państwowy Monopol Spirytusowy dobrze sobie radzi z trudnościami. Także cenzura. Jej związki z oficjalnym (legalnym i nielegalnym) życiem społecznym i politycznym powodują, że nie jest ona monadą. A jeśli by ją nawet traktować jak monadę, to poznając ją można poznać nasz świat. Cenzuroznawcy są badaczami społeczeństwa i ustroju. To prawda, że nie można trafnie mówić o epoce na podstawie tego, co ona sama o sobie myśli. Ale owocne może być jej badanie na podstawie tego, o czym w niej myśleć nie wolno.



## 2. Cenzura i historia. Zapisy i praktyka.

Zespoły cenzorskie w PRL otrzymały datowaną 14 kwietnia 1976 informację cenzorską nr 15. Zamieszczono w niej "Plan pracy nad upowszechnieniem i realizacją treści III Plenum KC (przyjęte przez Biuro Polityczne KC PZPR i Prezydium Rządu)". W części tego planu zatytułowanej "Praca środków masowego przekazu" pkt 8 głosi:

"Niezbędne jest konsekwentne przestrzeganie zasady, że w całej polskiej prasie i wydawnictwach nieperiodycznych, niezależnie od orientacji i przynależności organizacyjnej, obowiązuje jedna linia oceny przeszłości."

Jaka to linia? Linia jest zmienna i nie prosta, ale obowiązuje jedna i to - "niezależnie od przynależności organizacyjnej". Wypowiada się o niej partia i rząd, a realizuje ją między innymi cenzura. W tym samym dokumencie zobowiązano tę instytucję:

"GUKPPIW nasili działania zmierzające do zwiększenia politycznej odpowiedzialności redakcji za teksty zgłaszane do druku, rozszerzając kontrolę według formuły "Trybuny Ludu" na inne tytuły prasowe i na niektóre Wydawnictwa".

Sformułowano tu zatem zasadę upowszechnienia kolaboracji z cenzurą.

"Korekty historyczne cenzury nie ograniczają się do ocen przeszłości. Przeszłość podlega selekcji. W dziale IX dokumentu "Z książki zapisów i zaleceń GUKPPIW" pozycja 15 głosi:

"Z opracowań, artykułów publicystycznych, pamiętników należy eliminować wszelkie treści zmierzające do przedstawienia wydarzeń z najnowszej historii Polski z pozycji prawicy politycznej, a także rehabilitujące i popularyzujące w społeczeństwie tradycje wrogie socjalistycznej Polsce (np. próby rehabilitacji okresu międzywojennego i przywódców II Rzeczypospolitej, pomniejszające ich odpowiedzialność za klęskę wrześniową, próby usprawiedliwienia prawicowych ugrupowań podziemnych z okresu okupacji przez eksponowanie ich wkładu w walkę z okupantem, z równoczesnym pomijaniem walki prowadzonej przez lewicę itp.)".

Cenzorzy stwierdzają więc, że gdy mowa o walce z okupantem, ważne jest przede wszystkim, czyj to był wkład. Jeśli nie był odpowiednio "lewicowy", a ktoś go próbuje przedstawić, należy taką próbę "eliminować", nawet z pamiętników.

Następujące postanowienie cenzury oznaczono w książce zapisów i zaleceń numerem 167:

"Wszelkie recenzje (oceny) wydanej w 1976 roku przez Wiedzę Powszechną "Encyklopedii dla dzieci. Polska moja ojczyzna" należy sygnalizować kierownictwu GUKPPIW. Zalecenie przeznaczone jest tylko do wiadomości cenzorów."

Jest to szyfrogram z 10 lutego 1977 podpisany przez wiceprezesa cenzury.

Ten sam wiceprezes w notce z 11 lutego 1977 poinformował cenzorów, że pod adresem "Encyklopedii dla dzieci" sformułowano zarzuty merytoryczne, dotyczące między innymi "prezentowania np. I. Mościckiego jako prekursora polskiej chemii" (...). "Z tych względów zostało uznane za słuszne takie pokierowanie działalnością recenzentką, aby dopuszczone do druku recenzje były odpowiednio wyważone, a nie wyłącznie pozytywne".

Cenzura steruje więc nie tylko ukazywaniem się publikacji, ale także ich oficjalnym odbiorem czytelniczym.

Zainteresowanie cenzury historią są rozległe. Istnieje krytyczna ocena cenzorska informatora o komentarzu wojskowym (sporządzona w styczniu 1976), w której stwierdza się, że:

"Przesadnie natomiast rozpisał się autor na temat akowskiej akcji dywersyjnej "Wieniec" (7/8.X.1942 r.) oraz drugiej akcji kolejowej przeprowadzonej również przez AK w nocy z 16 na 17.XI.1942 r."

Jednakże zainteresowanie historią nie jest specyficzne dla cenzury PRL.

W grudniu 1966 redakcja "Pamiętnika Teatralnego" wydała "Akta cenzury". Są to fragmenty protokołów Warszawskiego Komitetu Cenzury z lat 1873 - 1905 dotyczące cenzurowania przedstawień teatralnych.



W jednej ze sztuk, jak odnotowano w protokole, bohater "odznacza się (...) przynależnością do istniejących przed buntem z 1830 r. byłych wojsk polskich". Cenzorzy "aby uniknąć wspomnień o tamtych czasach, które by rzecz mogła wzbudzić u publiczności" postanawiają między innymi akcję sztuki przenieść z Warszawy do Kijowa, wyrażenie "z Rosji" zamienić na "z Łucka", "w kontuszu" na "w surducie", a słowo "żółtobrzuszek" zastąpić słowem "ptaszek". Wydawca objaśnia, że "żółtobrzuszkami" nazywano w 1815-1831 żołnierzy polskiej piechoty liniowej z uwagi na żółte wyłogi ich mundurów.

Współczesne zapisy cenzorskie wypowiadają się bynajmniej nie tylko o historii, kulturze lub obyczajach. Interesujący jest zakres spraw gospodarczych, których nie wolno omawiać publicznie. Wydaje się, że cenzura carska pozwalała na te tematy pisać więcej. Zapewne dokładność cenzury współczesnej wiąże się z rozszerzeniem się w naszych czasach odpowiedzialności państwa na sprawy gospodarcze i prawie wszystkie inne. Można sformułować następujące prawo dotyczące działania cenzury: im więcej zostało upaństwowione, tym więcej będzie ocenowane.

Olbrzymi zakres ingerencji cenzorskich przedstawiony został w księdze zapisów wydanej przez przez Niezależną Oficynę Wydawniczą. Trzeba jednak pamiętać, że to bynajmniej nie jest pełna informacja o działaniu cenzury. Cenzura stosuje te zapisy i zalecenia, lecz jednocześnie daleko poza nie wykracza. Ktośkolwiek próbowałby działanie cenzury oceniać na podstawie sformułowanych na piśmie reguł, postępowałby jeszcze gorzej, niż ktoś, kto by działanie prawa w Polsce oceniał studiując wyłącznie kodeks karny. Cenzura w działaniu przelewa się daleko poza wszelkie regulacje prawne i quasi-prawne, w tym także poza własną księgę zapisów.

Jakub Karpiński

#### "SPOTKANIA Z IKONAMI" I SPOTKANIA Z CENZURĄ

Wśród tajnych materiałów cenzury, przekazanych Komitetowi Samoobrony Społecznej "KOR" przez zbuntowanego cenzora T. Strzyżewskiego (patrz: kronika na końcu tego numeru "Zapisu"), znalazło się swoiste curiosum, które przedstawiamy dzisiaj do wglądu naszym czytelnikom. Chodzi o książkę znanego pisarza radzieckiego W. Sołouchina, najoficjalniej wydaną w ZSRR, a następnie również w Polsce, co wszakże postfactum uznane zostało przez Urząd za... "przeoczenie cenzorskie. Oto jakie odbicie znalazła cała afery w poufnych okólnikach, recenzjach i ingerencjach.

GŁÓWNY URZĄD KONTROLI PRASY  
PUBLIKACJI I WIDOWISK  
Zespół Instruktażu, Ocen  
i Kontroli  
Nr ZI-Pf-132/5/76

Warszawa, dnia 23.I.1976  
P o u f n e  
Egz. nr 24

#### Informacja cenzorska nr 5

W załączeniu przesyłamy cenzorską recenzję książki W. Sołouchina "Spotkania z ikonami" (zał. nr 1) wydanej przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie w 1975 r i wyróżnionej przez PAX nagrodą zagraniczną im. Włodzimierza Piłtrzaka.

W recenzjach prasowych książki dokonano kilku ingerencji polegających głównie na eliminowaniu cytowanych fragmentów omawianej pozycji (w załączniku podajemy również charakterystyczne ingerencje - zał. nr 2 i 3 - w "Więzi" i "Tygodniku Powszechnym").

W wyniku kontroli wtórnej dokonanej przez Zespół Instruktażu, Ocen i Kon-



troli wyrażenie zgody przez Delegaturę w Krakowie na druk tej książki uznano zostało za przeoczenie cenzorskie.

Wicedyrektor Zespołu

/Janusz Buchalski/

Roześlano wg rozdzielnika

### Recenzja książki

W. Sołouchina - "Spotkania z ikonami"

Włodzimierz Sołouchin ur. 14.VI.1924 r. jest absolwentem Instytutu Literackiego im. M. Gorkiego. Debiutował jako poeta tomikiem "Deszcz w stepie". Uprawia rżne gatunki literackie, preferując jednak reportaż i esej. Wydał m.in. "Pocztówki z Wietnamu", "Zeszyty słowiańskie", "Z pozycji liryka".

W "Spotkaniu z ikonami" autor snuje rozważania na temat znaczenia kultury a w szczególności sztuki, w życiu jednostki i społeczeństwa. Według niego rozwój techniki stwarzając ludzkości coraz nowe możliwości, jednocześnie/co nie zwąsże sobie uświadamiamy/ podporządkowuje nas sobie. Np. mimo istnienia coraz doskonalszych środków łączności i komunikacji dysponujemy coraz mniejszą ilością czasu. Ludzkość jest coraz potężniejsza, ale człowiek jako jednostka jest coraz słabszy, my wszyscy razem, posiadając współczesną technikę jesteśmy potężniejsi. Słyszymy i widzimy na odległość tysięcy kilometrów, nasze ręce są potwornie wydłużone. Możemy uderzyć kogoś nawet na innym kontynencie. Rękę z aparatem fotograficznym dociągneliśmy już do Księżyca. Lecz to wszystko - my. Gdy zaś "ty" pozostaniesz sam na sam z sobą, bez reakcji radioaktywnych i chemicznych, bez atomowych łodzi podwodnych i nawet bez skafandra - po prostu sam możesz powiedzieć o sobie, że "ty" z objawem przedwczesnej sklerozy i kamieni w lewej nerce /o duchu nawet nie wspominamy/, jesteś potężniejszy niż wszyscy twoi poprzednicy na Ziemi (str.10).

Również technika stwarza olbrzymie zagrożenie dla całej ludzkości: "... Ale przecież nawet zło moralne, tchórzostwo, może szarpnąć za odpowiednią dźwignię lub nacisnąć właściwy guzik: prawdopodobnie właśnie tchórz przede wszystkim pierwszy szarpie" (str.10).

Człowiek więc, twierdzi pisarz, powinien częściej niż dotychczas zastanawiać się nad otaczającą go rzeczywistością. Osiągnąć to może wg autora i poprzez niezrywanie kontaktów z tradycją oraz częste stykanie się z prawdziwą sztuką.

Na tym tle Sołouchin ukazuje przemiany społeczne-obyyczajowe zachodzące w ZSRR. Biorąc za podstawę stosunek do tradycji i dorobku kulturalnego całego narodu, ocenia negatywnie charakter tych przemian. Opinię tę formułuje często w sposób ostry i drastyczny. Wymowa tej oceny została tylko w nieznacznym stopniu złagodzona w posłowie autora, gdzie zawarł on pewien optymistyczny akcent. W "Listach z Muzeum Rosyjskiego" Sołouchin porównuje architekturę Moskwy z architekturą Leningradu. Snuje także rozważania związane z malarstwem eksponowanym w Muzeum Leningradzkim. Refleksje, jakie nasuwają się jemu często wybiegają daleko poza ten temat.

Jednak, pisze Sołouchin, znajdują się ludzie dostrzegający piękno i wartość starych zabytków i dzieł sztuki. Bez pomocy państwa, które się temu obojętnie przygląda, sami ratują przed zniszczeniem arcydzieła starego malarstwa jakimi są ikony. Lecz możliwości ich są niewielkie.

Druga część książki nosi tytuł "Czarne deski" co oznacza ikony ciemniejące pod wpływem czasu. Ukryte w nich piękno przy pomocy odpowiednich zabiegów konserwatorskich, można wydobyć na nowo.

Autor używając formy powstałej z połączenia reportażu i eseju, opowiada o



poszukiwaniu, odnajdywaniu i nabywaniu starych ikon. Poniesiony przez swoją namiętność, jeszcze bardziej niż poprzednio, w sposób ostry i gwałtowny, występuje przeciwko niszczeniu i lekceważeniu pewnych wartości wynikających z tradycji i przeszłości kulturalnej narodu. Na tym tle porusza pisarz również inne sprawy np.: brak rozwiniętego poczucia wartości duchowych wśród dużej części społeczeństwa radzieckiego, brak tolerancji dla wierzących i istnienie w nich poczucia zagrożenia oraz pokazuje ujemne skutki jakie przyniosła zabytkom rewolucja.

Sołouchin podaje liczne przykłady niszczenia cerkwi i ikon w okresie zaraz po rewolucji, a także później str. 151, 156, 157, 170, 191, 198, 203, 217, 224, 226, 227, 231, 236, 243-247, 249-250, 252, 255, 256, 264, 306-310, 332, 336-339 340-341, co często odbywało się wg niego w sposób bezwzględny. Na dowód tego przytacza przykłady, jak z ikon zbijano skrzynie na kartofle (str. 170), rabano je siekierami (str. 252) lub w najlepszym przypadku zabijano wybite okna. Podobnie bezceremonialnie, pisze Sołouchin, postępowano z cerkwiemi: "Przyjechał traktor z sowchozu, (...) podbił od dołu i rozpadła się na kawałki, później be- le wzięto na opał" (str. 192) lub: "Moja misja ograniczyła się do uratowania budynku cerkiewnego, który zamierzano wysadzić! Powód był bardzo, ale to bar- dzo dobrze brzmiący: potrzebna jest cegła na oborę" (str. 336). Wypadki takie miały miejsce, wg autora, często wbrew woli mieszkańców wsi: "kilka kobiet sta- ło w milczeniu i pokornie, na schodach cerkwi obserwując, jak Jakub wynosi i rzuca na kupę to chrzcielnicę, to świecznik, to sukienkę miedzianą z dużej iko- ny, to jakieś łańcuszki. Kobiety prosiły o wpuszczenie ich do cerkwi, ażeby spo- jrzeć na nią, lecz obecny władca sytuacji nikogo nie wpuszczał" (str. 337) i w innym miejscu: "Gdy cerkiew zamknięto, pewna kobieta uratowała ikonę i schowa- ła u siebie. Później tak się złożyło, że ta kobieta z naszych stron przeniosła się do miasta. No, więc przywołuje mnie do siebie, każe przyjąć w nocy, daje ikonę i mówi: "Zlecam ci Praskowa przechowanie..." (str. 303) lub "Wśród miej- scowych pobożnych tli się wówczas nadzieja: może nie zniszczą", (str. 243) albo: "Coś się zagapili wasi cieśle - powiedziałem przewodniczącemu - A poza tym gdzie jeszcze cztery ikonki. Powinno ich być takich samych dwanaście? - nie ma czterech. Baby pozabierały do domu. Niedbale są porąbane dlatego, że rabali je nie cieśle?" (str. 253). i "Gdy zamknęli cerkiew, nauczyciel tę ikonę porąbał na opał, ale siostra moja nocą pełzając dostała się na podwórze nauczyciela, znalazła tam oblicze z cudami słynącej ikony i dotychczas ją przechowuje" (str. 224).

Sołouchin podaje przykłady, także bardziej aktywnego oporu, kiedy to na cerkwi powieszono obok kłódki umieszczonej przez przedstawicieli władzy, drugą, do której klucz miała miejscowa ludność. Uniemożliwiało to, dostanie się obcym osobom bez wiedzy tych ludzi, do środka cerkwi. Kobiety, z którymi rozmawia pi- sarz, są nawet gotowe bronić jej: "Raczej umrą niż wypuszczą klucz z ręki" (str. 246). Pisząc o tym jak ludność chroniła ikony, autor przy okazji przypo- mina o pewnych wydarzeniach z okresu kolektywizacji wsi w Związku Radzieckim: "Ciocia Masza była sąsiadką. Zaczęli ich rozkułaczać. Nocą podjechała podwoda. Zima, zamieć. Wszystkich wraz z dziećmiakami załadowali do sań i powieźli" (str. 297). Twierdzi on, że dotychczas część ludzi na wsi (szczególnie starsi), jest zastraszona: "może odmawiacie? Proszę się nie obawiać nie powiemy nikomu" (chodzi o ikony) - (str. 330).

Obraz społeczeństwa radzieckiego, jaki nakreślił Sołouchin w "Czarnych des- kach" wygląda następująco: ludność, szczególnie na wsi, jest pozbawiona większe- go kontaktu z kulturą, jej życie cechuje szeroko pojęty pragmatyzm, przez co nie umie ocenić prawdziwych wartości jakie niesie ze sobą sztuka.

Rewolucja spowodowała odejście od tradycji. Przyczyniła się do zniszczenia wielu zabytków. Spowodowała oderwanie się narodu od niektórych pozytywnych war- tości, jakie niesie ze sobą przeszłość. Jednocześnie w Związku Radzieckim, tak twierdzi autor, panuje brak tolerancji w stosunku do ludzi wierzących. Państwo nie liczy się z ich uczuciami, mimo spotykanego w pewnych przypadkach biernego oporu. Czują się oni z tego powodu zagrożeni i sprawiają wrażenie zastraszonych.

Wyrażenie zgody na wydanie tej książki jest poważnym przeoczeniem cenzor-



skim. Fakt, że była ona wydana w Związku Radzieckim (Izdatielstwo "Sowietskaja Rossija" Moskwa 1972 r.) nie może być usprawiedliwieniem, ponieważ inaczej odbierają ją mieszkańcy Związku Radzieckiego a inaczej czytelnicy w Polsce. Każde państwo prowadząc własną politykę wewnętrzną, różnie rozwiązuje swoje problemy. Władze danego kraju, wyrażając zgodę na poruszenie drażliwych tematów, mają na uwadze przede wszystkim własnych obywateli. Jednocześnie w stosunkach pomiędzy krajami obozu socjalistycznego przyjęła się praktyka, iż na zasadzie wzajemności nie podaje się informacji o trudnościach wewnętrznych, któregoś z tych państw.

#### Załącznik nr 2

T. Chrzanowski w artykule "O ikonach i jeszcze kilku sprawach" przedstawił uwagi, jakie nasunęły mu się po przeczytaniu książki W. Sołouchina pt. "Spotkania z ikonami". Usunięto podkreślone fragmenty:

"... O autorze wiem tylko to, co o nim podaje skrzydełko obwoluty i to, co sam o sobie napisał. Referencje nie nadmiernie zachęcające: absolwent Instytutu Literackiego im. Gorkiego (dziwnie nie mam przekonania do takich szkół przysposobienia literackiego). ... Autor "Spotkań z ikonami" opisuje rzeczy, od których włos się na głowie jeży. Straszliwy bezmiar zniszczeń, który ogarnął po rewolucji prowincję rosyjską, został zahamowany dopiero w ostatnich latach. Ale i u nas owe zniszczenia były niepomierne, i to właśnie nie tylko te, które przyniósł ze sobą ogień wojny, ale w równej mierze te, które były wynikiem głębokich przemian struktury państwa i społeczeństwa. Każde takie zmiany muszą z sobą przynosić dewastacje, a jeżeli dokonują się w związku z rewolucyjnymi przemianami ideowymi, są jeszcze większe, bowiem każda rewolucja niesie w sobie współczynnik najszerzej pojętej ikonoklazji. W nich w niwecz poszło setki cerkwi wraz z wypełniającymi je wystrojami. U nas także nie mało cerkwi uległo zniszczeniu, a poza tym właściwie w całości przestały istnieć wyposażenia dworów wiejskich. Ocalało w jakimś stopniu kilka dużych rezydencji (Pszczyna, Łańcut, Nieborów), ale właśnie dwór polski, taki "od Rychter-Janowskiej" istnieć przestał doszczętnie. Zachowało się kilkadziesiąt skorup architektonicznych, natomiast ile przetrwało wewnątrz z ich dawnym urządzeniem? (znam trzy, może cztery takie domy. (...))

Sołouchin zachwyca się Leningradem - jego wspaniałą, nieskazitelną, pierwotną formą, która zrodziwszy się w określonej epoce trwa w swym z góry zamierzonym, kamiennym kształcie nad brzegami Newy. I odważa się stwierdzić, że Leningrad jest piękniejszy od Moskwy. To stwierdzenie (dla nas zupełnie oczywiste) ledwie mu przez gardło (czyli przez maszynę do pisania) przechodzi i, uważa za słuszną opinię swą udokumentować. Więc cytuje rozmaite pochwalne opinie o Moskwie, przyjmuje, że jest to piękne miasto, ale... że nie jest to już owe bajkowe miasto setek złożonych kopuł. Na s. 16 zaczyna się wyliczenie wyburzeń dokonanych przeważnie w latach trzydziestych. Pomijam początek i cytuję dalej: "Będę sięgnął ten rejestr, tylko bardziej schematycznie. Cerkiew z XVI wieku na rogu ulicy Kirowa i placu Dzierżyńskiego - zniszczona. Obecnie pusty plac. Cerkiew Flora i Ławra (lata 1651-1657) na ulicy Kirowa, na ukos od poczty głównej. Zburzona, pusty, zaniedbany plac. Cerkiew z XVII - XVIII wieku, na rogu ulicy Kirowa i ul. Marchlewskiego. Zburzona. Puste miejsce. Budki z dykt. Cerkiew z 1699 roku przy Czerwonej Bramie, w której ochrzczono Lermontowa. Zburzona. Skwer. Cerkiew z XVI wieku - róg Mostu Kuźniec-



kiego i ulicy Dzierżyńskiego. Zburzona. Postój taksówek. Cerkiew z dzwonnicą o hełmie namiotowym z 1659 roku, na Arbacie naprzeciwko Starokóniusztwiennego zaułka. Zburzona, pusty plac. Trawa. Dzwonnica zwieńczona hełmem namiotowym z 1685 r. Na ulicy Hercena. Zburzona. Skwerek. Cerkiew z 1696 r. na Pokrowce, zburzona, skwer".

I tak dalej. Jak widać z powyższego, krąg się zamyka. Trzeba walczyć i trzeba apostołować, grozić i perswadować, a przede wszystkim trzeba wbrew zakorzenionym "kliszom", wbrew zastarzałym i nowym oporom, wbrew taniej popularności przekazywać pewne prawdy, które prawdami są bardzo często zapoznanymi lub nieznanymi..."

"... U nas panuje "moda na ikony" i w dobrym guście jest w mieszkaniach warstw wyselekcjonowanych wieszac wyszabrowane z Bieszczadów czy przesznurowane z Bałkanów tego rodzaju obrazy. (...) Ikona w mieszkaniach warstw wyselekcjonowanych to tyle, co lampa naftowa i żelazko z duszą; obraz tego snobizmu, którego nawet w socjalizmie wstydzić się nie wypada. (...)

Kolekcjonerstwo wymaga pewnej żarliwości. (...) Ale żarliwość nie musi i nie może iść w parze z bezwzględnością i brakiem skrupułów. U nas, gdzie niestety w ogóle poczucie jakiegokolwiek własności jest leciutkie jak dymek z papierosa, nawet pseudokolekcjonerstwo "rozgrzesza", czyniąc z ludzi zwykłych złodziejasków. (...)

Świadomość społeczna przeszłości i jej dokumentów jest sprawą powiedziałbym podstawową (w programie prawidłowego rozwijania myśli konserwatorskiej. Niby robi się u nas w tej dziedzinie sporo, a jednak wciąż jeszcze całe społeczeństwo jest na tryglodytycznym poziomie owej świadomości. Jeśli ruiny zamku w Świeciu (i dziesiątki innych ruin zamkowych) służyły latami całymi mym rodakom za bezpłatny wychodek, jeśli pełnię szczęścia odczuwają ojcowie miast, gdy im się tylko uda wyburzyć co ładniejsze i co sądziwszy kamieniczki (...) no to chyba znaczy to tylko jedno: społecznej świadomości ochrony zabytków w kraju naszym nie ma, choć podobno dumni jesteśmy z warszawskiej i gdańskiej "starówki" i choć podobno posiadamy "polską szkołę konserwacji". (...)

#### Załącznik nr 3

J. Smosarski w recenzji pt. "W kręgu ikony" omawia książkę Włodzimierza Sołouchina "Spotkania z ikonami" (Wyd. Literackie, Kraków 1975, nakład 5 tys. egz.). Usunięto podkreślone fragmenty:

"... Autor - dziennikarz z zawodu, a z zamiłowania historyk sztuki, pisze o swoim zafascynowaniu sztuką cerkiewną i o peregrynacjach po różnych zapadłych dziurach, gdzie w porosłej łopianem kaplicy omentarnej czy w cerkwi przerobionej na magazyn można jeszcze czasem wyszperać "czarną deskę", na której spod werniksu, kopcia i brudu prześwituje twarz Bogarodzicy. (...) "Opowiadają, że w Niżnym Nowogrodzie, w pierwszych latach rewolucji na stacji kolejowej wykryto dwa wagony załadowane starymi ikonami. Zameldowano, o tym komus z okręgowej (lub wówczas jeszcze gubernialnej) władzy.

Co? Ikony? Jakże znowu ikony? Po co? Spalić!"

Nie lepszy los spotkał wiele cerkwi. Z tych, które przestały pełnić swoją funkcję, nie każda zasługiwała na ochronę jako dzieło sztuki i architektury, a nowym użytkownikom potrzebne było pomieszczenie na magazyn, potrzebny był budulec i drzewo. Ale przecież...



Oddajmy znowu głos autorowi, który dowiedziawszy się, że w jego rodzinnej wsi zamknęli cerkiew i wkrótce przejął ją kołchozowi na składnicę, jechał tam z nadzieją ocalenia czegoś dla swoich zbiorów.

"Przewodniczący rady gminnej powierzył mi klucz na jedną dobę, z tym, zebym nie wzbudzając zainteresowania swych sąsiadów wszedł do cerkwi, nie spiesząc się, obejrzał ją, i jeśli coś mi się spodoba, zabrał.

I oto jestem sam jeden, w ściszonej, lecz mimo to dźwięcznej cerkwi.

Na podłodze poniewierają się karty, które wypadły z książki. Trudno stąpać, zeby pod nogą nie zachrzęściło szkło. Dwie duże ikony, z których zostały zdjęte srebrne sukienki, też leżą na podłodze, jedna z odłupanym brzegiem. Wystarczyło jednego spojrzenia na te ikony, ażeby określić je: obie z siedemnastego wieku. Podniosłem je i ustawiłem bliżej wejścia, przy ścianie.

No dobrze, myślałem sobie, dla ludzi niewierzących cerkiew nie może być przedmiotem szacunku. Załóżmy, że pojęcia i poczucia piękna nie mają. Również można zapomnieć i o tym, że we wszystkim, poczynając ksiąg i kończąc na polichromii na powale, włożona jest praca ludzka. Ale przecież tutaj, w tych murach brali ślub ojcowie, dziadowie, pradziadowie, matki wielu wielu z dotychczas żyjących. Czy miejsce, gdzie brali ślub nasi rodzice, nie warto jest lepszego doń stosunku?

W tych murach przebywali złożeni do trumny nasi ojcowie, dziadowie i pradziadowie. Czy miejsce związane rytualnie z pogrzebem naszych rodziców i przodków nie zasłużyło na lepszy stosunek?

Opinia o stanie zabytków w Polsce nie byłaby w pełni prawdziwa, gdyby ją opierać tylko na wybranych publikacjach "Życia Warszawy" z cyklu "Zabytkom na odsiecz". Podobny charakter - interwencyjny - często niestety "post factum" - nosiła także książka Sołouchina, która nas tu interesuje. Wiadomo, jakie problemy mają urbaniści właśnie z zabytkami, zwłaszcza tam, gdzie powinny one być żywą tkanką w organizmie nowoczesnego miasta. Były błędy i fałszywe decyzje, w wyniku których poszły pod kilof rzekome zawalidrogi, rzekome, bodźis na tym miejscu ledwie jakiś skwerek czy zgoła betonowa pustka. Ale spotyka się rozwiązania niezwykle udane, jak choćby wkomponowanie pięknego zespołu cerkiewek w najbliższe otoczenie hotelu "Rosyja" w Moskwie. Rekonstruuje się z pietyzmem architekturę sakralną Suzdala, Włodzimierza, Pskowa...



Ryszard Krynicki

## W I E R S Z E   Z   N O T A T N I K A

## WYDAWAŁO SIĘ

A już się wydawało, że cała Polska  
nabierze wody w usta  
i znowu będzie od morza do morza

3.II.76

## N AJ W Y Ż S Z Y   C Z A S

Ten biedny mężczyzna  
kilkakrotnie wraca, sprawdzając  
czy naprawdę zamknął drzwi na klucz;  
najwyższy czas,  
aby i okna, i drzwi, krany, kurtki i żelazka  
zaczęły wydawać zaświadczenia  
wręcz całe gazety lojalności

X.76

## C I C H O

Cicho, sza, korniku  
cenzor pisze  
o wolności słowa

15.II.77

## T O   M O J E   S E R C E   S I Ę   T A K   D O B I J A

Dobijam się do drzwi mojego kraju,  
do drzwi ojczyzny  
zabitych na głucho;

moja ojczyzna nie chce zostać moją matką,  
woli być brzemienna;

serce ubogiego  
zamyka się przed uboższym

26.VII.77

Ryszard Krynicki



Leszek Kołakowski

W Y C H O W A N I E   D O   N I E N A W I S C I  
W Y C H O W A N I E   D O   G O D N O S C I

(Przemówienie wygłoszone 16 października 1977 roku we Frankfurcie nad Menem z okazji przyznania autorowi Nagrody Pokojowej Stowarzyszenia Księgarzy Niemieckich)

Zaszczytne to wyróżnienie stawia mnie w jednym szeregu z ludźmi, w obliczu których, rzecz jasna, pycha mnie rozpięra, ale także niejakie poczucie niewygody. Są w tym szeregu osoby, którym szczególnie powinniśmy być wdzięczni jako przewodnikom duchowym. Kiedy myślimy o ludziach takich, jak Albert Schweitzer, Martin Buber, Karl Jaspers, Sarvepalli Radhakrishnan, Janusz Korczak - by wspomnieć kilku z nieżyjących - wdzięczność nasza z tej racji nade wszystko ku nim się zwraca, że uczyli nas oni, jak, nie unikając walki, można zarazem być wolnym całkiem od nienawiści, języką nienawiści się wyrzec. Otdź sprawie nienawiści właśnie chciałem kilka słów poświęcić.

Chociaż nie jest moim zamiarem wdawać się teraz w kwestie aktualnie polityczne, to jako Polak tak przez niemieckich przyjaciół wyróżniony, nie mogę powstrzymać się od myśli, że każda sposobność jest dobra, aby sprzyjać sprawie niemiecko-polskiego pojednania, a to nie tylko w negatywnym sensie, tj. nie tylko by masę narosłej historycznie nienawiści między narodami naszymi usuwać, ja uważam pojęcie Europy Środkowej jako kulturalnie związanego obszaru bynajmniej nie za przestarzałe, odważam się też wierzyć, że wznowienie takiej przestrzeni kulturalnej, wolnej od panowania, jest zarówno możliwe, jak też godne starań, a nawet że może się okazać, iż jest to sprawa dla losów Europy rozstrzygająca. Również o tym myślę, kiedy robię tych parę uwag abstrakcyjnych o zjawisku nienawiści.

To, że świat bez nienawiści jest wart pożądania, jest samo w sobie hasłem tak mało pożywnym, że trudno znaleźć kogoś, kto by mu nie przytaknął, co samo już, niestety, świadczy o tym, że hasło to bez bliższych wyjaśnień niewielką ma wartość. Ale że taki świat, jeśli jest w ogóle możliwy - możliwy jest tylko przez taką walkę, która dziś bez nienawiści się toczy, albo inaczej mówiąc, że jest on tym bardziej prawdopodobny, im mniej nienawiści używa się w obecnych konfliktach - to już bynajmniej za oczywiste nie uchodzi. Wszystkie prawie przejawy propagandy nienawiści ukazują się przecież jako sposoby zbudowania braterskiej wspólnoty na świecie, a nienawiść do zła (albo do tego, co każdorazowo za zło bywa określane) czyni automatycznie nienawidzącego świętym, zupełnie jak gdyby chodziło tu o przykład logicznego prawa podwójnej negacji: kto nienawidzi rzeczy świętych, sam jest święty. Zgoła śmiesznie brzmi nawet powiedzenie, że nienawiść, bez względu na przedmiot, rodzi zło. Kto przypomina proste słowa Spinozy "nienawiść nigdy nie może być dobra", kto powtarza przykazanie św. Pawła z listu do Rzymian: "Złe dobrem zwyciężaj" (Rom. XII, 21), ryzykuje wręcz, że się jako naiwny kaznodzieja na pośmiewisko wystawi albo że jako wróg lepszego świata na nienawiść zasłuży.

W związku z tym powtarzam zasady, które wolno nam uważać za ekstrakt tego, co nie tylko najlepsze, ale także najbardziej nieodzowne nam i najbardziej niezmiennie w moralnej nauce wielu wielkich proroków religijnych i wielu wielkich filozofów:

- Że nie istnieje prawo do nienawiści, bez względu na okoliczności,
- Że nonsensem jest powiedzenie, iż ktoś zasługuje na nienawiść,
- Że jest w naszej mocy żyć bez nienawiści,
- Że nienawiści się wyrzec, nie znaczy wcale wyrzec się walki,
- Że każde uprawnienie uprawnieniem być przestaje, skoro się usiłuje przez nienawiść utwierdzić, albo też, co na jedno wychodzi, że jest to działanie sa-



moniszczące - nienawiść zaprzęgać do służby sprawiedliwości.

Są to myśli z tradycji dawnej wzięte, niektóre z nich są najoczywistej sądami wartościującymi, inne zaś opierają się na doświadczeniu. Można wszelako przeciw nim wysuwać zarówno moralne, jak rzeczowe argumenty. Argumenty te dają się sprowadzić do trzech: po pierwsze, nienawiść jest zjawiskiem naturalnym, przeto nieuchronnym, po wtóre, nienawiść jest skuteczna w każdej walce, a więc również w walce o sprawiedliwość, po trzecie, nienawiść bywa moralnie usprawiedliwiona, istnieją ludzie i rzeczy godne nienawiści.

Argumenty te wymagają odpowiedzi.

Co do pierwszego. Możliwe jest wprawdzie, że nienawiść jest zjawiskiem naturalnym w tym samym znaczeniu, co wszystkie pasje życiowe. Jeśli jednak miało to znaczyć, że nikt nie jest zdolny żyć bez nienawiści, to taki sąd byłby z pewnością na mocy doświadczenia fałszywy: jakkolwiek nieliczni byliby ci, którzy nienawiścią nigdy się nie powodują, istnieją i istnieli przecież tacy ludzie. Jeśli natomiast znaczy ten sąd, że większość, albo i przytłaczająca większość nas jest zbyt słaba, by się od nienawiści uwolnić, to może to być prawdą, ale ta prawda nie ma znaczenia dla moralnej oceny nienawiści i nie pomniejsza w niczym prawomocności nakazu, który żąda, byśmy bez nienawiści żyli. Wszystkie nakazy moralne są do pewnego stopnia przeciwne naturze, byłyby wszakże zbyt słabe, gdyby ich żądania tak czy owak spełniane były mocą instynktu. Nikt z nas nie staje się mniej złym to, że tak wielu z nas w złem żyje, skoro skądinąd wiadomo na pewno, że jest w naszej mocy powściągać pasje przyrodzone. Bylibyśmy niechybnie w gorszym położeniu, gdybyśmy się zgodzili z mniemaniem Lutra, wedle którego Bóg daje nam przykazania, którym w ogóle nie podobna nam sprostać, wedle którego zatem Bóg domaga się od nas wyczynów najzwyczajniej niewykonalnych. Jeżeli założymy, że prawo moralne zasadniczo przekracza nasze uzdolnienia, wtedy różnice moralne między ludźmi muszą niemal całkiem zniknąć, bez względu na to, jakbyśmy się zdawali na boskie miłosierdzie. Jakoż chciałbym Lutrowskiemu zwątpieniu przeciwstawić zasadę kantowską: skoro wiemy, że wedle prawa moralnego powinniśmy coś uczynić, to wiemy zarazem, że to uczynić możemy, a nawet tylko stąd, że powinniśmy, dowiadujemy się, że mamy moc to zrobić, choć niekoniecznie wiemy, czy w chwili próby faktycznie naszym obowiązkiem sprostamy. Nie mamy żadnej niezawodnej wiedzy co do tego, czy świat bez nienawiści jest w ogóle możliwy, czy też są przyczyny naturalne, które go wykluczają. Jeśli jednak nie antycypujemy takiego świata na serio, jeśli jesteśmy przeświadczeni, że nienawiści na ziemi nigdy wykorzenie się nie da, to przez to nasza własna nienawiść, to znaczy to, co w każdym z nas się tli, nie doznaje wcale usprawiedliwienia. Zło na świecie być musi, ale biada temu, przez którego przychodzi - również to ostrzeżenie należy do najtrwalszych cegieł w budowlu cywilizacji chrześcijańskiej. Bez niego, to znaczy bez przekonania, że żadne statystyka zła nie umiawnia zła we mnie, pojęcie odpowiedzialności byłoby próżne i zbędne.

Jeśli przeto bezsporna jest rzeczą, że nienawiść rodzi nienawiść, to jest to fakt naturalny, nie zaś bezwarunkowa konieczność, której tak samo nie mogliśmy przeciwdziałać, jak faktowi, że swobodnie puszczone ciała spadają, miast się wznosić do góry. Jeśli więc pyta kto: "Czyż mamy oczekiwać, że ofiary Himmlera lub Berii nie będą nienawidziły swoich oprawców, że ludzie torturowani, poniżani, pozbawieni godności, wolności i praw elementarnych, będą wolni od nienawiści do swoich ciemiężców i katów, że wszyscy będą naśladować Chrystusa?" odpowiedziałbym: Nie, czegoś takiego oczekiwać nie możemy. A jednak nadal pytanie pozostaje otwarte, czy nawet w tych warunkach, nieludzkich i okrutnych, mamy uprawnienie do nienawiści, czy nienawiść nasza, jakkolwiek byłaby naturalna i oczekiwana, jest także moralnie prawomocna, to znaczy czy są ludzie, którzy na nienawiść zasługują.

Otóż wydaje się, że, ściśle biorąc, na nienawiść nie podobna zasłużyć tak samo jak na miłość. Ani jedna ani druga nie dają się wyprowadzić z reguł sprawiedliwości. Zasłużyć na cokolwiek można tylko mocą prawa, ale żadne prawo nie może żądać, narzucać albo wymuszać miłości, a więc nienawiści również nie. Jedna i druga dawane są darmo, bez podstaw prawnych.



Ale można zapytać: czy nie ma ludzi, spraw, ruchów, systemów, które na mocy sprawiedliwości zasługują na całkowite zniszczenie i czy nienawiść nie jest tym właśnie, co dążenie do zupełnego unicestwienia? Na to odpowiedziałbym tak: Są z pewnością ludzkie urządzenia, instytucje, ruchy, systemy polityczne, opinie, może i ludzie zasługujący na zniszczenie. Nienawiść jednak nie jest tożsamością z pragnieniem zniszczenia, a tym mniej - z przekonaniem, że coś na zniszczenie zasługuje. Nienawiść nasza zwraca się przeciw ludziom i grupom ludzkim, przeciw narodom, rasom, klasom, partiom, przeciw bogatym albo biednym, przeciw czarnym albo białym - nie przeciw abstraktom, jak systemy polityczne i opinie. Odium peccati, nienawiść do grzechu, to metafora: możemy nienawidzić tylko grzeszników, w tym, być może, nas samych. Nienawiść to więcej niż dążenie do zniszczenia. Podobnie jak miłość zawiera ona pewien rodzaj nieskończoności, nienasyconie. Nie dąży po prostu do zniszczenia, ale do nieustającego cierpienia, równa się przeto pragnieniu zostania diabłem, a natura diabła na tym właśnie polega, iż nie może zaznać nasycenia w dziele niszczenia.

Tym samym jednak odpowiedzieliśmy w części na drugiem pytanie: czy nienawiść może być kiedykolwiek skuteczna w służbie dobrej sprawy i w tym znaczeniu święta? Że w odpowiedzi natłucza się nam jednoznaczne "nie", widzimy, kiedy stawiamy sobie pytanie dodatkowe: dlaczego wszystkie systemy totalitarne potrzebują nienawiści jako niezodzownego środka? Potrzebują jej nie tylko, by zapewnić sobie pożądaną gotowość do mobilizacji, i nie tylko, a nawet nie głównie po to, by skanalizować, przeciwko innym obrócić i tak we własną broń przekuć ludzkie zrozpaczenie, beznadziejność i nagromadzone masy agresywności. Nie, zapotrzebowanie na nienawiść wyjaśnia się tym, że niszczy ona wewnętrznie tych, co nienawidzą, że czyni ich bezbronnymi wobec państwa, że równa się duchowemu samobójstwu, samozniszczeniu, a przez to wydziera korzenie solidarności również między tymi, co nienawidzą. Wyrażenie "ślepa nienawiść" jest pleonastyczne - nie ma innej. Ponieważ - przynajmniej w postaci doskonałej - wypełnia ona całą przestrzeń duchową człowieka, w czym jest także do miłości podobna, mogłaby nienawiść uchodzić na pozór za środek osobnej integracji. Że rzecz się ma przeciwnie, ukazuje to z jednej strony asymetrię nienawiści i miłości, z drugiej strony ujawnia racje, dla których żaden totalitaryzm nie może z wychowania do nienawiści zrezygnować. Ponieważ czysta negatywność nienawiści unieruchamia wszelkie porozumienie ludzkie, rozkłada ona wewnętrzną spójność osobową i jest dlatego niezastąpiona jako sposób duchowego rozbijania ludzi. Nasza ingerencja wewnętrzna dochodzi do skutku w porozumieniu z innymi, w zaufaniu i przyjaźni, nigdy w skierowanej ku sobie, w sobie monadycznie zamkniętej próżni "Ja". Wszystko przeżerająca energia nienawiści udaremnia wszelkie porozumienie i przez to rozkłada mnie duchowo wcześniej, nim jestem zdolny rozbić "mojego" wroga. W tym znaczeniu wolno powiedzieć, że żyć w nienawiści to żyć w śmierci i że nienawiść, która w sposób trwały owłada duszą, przemienia się w coś takiego, jak podwójnie wynaturzona namiętność samonekrofilicyzmu. Ruchy i systemy totalitarne wszelkich odcieni potrzebują nienawiści nie tyle przeciw zewnętrznym wrogom i zagrożeniom, ile przeciwko własnemu społeczeństwu, nie tyle, by utrzymać gotowość do walki, ile by tych, których wychowują i wzywają do

nienawiści, wewnętrznie spustoszyć, obezwładnić duchowo, a tym samym uniezdolnić do oporu. Nieustające, bezgłośne, lecz całkiem jasne orędzie totalitaryzmu powiada: "Wy jesteście doskonali, tamci są zgnili ze szczerem. Już dawno żylibyście w raju, gdyby złość waszych wrogów nie stała na przeszkodzie". Zadaniem tego wychowania jest nie tyle zbudować solidarność w nienawiści, ile wytworzyć w wychowankach poczucie samozadowolenia i przez to uczynić ich moralnie i intelektualnie bezsilnymi. Samozadowolenie w nienawiści ma mi dać uczucie, że jestem szczęśliwym posiadaczem wartości absolutnych. Tak to nienawiść kulminuje w końcu w groteskowym samoúbóstwieniu, które, podobnie jak u upadłych aniołów, jest tylko odwrotną stroną rozpacz.

Kiedy kochamy prawdziwie, jesteśmy bezkrytyczni wobec przedmiotu naszej miłości. Kiedy nienawidzimy prawdziwie, jesteśmy bezkrytyczni zarówno względem nas samych, jak względem tego, czego nienawidzimy, albowiem być krytycznym to umieć różnicować, a nienawiść odbiera nam wszelką zdolność do różnicowania.



Przeciwstawia naszą totalną i bezwarunkową słuszność równie totalnej, bezwarunkowej i nieuleczalnej nikczemności innych.

Oto jest tajna broń totalitaryzmu: zatruć nienawiścią całą tkankę ducha człowieka i przez to pozbawić go godności. W moim szale zniszczenia sam zniszczeniu ulegam, w moim samozadowoleniu, w mojej niewinności godność moja nie może ocaleć, ginie zarówno spistość moja własna, jak porozumienie i solidarność z innymi. Nie ma prawie czegoś takiego, jak solidarność w nienawiści, nienawidzący nie stają się przyjaciółmi przez to, że mają wspólnego wroga do nienawiści. Poza chwilami bezpośredniej walki są również sobie obcy albo wrodzy. Nie ma też bodaj społeczeństw, w których wrzałoby tyle podziemnej, ale i ujawnionej nienawiści, jak te, które jedność swoją budują na nienawiści i obiecują nam zinstytucjonalizowanie braterstwa. Powiedzieć zaś, iż należy nienawiść odpłacać nienawiścią, to powiedzieć, że po to, by w sprawie dliwej walce zwyciężyć, trzeba najpierw utracić racje sprawiedliwości własnej walki. Bynajmniej tak być nie musi, że bez nienawiści jesteśmy w walce bezsilni, siła w walce mniej z własnej nienawiści pochodzi, a bardziej z tchórzostwem przeciwnika. Nasze tchórzostwo jest też naszym wrogiem głównym, a wyrzec się nienawiści i fanatyzmu nie znaczy wcale wycofać się z placu boju. Możliwe, że wielu z nas nie potrafi inaczej własnego tchórzostwa pokonać, jak przez fanatyzm i zaślepienie. Jeśli jednak wyciągniemy stąd wniosek, że trzeba mobilizować nienawiść do skutecznej walki, natychmiast prawomocność tej walki stawiamy pod znakiem zapytania.

Wychowanie do demokracji to wychowanie do godności, to zaś zakłada nieodzielnie jedno i drugie: gotowość do walki i wolność od nienawiści. Swoboda od nienawiści, osiągnięta przez ucieczkę od konfliktów, to cnota pozorna, nieczym czystość kastrata. Wszystkim konfliktom ludzkim właściwy jest wszelako mechanizm samonapędowy i samowzmacniający: nic zwyczajniejszego i trywialniejszego, aniżeli niezmierny w sobie konflikt, który przeradza się we wrogość śmiertelną, ponieważ sposób jego rozwiązania stwarza nowe i coraz ostrzejsze konflikty. Duch koncyliatorski i gotowość do kompromisu bez tchórzostwa i bez konformizmu, zdolność do usuwania nadmiaru wrogości bez czynienia ustępstw w tym, co się uważa za jądro sprawy, jest to sztuka, która z pewnością nikomu bez trudu nie przychodzi jako dar naturalny. Od naszej umiejętności przyswajania sobie tej sztuki zależy wszelako los demokratycznego ładu na świecie.

Przeciwstawiają się sobie dwie formy główne wychowania: można je schematycznie określić jako metodę edukacji kalwińskiej i jezuicką. Na historyczną dokładność tych nazw, które dziś brzmią anachronicznie, nie będę kładł nacisku. Chodzi raczej o ukazanie dwóch przeciwstawnych teorii natury ludzkiej, z których każda podsuwa własne prawidła wychowawcze. Doktryna kalwińska wychodzi z założenia, że ludzka natura jest beznadziejnie zepsuta, że zbawienie zależy od darmo dawanej, niezasłużonej i dla oczu ludzkich irracjonalnie rozdzielanej łaski, wychowanie tak samo nie może wydobywać potępionych z otchłani zatraty, jak nie może tam strącać powołanych do chwały. Stąd też zadania wychowania nie na tym polegają, by ludziom na drodze zbawienia pomóc, ale na tym raczej, by przymusem pomniejszyć masę czynów obrażających Boga; ale tylko dla Boga, nie dla ludzi. Sztywność nieodwołalnej podwójnej predestynacji czyni wysiłek wychowawczy sprawą beznadziejną lub zbytęcną. Doszczętne zepsucie natury ludzkiej czyni ją diabelską i godną nienawiści, a potrzeba trzymania w ryzach zewnętrznej grzeszności dopuszcza wszystkie środki. Jezuicka filozofia zakłada, przeciwnie, że nikt na ziemi nie jest znieprawiony w sposób beznadziejny i absolutny, a także, że wszystkie naturalne popędy i energie zawierają w sobie coś dobrego i mogą być skierowane ku dobru, tak że pomoc nadprzyrodzona znajduje zawsze coś, o co się może zaczepić. Bez względu na to, jak ta - nie inaczej zresztą, niż wszystkie zasady, które życiu sprzyjają - mogła być i była faktycznie nadużywana, zawiera ona przecież, jak myślę, postawę zasadniczo życziwą względem ludzi. Zachęca nas, byśmy jak długo tylko można nie wyrzekali się nadziei na porozumienie z innymi, nie pozwala nam być przekonanym bez wątpliwości, że ktokolwiek wciela zło czyste, osłabia przeto gotowość do nienawiści.

Zjawisko nienawiści ma trzy wymiary: moralny, polityczny, religijny.



Chciałem tylko wyrazić przeświadczenie, że moralna i polityczna strona nienawiści nie przeczą sobie wzajem, to znaczy że nie ma wypadków, kiedy nienawiść mogłaby być moralnie potępiona i zalecona zarazem jako przydatny środek polityczny, by otworzyć drogę świątu wolnemu od nienawiści: środek uświęca cel. Jednakowoż tradycja religijna, przynajmniej w kręgu naszej kultury, domaga się czegoś więcej niż rezygnacji z nienawiści: mamy ponadto dobro świadczyć naszym prześladowcom, modlić się za wrogów naszych. Czy i to żądanie, gwałt naturze czyniące, może uchodzić za powszechną powinność? Na to tyłkonajbanalniejsza odpowiedź się nasuwa: można być pewnym, że jest i zawsze będzie bardzo niewielu takich, którzy prawdziwie do tego wymagania dorosli, ale na barkach tych nielicznych wspiera się gmach naszej cywilizacji i to niewiele, do czego my jesteśmy zdolni, im zawdzięczamy.

Na wszystkich obszarach świata ludzkiego, zarówno tych, które przywodzą na pamięć hortus deliciarum, jak i tych, co przypominają raczej kolonię karną, zderzające się ze sobą, wzajem się podniecające, naładowane nienawiścią pretensje i resentymenty zdają się w każdej chwili grozić nam wszechniszcząca eksplozją, z drugiej strony nasze zobojętnienie albo ucieczka od napięć obiecują nam łagodną, stopniową, ledwo zauważalną apokalipsę, poszukujemy tajemnej formuły alchemicznej na ogień czyszcowy, ogień, który oczyszcza i który przynosi ból tylko razem z nadzieją. Nikt nie może się chełpić, że odkrył taką formułę, domyślamy się wszelako niejasno, że nie całkiem na próżno się trudzimy, usiłując ją odnaleźć w naszej tradycji filozoficznej i religijnej. Stąpając po gruncie bagnistym i niepewnym, błądząc, zawracając, krążąc tu i ówdzie, mamy tylko, by przetrwać duchowo, nieliczne niezawodne znaki orientacyjne, które można w całości sprowadzić do prostych, od niepamiętnych czasów znanych. Zakazów i zakazów, a wśród nich i ten jest: gotowość i do walki bez nienawiści, duch pojednawczy bez ustępstw co do istoty sprawy.

W świecie wyładowanym nienawiścią, zawiścią i żądzą zemsty, w świecie, który - nie tylko wskutek ubóstwa natury, ile przez gargantuiczną naszą żarłoczność - zdaje się nam coraz ciasniejszy, nienawiść należy do tych zęb, o których wolno powiedzieć, że nie usuną ich żadne zabiegi instytucjonalne. W tym wypadku wolno nam, bez narażenia się na śmieszność, przypuścić, że każdy z nas, gdy w sobie to zło poskramia, przyczynia się do tego, by je poskramiać w świecie i tak niesie w sobie niepewną i kruchą antycypację znośniejszego życia na naszym statku szaleńców.

Leszek Kołakowski



## POCHWAŁA LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

(Fragmenty mowy wygłoszonej 16 października 1977 roku we Frankfurcie nad Menem na uroczystości wręczenia Leszkowi Kołakowskiemu Nagrody Pokojowej Stowarzyszenia Księgarzy Niemieckich)

- Zaangażowanie polityczne młodych Niemców, którzy na początku lat sześćdziesiątych skłaniali się "w lewo", wynikało nie z krytyki zachodniego systemu politycznego czy społeczno-gospodarczego - młodzież ta nie posługiwała się na ogół kategoriami "systemu" - ale rodziło się pod presją hipoteki moralnej, jaką niedawna przeszłość przekazała w spadku nie tylko starszemu pokoleniu, lecz także następnym. Narodowy socjalizm, jeszcze nie skatalogowany jako szczególnie przypadek ogólniejszego zjawiska "fasyzmu", jeszcze nie traktowany z akademickiego dystansu, należał do konkretnie przeżytej lub przeżywanej rzeczywistości: sprawa z narodowym socjalizmem była głównym czynnikiem kształtowania świadomości politycznej. Najbardziej palącym zadaniem politycznym - obok teoretycznych rozważań nad kwestią, jak do narodowego socjalizmu w ogóle mogło dojść - było przede wszystkim praktyczne spłacenie długu, albo, mówiąc ostrożniej, poszukiwanie jakiegoś porozumienia, może nawet pojednania, z ciężko doświadczonymi narodami ościennymi. (...) Ośrodkiem zainteresowań ówczesnej "lewicy" była, obok CSRS, przede wszystkim Polska. (...) Do źródeł, z których można było czerpać wiedzę o sąsiedzie, należało m.in. oficjalnie publikowane i rozpowszechniane za granicą pismo "Polen" ("Polska"), zawierające przegląd najważniejszych wydarzeń politycznych, społecznych i kulturalnych kraju. Na łamach tego pisma przedstawiano także młodego wielce obiecującego reprezentanta nauki polskiej i profesora filozofii, który zyskał już duży wpływ na młode pokolenie: Leszka Kołakowskiego.

Otóż Kołakowski od dziesięciu już lat nie wykląda w Warszawie, lecz w Berkeley, Montrealu, Yale i Oxfordzie, a mimo to czasopismo miało rację uznając go za czołowego przedstawiciela polskiego życia umysłowego. Jakkolwiek Kołakowski nie mieszka w Polsce, to przecież daje budzące niezwykle rezonans świadectwo odrodzonej po wojnie żywotności polskiego ducha, żywotności, której znamię jest nie ciasnota horyzontu narodowego, ale otwartość, związanie z całą tradycją i współczesnością Europy. Kiedy czytamy Kołakowskiego, jego świadome siebie obycie z filozoficzną tradycją Europy usuwa szybko na dalszy plan pytanie o narodowość tego filozofa. A przecież siła jego oddziaływania - również poza geograficznymi granicami kraju - polega na tym, że wzbogaca on nasze życie kulturalne właśnie jako polski patriota: patriota bez najlżejszego nalotu nacjonalizmu, bez cienia resentymentu w stosunku do Niemiec, choć z racji własnych przeżyć i przeżyć tylu swoich rodaków miałby do tego dosyć powodów. Już z tej racji decyzja przyznania Leszkowi Kołakowskiemu Nagrody Pokojowej Stowarzyszenia Księgarzy Niemieckich wydaje się szczególnie szczęśliwa i pełna znaczenia. (...) Fakt, że niewzruszony nonkonformizm Kołakowskiego, jego przekora wobec wszelkich przejawów intelektualnej mody, znajduje u nas rosnący pozytywny oddźwięk, budzi uczucie satysfakcji. W niemałej mierze przyczynił się do tego swoim pisarstwem i działalnością sam Kołakowski.

Wszelako nietrudno pojąć, że myśliciela takiego jak Kołakowski uważa się w czasach polityki odprężenia między Wschodem a Zachodem za postać niewygodną. (...) Ale odprężenia, a nawet pojednania i pokoju nie można pojmować jako stanu bez napięć. Przeciwnie - zmierzające do porozumienia ujawnienie sprzeczności oraz odwaga nazwania i zanalizowania pododów tych sprzeczności niezależnie od oportunistów i mody, stanowi niezbywalny składnik rzeczywistego pokoju. Przy podobnym rozumieniu rzeczy całe życie i myślenie nonkonformisty Kołakowskiego czyni zeń tego, który toruje drogę do takiego pokoju.

Życie Leszka Kołakowskiego ukazuje się najpierw jako życie zaangażowanego



politycznie filozofa, walczącego o sprawę komunizmu w imię wyzwolenia społeczeństwa, którego jest członkiem, od biedy oraz materialnego i duchowego ucisku. "rudno się dziwić, że jego wojująca krytyka kieruje się początkowo przeciwko Kościołowi katolickiemu, najpotężniejszemu antagoniście partii komunistycznej w Polsce. (...)

Ta wrażliwość prowadzi Kołakowskiego do radykalnej, bezwzględnej krytyki własnej pozycji w chwili, gdy w popieranej przez siebie partii i jej polityce rozpoznaje te same mechanizmy ucisku, które tak zawzięcie zwalczał w Kościele. Jako duchowy inicjator Polskiego Października 1956 roku Kołakowski staje się symbolem buntu oraz przez parę lat żywego w całej Europie nurtu marksistowskiego rewizjonizmu.

Wyraźnie wychodzi przy tym na jaw, że Kołakowski był od początku komunistą o motywacji etycznej, że należy do tradycji tak zwanego socjalizmu etycznego, że źródłem jego politycznego zaangażowania nie był antagonizm narodowy lub klasowy, lecz pozytywna solidarność z ludźmi upośledzonymi materialnie i ideowo. Oba typy motywacji mogą się oczywiście łączyć, ale ich rozróżnienie jest dla całej historii socjalizmu niezmiernie ważne. To bowiem, z jakich побudek wybiera się socjalizm, mówiąc w uproszczeniu: z miłości czy z nienawiści, wpływa na sposób, w jaki chce się socjalizm realizować. Jeśli do poprzedniego ustroju żywi się wyłącznie uczucie wrogości i pogardy, a socjalizm pragnie jako jego przeciwnictwa, wówczas ludzie, którzy w zgodzie bądź w ugodzie z tym ustrojem działali, traktuje się zasady nie jako ewentualnych partnerów współdziałania, ale wyłącznie jako przeciwników, więcej - jako wrogów, których woli autorzy społecznego przewrotu nie będą uwzględniali, lecz zmuszą ją do zamknięcia, a w najlepszym razie nie wysłuchają. I tak wchodzi się na drogę ograniczenia wolności aż do jej totalitarnego unicestwienia. Okój takiego socjalizmu staje się czymś w rodzaju więzienia, udekorowanego pięknymi słówkami. Jest to pokój pozorny, który jedynie maskuje realne konflikty: pod powierzchnią nadal toczy się walka - i to w coraz ostrzejszych formach.

Kołakowski pragnie socjalizmu nie z nienawiści, wolność i socjalizm są dlań nierozłączne, a społeczny pokój, owo zawsze przedwcześnie ogłaszane usumienie trwających także i w socjalizmie sprzeczności, nie może być urzeczywistnione pod przymusem, lecz tylko przez pozytywną solidarność, ugruntowaną w bezwzględnej odpowiedzialności moralnej. Wolność i bezwzględnie obowiązująca moralność tworzą zatem pole napięć, w którym znajduje dla siebie miejsce nie tylko socjalizm, ale i filozofia Kołakowskiego.

Zjawisko odpowiedzialności zostało w toku teoretycznej a zarazem egzystencjalnej rozprawy z narodowym socjalizmem i stalinizmem wyniesione przez Kołakowskiego do godności podstawowego doświadczenia filozoficznego. Kołakowski twierdzi, że "pierwotny nasz związek ze światem" można interpretować jako "związek odpowiedzialności dobrowolnie podjętej". I dalej: "żyjąc, akcentujemy tę sytuację dobrowolnie, podpisujemy się, by tak rzec, pod owym fiat, mocą którego ukształtował się świat w takiej postaci, w jakiej go właśnie widzimy: a ponieważ owo fiat dotyczy całości, podpis nasz także ogarnia całość, po prostu dlatego, że nie można żyć częściowo, nie można tedy częściowo wybrać świata, w którym się żyje, ani historii, w której się uczestniczy. W tym znaczeniu jesteśmy dłużnikami we wszystkich miejscach, gdzie cokolwiek jest do spłacenia na świecie, i obchodzi nas wszystko, co może być zmienione, wszystkie rewindykacje i wszystkie wierzytelności". Ale jak należy owe długi, treść odpowiedzialnego działania, określić i uzasadnić? Czy Kołakowski, przystępując do rewizji stalinowskiego marksizmu, nie postukuje rewizjonizmu permanently, który podważa radykalnie wszystkie dogmaty, wszystkie tradycyjne prawdy i wartości? Czy wobec tego mówiąc o odpowiedzialności jako o doświadczeniu totalnym nie zbliża się Kołakowski do filozofii Sartre'a, dla którego odpowiedzialność jest również doświadczeniem podstawowym, które to doświadczenie wszelako odsłania sytuację człowieka jako bytu bez oparcia, rzuconego w świat, zatracającego się w świecie, przy czym wszelka próba skonkretyzowania odpowiedzialności zawisa w próżni? W tej mierze wszakże Kołakowski - w przeciwieństwie do Sartre'a - skłonny jest szukać rozwiązań fenomenologicznych:



"Jakoż imperatyw odpowiedzialności ciąży na nas prawdziwie tylko wtedy, gdy wiemy przynajmniej, że coś w ogóle jest wartością i jako takie stanowi przedmiot odpowiedzialności, choćby pozostawało niejasne, w których punktach naszego kontaktu ze światem wartości się realizują."

"Że coś w ogóle jest wartością..." tego właśnie w granicach racjonalnej argumentacji nie da się uzasadnić, trzeba dopiero przekroczyć te granice, do- trzeć do rzeczywistości transcendentnej. Zaczynając jako wojujący ateistyczny marksista, który w imię wyzwolenia człowieka głosi jego nieograniczoną auto- namię, przechodząc następnie do krytyki komunistycznej p r a k t y k i marksi- zmu, a wreszcie i głównych składników t e o r i i , odrzuconej jako że służy oną nie wyzwoleniu, lecz zniewoleniu człowieka, Kołakowski przebył w istocie długą drogę, zanim przyjął rzeczywistość transcendentną. Określa on tę rzeczywi- stość jako rzeczywistość mitu, to jest prawdy nieuwarunkowanej, na której gru- ncie wszelkie uwarunkowane, doczesne doświadczenia jest relatywizowane i któ- ra nadaje mu znaczenie.

Jeśli właśnie ten filozof, który przez długie lata walczył pod znakiem racjonalizmu przeciw mitologizacji świadomości i polityki, ogłasza oto mit nie- zbywalnym składnikiem ludzkiej kultury, musi to wzbudzić niepokój. W istocie zrozumieć opacznie myśl Kołakowskiego, jeśli przyjmiemy, że tym samym wyrzekł się on zasady racjonalistycznego wątpienia i radykalnej krytyki. Wątpienie to wszakże nie jest samo w sobie celem, lecz tylko środkiem przełamywania wszel- kich materialnych i duchowych usztywnień, jakie zagrażają współżycia ludzi wywierając na nich presję i dławiąc swobodę porozumienia. Wątpienie służy lu- dzkiej wspólnotce, ta zaś, aby nie rozpaść się pod naciskiem wewnętrznych sprzeczności, potrzebuje więzi, które łącząby ludzi, nie krępując ich wol- ności. Istnienie takich więzi można uzasadnić jedynie odwołując się do trans- cendentnej rzeczywistości mitu, mit wskazuje ludziom kierunek działania, albo- wiem podsuwa ponadczasowy wzorzec, ujawniający jakiś brak, organiczny niedo- bór w zastanym istnieniu, niedostateczność doświadczaną przez człowieka odpo- wiedzialnego jako wezwanie do spłacenia długu. W przeciwieństwie do projekcji historycznych albo wyobrażeń porządku, które mają rzekomo znajdować filozo- ficzne lub naukowe - czyli immanentne - potwierdzenie, a wskutek tego roszczą sobie prawo do wymuszania akceptacji ludzi także środkami totalitarnymi - mit łączy ludzi w wolności, ponieważ prawda jego ponadczasowego, preempirycznego wzorca nie może być immanentnie dowiedziona, nie może być przedmiotem teore- tycznego rozporządzenia, a przeto uznanie jej nie może być politycznie wymu- szone. "Funkcją świadomości mitycznej - pisze Kołakowski - jest przede wszyst- kim budowanie poczucia zobowiązania, poczucia zadłużenia wobec bytu, świad- omość ta potrafi tworzyć wzajemne związki rzeczywistej pomocy między dłużnika- mi i to związki zdolne stosunkowo skutecznie opierać się przemianom".

Kołakowski zdecydowanie odróżnia mit, który łączy ludzi we wzajemnej po- winności, od mitu, który głosi zaborcze cele albo przybiera formę utopii, któ- rej treść polegałaby na całkowitym spełnieniu indywidualnych lub zbiorowych roszczeń. Takie mity nie są w stanie ustanowić prawdziwej solidarności, nie dają bowiem podstawy do uznania norm, obowiązujących wszystkich ludzi i obej- mujących wszystkich jako równoprawnych członków wspólnoty. Nie do przeoczenia jest tu odejście od centralnego toposu marksizmu - roszczeń do zaspokajania potrzeb jako podstawy działania politycznego.

Okoliczność, że oto filozof odwołuje się do kategorii, której konkretną treść nadają religie i której prawdy ani ważności nie podobna f i l o z o - f i c z n i e uzasadnić, musi wywołać zakłopotanie. Akt ten okaże się wszela- kó zrozumiałą i w pełni konsekwentny, jeśli będziemy interpretowali go jako próbę kontynuacji myślenia filozoficznego w obliczu końca metafizyki. Myśl filozoficzna przetrwa, jeśli będzie starała się ujmować i objaśniać tradycyjne problemy ludzkiej egzystencji w ich dzisiejszej postaci, jeśli nie pozwoli, by problemy te zatraciły się w fachowej specjalizacji nauk. Pytanie o godny czło- wieka porządek polityczny prowadziło w historii filozofii i prowadzi dziś, przez pytanie o miejsce i cel egzystencji ludzkiej, do badania sensu i bytu świata w ogóle oraz jego ostatecznych podstaw. Wszelako wgląd we własne doś- wiadczenie historyczne zmusza dzisiejszą filozofię do wyznania, że człowiek



nie może opuścić perspektywy antropocentrycznej, a wszelka nadzieja filozoficznego dotarcia do absolutu niewarunkowanego taką perspektywą jest daremna. Jedynym sposobem uzyskania pewności pozostaje wówczas uczestnictwo religijne, które Kołakowski - świadomy, z jaką tradycją tym samym się łączy - objaśnia bliżej jako stosunek zawiązujący się w wierze, nadziei i miłości. Racjonalistyczne wątpienie zdaje przeto sprawę z istnienia nieprzekraczalnych dla filozofii granic. Wszelako ze względu na ustanowienie wolnej wspólnoty ludzkiej musimy przyjąć odpowiedzialność wobec absolutnie zobowiązującej instancji, i tym samym instancję tę uznać - a skoro tak, to nie możemy poprzestać na zdaniu sobie sprawy z granic filozofii.

Fascynacja religią i chrześcijaństwem (która u Kołakowskiego miała początkowo charakter przede wszystkim negatywny) znajduje tu dopełnienie w filozoficznej refleksji. Religia i chrześcijaństwo zostają włączone do całości kultury ludzkiej jako jej niezbywalne składniki, jednakże nie w swojej tak atakowanej początkowo postaci zamkniętego systemu dogmatów i organizacji kościoła, pretendującego do władzy świeckiej, lecz jako horyzont i zarazem adekwatny wyraz ludzkiej sytuacji, jej wewnętrznej sprzeczności i konfliktów, wynikających z faktu uczestnictwa człowieka w dwóch niewspółmiernych porządkach - skończonym i nieskończonym. Świadcstwo tej zasadniczej koncepcji człowieka daje na podstawie doświadczenia chrześcijańskiego dzieło jansenisty Pascala określane często jako wewnętrznie sprzeczne. Interpretując Pascala Kołakowski pisze: "Ludzka istota żyje jednocześnie w obu porządkach, które łącznie nie dają się zaakceptować, z których żaden nie może być zlikwidowany po prostu, a które oba przyciągają go ku sobie i domagają się świadczeń. S t a t u s chrześcijanina nie polega na tym, że dokonał on integracji obu porządków w spójnej całości". Konsekwentnie antropocentryczna filozofia Kołakowskiego abiega się tu z doświadczeniem chrześcijańskiego filozofa: dziedzina skończoności, autonomicznego rozumu, dyskursywnego myślenia w nauce i w filozofii nie może i nie powinna być przez człowieka po prostu odrzucona, ale też nie może i nie powinna mu wystarczać, wymiesienie jej do rangi jedynej i samowystarczającej prawdy absolutnej pozbawiło człowieka możliwości pojęcia swego istnienia jako sensownego, a zarazem ukonstytuowania wspólnoty na warunkach wolnej solidarności. Jedno i drugie wymaga odniesienia do absolutu, które daje tylko uczestnictwo w micie.

Zbliżając się do Pascala, Kołakowski oddala się zarazem od myśliciela, który spośród wszystkich współczesnych był mu najbardziej pokrewny - od Alberta Camusa. Wspólny obydwu jest zasadniczy impet etyczny, odwaga i radykalność w zadawaniu pytań, wejrzenie w ludzką skończoność, sprzeciw wobec dogmatyzmu i ucieczki w bezpieczną jedność. Obaj wychodzą też z założenia, iż człowiek nie może filozoficznie rozpoznać w świecie żadnego porządku, żadnej racji absolutnej, żadnego sensu. Jako że jednak Camus żąda, by człowiek żył tym tylko, co wie i nie opierał się na niczym, co wykracza poza jego wiedzę - widać tu wpływ tradycji kartezjańskiej - z nierozpoznawalności porządku lub sensu świata wynika dlań przekonanie o jego absurdalności. To przekonanie zawiera w sobie jako "pierwszą i jedyną oczywistość" wezwanie do buntu, to jest do obowiązku realizacji bezwzględnych wartości bez odwoływania się do transcendencji. Kołakowski natomiast przy całym szacunku dla odwagi przekonania o absurdalności świata, a więc i ludzkiej egzystencji, uważa, że taka postawa jest nie do utrzymania. Postawa taka bowiem nie tylko stawia człowieka wobec alternatywy rozpaczy i zagubienia, ale ponadto odbiera mu w s z e l k ą możliwość uzasadnienia treściowych określeń odpowiedzialności bezwarunkowo obowiązującej. Bezwarunkowość i absurdalna bezzasadność są nie do pogodzenia. Żyć tym tylko, co wiemy dzięki filozofii lub nauce nie możemy, do naszego istnienia należy uczestnictwo w micie.

Wszelako nauka i mit, tak jak porządki przez nie reprezentowane, nie są wobec siebie obojętne, ani też nie uzupełniają się wzajemnie. Każdy z tych sposobów upewniania się o prawdzie skłonny jest przyznać tylko sobie prawo do wyłącznej służności i całkowitego angażowania się człowieka. Uczestnictwo w micie dokonuje się przez akt wiary, któremu nie trzeba argumentów usprawiedliwiających i z tej racji może łącznie wyrodzić się w irracjonalną



przemoc, nauka ze swej strony żąda, by za prawdę uznawano to tylko, co przejdzie zwycięsko jej dyskursywne i empiryczne sprawdziany. Nauki i mit nie można wzajemnie do siebie sprowadzić ani sobie podporządkować, nauka i mit podważają się wzajemnie, bronią każde swego absolutnego roszczenia do prawdy i ważności, a tym samym dają świadectwo nierozwiązywalnej konfliktowości, niepewności, otwartości i niedookreśleniu człowieka, których źródłem jest jednoczesne uczestnictwo w porządku skończonym i nieskończonym. Te porządki dają człowiekowi o sobie znać w coraz to innych wariantach antagonistycznych skłonności: bądź w animalnej gnuśności, w potrzebie dostosowywania się, bądź to w dążeniu do kwestionowania danego sobie świata, bądź w lęku przed samym sobą, w potrzebie integracji i opieki, bądź to w lęku o utratę indywidualności, w potrzebie indywidualnego rozwoju i ekspresji, bądź w dążeniu do wspólnoty i solidarności, bądź to w potrzebie samostanowienia i ekspansji własnych możliwości.

Filozofowi przypada tedy ważne zadanie rozjaśnienia tej podstawowej sytuacji człowieka, przejawiającej się we wciąż innych postaciach, i uprzytomnienia jej innym, przełamania barier, które zagrażają ujawnianiu egzystencjalnych możliwości, pokonania jednostronności na rzecz tolerancji wobec odmiennych stanowisk, zarysowania i wyjaśnienia wszystkich możliwych albo historycznie zrealizowanych perspektyw nie w formie zamkniętej, ostatecznej syntezy, ale w ich światopoglądowej różnorodności i odrębności - aby wykształcić gotowość do przyjęcia innych, obcych myśli.

W tym celu filozof - ten właśnie filozof - wkłada często kostium błazna.

(...)

Wszelkie próby duchowego manipulowania człowiekiem, uwięzienia go w abstrakcyjnym systemie zostają wciągnięte w wir wątpliwości i sprowadzone do absurdu. Człowiek tkwi w polu napięć odmiennych a nawet przeciwstawnych porządków i roszczeń, nie może poddać się całkowicie żadnemu z nich i właśnie dzięki temu zyskuje wolność. Albowiem jego organiczna niedookreśloność i otwartość pozwalają mu dawać wciąż nowe i twórcze odpowiedzi na kierowane doń sprzeczne żądania. Dopiero dzięki tej aktywności może ustanowić się w ogóle jako żywa, niesprowadzalna do statusu gotowej rzeczy lub funkcji osobowość.

(...)

Takie ugruntowane w wolności, otwartości i niedookreśloności stosunki osobowe między ludźmi nie mogą wprawdzie nigdy na skutek konfliktowości ludzkiej egzystencji - tej konfliktowości, która rodzi wolność - złożyć się na stan harmonii. Toteż pokój, z którym wiązałyby się kuszące wyobrażenia ostatecznej harmonii i stanu spoczynku, nie ma w filozofii Kołakowskiego racji bytu. Ale zrozumienie względności wszelkich ludzkich roszczeń, w tym także projektów politycznych i społecznych, podważa uzurpatorską pewność siebie, która i dziś jakże często przyznaje sobie prawo do tego, by nie licząc się z wolnością ludzi inaczej myślących, przemocą przeprowadzać własne polityczne zamiary. Odbierając zaś przemocę jej teoretyczną legitymację, stwarza się warunki nadejścia rzeczywistego pokoju: takiego uregulowania stosunków społecznych, które ludziom zapewnią wolność oraz możliwość spotkania się i ocenienia wzajemnego z wyłączeniem gwałtu i fanatyzmu, przez prawne ograniczenie, nie zaś iluzoryczne obalenie panowania politycznego, ekonomicznego i społecznego. Pokój, jaki gwarantowałby odpowiadający tym zasadom ustroj społeczny, nie byłby czymś statycznym. Byłby nieustannym ruchem, dyskusją, twórczym wysiłkiem przezwycięzania konfliktów i stawiania im czoła w świadomości wspólnoty ludzkich zobowiązań wobec wartości, czepiających swą moc z rzeczywistości transcendentnej. Takie pojmowanie pokoju można uznać za centralny punkt myśli i działania Kołakowskiego. Nie jest to pokój dający wytchnienie i wygodę, ale jedyny pokój możliwy i ludzki, Leszek Kołakowski dodałby zaś może: jedyny pokój żywy i interesujący.

Gesine Schwan

Przełożyła Małgorzata Łukasiewicz



Jerzy Markuszewski  
Wiktor Woroszylski

LIST DO REDAKTORA "POLITYKI"  
dr M.F.Rakowskiego

w Warszawie

Dnia 16 października b.r. wręczono we Frankfurcie nad Menem Pokojową Nagrodę Księgarzy Niemieckich pisarzowi i filozofowi polskiemu profesorowi Leszkowi Kołakowskiemu. Jako bliscy Laureata zostaliśmy zaproszeni przez organizatorów do udziału w tej uroczystości, jednakże władze PRL - paszportowe i inne - uniemożliwiły nam wyjazd. "Zamiast" tego staliśmy się świadkami kolejnej żenującej kampanii części prasy krajowej przeciw naszemu przyjacielowi. Uczestniczy w tym, jak zwykle, "Życie Warszawy" i tygodnik "Kultura", ale również w Pańskim piśmie, w rubryce "Z prasy", ukazał się przegląd atakujących Profesora głosów, zredagowany tak, by nie było wątpliwości, że "Polityka" je popiera.

Kampania, o której mowa, nie jest czymś specjalnie zaskakującym. Już ponad pół roku temu, na pierwszą wiadomość o przyznaniu Kołakowskiemu Nagrody Księgarzy Niemieckich, "Życie Warszawy", piórem korespondenta w Bonn, operatywnie zareagowało: "Nagroda pokoju czy judaszowe srebrniki?" (13.IV.1977), w którym redakcja, acz wijąc się i klucząc, zmuszona była wyprzedzić się swojego falsyfikatu sprzed paru dni (9-10-11 .IV.1977) mającego za przedmiot rzekomy list L.Kołakowskiego i A.Michnika do osławionej "Deutsche National Zeitung". Widocznie złapanie fałszerzy za rękę (Kołakowski i Michnik wystąpili w tej sprawie na drogę sądową i uzyskali satysfakcję) było najbardziej niewybaczalnym grzechem pomówionego...

Dzisiaj nie przywołuje się już tych niewygodnych wspomnień z niedalekiej przeszłości. Nie mówi się również o judaszowych srebrnikach. Nowy styl polega na eleganckim wymieszaniu obłudnych pochwał "dawnego" Kołakowskiego i równie obłudnych ubolewań nad jego obecną degrengoladą. Jerzy Kasprzycki w "Życiu Warszawy" (a za nim - L.S. w "Polityce") tęskni więc za czasami, gdy wykłady profesora Kołakowskiego "odznaczające się spójnością wewnętrzną i precyzją, przyciągały rzesze studentów warszawskich. Prof. Kołakowski jest wysokiej klasy naukowcem, był w Polsce, w tamtym czasie, cenionym wychowawcą młodzieży akademickiej. Niestety z ostatnich wydarzeń wynika, że nauka traci stopniowo znakomitego filozofa..." Wypada przypomnieć, że "ceniony wychowawca" został w marcu roku 1968 w jednej chwili (telefonem z ministerstwa) pozbawiony katedry i wypędzony z Uniwersytetu Warszawskiego, podobnie zresztą jak wielu innych "cenionych" starszych i młodszych nauczycieli akademickich. Ani jeden z tych wypędzonych - filozofów, ekonomistów, prawników, biologów, filologów i innych - niezależnie od jakiegokolwiek swojej aktywności lub braku aktywności w następnych dziewięciu latach, po dziś dzień nie powrócił na uczelnię i wygląda na to, żeby miał powrócić w najbliższym czasie.

L.S. rozpoczyna swój przegląd prasy twierdzeniem, że prof. Kołakowski od prawie dziesięciu lat przebywa na emigracji, anonim zaś z "Kultury" wyjaśnia, iż nie śledził jego ewolucji naukowej i politycznej świetnie się kiedyś zapowiadającej... jako że Leszek Kołakowski zerwał kontakt z naszą rzeczywistością". Wypada więc z kolei przypomnieć, że Leszek Kołakowski pozostaje obywatelem polskim i przed dziewięciu laty wyjechał nie na emigrację, lecz - pozbawiony prawa wykonywania zawodu, to znaczy zarówno nauczania, jak publikowania swoich prac, stale inwigilowany przez tajną policję i bezkarnie łżony przez prasę - przyjął propozycje, których nie szczędziły mu najpoważniejsze uniwersytety zagraniczne, i podjął wykłady w Kanadzie, następnie w USA, a wreszcie skorzystał z zaszczytnego członkostwa All Souls College w Oxfordzie. Mimo wszelkich "odnow" i "napraw", nie doczekał się od tego czasu nie tylko restytuowania na warszawskiej katedrze, ale również odblokowania



złożonych w wydawnictwach krajowych książek, a wykazał w tym czekaniu wielką cierpliwość - "Obecność mitu" na przykład leżała w "Czytelniku" siedem bitych lat, zanim zdecydował się wydać ją za granicą... I tę sytuację określa się: "zerwał kontakt z naszą rzeczywistością!"

Nagrodę Księgarzy Niemieckich anonim w "Kulturze" określa z przekąsem jako "pokojową" (w cudzysłowie", a Kasprzycki w Życiu Warszawy" tłumaczy: "Ma ona nazwę "pokojowej", ale w istocie niewiele ma wspólnego z działaniem na rzecz utrwalania pokoju, honoruje bowiem te postęпки i te postawy, które utrudniają raczej pokojowe współżycie krajów o odmiennych ustrojach społecznych, które petryfikują zastarzałe stereotypy myślowe". Cóż, wypada przypomnieć, że przez wiele lat wypowiadano u nas zgoła inne opinie na temat Pokojowej Nagrody Księgarzy Niemieckich, ceniono ją wówczas, kiedy przypadła Albertowi Schweitzerowi, i wówczas gdy otrzymał ją Max Frisch, i zwłaszcza kilka lat temu, kiedy pośmiertnie przyznana Januszowi Korczakowi - odebrała we Frankfurcie oficjalna delegacja z Warszawy. Charakter nagrody zmienił się widać tego samego dnia, w którym niemieckie jury za godnego jej uznało profesora Leszka Koźlakowskiego.

Prosimy o rychłe opublikowanie na łamach "Polityki" - choćby i z redakcyjną polemiką - powyższych uwag, przypominających istotne chyba okoliczności, dziwnym trafem pominięte w dotychczasowej kampanii prasowej przeciwko naszemu przyjacielowi.

Z należnym poważaniem

Jerzy Markuszewski  
Wiktor Woroszyński

Warszawa, 6 listopada 1977



Zygmunt Mycielski

UTWOR ANDRZEJA PANUFNIKA WYKONANY W KRAJU!

Nie będę tu pisać o muzyce Andrzeja Panufnika - to mogę już publikować w "Ruchu Muzycznym", zwracając się tam do czytelnika obeznanego z muzyką. Tu podzielę się myślami, które nie muszą się liczyć z wymogami cenzury, zarówno tej urzędowej, jak i tej, może jeszcze gorszej, która zagnieździła się już w umysłach ludzi, władających u nas piórem! Bo przecie 99 procent ludzi pisze to co "może przejść" - tego co nie może przejść i tak nie warto pisać, czasami nawet nie warto o tym i myśleć.

Przyznać trzeba, że w muzyce jest stosunkowo mało tematów, które cenzura wykreśla. Wykreśla ona raczej nazwiska, nie tematy. Do takich wykreślonych od 23 lat nazwisk należało dotychczas nazwisko Panufnika. Jeżeli się gdzieś pojawiło, to przez niedopatrzenie, jakby przez pomyłkę - cenzury, rzecz jasna. Muzyka jego - poza kilku wykonaniami "Muzyki staropolskiej" na prowincji - też znikła z repertuaru koncertowego, a partytury z wystaw księgarskich. Panufnik, należący do "czołówki" naszych kompozytorów, przestał istnieć, nie było go. Znam te rzeczy, mógłbym nawet bardziej szczegółowo je opisać, bo i przed moją osobą kurtyna raz zapadła, to znowu nieco się uchyla. Przed Panufnikiem kurtyna była zaciągnięta możliwie szczelnie przez 23 lata, od kiedy wyjechał do Anglii. Ideałem by było, żeby taki człowiek wyparował, żeby go nie było, podobnie jak to się dzieje z głośnymi nazwiskami, których nawet w encyklopediach nie można znaleźć. Podobnie dzieje się z Romanem Palestriną, też kompozytorem, o którym u nas ani mysz nie wspomni, Orwell opisał już te sprawy...

Dla cudzoziemców (zachodnich!) są one niezrozumiałe, ale my tutaj nie powinniśmy się przyzwyczajać do takiego stanu rzeczy i - co gorsza - uważać to za coś zwykłego i naturalnego. A zwłaszcza nie powinniśmy współdziałać, w imię zasady "po co się wychylać, skoro to i tak nie przejdzie".

Co tu jednak mówić o rodakach, skoro, gdy miałem raz okazję zjeść obiad z królową matką, Elżbietą belgijską - a było to chyba w 1955 roku, w czasie konkursu chopinowskiego, po wyjeździe Panufnika - pierwszym pytaniem które mi owa królowa zadała było: "A dlaczego właściwie Panufnik stąd wyjechał?"

Przemknęło mi wtedy przez myśl: jakim cudem ona wie z kim rozmawia? A w dodatku, wyczułem w jej pytaniu ton wyrzutu. Pomyślałem więc, że nie darmo nazywają ją "czerwoną królową", ale, na dobitkę, że ona nic nie rozumie, chociaż jest niewątpliwie mądra. Trzeba było jednak możliwie szybko i do sensu coś odpowiedzieć, królowa nie powinna czekać. Nie bacząc na to, że naokoło wszyscy usiłowali dosłyszeć, o czym to z królową gaworzę, powiedziałem: "A pani - (bo do królowej mówi się po francusku "Madame") czy pani by się zdziwiła, gdyby muzyk belgijski wyjechał do Anglii czy Francji?"

Wtedy sytuacja się odwróciła. Teraz królowa zamilkła na chwilę. Też na krótką chwilę, bo mając taką pozycję nie milczy się długo. Usłyszałem: "Tak. Rzeczywiście. Nie pomyślałam o tym."

Dosyć o królach. Gorsze, że najbliżsi nieraz koledzy po fachu zadawali mi pytania świadczące, że rozpętane w prasie inwektywy, pomawianie o zdradę i nadużycia, robią swoje. Czy warto dodawać, że żadna replika na to nie mogła się nigdzie ukazać?

W środowiskach artystycznych zarzuty te nie były ani tak ostro, ani tak zjadliwie formułowane jak w notatkach prasowych. Pachniały jakimś zawiedzionym niby-patriotyzmem, i wiele osób zadawało to samo pytanie co królowa: dlaczego WŁASCIWIE Panufnik wyjechał? Przecie był dzieckiem szczęścia, wykonywany, honorowany i dekorowany. A przy ówczesnych, dusznych dyskusjach o formalizmie i realizmie socjalistycznym, tylko niektóre jego utwory były dotknięte owym surowym i niejasno ujmowanym zarzutem formalizmu. A - poza tym - już wkrótce potem - ostrze tych krytyk i zarzutów coraz mniej dotkliwie wcinano się w nasze życie muzyczne. Po co więc było wyjeżdżać? Tylko niewielu



rozumiało, że w jakiejś chwili można było mieć dosyć, nawet wtedy, gdy się było windowanym jako żywy przykład wolności, tolerancji i opieki państwa nad sztuką. Dość, że Panufnik wyjechał, zostawiając wszystkim, nie tylko swoje tutejsze sukcesy, ale i mieszkanie z fortepianem i wszystkimi osobistymi rzeczami. Wziął tylko kilka partytur i trochę materiału nutowego do nich, reszta tych materiałów miała tu pójść na przemiał.

O takich wyjazdach, które się nazywa ucieczkami, rozmawiałem parę razy z naszymi dygnitarzami na wysokich placówkach zagranicznych. Rozmawiałem nie tylko o wybitnych jednostkach, ale i o "zwykłych ludziach", przeważnie młodych, którzy dla zarobku, i ciekawości i dla poszerzenia pola swojej inicjatywy i energii wyjechali, nie chcąc jednak tracić kontaktu z krajem. Pragnęli więc, już będąc za granicą, uzyskać paszport konsularny.

Dygnitarze wzdychali: "Ma pan rację, ale jak to wytłumaczyć w Warszawie?" Więc i ja, z kolei, wzdychałem. A przecie nie dotykałem spraw politycznych, związanych z wyjazdami np. funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie. Chodziło mi o zwykłych ludzi, którzy w jakimś momencie postanowili zmienić miejsce pobytu.

Panufnik, jako jeden z naszych najwybitniejszych kompozytorów, nie należy do "zwykłych ludzi" - więc próbowałem argumentować, że przecie Modrzejewska, Paderewski czy bracia Reszke nie uciekli. Że patriotyzm nie musi być związany z miejscem pobytu. Ale z psychozą i jakąś trwogą przed swobodnym podróżowaniem, własnym wyborem miejsca zamieszkania, trwogą przed jakimiś "kontaktami" - z taką psychozą, obcą naszemu usposobieniu i tradycji - nie można było dyskutować. I nawet wśród wielu muzyków, którzy rzeczywiście dużo jeżdżą i cieszą się poparciem urzędowym, opinia o decyzji Panufnika była i jeszcze bywa - mówiąc oględnie - niechętna.

Nie będę się tu zajmował sprawą, jaką muzykę pisałby Andrzej Panufnik, gdyby był pozostał w kraju. Co by było, gdyby było, nie jest moją specjalnością, w rodzaju pytań, jaką muzykę pisałby Strawiński, gdyby pozostał w Związku Radzieckim, czy Prokofiew, gdyby był pozostał, we Francji. Tym systemem można by i zapytać, jaką muzykę pisałby Chopin, gdyby został w Warszawie.

Panufnik ma znakomite wykonania i płyty, z Menuhinem, czy pod dyrekcją Stokowskiego. Komponuje dużo. Bardzo pocieszającym objawem jest, że wreszcie wykonano jego "Universal prayer" na XXI "Jesieni warszawskiej", a potem, jak słyszałem, nasz znakomity dyrygent Bohdan Wodiczko wykonał jego "Symphonia rustica". Mam nadzieję, że to początek, że nasi muzycy i organizatorzy wprowadzą szereg nowych utworów Panufnika do naszego repertuaru koncertowego, a władze, które i nad repertuarem muzycznym sprawują kontrolę w wypadkach "wątpliwych politycznie" czy niepewnych, nie staną temu na przeszkodzie. Tych kilka słów w "Zapisie" nie będzie chyba w tym kierunku wykorzystane?! Bo naprawdę: szkoda wykreślać lekką ręką z naszej twórczości tego znakomitego kompozytora. Mam nadzieję, że odwiedzi nas on kiedyś, że będziemy tu mogli zestawić jego utwory z tym wszystkim, co od tego czasu u nas skomponowano. A w kolejce stoi jeszcze kilku innych, spośród których wymienię Romana Palestra. Jeżeli nawet jest on uważany za... byłego przestępcę politycznego - dlaczego? dlatego że pisywał swoje świetne kroniki kulturalne w "Wolnej Europie"? - to co ma to wspólnego z jego muzyką?

Ha - jak powiada Kisielewski: żza się kręci!...

Zygmunt Mycielski



Jan Józef Lipski

SPRAWA ZNISZCZENIA DZIENNIKÓW JERZEGO KORNAACKIEGO

19 sierpnia 1975 pisarz Jerzy Kornacki otrzymał z Prokuratury Warszawskiej list:

"Prokuratura Wojewódzka w Warszawie

W odpowiedzi na pismo Obywatela z dnia 15 07 1975 r. uprzejmie informuję, iż w związku z upływem terminu przechowywania akt w Prokuraturze akta w sprawie II 6 Ds 91/61 wraz z dokumentami, o wydanie których Obywatel wnosi, zostały zniszczone w dniu 16 lipca 1974 r.

Mgr Jerzy Dźbik  
Wiceprokurator Rejonowy delegowany  
do Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie"

O co chodzi?

Czytelnikom "Zapisu" nie trzeba na ogół tłumaczyć, kim jest Jerzy Kornacki. Ponieważ jednak od lat trwa uporczywe embargo na utwory tego pisarza i szczególnie ludzie młodzi, jeśli nie są polonistami, nie mieli okazji zetknąć się z twórczością Kornackiego, dostępną dziś tylko w bibliotekach i prywatnych księgozbiorach, lecz nie w księgarniach - parę informacji o osobie tego pisarza może być pożyteczne.

Jerzy Kornacki, ur. w r. 1908, debiutował jako literat w roku 1931. Związały był z prasą demokratyczną i lewicową. Pisywał m.in. w "Epoce", czasopiśmie radykalnej inteligencji, w organie rewolucyjnej lewicy artystycznej "Lewar" (tu ważny artykuł "Służba społeczna a walka klasowa") i w wielu innych periodykach społecznych i literackich. W r. 1933 podjął wraz ze swą żoną, Heleną Boguszewską, inicjatywę zorganizowania Zespołu Literackiego "Przedmieście", który postawił sobie za cel artystyczną i publicystyczną penetrację środowisk proletariackich i drobnomieszczańskich, metaforycznie nazwanych tu "Przedmieściem". Członkami zespołu byli ponadto Jan Brzoza, Halina Górską, Włodzimierz Jampolski, Anna Kowalska, Jerzy Kowalski, Władysław Kowalski, Halina Kraheńska, Józef Łobodowski, Gustaw Morcinek, Kazimiera Muszałówna, Zofia Nałkowska, Bolesław Piach, Sydor Rey, Adolf Rudnicki, Bruno Schulz. Dorobek zespołu, dziesięć tomów indywidualnych i zbiorowych, jest ważnym rozdziałem w historii literatury polskiej okresu międzywojennego. Zespół ponadto organizował dyskusje i seminaria, współpracował z Ligą Obrony Praw Człowieka i Obywatela, uczestniczył w protestach przeciw przyjazdowi J. Goebelsa do Warszawy, przeciw maltretowaniu więźniów politycznych itd. Duszą tych wszystkich poczynań byli inicjatorzy Zespołu, Boguszewska i Kornacki. W czasie okupacji uczestniczyli oni w konspiracyjnym życiu kulturalnym Warszawy. Po wojnie znaleźli się wśród tych przedstawicieli lewicowej inteligencji, którzy zrazu czynnie poparli nową władzę. Jerzy Kornacki był wówczas przez dwa lata dyrektorem Instytutu Pamięci Narodowej. Szybko jednak nastąpiło rozczarowanie i wycofanie się z czynnego życia społecznego. W r. 1956 Boguszewska i Kornacki wrócili do działalności, podejmując próbę odnowienia Zespołu "Przedmieście", zakończoną co prawda niepowodzeniem, lecz niezupełnie bezpłodną; organizowane wówczas przez Zespół zebrania dyskusyjne na terenie Związku Literatów Polskich odegrały pewną rolę w ukształtowaniu się świadomości lewicowej opozycji w środowisku pisarskim. Boguszewska i Kornacki byli też czynni w Klubie Krzywego Koła.



Dorobek pisarski Jerzego Kornackiego składa się częściowo z utworów pisanych wraz z Heleną Boguszewską, częściowo z własnych prac. Twórczość jego jest ważnym składnikiem literatury polskiej lat przedwojennych i powojennych.

W roku 1961 J. Kornacki został aresztowany pod zarzutem rozpowszechniania fałszywych informacji (ówczesny Mały Kodeks Karny). Tekstami inkryminowanymi były satyryczne wierszyki, rozsyłane anonimowo. Niektóre osoby mogły poczuć się nimi dotknięte - w takim wypadku jednak sprawa toczy się z prywatnego oskarżenia, co najwyżej prokuratura może podjąć kroki, zmierzające do ujawnienia anonimów. Tym razem, jak widać, postąpiono inaczej. W latach gomułkowskich chętnie posługiwano się MKK do walki z opozycją intelektualną. W późniejszych latach ofiarami tej tendencji padli pisarze January Grzędziński, Jan Nepomucen Miller, Janusz Szpotański, Melchior Wańkowicz, nieco wcześniej - geografka Hanna Szarzyńska-Rewska (uczestniczka zamachu na Kutscherę) i socjolog Anna Rudzińska. Jerzy Kornacki znalazł się najpierw w areszcie śledczym, a następnie w więzieniu w Potulicach.

Podczas rewizji "zakwestionowano" czternaście tomów Dzienników Kornackiego, prowadzonych w latach 1943-1961. Wyłączone je jednak z materiału dowodowego do osobnego postępowania. Po pewnym czasie zrezygnowano jednak z absurdalnej nowej sprawy sądowej o prywatne zapiski, nikomu nie okazywane z wyjątkiem żony. Dzienników jednak Kornackiemu nie zwrócono. O ich losie informuje przytoczone wyżej pismo z Prokuratury Wojewódzkiej.

Nie trzeba być historykiem, by ogarnęło wobec tego faktu przerażenie. Jeśli szewc z Pcimia będzie przez kilkanaście lat prowadził obszerny dziennik - jego dzieło powinno być z pietyzmem strzeżone, jako dzieło twórcze, dokumentujące kulturę środowiska. Co dopiero dziennik człowieka, który odegrał tak znaczną rolę w życiu społecznym i kulturalnym narodu! Mamy do czynienia z aktem bezprzykładnego wandalizmu - i zarazem z groźnym precedensem: odtąd każde dzieło twórcy, warsztatowe próby, materiały do pracy artystycznej i naukowej, gotowe utwory - może spotkać ten sam los. Wystarczy wszcząć postępowanie pod byle pretekstem, następnie umorzone choćby po kilku dniach.

J. Kornacki, sam chory i opiekujący się jeszcze bardziej chorą żoną - prowadzi życie samotnicze. Wiadomość o piśmie Prokuratury nie od razu dotarła do środowiska literackiego, szczególnie tą sprawą zainteresowanego. Dopiero 6 października 1976 r. na Walnym Zebraniu PEN-Clubu autor niniejszej relacji postawił wniosek o zaprotestowanie przez zgromadzonych przeciw takim praktykom władz i o zobowiązanie Zarządu, by wystąpił oficjalnie w tej sprawie. Po dyskusji uchwalono rezolucję:

Zgromadzenie Ogólne Polskiego PEN-Clubu po zapoznaniu się z przedłożonymi przez J.J. Lipskiego dokumentami związanymi ze zniszczeniem czternastu tomów Dzienników pisarza i członka PEN-Clubu Jerzego Kornackiego wyraża oburzenie w związku z tym niedopuszczalnym aktem a jednocześnie zobowiązuje nowy Zarząd do wystąpienia do odpowiednich władz w sprawie przeprowadzenia dochodzenia i wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do winnych naruszenia Ustawy o Ochronie Dóbr Kultury".

Zarząd PEN-Clubu wykonując uchwałę Walnego Zebrania wysłał pismo z dn. 28.XII. 1976 r. do Generalnego Prokuratora, Lucjana Czubińskiego:

"Warszawa, 28.XII, 1976

Szanowny Panie Generalny Prokuratorze.

Zarząd Polskiego Klubu Literackiego PEN wykonując jednogłośnie uchwałę Zgromadzenia Ogólnego członków Klubu z dn. 6.X.1976 z wielkim ubolewaniem zwraca uwagę na fakt zniszczenia czternastu tomów Dzienników wybitnego pisarza i członka Klubu PEN, Jerzego Kornackiego, o czym autora powiadomiła Prokuratura Wojewódzka w Warszawie pismem z dn. 19.VIII.1975 (znak KO 1572/75). Zniszczenie to stanowi naruszenie obowiązującej Ustawy o Ochronie Dóbr Kultury z dn. 15 lutego 1962 (Dz.U. z dn. 21.II.1962, nr 10, str. 54).



Dzienniki, wieloletni roboczy zapis warsztatowy wybitnego pisarza i autora głośnych książek, w latach 1945-47 dyrektora Instytutu Pamięci Narodowej, jako ważny dokument źródłowy należący do pracowni twórcy posiadają dużą wartość dla badań życia i rozwoju kulturalnego okresu, którego dotyczą. Bez względu na treść i formę zapisu Dzienniki tego rodzaju stanowią dobro kultury narodowej jako ważny dokument czasu i osobowości autora.

Materiały te znalazły się w dyspozycji władz prokuratorskich jako dowody rzeczowe związane z postępowaniem w sprawie, która toczyła się przeciwko J. Kornackiemu i została umorzona. W związku z tym pisarz wnosił do władz wymiaru sprawiedliwości o wydanie mu wyżej wymienionych materiałów.

Ubolewać należy, iż to nie nastąpiło, istniały bowiem po temu podstawy prawne.

Wiadomo nam, iż procedura dopuszcza niszczenie dowodów rzeczowych po upływie określonego przepisami czasu. Z pisma Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie z dn. 19.VIII.1975 wynika, iż takie właśnie postępowanie zastosowano w tym przypadku. Zniszczenie uznanych za dowody rzeczowe materiałów objętych określonymi przepisami poprzednio powołanej Ustawy o Ochronie Dóbr Kultury, a w szczególności jej art.2, art.3 ust.2 oraz art.5 ust.11 i 12 naruszyło jednak literę i ducha obowiązującej Ustawy.

Głęboko zaniepokojeni faktem o charakterze precedensowym prosimy uprzejmie Pana Prokuratora Generalnego PRL o wyciągnięcie konsekwencji ze zniszczenia Dzienników Jerzego Kornackiego, zaś w szczególności prosimy o:

a/ zarządzenie przeszukania wchodzących w grę archiwów oraz depozytów prokuratorskich i ewentualnie sądowych - gdyby się bowiem okazało, iż jakaś część z tych materiałów nie uległa zniszczeniu, autor winien je otrzymać z powrotem,

b/ należyte zabezpieczenie na przyszłość mocy działania Ustawy o Ochronie Dóbr Kultury poprzez pouczenie podległych Generalnej Prokuraturze Organów o znaczeniu i zasięgu przepisów tego ważnego aktu prawnego.

Z wyrazami szacunku

Sekretarz Generalny  
Władysław Bartoszewski

Prezes  
Jan Parandowski

Kopie listu otrzymali: Minister Sprawiedliwości Jerzy Bafia, Minister Kultury i Sztuki wicepremier Józef Tejchma, Przewodniczący Komisji Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości Sejmu Witold Lassota, posłowie na Sejm i zarazem członkowie PEN-Clubu Edmund Osmańczyk, Wojciech Żukrowski, Tadeusz Hołuj, Prezes Związku Literatów Polskich Jarosław Iwaszkiewicz, Prezes Stowarzyszenia Autorów ZAKS Karol Małcużyński.

17.I.1977 odpowiedział poseł Tadeusz Hołuj. Oto istotne fragmenty jego listu.

"Nie ma... prawnego uregulowania losu tych dóbr kultury narodowej, które na skutek prawomocnych wyroków przepadają na rzecz skarbu państwa lub ulegają konfiskacie." "Incydent... wywołał prawną potrzebę prawnego uregulowania w tej mierze."

Jest to oczywiście nieporozumienie, gdyż sprawa w której aktach znajdowały się Dzienniki Kornackiego była umorzona, nie osądzona. Los Dzienników Kornackiego nie wywołał natomiast u posła Hołuja zainteresowania.

15 marca i 18 marca odpisali PEN-Clubowi obydwaj Przewodniczący Komisji Sejmowych. Obydwaj stwierdzają, że sprawa znajduje się w toku badań.

Wreszcie 27 maja 1977 odpowiedział Prokurator Czubiński, który po stwierdzeniu takich faktów, jak aresztowanie, oskarżenie i skazanie J. Kornackiego na jeden rok więzienia, wyłączenie dzienników do odrębnego postępowania II 6 Ds 91/61, złożenie dzienników w Archiwum Prokuratury -



- pisze:

"Zgodnie z paragrafem 86 lit. e Regulaminu Biurowości Powszechnych Jednostek Organizacyjnych Prokuratury PRL z 1973 r., wprowadzonego w życie zarządzeniem Prokuratora Generalnego nr 11/73 z dn. 25 maja 1973, akta umorzonego postępowania na zasadzie art. 27 kk podlegają zniszczeniu po upływie pięciu lat od daty prawomocnego zakończenia postępowania. W ramach okresowego przekazywania na makulaturę akt, dla których upłynął termin ich przechowywania, w dniu 16 lipca 1974 r. akta sprawy Jerzego Kornackiego... wraz ze znajdującymi się w nich dowodami rzeczowymi zostały zniszczone". "Zniszczenie dowodów rzeczowych w postaci pamiętników o takiej treści jak wyżej ustalono nie naruszyło przepisów Ustawy z dn. 15 lutego 1962 o ochronie dóbr kultury i muzeach. Pamiętniki J. Kornackiego nie mieszczą się w żadnej z wymienionych w ustawie kategorii zabytków, a treść nie wskazywała na ich "społecznie celowe wykorzystanie" dla "rozwoju kultury narodowej" i "życia współczesnego społeczeństwa socjalistycznego".

Prokurator Czubiński twierdzi również, że Jerzy Kornacki wystąpił o zwrot dzienników dopiero 15 lipca 1975 r.

List Prokuratora Generalnego zawiera kilka punktów wymagających polemiki, Jerzy Kornacki po raz pierwszy zwrócił się o zwrot dzienników 7 października 1963 r. do ówczesnego Ministra Spraw Wewnętrznych. Jeśli adresat był źle wybrany - list powinien być przekazany według kompetencji. Następnie J. Kornacki kilkakrotnie pisał w tej sprawie do różnych władz, w tym prokuratorskich. Szczegółową dokumentacją tego jest dziś utrudniona z tego względu, że J. Kornacki przekazał mi szereg dokumentów jako członkowi komisji PEN-Clubu zajmującej się jego sprawą - i dokumenty te zostały mi zabrane podczas jednej z rewizji dokonywanych w moim mieszkaniu w związku z moją działalnością jako członka KOR. Podczas jednego z przesłuchań mnie przez prokurator Bardonową wniosłem do protokołu oświadczenie, że wśród zabranych mi materiałów znajdują się dokumenty powierzone mi jako członkowi komisji PEN-Clubu przez J. Kornackiego i wniosłem o wydanie ich bądź J. Kornackiemu, bądź mnie, bądź PEN-Clubowi. Dokumenty te do dziś nie zostały zwrócone i znajdują się w aktach sprawy II Ds-172/77, którą na mocy amnestii umorzono 23.VII.1977 r. Być może iż wraz z moją korespondencją prywatną, notatkami, utworami itp. przeznaczony im jest ten sam los, który spotkał wcześniej dzienniki Kornackiego.

Nie sposób zgodzić się z opinią Prokuratora Generalnego, że zniszczenie dzienników Kornackiego nie narusza przepisów Ustawy o Ochronie Dóbr Kultury i Muzeach. Art. 5 ust. 11 wymienia jako przedmiot ochrony "pracownie i warsztaty wybitnych twórców i działaczy, jak również dokumenty i przedmioty związane z ich życiem i działalnością".

Sądząc z listu Prokuratora Generalnego - ma on wątpliwości czy treść dzienników J. Kornackiego kwalifikuje się do "społecznie celowego wykorzystania" dla "rozwoju kultury narodowej". Świadczyłoby to, że Prokurator Generalny przeczytał czternaście tomów dzienników i uważa się za kompetentnego do arbitralnych decyzji, które rękopisy pisarza - jeśli znajdują się w ręku prokuratury - przedstawiają wartość dla rozwoju kultury narodowej, a które nie mając tej wartości mają ulec zniszczeniu.

Należy tu - omawiając prawną stronę zagadnienia - zwrócić uwagę na to, że gdyby nawet ustawy nie tylko zezwalały, lecz nawet nakazywały niszczenie pisarskiego dorobku - pisarze, uczeni, artyści i wszyscy ludzie, którym nieobojętny jest los kultury narodowej mają moralny obowiązek protestować i nazywać publicznie niszczenie dorobku pisarskiego po imieniu: wandalizm. Na szczęście również litera prawa chroni te dobra.

Prokuratura Generalna jak widać uważa sprawę za zamkniętą. Należy tu wyrazić nadzieję, że nie uznają jej za zamkniętą środowiska twórcze.

Jan Józef Lipski



Kazimierz Orłowski

CODZIENNIE 1 500 000

W ostatnich latach (1973-76) pracowałem w bazie pewnego przedsiębiorstwa budowlanego w centralnej Polsce. Była to praca interesująca - dużo wyjazdów, kontaktów z ludźmi, mało siedzenia za biurkiem.

Ustawiliśmy nasze baraki na polach niewielkiej wsi w pobliżu powiatowego miasta. Wieś przecinały linia kolejowa i droga - obie ważne międzynarodowe trasy. Ta wieś ani biedna ani bogata - raczej przeciętna. Zaczęliśmy przyjmować ludzi do pracy. Stopniowo coraz więcej - z wszystkich okolicznych miejscowości. Przede wszystkim młodych mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat. Baza rozwijała się - przybywało sprzętu, rosły zadania.

Oto fragmenty notatek, które prowadziłem w tym czasie.

16.II - O godzinie dwunastej zjawia się młody mężczyzna ze śladami błota na nogawkach i rękawach. Cieśla. Przyszedł dowiedzieć się, czy przyjmujemy go do pracy. Owszem - potrzebujemy cieśli, ale ten człowiek jest tak pijany, że musi trzymać się stołu, aby nie upaść. Z pijackim uporem powtarza: "Ja bardzo przepraszam, chciałem się tylko dowiedzieć, czy potrzebujecie cieśli?" Wydaje się, że nie interesuje go odpowiedź, tylko to, co sam ma do powiedzenia: "Ja bardzo przepraszam..." N. odsyła go do domu: "proszę przyjść jutro, kiedy będzie lepsze samopoczucie." Samopoczucie! Niezwykła popularność eufemizmów. Ten człowiek jest tak pijany, że z trudem trzyma się stołu, ale N. nazywa to "złym samopoczuciem". Chodzi o to, żeby kandydata do pracy nie zrazić - oczywiście potrzebujemy cieśli.

21.III - Wczoraj powrót autobusem z Ł. Kiedy stajemy pod światłami, dostrzegam dwóch pijanych chłopców na tramwajowej wysepce po środku ulicy. Jeden na trochę rozstawionych nogach, pyzaty, z tranzystorowym radiem i drugi, oparty o tamtego, wiszący na jego ramieniu z nisko opuszczoną głową. Zauważyłem, że ten wiszący pluje - długo, jakby z trudem wypływał z siebie gęstą ślinę. Później uniósł głowę, wyprostował się i rozejrzał maślanym spojrzeniem. A tamten niższy, gruby, z przyklejonym uśmiechem, jakby zadowolony z widowiska, jakiego dostarczyli (wszyscy z autobusu patrzyli na nich) - spoglądał na nas trochę zaczepnie, jakby pytał: co się tak gapicie, ludzi nie widzieliście? I tak obaj stali, na niepewnych nogach - dwóch może szesnastoletnich chłopców z tranzystorowym radiem. Zapamiętałem: długa, kolebiąca się igła anteny.

22.III - Rozmowa z Ł. Pracuje u nas od miesiąca - inżynier, trzydzieści pięć lat. Jego styl bycia: tryskający energią, całkowicie oddany pracy, wesoły, hałaśliwy, koleżeński. To zachowanie wydawało się sztuczne od początku. Jakby chciał odwrócić uwagę od czegoś, co ukrywał przed nami tą maską. Wczoraj, jak dowiaduję się, wybuchła bomba: podczas pobytu w zarządzie przedsiębiorstwa Ł. upił się i pijany błąkał po pokojach. Zataczał na małym podwórku tuż pod oknami dyrektorów. Pracownicy zarządu obserwowali scenę z rozbrawieniem. Echo tego występu dotarło do nas wraz z poleceniem rozwiązania umowy. Zbyt odpowiedzialne stanowisko dla alkoholika. To prawda, ale ten człowiek, w ciągu ostatnich lat, kilkanaście razy zmieniał pracę. Wszędzie ten sam powód odejścia: wódka. Teraz dopiero dowiadujemy się, że z poprzedniego miejsca odszedł zmuszony do złożenia wypowiedzenia po zorganizowaniu libacji w biurze. Ma żonę i dziecko. Mężczyzna w sile wieku, a przecież widzę, jak drżą mu ręce, kiedy po powrocie z placu - jeszcze nieświadomy polecenia zarządu - rozwija papier, w który żona zawinęła drugie śniadanie.



4.IV - Zachodzę do warsztatu (w barakowiezie po środku placu) - chcę poprosić znajomego majstra T. o drobną pomoc w sprawie samochodowej i widzę, że wszyscy młodzi pracownicy warsztatu są pijani. Może jestem zbyt uczulony, myślę, ale potem, kiedy stoimy z T. i rozmawiamy przy stole z imadłem, wiem, że nie omyliłem się. Oni wszyscy niedawno musieli pić (oczywiście oprócz T., który później potwierdzi moje wrażenie mówiąc, że jest bezradny - taki tu zwyczaj, że w czasie pracy piją, a jego prośby i groźby nie skutkują). A przecież poznać łatwo: chodzą odrobinę wolniej, mówią odrobinę głośniejszym głosem, śmieją się hałaśliwiej, no i chuch! Pięciu młodych z warsztatu - chłopcy od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, wszyscy pijani o dwunastej w południe.

19.IV - Wracamy z Z. (nasza druga baza) Nyską i zaraz za miasteczkiem zatrzymują nas dwaj elektrycy i operator K. Rano byli oddelegowani do Z., bo tam trzeba było wykonać jakieś roboty elektryczne na placu. Teraz stoją przed knajpą. Kiedy wsiadają do Nyski, poznajemy, że są "ruszeni". Zwłaszcza operator K. - leci tantym przez ręce. Najmłodszy z trójki - teraz zupełnie nieprzytomny, bełkoce. Zaraz rozwalony na ławeczce z tyłu, zasypia. Elektrycy rozprawiają ożywieni - rozmowa o kelnerkach. Dowiadujemy się, w jakich knajpach w okolicy są najładniejsze.

29.IV - Po trzeciej idę do sklepu, aby coś kupić, a oni już tam siedzą: na ziemi, oparci plecami o ścianę domu i stosy skrzynek po alpadze. Siedzą stłoczeni - dziesięciu, może piętnastu? Piją wino jak oramządę (uniesione w górę butelki). Po dwóch godzinach przechodzę obok i widzę - są tam jeszcze. Tylko gwar teraz większy, śmiech, któryś stoi na chwiejnych nogach przy ścianie. Dwie godziny na wilgotnej ziemi, wśród brudnych skrzynek, pod oknami wiejskiego sklepu. Ile wypili butelek? Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia? O czym mówili? Ziemia upstrzona srebrnymi kapslami. Butelki z alpaga też mają kapsle.

22.V - Zachodzę do znajomych gospodarzy. Ona pracuje u nas jako sprzątaczką, on - były dozorca więzienny jeszcze z okresu międzywojennego, opowiada dużo ciekawych historii. Stoimy na podwórzu przed domem, kiedy wjeżdża na motorze ich lokator, pracownik naszej bazy, operator maszyn ciężkich. Dwudziestolatek, pyzaty, zawsze uśmiechnięty, często widywałem go w małym zielonym kapeluszu z piórkami. Teraz wolno jedzie przez podwórze, stawia motor pod ścianą stodoły. Zatacza się odchodząc od ściany. Chwiejnym krokiem idzie w stronę domu.

- Ciagle piją - mówi gospodarz. - A jakie hece wyprawiają! Nic tylko wódka, wódka, wódka...

Młody człowiek nie patrzy na nas. Staje przy drzwiach i nagle widzimy, jak osuwa się na kolana. Klęcząc mocuje się z klamką.

31.V - Kobieta - drobna, szaro ubrana. I jakby cień zatroskania, przygnębienia w oczach. Przyszła prosić, aby jej wypłacać pensję męża. Chodzi o S. - młody, przystojny mężczyzna, jeździ na małym spychu. Operator, mechanik samochodowy, kierowca. Stracił prawo jazdy za prowadzenie po pijanemu samochodem. Nie przestał pić. Podobno - o czym dowiadujemy się od żony - po ostatniej wypłacie nie wrócił do domu. Nie było go przez dwa dni. Przepił wszystko. Dwadzieścia pięć lat, żona, troje dzieci, a on pracuje po to, aby pić.

Kasjerka długo tłumaczy, że nie może wypłacać poborów żonom pracowników. Mogłaby, gdyby sąd wydał nakaz. Tylko wtedy. Długa ogólna rozmowa o pijaństwie Kobiety oburzone. Przy okazji dowiadujemy się, że w P. (powiatowe miasto najbliższej położone) przed większymi zakładami w dniach wypłat gromadzi się tłum kobiet oczekujących na mężów. Chcą przechwycić część zarobków, nim małżonkowie "pójdą w Polskę".

17.VI - P. - bar "Kubanka". Przy stole trzech - piją piwo. Godzina dziewiąta rano, dzień powszedni. W pewnej chwili sprzątaczką (wózek oblepiony brudem - zwozi na nią naczyńca do kuchni) podnosi krzyk: jeden z trzech załatwił



się pod siebie. Pod krzesłem kałuża moczu. Kobieta krzyczy głośno - wszyscy przerywają jedzenie, żeby obserwować scenę. Pijany wstaje, sprzątaczką podnosi jego płaszcz demonstrując sali mokre spodnie. Krzyczy: "Sam będziesz ścierał, jak naszczałeś!" Trzech pijanych usiłuje wyjść z sali. Śmiech siedzących przy stolikach. Sprzątaczką woła, żeby z kuchni podano jej klucz do drzwi wejściowych. Przynoszą klucz. Jeszcze scena w drzwiach - przepychanie. Po zamknięciu drzwi, ten, który "naszczął", biega po sali (duży oszklony pawilon), jakby usiłował znaleźć wyjście z klatki. Przyglądam mu się - młody mężczyzna, ale twarz gąbczasta, stary, poplamiony płaszcz, siwe włosy. Kobiety z kuchni dzwonią po radiowóz. Kiedy wychodzę przez kuchnię, słyszę rozmowę: "Ty, on daje sto złotych." Na co ta, która zamykała drzwi, z oburzeniem: "Teraz, jak ma przyjechać milicja?"

19.VI - Wracam z wieczornego spaceru, już po ciemku. Niedaleko domów spotykam pijanego Z. (naszego cieślę) z rowerem. Zupełnie jak z opowiadania Marka Nowakowskiego "Droga na Walne" - tak wyobrażałem sobie sylwetkę tego, który szukał drogi. Z. mieszka w sąsiedniej wiosce i teraz pewno wraca po dłuższym piciu do domu. Musi być umazany w błocie - niedawno padało, na drodze stoją kałuże (ta droga rozjeżdżona, kołeciny). Tuż za mną wywraca się - wstaje z trudem, podnosi rower. Znow rusza niepewnie, rower z brzękiem leci na ziemię. Z. podnosi się długo - w milczeniu, jakby walczył z podstępym wrogiem. Znika w ciemności na drodze przez łąki. Stoję nasłuchując: słyszę trochę dalej łomot, brzęk, trochę później znow łomot, brzęk i znow, i znow - coraz cichsze, coraz dalsze.

24.VI - Przyjeżdża młoda kobieta - stara się o pracę w charakterze zaopatrzeniowca. Otrzymuję polecenie towarzyszenia jej w poszukiwaniu kwatery. Jedziemy Nyską, później, po bezskutecznych próbach znalezienia pokoju w R., przechodzimy na obiad do restauracji. Jest ładna, miła, ale w jej zachowaniu coś nienaturalnego: zbyt pewna siebie? zbyt bezpośrednia? za głośno śmieje się? Patrzę na nią: skóra na policzkach i koło nosa zaczerwieniona, białka oczu. "Niech się pan tak nie przygląda - mówi. I zaraz, jak wyjaśnienie: - Pierwszy obiad od miesiąca, do którego nie piję". Kiedy wychodzimy z restauracji, wiem dużo: pije od kilku lat. Tego wymaga jej praca. Podobno zaopatrzeniowiec nie załatwi nic bez wódki. Jeżdżąc po Polsce, zatrzymując się w hotelach, ciągle w innym otoczeniu, wśród obcych mężczyzn - zaczęła pić. Teraz już nie potrafi przestać. Cena, jaką płaci: mąż odszedł, dziecko wychowuje matka. A ona szuka miejsca, w którym mogłaby zacząć wszystko od nowa.  
(Trochę później: ta kobieta nie zjawiła się u nas więcej).

25.VI - Opowiadanie L.: podobno w mieście jest szkoła (zawodowa), w której pewien nauczyciel przyjmuje od uczniów starszych klas zaproszenia na zakrapiane kolacje - od tego zależy poprawa stopnia. Przy tym im lepsza wódka, tym lepszy stopień. Np. zgłasza się uczeń, któremu grozi dwójka, i zaprasza na kolację, podczas której piją "Stołową". Za "Stołową" trzy mniej. Drugi zaprasza na kolację, w czasie której piją "Wyborową". "Wyborowa" - trzy plus. I tak dalej. Nieprawdopodobne, ale chyba możliwe.

28.VI - S. opowiada, że od kilku lat używa wody pokrzywowej do włosów. Ostatnio nigdzie tej wody nie może dostać. Zapytał znajomego kioskacza, dlaczego "Pokrzywowej" nie ma w kioskach, a na to kioskacz: "Panie, wszystko pijaki wykupują!" I opowiedział, jak to wczoraj jeden taki kupił dwie butelki i od razu, przy budce, wypił. Podobno otłukiwał szyjki butelek o betonowy słupek i jednym łykiem wypijał zawartość.

5.VII - Na budowie poruszenie: w niedzielę miał miejsce makabryczny wypadek. Jan C., kierowca, który ma pozwolenie na trzymanie wozu koło domu (Jelcz-polewaczka do spryskiwania wodą betonu), pojechał z kolegami na piwo do gospody. Po drodze niespodziewanie zjechał na lewą stronę w chwili gdy z przeciwka nadjeżdżał osobowy Fiat. Zderzenie czołowe. W rozbitym samochodzie



(Fiat uderzył w wielki wóz, którym jechał C. z kolegami, jak w ścianę) zginęły cztery osoby. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Podobno jedna z kobiet była w ciąży. C. + szóstka kolegów, wszyscy pijani (pili u C. od rana, jak mówiono), zostawili wóz nad kłębowiskiem blach, w których być może umierali jeszcze ludzie - i zaczęli uciekać polami. C. dotychczas nie znaleziono, pozostałych wyłapała milicja.

Rozmowa z wstrząśniętym M. - nasz dyrektor. Opowiadał, że blachy z rozbitego Fiata trzeba było ciąć, aby wydobyć trupy. Wszystko we krwi, lepkie. Naokoło tłum ludzi, sznury samochodów zatrzymujących się przy drodze. Pod wieczór odczuwał śmiertelne znużenie - to wszystko trwało kilka godzin od chwili, kiedy wezwano go do wypadku.

14.VII - C. ujęto w końcu, a raczej sam, podobno, zgłosił się. Wczoraj było spotkanie załogi z prokuratorami. Wypowiedzi prokuratorów w tonie ostrym dramatycznym. I milczenie załogi. Rozgadali się dopiero, kiedy tamci odjechali. Miałem ochotę przeczytać z książki Zdzisława Falickiego "Psychiatria społeczna" (wydanej w 1975 r. przez PZWL) kilka zdań i cyfry. Np. "Ocena się, że w Polsce liczba osób nadużywających alkoholu wynosi około półtora miliona, co stanowi 7% ludności w wieku powyżej 18 lat. W tej liczbie znajduje się najprawdopodobniej pół miliona alkoholików nałogowych..." "Wiadomo, że prawie połowawszystkich przestępstw rozpatrywanych przez sądy na większy lub mniejszy związek z jednorazowym użyciem lub stałym nadużyciem alkoholu". W 1972 roku społeczeństwo wydało na alkohol sumę 57,376 miliardów złotych. W tym samym roku na wydawnictwa i publikacje społeczeństwo wydało tylko 6,521 mld zł. Na każde 100 zł, przeznaczonych na wydawnictwa - 1000 zł wydane na alkohol. Z każdego 1000 zł, wydanego na żywność - 240 pochłania alkohol. "Opinia publiczna jest wrogo nastawiona do pijaństwa, ale wrogość ta kieruje się jak gdyby przeciw zjawiskom abstrakcyjnym, a nie codziennym." (str. 114 - 118) Chyba tak jest. Wypadek kierowcy C. mieści się w codzienności. Może dlatego to milczenie na początku, a później właściwie brak refleksji zdecydowanie potępiających? C. - lubiany chłopak, który niedawno skończył służbę w wojsku. Kto właściwie zawinił? On? Koledzy, z którymi pił?

28.VII - Późnym wieczorem mijam bramę na ulicy w P. i widzę w przyćmionym świetle grupę młodych - są dziewczyny, chłopcy w białych koszulach. Stoją stłoczeni w gromadkę. W chwili, gdy jestem już za bramą, słyszę krzyk dziewczyny: "Ty kurwo, jak ci..." Cofam się o krok i widzę, jak ta, która krzyczała, chwytając drugą za włosy, przypiera do muru. Koledzy próbują interweniować. Wszyscy są pijani - poznają po ślamazarnych ruchach. Nikt z ulicy nie zwraca uwagi. Normalna scena.

30.VII - Opowiadanie pana Jasia K. (robotnik placowy, nieduży, utyka, zawsze w poplamionym berecie na głowie, mieszka z matką niedaleko bazy). Wynajmują pokój na kwaterę dla pracowników delegowanych. Ostatnio mieszkają u nich mechanicy z warsztatów w K. Chyba sześciu w małej izbie i w kuchni. Spią po dwóch na łóżkach. Jaś K. opowiada, że każdej nocy piją. Zасыpiją dopiero nad ranem. "O czym rozmawiają, kiedy tak piją?" - pytam. "O czym mówią?" - zastanawia się pan Jaś. - Kłóca się. "O co się kłóca?" "O co się kłóca?" - pan Jaś ma zwyczaj odpowiadania pytaniami. Wzruszenie ramion. - Jak to piją? Długo roztrząsamy problem, co robić, jeśli ci z K. nie uregulują przed wyjazdem należności za kwaterę (pan Jaś przyszedł poradzić się w tej sprawie). Sytuacja jest zagnatwana, bo skoro Jaś pije z nimi wódkę, którą oni stawiają, to - zgodnie z obyczajem - mogą uznać, że za kwaterę nic się nie należy.

26.IX - Opowiadanie H. Odjeżdżając z placu przy tzw. węźle betoniarskim, zauważył koło betoniarek samotnego, szamoczącego się z taczka robotnika. Któregoś z miejscowych, z sąsiedniej wioski. Pijany. Podobno z uporem, w padającym wciąż deszczu, usiłował pchać ciężką taczka przodem. Klękał przy niej, jakby była zbyt ciężka, a on zbyt słaby. W końcu olśnienie: odwraca się, bierze taczka za uchwyty i ciągnie, jak wóz za sobą. I tak, chwiejnym krokiem, dociągnął taczka do betoniarek.



24.X - Rozmowa z chłopakiem, który przyszedł do nas potehnikum. Został brygadystą, bo brak wykwalifikowanych robotników. Otóż ten chłopak, zagadnięty o to, jak często piją ludzie z jego brygady (chyba dwunastu - wszystko młodzi mężczyźni z okolicznych wsi), odpowiada: codziennie. Zawsze co najmniej 3-4 jest "zaprutyh". Jeśli tak zdarzy się czasem, że wszyscy są trzeźwi, to wielkie święto. Piją nawet przed pierwszym i przed piętnastym, kiedy teoretycznie nie powinni mieć pieniędzy. Najczęściej jeden znika i po pewnym czasie wraca z butelką. Naogół piją prosto z butelki - są tacy, co wlewają sobie do gardła i nawet im grdyka nie drgnie. Poznają, że są pijani, po zmianie tonu - stają się rozmowni, wylewni lub zaczepni. I tak dzień po dniu - alpaga z wiejskiego sklepu lub "Stożowa". Nawet kiedy sklep zamknięty, przynoszą.

29.X - Dziś H. zobaczył, że walec jedzie wężykiem po świeżej stabilizacji. Dogonił walec i zatrzymał. W kabinie spał pijany operator. Prowadził maszynę nieco mniej pijany chłopak (jeden z niewykwalifikowanych fizycznych - operator musiał go "przyuczyć", jak steruje się walcem, nim zasnął). H. obudził operatora, z trudem uzyskał wskazówki, co do obsługi maszyn i sam odprowadził na plac pod betoniarki.

Później, wracając około drugiej do bazy, spotkali innego młodego robotnika (też "chłopak" mówił o nim), który zataczając się szedł wzdłuż drogi i w pewnej chwili runął dorowu, na twarz. H. zatrzymał samochód, chociaż pijanego podwieźć - chłopak wyrwał się, szarpał. Puścili go. Odjeżdżając widzieli, jak po przejściu kilku kroków znów upadł w kałużę i tak w tej kałuży został. H. ma wyrzuty sumienia: czy słusznie postąpili odjeżdżając?

14.XI - Siedzą obok nas przy stoliku, w dusznej, ciemnej od dymu restauracji - żaden chyba nie ma dwudziestu lat. Dlaczego zapamiętałem tylko jego? Z pyzată twarzą, czerwoną od nadmiaru wypitej wódki? Może wyglądał na najmłodszego - dzieciak jeszcze? Drzemał. Co pewien czas unosił głowę znad stołu - pozostali nie zwracali na niego uwagi - i wówczas widziałem, jak mrugając powiekami usiłował spojrzeć na kolegów. Uśmiechał się, marszczył czoło i znów ciężka głowa opadała na stół. Zapadał w drzemkę.

Czytając niedawno "Rozmowy z katem" Moczarskiego, zwróciłem uwagę na fragment zwierzeń Strooppa, co do jego planów postępowania z ludnością na podbiitych terenach w razie zakończenia wojny zwycięstwem Niemiec. Otóż Stroop, jako przyszły administrator tych ziem, planował m.in. stopniowe wyniszczenie ludności metodą produkowania i sprzedawania ogromnych ilości alkoholu. Wódka miała być dostępna wszędzie, zawsze pod ręką - w każdym sklepie, knajpie, w domu w pracy. Najtańszy, najpopularniejszy produkt, którego nigdy nie może zabraknąć.

Od lat toniemy w wódzie. Zwalczamy choroby weneryczne, gruźlicę, mówimy głośno o szkodliwości palenia. Dlaczego wobec pijaństwa powszechnego, pijaństwa, które możnaby nazwać totalnym - jesteśmy właściwie bezradni? codziennie 1 500 000 pijanych.

Człowiek, który truje się narkotykami, potrzebuje pomocy. Nałogowy alkoholik również. W obu wypadkach, jeśli w porę nie rozpocząć leczenia, skutki będą podobne. I można te skutki przewidzieć: mężczyzna w sile wieku sikający w spodnie o godzinie dziewiątej rano w barze niewielkiego miasta. Co trzeba robić, jeśli społeczeństwo zaczyna chorować? Ilu już takich mężczyzn chodzi po naszej ziemi? Ilu takich będzie za rok, dwa, trzy? Jakie będą dzieci tych ludzi? Jaki los dzieci?

To, co wiem na pewno: z okien mieszkań w dużych miastach gorzej widać chwiejny krok, jakim chodzą codziennie setki tysięcy młodych mężczyzn w naszym kraju. Z okien baraku na polach małej wioski widać ten chwiejny krok lepiej. Propozycja dla tych, którzy problemu nie dostrzegają lub skłonni są bagatelizować: wyjechać z dużego miasta i pomieszkać w hotelu robotniczym na terenie bazy pierwszego lepszego przedsiębiorstwa budowlanego. Gdziekolwiek w Polsce.

Kazimierz Orłóś



O GŁUPIM DOWCIPIE, KTÓRY ZROBIONO  
LUDWIKOWI WARYŃSKIEMU

Wśród licznych paradoksów życia codziennego mało kto zauważył ten drobny, lecz nie pozbawiony ironii: portret Ludwika Waryńskiego na stużłotówce. "Waż Ludwika Waryńskiego symbolizująca pieniądź, nie wyczuwacie sprzeczności?"

Pieniądź miał być obalony po zwycięstwie rewolucji od zaraz. Ze złota, odgrażano się, będziemy budować wychodki. Dziś nam już wiadomo, że Waryński i jemu podobni to byli naiwni utopiści. Po uchwyceniu władzy przez rewolucję przywódcy jej zrozumieli szybko, że bez pieniądza się nie obejdzie. Przejściowo, oczywiście. Jego rola społeczna będzie malała stopniowo, aż w komunizmie stanie się on nieprzydatny.

Obecnie wedle urzędowych oświadczeń znajdujemy się na etapie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Należy to chyba zrozumieć jako dalszy krok w stronę komunizmu. Tymczasem nie dostrzegamy żadnych oznak zanikania roli pieniądza. Nie tylko funkcjonuje on w naszym społeczeństwie, ale teraz właśnie wydaje się wręcz nabierać znaczenia.

Wzrost wpływów pieniądza jako wielofunkcyjnej, złożonej instytucji, jest zgodny z intencją partii i rządu. Przywódcy mówią o rachunku ekonomicznym niemal jak o jednym z dogmatów leninizmu, oficjalni ekonomiści snują marzenia o przywróceniu swobodnej gry mechanizmów rynkowych jako panaceum na chaos gospodarczy. Październik miesiącem oszczędzania. Wyrafinowane odmiany książeczek PKO z oprocentowaniem i bez, docelowe i w ogóle. Fewexy, o których za chwilę. Odkładanie na samochód. Nigdy w naszym społeczeństwie nie panował taki kult cnót mieszczańskich jak na etapie rozwiniętego socjalizmu.

O ile pieniądź, jego obieg, jego rola regulatora gospodarki w kapitalizmie działają niejako w sposób naturalny (bez względu na to czy zjawiska przez nie wywołane są dodatnie czy ujemne - inflacja, recesja, kryzys), o tyle działanie pieniądza w społeczeństwie uszeregowanym jako "rozwinięte socjalistycznie" od razu zostaje wciśnięte - jak wszystko - w gorset oficjalnego dogmatu. Realizacja postanowień uzdrawiających poprzez bodziec czysto ekonomiczny (jeśli taki istnieje w ogóle) natyka się natychmiast na system dyrektywnego zarządzania, w którym uwzględnione - i zafiksowane na stałe - zostały różne czynniki. Pieniądź w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym czy też w naszej odmianie państwowego kapitalizmu - w nieczystym zresztą wydaniu, bo zawiera on zarazem elementy swoiście feudalne - musi funkcjonować jak źle skonstruowana maszyna, rodzić osobliwości lub nawet dziwolągi. Jest to ciele z dwiema lub trzema głowami.

x x x

Inspirująca lektura "Trybuny Ludu". Można tam odkryć - wręcz ze strony na stronę - wewnętrzne sprzeczności. Jak choćby w numerze z 11 lipca 1977 (Nr162)

Na str. 3 w artykule "Mieć i być, czyli dwie koncepcje losu ludzkiego" Jerzy Putrament pragnie odnaleźć elementy wyższości praktyki ustroju socjalistycznego nad kapitalistycznym. Nie ma tam nic interesującego, jak zresztą we wszystkim, co ostatnio Jerzy Putrament ma do powiedzenia. Właściwie ważne jest jedno zdanie - ostatnie: "Gdyby te koncepcje miały wybierać sobie dewizy, kapitalizm winien byłby wybrać MIEC, socjalizm - BYĆ"

Tu się można zgodzić z Jerzym Putramentem. I od razu włożyć to zdanie między bajki. Bo oto odwracamy stronicę gazety i czytamy: "Fiat-126 po ekspresowej cenie". Wywiad ze specjalistami resortu przemysłu maszynowego i "Polmożbytu" na temat nowego wówczas posunięcia, które miało uderzyć przede wszystkim w giełdę samochodową gdzie: "... bocznym nurtem wyrastały transakcje spekulacyjne. Zdrowy, dobry trend motoryzacyjny zaczęli wykorzystywać osobnicy



przechwytyjący do swej kieszeni różnice cen, wynikające z niedostatecznego jeszcze nasycenia samochodami". Ci osobnicy to "... ludzie przywykli do łatwych, nienależnych zysków. Czytelnicy mocho eksponowali konieczność zastosowania odpowiednich środków ekonomicznych dla położenia tamy ich procederowi (...). Takim środkiem jest m.in. ruchoma cena ekspresowa. Nabywca, który ma pieniądze i spieszy się, któremu pilno do wozu, płaci tę cenę. Różnica pomiędzy ekspresem i ceną normalną idzie do budżetu państwa, a nie do kieszeni pośrednika. Idzie zatem do kieszeni społecznej" (to wytłuszczone - przyp. nasz). "Przy okazji wspomnijmy, że 20% tej nadwyżki przeznaczony się na cele b e z p o ś r e d n i o związane z rozbudową zaplecza motoryzacyjnego, jakim są stacje obsługi".

Tekst jest wart analizy.

Jeżeli komu "pilno do wozu", to niech płaci spekulacyjne ceny nie prywatnym giełdciarzom, lecz państwu. To co nazywa się "transakcją spekulacyjną" lub "procederem" gdy chodzi o osoby prywatne, staje się "odpowiednim środkiem ekonomicznym", gdy na rynek wkracza państwo z propozycją ceny ekspresowej. Jakiś nudny kauzypierda mógłby się czepiać, że spekulacja czy prywatna czy publiczna to właściwie takie samo przestępstwo. Nie potraktuje się go jednak poważnie. Przecież to idzie do kieszeni społecznej, inaczej: sami sobie te pieniądze przekładamy z jednej kieszeni do drugiej. Czy można spekulować na sobie samym?

Co więcej, 20 proc. nadwyżek (ktoś mógłby spytać: dlaczego tylko?) pojdzie na rozbudowę infrastruktury zaplecza motoryzacyjnego, rozpaczliwie zaniedbanego. To przemawia, ludzie bowiem zapominają czasami, że budowy czy to mieszkań czy to garaży nie ograniczają przecież złotówki, lecz mityczne już moce przerobowe. Zabieg ma w istocie charakter czysto drenażowy.

Oto dotknęliśmy jednej z osobliwości operowania pieniądzem w warunkach rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Żaden prywatny kapitalista, ani rząd kapitalistyczny tym bardziej, nie mógłby sobie pozwolić na jawne uprawianie spekulacji. Kraj współistniejącego monopolu władzy politycznej i gospodarczej jest krajem nieograniczonych możliwości, również w dziedzinie operacji finansowych. Dla władzy oczywiście.

Udzielający wywiadu podkreślają, że przecież nie drgnęła cena wozu, który za sumy uiszczane w przedpłatach, za sumy ulokowane na specjalnych książeczkach PKO zakupią - gdy przyjdzie ich kolej - setki tysięcy nabywców".

Otóż to: "Gdy przyjdzie ich kolej". Ale ci, którzy mają większe pieniądze, otrzymają samochód natychmiast. Nikt nigdzie nie stwierdził, że tym, którzy wpłacali sumiennie na specjalne książeczki nie było "pilno do wozu". Przeciwnie, mieli prawo liczyć na priorytet, ale to drobni ciułacze, których nie stać na zapłacenie cen ekspresowych. Więc dostaną wóz, kiedy przyjdzie ich pora. W ten sposób państwo socjalistyczne preferuje tych, którzy mają grubszą forszę.

W istocie rzeczy mamy do czynienia z genialną innowacją ekonomiczną. Choć zlikwidować czarny rynek, państwo przejmuje jego funkcje. Tego jeszcze nie było. Temida jest nie tylko ślepa, ale widzi na jedno oko: karze drobnych cinkciarzy, nie dostrzega zaś supercinkciarza, jakim stało się państwo.

Wbrew twierdzeniom Putramenta, działanie państwa socjalistycznego nastawione jest ostatnio wyłącznie na stymulowanie MIEC, a nie BYCw duszach swoich obywateli. W tym państwie ci, którzy MAJA, uzyskują pod każdym względem większą przewagę nad tymi, którzy bardziej SA. Naukowo nazywa się to rosnącą stratyfikacją.

x x x

"Zwiedzaj świat - kupuj w Pewexie" - głosi inserat w jednym z wrześniowych numerów "Gazety Południowej". Na ogół czytamy takie rzeczy bezmyślnie, nie zastanawiając się, co się za tym kryje. Warto zaś się pokusić o szersze skomentowanie tego hasła. Oznacza ono w prostych słowach: Wyjedź zagranicę z "Orbisem", lub "Sports-Touristem" po to, żeby zakombinować, aby potem wes-



przed "Pewex", ośzko w głowie rządu i partii. Oto osobliwa miara patriotyzmu. Wprawdzie prasa grzmi przeciwko tym, którzy hańbią dobre imię Polaka handlowaniem zagranicą, ale otwarcie kont, na które bez kontroli źródeł (na jak długo to inne pytanie) można wpłacić każdą sumę w dewizach, zachęca do handlowej turystyki.

"Pewex" to jeden z dziwolągów funkcjonowania pieniądza w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym. Ma on swoich pobratymców prawie we wszystkich krajach demokracji ludowej z ZSRR włącznie, ale ze względu na nasze większe otwarcie na Zachód (co samo w sobie oczywiście jest zjawiskiem pozytywnym) działalność jego przybrała tutaj niespotykane gdzie indziej rozmiary. Już nie tylko towary pochodzenia zagranicznego, co byłoby jeszcze jako tako zrozumiałe, ale coraz więcej produktów polskich, można otrzymać tylko via tzw. eksport wewnętrzny. Okres oczekiwania w spółdzielniach na mieszkanie wydłuża się, ale za dolary dostaniesz klucze niemal natychmiast. Jeśli zaś nie doczekasz mieszkania, twoja rodzina może ci postawić nagrobek za walutę - inaczej będziesz czekał dwa, trzy lata.

W istocie rzeczy "Pewex" jest imprezą nielegalną, jeśli nie przestępczą. Na tymże Waryńskim - i nie tylko - widzimy uroczysty napis: "Bilety Narodowego Banku Polskiego są prawnym środkiem płatniczym w Polsce". Ekspedientka w "Delikatesach", która odmówi przyjęcia stużotówki, może zostać ukarana. Ale państwo powiększa sieć sklepów, w których bilety Narodowego Banku Polskiego nie są prawnym środkiem płatniczym. "Pewex" jest zjawiskiem szkodliwym społecznie. Podzielił nas na tych, którzy mają dolary i tych, którzy ich nie mają. Dla pierwszych z dolarami (nie jedyny paradoks Polski) dostępne jest wszystko, dla ludzi bez dolarów dostępne jest coraz mniej.

Zupełne horrendum to sprzedaż poprzez placówki "Pewexu" środków niezbędnych do rozwoju gospodarczego, np. hodowli. Obiegła Polskę anegdota o chłopie, który chciał sprzedawać kartofle za dolary. Oburzeni klienci wzywają milicjanta, na co chłop: "A jak ja inaczej kupię ciągnik, węgiel, cement na budowę chlewni?"

Zjawisko nie przypadkowe: jest ono częścią filozofii gospodarczej, polegającej na generalnej wyprzedaty czego się da z kraju, kosztem rynku wewnętrznego. Stanisław Cat-Mackiewicz nie był wprawdzie zawodowym ekonomistą, lecz mimo to (a może właśnie dlatego) napisał chyba trafnie (Zbiór "Europa in flagranti", str. 41, "Pax" 1965): "Bogactwo społeczeństwa nie zależy od tego czy się dużo za granicę wywiezie, ale od szybkości obrotów gospodarczych w ogóle. Ożywienie wymiany dóbr wzmacnia bogactwo kraju, które wymaga nie tylko energicznych producentów, ale, a może i przede wszystkim - zamożnych konsumentów (...). Na tym polega źródło bogactwa kraju; na szybkich obrotach gospodarczych a nie na sprzedażach wyłącznie za granicę".

Niezbędnym warunkiem rozwoju gospodarczego, wzrostu wydajności pracy itp. jest istnienie rynku wewnętrznego, gdzie można coś nabyć. U nas popyt przewyższający podaż to choroba chroniczna, która w ostatnich latach, wskutek wzrostu siły nabywczej ludności, przeszła znowu w stan ostry, dotychczas w tym nasileniu niespotykany. Wbrew zapowiedziom nie tylko nie stworzono po roku 1970 powszechnego rynku konsumenta, lecz m.in. przez rozbudowę monopolii państwowych wzmocniono rynek producenta, umożliwiając jego nieograniczoną dyktaturę i powodując pustki na rynku.

x x x

Trudno rozdzielić to, co ekonomiczne, od tego, co społeczne, a to, co społeczne od tego, co moralne. I gdy mowa o demoralizacji, trudno tego, co powiedziano wyżej, nie wymienić pomiędzy przyczynami. Demoralizacja społeczna nie spadła z nieba, lata na nią pracują, lata anomalii gospodarczych i socjalnych.

Ale to nie znaczy, że ta sytuacja wszystkim nie odpowiada, że wszyscy dążą do zmiany lub do niej choćby tęsknią. Trzeba przestrzec przed naiwnym optymizmem dzielącym nasze społeczeństwo według schematu: mniejszościowa góra i większościowy, abuntowany dół. Tak mogło być jeszcze w skali historycznej nie-



dawno. Dziś podziały są bardziej skomplikowane. Nie dajmy się zwieść pozorom, że wszyscy narzekają i że nawet dygnitarze mówią "oni". Narzekanie narzekaniu nierówne. Można by dziś napisać broszurę ze sparafrazowanym tytułem: "Komu w Polsce dobrze się dzieje". Tu się trafiają kolejne paradoksy. Pewien człowiek reprezentujący stanowisko opozycyjne spotkał się ze swymi znajomymi, którzy wywodzą się ze środowiska kapitalistów bez żadnej metafory, z pokolenia w pokolenie, przed wojną i teraz. Nie trzeba tłumaczyć, że byli to zawsze ludzie o nastawieniu antykomunistycznym. Jakież było zdumienie opisywanego tu człowieka, gdy właśnie z ich ust usłyszał, że nigdy w Polsce nie było tak dobrze że tylko nieroby narzekają, że nareszcie jest szansa itp. Dla tych ludzi Radom i Ursus sprowadzały się oczywiście do rozróbek warcholów, którzy rozbijali sklepy. Do tak myślących ludzi trafia czasem nawet nasza nieudolna państwowa propaganda, sugerująca, że niepowodzenia gospodarcze sprowadzić można do niesumienności jednostek, że demoralizacja to nie skutek systemu, lecz przyczyna. Najlepszy zaś środek to wziąć naród za mordę. Jakby nas dotychczas za mało brali.

I nawet się takim ludziom nie dziwić; dla nich nie ma ograniczeń finansowych, dla nich wszystko jest dostępne, dla nich "Pewexy" są korzystne, a nabycie waluty, samochodu czy nowego domu nie stanowi problemów. Za pieniądze jest w Polsce wszystko, ale dopiero za bardzo duże pieniądze i to najlepiej zagraniczne.

Dla tych ludzi epoka WIELKIEGO MIEC to obfite łowisko. Czyżby oznaczało to sprowadzenie zagadnienia do tzw. prywaciarzy? Ale skąd. To byłoby właśnie zasłanianie się pozorami.

Przytoczony przykład to tylko sygnał, że mamy do czynienia w naszym kraju z pewnym novum. Zjawiska znane nam z przeszłości zostały w latach siedemdziesiątych wzbogacone o jedno, dotychczas istniejące w znacznie mniejszym stopniu.

Dawniej władza była gdzie indziej, pieniądze gdzie indziej. Jedno i drugie dawało przywileje, ale niejako rozdzielnie, osobno. Jeśli dziś mówimy o bezprzykładnej korupcji od góry do dołu, to można postawić hipotezę, że ich przyczyną jest swoisty sojusz: przeplecenie się władzy i pieniędzy. Obok przywilejów płynących z samego sprawowania władzy, funkcja i urząd dają dziś większe niż kiedykolwiek korzyści materialne. Nie tylko poprzez priorytet rozmaitych towarów i usług, których nie ma na rynku, a czasem otrzymanie ich nawet za darmo, z tytułu stanowiska. Nie tylko poprzez różne bezpośrednio płatne dodatki i podwyżki, poprzez obcinanie kuponów od zasług dla ustroju. Drobiazgowo dochodzenie mogłoby wykazać głębokie powiązania pomiędzy światem prywatnego kapitału, aparatem władzy i podziemiem gospodarczym.

Istnieje zresztą u nas rynek konsumenta, lecz wybranego. Nie ma w Polsce towarów zbyt drogiech, żeby popyt na nie nie przewyższał podaży. Dyrektor "Przedomu" może opowiedzieć spokojnie na pytanie dziennikarki z "Polityki", czy nie warto by raczej produkować długiej serii żelazek do prasowania o średnim standardzie, zamiast krótkiej serii drogiech maszyn prasowniczych - że po co, skoro i tak te drogie roboty pójdą jak woda. Dlatego przez 34 lata nie dorobił się fabrykę telewizorów kolorowych.

Nabywcy się znajdują. Nie będzie to wprwdzie włókniarka zarabiająca - w akordzie - często 3 tys. złotych, ale ktoś się zawsze znajdzie.

X X X

Z tych rozważań można by wnioskować, że chodzi o wąską stosunkowo grupę ludzi. Otóż nie. Każda mafia dzieli się na "ojców chrzestnych" i drobnych klientów.

W tym systemie, gdzie wszyscy narzekają, prosperuje co najmniej milionowa armia ludzi, którzy się urządzili, znaleźli sobie nisze ekologiczne, gdzie im się bytuje jako tako, chwalić boga, ciotki działaczy i sutenerzy, skórupowani milicjanci i cinkciarze, zasłużeni renciści i osoby z chodami bądź w aparacie władzy, bądź handlu, luksusowe kurwy i karierowicze z organizacji młodzież-



wych...

Niech nikt nie liczy na to, że większość tych ludzi jest zainteresowana w autentycznych zmianach w Polsce. Choćby nie wiem jak narzekali. Byt bowiem ciągle określa świadomość.

Biedny Waryński na tej stuzkotówce...

Władysław Jasiński



Jaćek Bocheński

"NIEDRUKOWANE" ANDRZEJA KIJOWSKIEGO

Wiedzieliśmy, że "felieton" jest specjalnością polską. Wiedzieliśmy, że ta specjalność polega na związaniu małej i jak gdyby niepoważnej formy z doniosłą lecz zakamuflowaną treścią, na skrzyżowaniu publicystyki z literaturą, twórczości artystycznej z politologią, maskarady z refleksją, ostrożności z brawurą, zasłony dymnej z kagankiem oświaty. Wiedzieliśmy, że ten gatunek jest okazem, który mógłby wyjątkowo dobitnie potwierdzić starą doktrynę marksistowską o zależności formy literackiej od warunków ustrojowych. Wiedzieliśmy, że oficjalowie marksistowscy rezygnują z tego dowodu, ponieważ chcąc się nim posłużyć, musieliby opisać zgodnie z prawdą warunki ustrojowe. I wiedzieliśmy, że specjalistą felietonu, jednym z najwybitniejszych w Polsce, jest Andrzej Kijowski.

Nim poznaliśmy jego "Niedrukowane", czytaliśmy "drukowane" w "Tygodniku Poważecznym" i "Twórczości". Lektura ta zawsze robiła na nas wrażenie. Jakże? Zaraz powiem. Ale powiem tak jeszcze, jak trzeba by to powiedzieć stylem felietonowym, przeznaczonym do druku.

W nizinym krajobrazie środkowo-europejskim, gdzie przeważnie rosną wierzby, siąpi deszczyk, gawrony siedzą na polach, koza senna pogryza trawę i stoją tu i ówdzie krowy znudzone do ostateczności, Kijowski był wspaniałym, ogromnym kotem, który raz na tydzień, a czasami jeszcze rzadziej, wyruszał na polowanie. Był to zwierz dorodny, złotowłosy, bystrooki, wystarczyło, że ten głowacz grzywiasty pojawił się gdziekolwiek, spojrzął i nozdrzami pociągnął, a już zalegała śmiertelna cisza i wszystkie bydłatka trzęsły się ze strachu. Tylko z rzadka jakiś kundel na wsi szczechnął półgębkiem, no i szczury ze śmietników łebki wystawiały, chichocząc, ale wiadomo, że lew nie poluje na szczury. Czy w ogóle polował? Często przechadzał się jedynie z wielką godnością, jakby odbywał inspekcję terenu. Czasem ryknął tak sobie, bezinteresownie. Zdarzało się, że w dzień, gdy powinien pójść na łowy, nikt go nie widział, lecz znajdowano dziwną łatę w polu, świeżo zawłóconą grabiami i dla niepoznaki przykrytą zielskiem. Był? Nie był? Niektórzy mówili, że spod zielska pachniało krwią upolowanej zwierzyny. Ale kiedy indziej działało się inaczej. Widziano, jak stąpał wśród śmiertelnej ciszy, jak się czał, jak się spręzał, jak robił skok, jak dopadał i chwycił. A wtedy zaczynała się jego furia. Coś tam miał. Darł to pazurami w obłokach kurzu, rozszarpywał, miażdżył, wściekle tak jakos pożerał, z chrapaniem, przebierając łapami, plując, i widać było czerwone strużki ciekące z pyska. W istocie jednak ta płynna czerwień przypominała tylko z pozoru krew, wspaniały skok drapieżnika był gestem kompensacyjnym, "rytuałem" znanym z psychologii zwierząt (patrz: Konrad Lorenz, opowiadanie o szpaku) bo naprawdę drapieżnik, zmuszony do wegetarianizmu, rzucał się na rosnące w polu buraki i nie ciepła jucha spływała mu z pyska, lecz krople buraczanego soku. A jednak żył w ten sposób przez lata i był lwem prawdziwym. Ha, nie takie rzeczy widuje się w nizinym krajobrazie środkowo-europejskim.

Obecnie nakładem "Niezależnej Oficyny Wydawniczej" ukazał się powielony na fioletowo maszynopis o bladej czcionce p.t. "Niedrukowane". Jest to mała książeczka (około 30 stron) - zbiór felietonów Andrzeja Kijowskiego. Bez cenzury. Niewiele tekstów pisanych dziś w języku polskim może się równać z tym dziełem. Ukazało się "Niedrukowane" i ukazała się prawdziwa myśl autora o poważnych sprawach. Poważnych czyli niedopuszczalnych.

Na czym polega ich powaga? Na tym, że są to sprawy, o których nie można nie pomyśleć, jeśli się w ogóle myśli. I na tym jeszcze, że są to sprawy, których nie można ani sformułować ani rozwiązać w sposób przyjemny. Kijowski widzi paradoksy w świecie i myśli paradoksami. To nie jest rzecz na użytek powszechnego przedszkola krajowego, nie jest dla wzorowych polskich homines fabri, nie jest w wychowawczości, tego "Polak nie potrafi", tym w ogóle nikt się zajmować



Tego więc w drukowanej twórczości Kijowskiego być nie mogło.

Ale czego konkretnie? Tego, co jest ważne. A co jest ważne? Właśnie sam Kijowski mówi. Cytuję: "Polska jest dzisiaj krajem bez świadomości. Nie zdaje sobie sprawy ze swojego rzeczywistego położenia, nie rozumie ani zysków płynących z tego położenia, ani - jeszcze mniej - strat, jakie ponosi".

Albo: "Trzydzieści lat życia w biurokratycznym imperium zabija odruchy demokratyczne, a takim jest np. szacunek dla prawa i czujność na punkcie wolności osobistej". A następnie: "Polak po zastanowieniu (...) musi dojść do wniosku, iż po pierwsze nie ma wyboru, a po drugie, że nie jest tak źle". I dalej: " (...) praca nad sformułowaniem dla współczesnych Polaków ideologii oporu, krytyki, negacji, nie może ograniczać się do polskich warunków, ale odnosi się do idei suwerenności, wolności narodu, kręgów cywilizacyjnych, autentyczności, identyczności społecznej, i do współczesnej ich realizacji na całym świecie (...) musi być u n i w e r s a l n a".

A zatem w druku nie mogło być również wymyślonej przez Kijowskiego rozmowy Idi Amina z Pawłem VI. Tu felietonowy lew pożarł obu rozmówców. (Papież: "Wysoce zaszczytenci pana wizyta, panie prezydencie, do głębi poruszeni pana ... e ... uznaniem roli Kościółka we współczesnym świecie, szczególnie wśród krajów rozwijających się, przekazujemy za pana pośrednictwem ojcowskie błogostawieństwo ludowi Ugandy, katolikom i niekatolikom, wierzącym i niewierzącym". Amin: "Wy, Europejczycy, nie nadajecie się już do robienia historii. Musimy ją robić sami". Kijowski: "Obie strony określiły rozmowę jako pożyteczną i pełnią wzajemnego zrozumienia".)

Gdzie indziej dowiadujemy się od autora, że "różne są sposoby walki z diabłem", ale wszystkie wątpliwe. Walczyć wprost to pewna klęska, bo diabeł jest silniejszy i nie przebiera w środkach. Iść więc na tę walkę "jak zwierzęta ofiarne" i dać się pobić dla honoru? Służy to edukacji diabła. Mało, że nas rozgromi, ale w dodatku nauczy się lepiej zwalczać naszych następców. Udawać, że kochamy diabła, i przechytrzyć go? Nie przechytrzymy. Więc może się z nim pogodzić? Niestety, diabeł nie byłby diabłem, gdyby szanował kompromisy i ugody. Zamknąć się w świecie wartości niedostępnych diabłu i kultywować je dla siebie? Ależ tak, najlesze wyjście! ("To powiedziałem sobie na przełomie roku 1976 i 77, a powiedziaławszy, otarłem pot z czoła. I co? Poczujęm pod palcami stwardnienie na ciemieniu, a nawet dwa stwardnienia, jedno z lewej, drugie z prawej strony. I poczułem zarazem, że uwiera mnie kość ogonowa, jakby rośla".)

Był wreszcie król, który doznał przykrości od Pana Boga i tytułem odwetu postanowił zabronić na dziesięć lat kultu religijnego w swym państwie oraz samej wiary w Boga (Montaigne, "Próby"). Mimo surowych zarządzeń antyboskich i mozolnej ich egzekucji, od konfiskaty modlitełek do palenia wiernych na stosie i nigdy nie kończącej się rozbiórki kościołów, król nie zaznał ukojenia. Ciągłe mu się zdawało, że Bóg pozostał w ludzkich sercach i działa konspiracyjnie. Tymczasem lud praktykował dawne rytuały, przywiązany głównie do ich formy, a niezauważnie świadom ich sensu. W końcu król umieścił na ołtarzach w ocalałych jeszcze kościołach wizerunki własne i portrety swoich ministrów. Lud klęczał przed obrazami. Król popadł w depresję. Ministrowie odsunęli go wkrótce od władzy i ogłosili, że umarł. Po czym wydali amnestię "dla wszystkich skazańców". Zrozumiano, że amnestia dotyczy również Kościoła. Gdy jednak "rozdzwoniły się radośnie dzwony nad miastem", a lud wypełnił świątynię, by wznosić modły dziękczynne do "spoglądającego dobrotliwie z ołtarzy", nie było już wiadomo, kto tak spogląda i komu lud dziękuje.

Zaraz, zaraz... Cóż to wszystko znaczy? Alegorie, aluzje, przypowieści i metafory, jak w tym, co Kijowski drukował. A gdzie dosłowność? No, jest, jest, pada na przykład aż tak drastyczne w swej nagości pytanie: "Dlaczego zły jest system rządów komunistycznych?" Ale przecież dominuje wieloznaczność i parabolizm. Na czym więc polega różnica? Na tym, że teraz w alegoriach, przypowieściach i metaforach jest krew. Myśl żywi się pokarmem naturalnym: kwestiami wynikającymi z rzeczywistości, wciskającej się drzwiami i oknami do domu autora (i każdego z nas). A parabole i metafory? Pomyłką jest pogląd, że parabole istnieją jedynie po to, by z ich pomocą robić w konia cenzorów, jak sądzą



właśnie cenzorzy. Kijowskiemu służą one na ogół nie do zaciemniania lecz oświeclania zagadnień, do eksponowania ich struktury, do przedstawień modelowych, do wyabstrachowania i ujawnienia sedna sprawy. Bez metafor nie ma języka. Składa się z nich samo słownictwo, którego wszyscy używamy.

Filozofia "Niedrukowanego" jest zbiorem teg o nietrwałości wszelkich rzekomych skamienień naszego bytu społecznego i o wiecznej odwołalności wszelkich naszych sądów, ocen i przeświadczeń na ten temat. Gdy Polak docho- dzi do wniosku, że "nie ma wyboru" i że "nie jest tak źle", Kijowski mówi mu: wybór istnieje, a naprawdę zła i wręcz fatalna jest dopiero zgoda na to, że jest nieźle. Gdy "nie widać powodów, aby pisarz polski miał się skarżyć na swoją egzystencję w socjalistycznym państwie", bo przysłuchują mu emery- tury i świadczenia, a "może pisać tak zawile, aby go nikt nie rozumiał, tak drapieżnie, żeby się wszyscy bali, a także cynicznie, brutalnie, tajemniczo, nawet metafizycznie", Kijowski powiada: kilku najważniejszych rzeczy ten pisar- nie może, nie może na przykład tknąć tego, "o czym szepczą i myślą ludzie do- okoła", i dlatego właśnie literatura jest unicestwiona, chociaż na pozór ist- nieje. Zasadniczą wartość w spostrzeżeniach Kijowskiego ma właśnie przenik- nięcie w to "nieźle", w to, co niby "wolno", co niby jest "patriotyczne", co jest "racją", "rozsądkiem", "korzyścią", i doszukanie się zabójczej funkcji społecznej owych fikcyjnych dogodności, fikcyjnych swobód, fikcyjnych patrio- tyzmów, fikcyjnych racji, fikcyjnych rozsądków i fikcyjnych korzyści.

Ale co zaszło z felietonem jako gatunkiem, z tym świadectwem wpływu warun- ków ustrojowych na dzieło literackie? Czy felieton bez cenzury się zmienił? I tak, i nie. Jest rzeczą oczywistą, że zmienił się temat. A ujęcie? Otóż dawne ujęcie właściwie pozostało. Pozostał Kijowski ze swymi pisarskimi przyzwycza- jeniami, metodami i stylem. Pozostały dumne przechadzki lwa po rozległym tere- nie, bezinteresowne porykiwania, groźne węszenia, i pozostała charakterysty- czna specjalność: nagły skok. Ten skok z nienacka, w stronę najmniej spodzie- waną, jest elementem niezbywalnym twórczości felietonowej Kijowskiego, stano- wi o konstrukcji artystycznej i o sposobie myślenia. Myśl bowiem musi dokonać w pewnym momencie przelotu z jakiejś pozornej oczywistości w jej odwrotność, która okazuje się prawdą, z której jednak możliwy jest zawsze następny odskok w jeszcze inną prawdę. Wszystkie prawdy, oprócz - być może - moralnych, są hi- potezami roboczymi, a każdy sąd Kijowskiego przedstawia się czytelnikowi os- tentacyjnie jako ambiwalentny, otwarty i niedefinitywny. Jeśli się więc coś zmieniło, to to, że sens wszystkich sądów razem wziętych rozbija w proch i pył ścianę kłamstwa i milczenia, której strzeże cenzura.

Dlaczego tak się stało, skoro Kijowski żyje i pisze nadal w tym samym us- troju? A może ustroj się zmienił? Powiedziałbym znowu: i tak, i nie, bo jed- nak ustroj zmienił się w pewnym zakresie, chociaż pilnie to ukrywa i za nic nie chce się przyznać do zmiany.

A może nie mam racji? Może ustroj nie zmienił się ani na jotę? Trzeba by zapytać Kijowskiego. No i marksistów.

Jacek Bocheński



Stanisław Barańczak

O "KOMPLEKSIE POLSKIM"  
ROZMYSLANIA WIGILIJNE NA STOJĄCO

1

Stoję w ogonku przed sklepem państwowej firmy "Delikatesy" i jestem sto czterdziesty siódmy. Olbrzymia kolejka ciągnie się w stronę Placu Wolności, ale po chwili, aby nie tarasować jezdni, skręca w przecznice, u której wylotu mający szeroka ulica Armii Czerwonej. Za kwadrans mają podobno coś rzucić: karpia albo kawę, nikt nie wie na pewno. W każdym razie pani, która stoi jako X sto czterdziesta szóstą, zapewniła mnie, że stanąć warto.

Jest dżdżysty i szary dzień wigilijny 1977 roku. Przed pół godziną skończyłem czytać po raz trzeci powieść Konwickiego "Kompleks polski" i wybrałem się na spacer, aby trochę na temat książki podumać. Jak doszło do tego, że zamiast metody perypatetycznej wybrałem stanie w kolejce? Sam nie wiem. Może podziałało prawo symetrii: jest - jak w powieści - Wigilia, i jest - jak w powieści - Polska, więc trzeba - jak w powieści - stanąć w ogonku. Dziesięć deko kwaśnej kawy "Extra-Select" za złotych sześćdziesiąt albo kłopotliwa ryba w wannie są w tym wszystkim sprawą najmniej istotną. Kolejka to po prostu idealne miejsce do rozmyślań nad ostatnią powieścią Konwickiego.

2

Dlaczego właściwie jej akcja - w swoim planie współczesnym - toczy się po większej części w kolejce? Pierwsza odpowiedź jest aż żenująco oczywista. Dlatego, że cała Polska stoi dziś w kolejkach. Wyjściowy pomysł książki Konwickiego jest po prostu jednym z tych genialnych w swojej trafności konceptów literackich, dzięki którym centralna w utworze sytuacja czy sceneria nabiera od razu wymiarów symbolicznych, nie tracąc przy tym nic ze swojej życiowej pospolitości. Jest bowiem wielkim skrótem: ucieleśnionym w konkretnej sytuacyjnej formie uogólnieniem stanu, w jakim znajduje się społeczeństwo w danym momencie historii. Nie czym innym jak takim właśnie symbolicznym zgęszczeniem sytuacyjnym było i przyjęcie w Salonie Warszawskim, i wesele w bronowickiej chacie, i szkoła profesora Pimki, i wielki bal w Operze.

Ale sama kolejka - choćby taka, w jakiej stoję w tej chwili - to byłoby jeszcze za mało jak na symbol. Cóż czytelnikowi z banalnego stwierdzenia, że od trzydziestu trzech lat klepiemy biedę na skutek przejściowych trudności? Chwył Konwickiego jest perfidniejszy. To nie kolejka przed sklepem spożywczym, ale kolejka przed sklepem "Jubiler". Bohaterowie powieści nie na transport masła czy mięsa czekają, ale na dowóz wyrobów z radzieckiego złota, w których opłaca się ulokować dewaluujące się z dnia na dzień złotówki. Kolejka po złoto, codzienny obrazek uliczny w socjalistycznym państwie! Dzięki temu punkt ciężkości powieściowej symboliki przesuwają się z trywialnej krytyki ekonomicznych wad systemu na - znacznie ciekawsze artystycznie - obrazowe przygwożdżenie jego najistotniejszej cechy. Jest nią absurdalność. Wielki Bezsens, który stanowi główny temat tej powieści.

3

Rozglądam się po swojej kolejce i - jak zawsze w takich razach - odczuwam nerwowo niepokój przemieszany z rosnącą złością. Byłem sto czterdziesty siódmy, ale teraz - nie wiem już, który. Kolejka spuchła wszędy: stoimy już nie gęślego, lecz parami i trójkami, do znajomych podostawiali się znajomi i znajomi znajomych. Wszystko jak zwykle: w fenomenologii kolejki nic się nie zmienia. Nawet ten starszy pan, stojący kilkanaście miejsc przede mną, który woła z przedwojennym poczuciem porządku i powojenną bezradnością: "Ależ proszę państwa, tak nie można, musimy się jakoś zorganizować!" - nawet on jest stałym elementem kolejki i mam wrażenie, jak gdybym słyszał ten głos już wiele razy. Podobnie i ta tęga



paniusia tuż za mną, która powiada cierpko i głośno: "A organizuj się, dziadku, organizuj, i tak dla nas towaru nie starczy" - i ona zawsze musi się pojawić w takich wypadkach. I zawsze tak samo słychać wtedy w kolejce chórally ale stłumiony wybuch śmiechu - niegłośny i jakby zdziwiony śmiech ludzi, którzy nagle zdają sobie sprawę z absurdalności swojego życia. I ten niewesoły śmiech na chwilę ich - skłóconych - brata ze sobą nawzajem.

4

Właśnie, w tym jest i druga odpowiedź. Kolejka w powieści Konwickiego to nie tylko symbol naszego codziennego Wielkiego Bezsensu. To również model, przekrojowy portret społeczeństwa, które stopniowo dochodzi do tego, do czego dochodzi. A dochodzi do stanu, który mądry Aleksander Zinowiew - uczony logik, zmuszony przez nielogiczną rzeczywistość do uprawiania twórczości satyrycznej - nazwał "psizmem". Właśnie w "Przepastnych Wyżynach" pada znamienne zdanie, brzmiące, o ile dobrze pamiętam: "Najwyższą formą psizmu jest kolejka". No, może u nas nie jest jeszcze tak źle - pocieszam sam siebie w typowo polski sposób. Ale i u nas także kolejka staje się powoli modelem społeczeństwa, w którym wszyscy czują się podobnie źle, ale zarazem - nie widząc możliwości wspólnego przeciwdziałania tej sytuacji - kanalizują swoje frustracje w agresję, czyli, mówiąc prościej, zaczynają się nawzajem nienawidzić.

Ten paradoks naszego systemu udało się Konwickiemu podchwycić bezbłędnie. W jego kolejce po radzieckie złoto stoją na równych prawach pisarz, robotnik, ubek, hadylarka i student (ten ostatni zresztą wynajęty do stania przez jakiegoś rencistę). Żeby było śmieszniej (i prawdziwiej), dołączają radzieccy turyści, dla których zakup radzieckich wyrobów jest, jak się zdaje, głównym celem wycieczki do Polski. A więc różne klasy i warstwy społeczne, z konfliktem narodowym na dokładkę. Przeciwnie jednak niechęci i pretensje wybuchają tu nie z powodu różnic klasowych czy narodowościowych. Każdy bowiem ze stojących w kolejce - choćby miał więcej pieniędzy niż inni, choćby był przedstawicielem uprzywilejowanej warstwy czy narodu - ma tak samo źle. Z prostej przyczyny: towaru i tak nie ma. Nie ma niczego, co usprawiedliwiłoby nasze codzienne wysiłki, upokorzenia, zmęczenia, szarpaniny i bieżaniny. Nie ma nie tylko wyższych celów - o tych dawno już wszyscy zapomnieli - ale nie ma nawet tej najprostszej, namacalnej, najłatwiej wymiernej wartości: dóbr materialnych. Pozostaje tylko nienawidzić tego, kto w całej tej bezsensownej kolejce stoi przede mną, a jeszcze bardziej tego, kto był odą mnie sprytniejszy i udało mu się kolejkę omijać.

Najbardziej zachwycającym - jeśli to słowo jest tu na miejscu - szczególnie pomyślnym fabularnym w powieści Konwickiego jest niewątpliwie wątek Kojrana i Duszka. Kojran przez kilka lat po wojnie chodził za narratorem Konwickim (który wówczas "zmieniał wiarę" na socrealistyczną) z wyrokiem śmierci w kieszeni, wydany przez podziemie. Duszek z kolei chodził za Kojranem jako agent UB, a w każdym razie "opiekował się" nim w tym charakterze po aresztowaniu. "Można powiedzieć: chodziliśmy wszyscy gęsiego" - konstatuje Kojran. Jeśli powiadam, że jest w tym ponurym wątku coś zachwycającego, to mam na myśli fakt, że czysto estetyczny zachwyt budzi we mnie precyzja w dopracowaniu owego motywu do końca. "Gęsiego" - i nawet w tym samym porządku - stoją bowiem Konwicki, Kojran i Duszek również w kolejce po radzieckie złoto. A w przerwie idą wspólnie na wódkę. Lata walk, zamachów, więzień, tortur - te lata uległy już dawno zamazaniu i bagatelizacji. Kojran odsiedział swoje sześć lat i wyszedł na wolność, Duszek dawno już się "odciał" i nie lubi wspominać - obecnie są obaj niemalże przyjaciółmi. Trzy ludzkie, ostro zarysowane postawy zbiegają się po latach w jedną, wspólną nijakość. Przestało już chodzić o jakiegokolwiek wartości. "Chodzenie gęsiego" odbywało się i wtedy i teraz: ale wtedy symbolizowało ono układ społeczny, w którym istniała przynajmniej paradoksalna integracja wynikająca z politycznego zwaśnienia, układ, w którym deptali sobie po piętach ludzie związani niejako z urzędu oficjalnym antagonizmem i naprawdę o coś ze sobą walczący. Dzisiaj układ "gęsiego" jako model społeczeństwa nie ma w sobie nic nawet z takiej integracji - realizuje się głównie w kolejce. Owszem, są agenci władzy, których w powieści reprezentuje zaopatrzony w dzinsy



i pederastkę pan Grzesio, ale na dobrą sprawę wyróżniają się oni jedynie większym uprzywilejowaniem (lepszym miejscem w kolejce), bo nie przekonaniami przecież: jeśli chodzą za kimś i węższą, to nie z przyczyn ideologicznego fanatyzmu, ale dlatego, że taką mają pracę (jak w aforyzmie Leca: "Miał manią prześladowczą: zdawało mu się, że ktoś za nim chodzi. A to był tylko pracownik urzędu śledczego").

Można by powiedzieć, że symbolem państwa o typie konserwatywnie-hierarchicznym jest ludzka piramida, w której jedni stoją na barkach drugich. Symbolem idealnego państwa demokratycznego byłby krąg ludzi zasiadających przy wspólnym stole i patrzących sobie szczerze w oczy. Symbolem państwa takiego jak nasze jest kolejka, w której stojąc, mamy przed oczami tylko plecy wyprzedzającego nas sąsiada, a nasze jedyne poruszenia polegają na niecierpliwym przepychaniu się do przodu.

5

O, właśnie: oto otwarto drzwi "Delikatesów" i fala ludzka runęła do środka, przepychając się i tratując. Znikły ostatnie, szczątkowe formy społecznej samoregulacji. Kolejka u Konwickiego była jednak bardziej cywilizowana. Nawet nie dlatego, że stała po złotą: chodzi raczej o kwestie czysto ilościowe. Powyżej pewnej ilościowej bariery każda kolejka przeobraża się w tłum; w dodatku tłum niesprawny, gdyż jest rzeczą pewną, że towaru dla wszystkich nie starczy. Ja sam stoję i tak za daleko od wejścia, ale jak bym się zachował, gdybym był na przykład trzydziesty w kolejności a na hakach widział dziesięć szynek?

Po ataku na drzwi wejściowe - ponowne uspokojenie. Z ust do ust ku końcowi kolejki przedostaje się wieść: towaru jeszcze nie ma, ale jest nadzieja, że dowiozą karpia. Może już za pół godziny.

6

Cóż, postoiny. Jest czas, aby powrócić do Konwickiego. Zrekapitulujmy kolejka to symbol i model społeczeństwa, które poszukuje jakichś - choćby najbardziej przyziemnych i doczesnych - wartości, mających tak czy inaczej uzasadnić niełatwy byt poszczególnych jednostek. Ponieważ jednak wartości tych - z przyczyn wpisanych w podstawy systemu - stale brakuje, społeczeństwo dezintegruje się stopniowo i wyładowuje swe frustracje w wybuchach wzajemnej nienawiści, nawet ta nienawiść nie jest wszelako całkiem na serio: codzienna beznadzieja i codzienna niemożność niszczą jakiegokolwiek autentyczne odruchy i moralne hierarchie, wszystko rozplywa się w poczuciu Wielkiego Bezsensu.

Ale przecież mamy przed oczami wyznanie narratora: "Piszę, bo pełga w mojej podświadomości iskra nadziei, że coś gdzieś jest, że coś gdzieś trwa, że Wielki Sens dostrzeże mnie w ostatnim mgnieniu i uratuje z wszechświata bezsensu". Tak jest w istocie: tematem powieści jest nie tylko Wielki Bezsens ale i ludzkie nadzieje, ludzkie próby wyrwania się z cęgów absurdu, ludzkie oczekiwanie cudu i ludzkie usiłowanie zwalczenia bezsensu własnymi siłami.

Jest przecież Wigilia, przeddzień Święta i przeddzień Cudu. Słowo "cud" zwłaszcza powtarza się w powieści wielokrotnie. "Na cud pan czeka?" - pyta już w początkowej scenie Kojran, zaś narrator, nadając kolokwialnemu zapytaniu sens głębszy, odpowiada: "Tak, ma pan rację. Czekam na cud." Później powtarza się to jak leitmotyw: "...po cichu czekam na cud. Czekam stale na odpowiedź." To narrator. Inne postacie nie umieją tak jednoznacznie określić, na co czekają. Ale prawie każda z nich jest w przededniu czegoś, co ma odmienić ich los. Każda ma swoją prywatną nadzieję, jak Kojran, który nazajutrz odlatuje do Ameryki rozpocząć nowe życie, jak Julia, która swój bajkowy los na loterii już rzekomo wygrała, ale nic jej z tego nie przyszło i teraz jej nadzieją jest już tylko to, że spotka człowieka, z którym będzie mogła dzielić swoją samotność.

Lecz zauważmy: są to wszystkie nadzieje, w których spełnienie i tak nie bardzo się wierzy. Żadna z postaci nie traktuje swojej nadziei na serio: chyba nawet i ta pani z kolejki, której jedyną nadzieją jest, że gdzie in-



tylko spróbować wznieść się duchem ponad ten mur i spojrzeć na naszą idiotyczną planetę z perspektywy kosmosu, z punktu widzenia nie-Ziemiainina: może wtedy łatwiej mu będzie zdać sobie sprawę z proporcji sensu i absurdu w życiu Ziemiain i w życiu własnym.

9

Sprzedaż karpia ruszyła. Kolejka przesuwa się powoli do przodu i ten ograniczony ruch jest niejakim ukojeniem: coś się przynajmniej dzieje, stanie nie jest już takie bezsensowne, zbliżamy się do jakiegoś celu. Jednocześnie rośnie niepokój: skoro towar jest już sprzedawany - a podstawową cechą towaru atrakcyjnego jest to, że zawsze go mniej niż potrzeba - musi się w którymś momencie skończyć, a zatem może go nie starczyć dla nas. Narastają charakterystyczne objawy paniki: kolejka jeszcze bardziej się deformuje, stojący w niej już nie tylko przepychają się do przodu, ale próbują jakby obejść ogonek z boku, wychylić się zeń przynajmniej, aby choć wzrokiem znaleźć się bliżej upragnionego celu. Rejestruję przyzwyczajonym okiem kolejne powszednie zjawisko: oto sędziwy pan demonstruje z godnością nie wiedzieć komu legitymację inwalidzką, ale sam jakby nie wierzy w to, co robi: jakoż istotnie natyka się na niewzruszony mur ramion i łokci tudzież wrogie okrzyki ("inwalida, to niech w domu siedzi"). Oto od czoła kolejki - z miejsca, z którego co wyżsi widzą już ladę sklepową - dolatują agresywne wezwania: "Po jednej sztuce dawać, po jednej! Co to jest, tamta pani całą siatkę napycha!" Oto przez zbitą, pracą do przodu gęstwą przeciskają się wstecz szczęśliwcy, którzy dokonali już zakupu. Tych jakby szczególnie urażała nachałność tłumu: narzekają głośno na brak kultury i po wyjściu demonstrują sobie nawzajem urwane guziki. Patrzymy na nich z prawdziwą nienawiścią.

10

Tak więc - z perspektywy przybysza z kosmosu można byłoby zapewne lepiej zrozumieć i wyważyć proporcje ludzkich wzlotów i nicozemności. Ale w tym miejscu rozumowania rodzi się najgłębszy i najbardziej podstawowy dylemat powieści Konwickiego. Oto bowiem jej narrator zauważa pomiędzy innymi nonsensami ludzkiej cywilizacji rzecz najdziwniejszą: społeczność ludzka, zamiast sensownie się zjednoczyć, podzieliła się na grupki, zwane narodami, a nie różniące się prawie niczym poza językiem, jakim się posługują. I o tę drobną różnicę toczą się pomiędzy narodami krwawe wojny, z tego powodu mocarstwa ciemieją, słabsze kraje, z tej przyczyny wybuchają insurekcje i powstania.

I nagle okazuje się, że perspektywę kosmiczną trzeba porzucić. Nie ma odwrotu od własnego, ziemskiego "ja": a na to "ja" w wypadku Konwickiego składa się Litwa i Polska z całą ich wspólną i rozdzielną historią, z całą udreka i nadzieją. nagle okazuje się, że nawet najrozumnijszym przybyszom z kosmosu nie da się wytłumaczyć, co to jest wolność i jak się czują ludzie, którym jej brakuje. Wolność: gdyby nie istniała ta wartość, trudno byłoby zrozumieć, że ucieczki od absurdu, który nas wypycha w "najwyższe stadium psizmu - kolejkę", można szukać nie w naiwnej nadziei na cud i nie w filozoficznym wzniesieniu się ponad marność tego globu, ucieczka od absurdu kryje się, wbrew wszelkiej logice, właśnie w tych sferach, w których tyle było i jest bezsensu, pomyłek, niemocy, zdrady. Inaczej mówiąc, polski pisarz - jeśli nie jest zaślepionym nacjonalistą - bardziej może niż kto inny potrafi dostrzec, ile absurdów kryje w sobie nieraz historia uciemiężonego narodu, ale też właśnie polski pisarz ma najwięcej okazji po temu, aby wyłowić z tej historii sytuacje, kiedy to ludzie - wbrew wszystkiemu - umieli absurdowi przeciwstawić sens. I to są - pisze Konwicki - ci "nieznani ludzie, którzy zatopieni w morzu anonimowości wypełniają zgrzebny człowieczy obowiązek, którzy w mroku beznadziei zagradzają swoimi kośćmi drogę potopom zła czasu albo historii, którzy w mozole i bólu rodzą mnie po to, żebym krzyczał jak najgłośniej, żebym wył do końca ziemi i do końca nieba, żebym ocucił siebie i Boga", "Zgrzebny człowieczy obowiązek": trzeba odwołać się - metodą nagłego i pozornie nieuzasadnionego wtrętu - wstecz, do historii, aby ukazać ludzi, którzy potrafili ten obowiązek wypełnić. Po to właśnie pojawiają się w tej po-



dziej jest na pewno tak samo źle jak u nas. Możliwość cudu, który miałby się dokonać poprzez taką czy inną ucieczkę od codziennej egzystencji, odrzuca się po kolei jako złudne. Nawet niespodziewana przygoda erotyczna narratora - początkowo zdaje mu się właśnie cudem, wiebowzięciem ze wszystkimi anielskimi atrybutami - rozpływa się w przyziemności i powszedniości. (Nb. jest to chyba w twórczości Konwickiego stały motyw, który nazwałbym "kompleksem drugiego podejścia": bohater przeżywa akt miłosny jako metafizyczne uniesienie, ale natychmiastowa próba powtórzenia skorzystania z tej niebiańskiej szansy kończy się ze zrozumiałych przyczyn albo fiaskiem albo rozczarowaniem; za drugim razem wszystko wydaje się takie sobie, bohater "jak stary mąż" nie umie wyzwolić się z terroru zwyczajności). Nawet więc miłość nie jest ucieczką na serio. I nawet śmierć: ta, która szuka bohatera (atak serca) i której sam bohater bezskutecznie szuka w zakończeniu powieści.

Czyżby więc z symbolicznej kolejki nie było wyjścia? Czy nie ma ucieczki od bezsensu? Jest. Być może jest. Ale...

7

... Ale w tym momencie rozchodzi się wieść, że karpia wreszcie dowieźli. Jakby nie było dosyć poprzedniego naporu, tłum usiłuje jeszcze głębiej wcisnąć się do wnętrza sklepu. W wąskim gardle jedynej otwartej połówki drzwi (prawy Ilfa i Pietrowa, dające się uogólnić na wszystkie kraje Wschodniej Europy: gdziekolwiek architekt przewidział kilka wejść, tam zawsze otwarte jest najwyżej jedno) dzieją się dantejskie sceny: słychać wymysły i ogólną wrzawę. To także fragment stałej fenomenologii kolejki: jej uczestnik odruchowo przebiega do przodu, jak gdyby mogło to przyspieszyć uzyskanie dostępu do towaru. Prę i ja. Nie mam zresztą innego wyjścia, bo naciskają mnie z tyłu.

8

Otoż więc u Konwickiego wyjście z kolejki istnieje. A raczej - istnieje wzniesienie się ponad kolejkę. Najpierw zupełnie dosłownie: pisał już w poprzednim numerze "Zapisu" Lech Dymarski o roli osobliwej perspektywy kosmicznej, z której usiłuje spojrzeć na swój świat bohater powieści, tłumacząc od podstaw zasady istnienia naszej planety i naszej cywilizacji, tak jakby jego słuchaczami były istotnie "inne stworzenia rozumne, co trafia przypadkiem do naszej galaktyki (...)", istoty mądrzejsze i lepsze od nas". Mogłoby się wydawać, że to tylko doraźny efekt retoryczny, poniekądany po paru pierwszych stronicach. Ale nie: narrator naprawdę zachowuje się tak, jakby - mimo całego bagażu doświadczenia swego pięćdziesięciolecia - był w otaczającym go świecie jedynym człowiekiem, dla którego nic nie jest oczywiste, który przywykł wprowadzić niczemu się nie dziwić, ale który właśnie dziś musi wszystko ujrzeć, zrozumieć, wytłumaczyć sobie na nowo i od samych podstaw. Znamy ten chwyt z wcześniejszej twórczości Konwickiego. Tak się składa, że najwyraźniej przejawiał się w dwu powieściach, które prywatnie uważam - nie tylko oczywiście z tego względu - za jego najlepsze książki przed "Kompleksem polskim" we "Wniebowstąpieniu" i "Zwierzoczekoupiorze". W obu tych powieściach występował narrator - tabularasa, narrator z ograniczoną, przynajmniej częściowo, wiedzą o prawach rządzących światem. W obydwu też książkach niewiedza ta motywowana była w gruncie rzeczy racjonalnie: w "Zwierzoczekoupiorze" narrator jest dzieckiem, we "Wniebowstąpieniu" rzecz opowiadana jest przez człowieka, który pewnego dnia budzi się w centrum Warszawy z potłuczoną czaszką i częściową amnezją. Niemal jak w oświeceniowych powiastkach, gdzie ta perspektywa narratorskiej niewiedzy motywowana była właśnie racjonalnie: obecnością kulturową ("Listy perskie" Monteskiusza) albo statusem "prostaczka".

W "Kompleksie polskim" jest nieco inaczej. Tu narrator nie ma na dobrą sprawę żadnych rzeczowych powodów, aby spoglądać na swój światek z perspektywy naiwnego prostaczka czy obcego przybysza. Zna ten świat na wylot, nie jest w stanie go zaskoczyć - nawet ten francuski anarchista, co w Polsce szuka prawdziwej wolności, czy ów Murzyn mówiący warszawskim akcentem i wspominający litewskie potrawy. A jednak: a jednak narrator stoi przed ścianą Wielkiego Bezsensu i to jest ta jedyna rzecz, z którą nie umie dać sobie rady. Tu może już



wieści współczesnej dwie rozbudowane wstawki "historyczne": opowieść z 1863 roku o Zygmuncie Mińeyko, dowódcy garstki powstańców, którą rozpierzcha się po pierwszej potyczce, on sam zaś wydany zostaje przez rodaków carskiemu żandarmowi, i opowieść o Trauguttie, dyktatorze nieudanego powstania, który wie, że poniesie klęskę, ale wie również, że musi spełnić swój obowiązek do końca. Obaj - anonimowy powstańiec i przywódca powstania - przegrali; i obaj w jakimś sensie są zwycięzcami. "Nie wiem, czy był sens. Wiem, że był mus." - W tych zdaniach Traugutta zawiera się jedyna możliwa odpowiedź na pytanie o sens walki z potęgą Wielkiego Bezsensu.

I, aby raz jeszcze, do końca, udowodnić, że "mus" takiej walki istnieje, choćby nie dostrzegały w niej sensu trzeźwe umysły, że nie można się "wstydzic umiłowania wolności (...)", choćby to była wolność wiodąca do zguby" - aby to wszystko do końca pokazać, pojawiają się w powieści dwa jeszcze przejmujące epizody. Pierwszy to ów rozpaczliwy list od przyjaciela z obcego kraju, który może być równie dobrze Bułgarią, Ugandą czy Kazachstanem, z państwa, w którym wolność wytrzebiono do ostatka, do tego stopnia, że nawet na pytanie o jej potrzebę i sens nie ma miejsca w ludzkich umysłach. Drugi epizod jest skromniejszy, bardziej zwyczajny, ale też i - moim zdaniem - bardziej przejmujący, może najbardziej z całej powieści. To owo przypadkowe spotkanie w sklepie jubilerskim z własnym sobowtorem: krewnym z za wschodniej granicy, "gierojem socjalistyczeskawo truda", brygadziwą chlewni z kołchozu na radzieckiej Litwie, który zapytany: "Jesteś zadowolony ze swego życia?", odpowiada: "Nie myślałem nigdy o tym. Mogłoby być mniej. (...) Człowiek stworzony, żeby pracować. (...) Więcej nic nie wiem. Wszystko inne jerunda".

To właśnie nas czeka - zdaje się mówić Konwicki - jeśli przestaniemy zadawać sobie samym to pytanie, jeśli pogodzimy się z Wielkim Bezsensem, jeśli utoniemy jak w wacie w tym milczeniu, które jak na razie jest naszym jedynym prawem. "Dawniej zniewolonemu przysługuje prawo krzyku, dziś niewolnikom zapewniono prawo milczenia, niemoty. Krzyk przynosił ulgę, krzepił zdrowie jak noworodkowi, hartował na przyszłość. Milczenie, niemota degenerują, duszą i zabijają. Dawniej zniewolony, kiedy odzyskał wolność, mógł bez przeszkód włączyć się do wielkiej rodziny wolnych narodów. Dziś, przypadkiem uwolniony, nie będzie już zdatny do życia. Sam zginie od jądów, które zgromadził w sobie podczas czarnej nocy ubezwłasnowolnienia."

11

Jestem już we wnętrzu państwowego sklepu "Delikatesy", kiedy od czoła kolejki bucha wieść, że towar już się skończył. Żalony, chóralny jęk zawodu. Więc nie będzie karpia na wigilijnym stole. Więc raz jeszcze nas ocwanili, upokorzyli, zrobili na szaro. Więc cudu i tym razem nie będzie.

Wychodzimy na ulicę w milczeniu.

Poznań, grudzień 1977

Stanisław Barańczak



Teodor Halicz

HISTORIA FILOZOFII WSPÓŁCZESNEJ  
E.Gilsona, T.Langana, A.A.Maurera

W 1977 r. ukazała się nakładem Instytutu Wydawniczego Pax Historia filozofii współczesnej E.Gilsona, T.Langana i A.A.Maurera w przekładzie (z języka angielskiego) Bohdana Chwedeńczuka i Sylwestra Zalewskiego. Ukazała się w mikroskopiowym, w stosunku do potrzeb, nakładzie trzech tysięcy egzemplarzy, toteż w otwartej sprzedaży była praktycznie niedostępna.

Jeśli pominąć tom III (uchodzący zresztą za słabszy od pozostałych) znakomitej Historii filozofii Władysława Tatarkiewicza, nie ma w naszym języku książki, którą można by polecić człowiekowi pragnącemu uzyskać całościowy obraz głównych idei, doktryn i teorii współczesnej filozofii Zachodu. Wydanie w tej sytuacji wybitnej książki Gilsona, Langana i Maurera, któremu zresztą należy przyklasnąć, przypomina jednakowoż postępowanie człowieka, sprawiającego sobie smoking, choć nie ma zwykłych portek i marynarki.

Historia filozofii współczesnej jest bowiem książką, by tak rzec, dla zaawansowanych. Jest książką dla ludzi, którzy coś już wiedzą o filozofii, coś niecoś czytali z pism samych filozofów, rozumieją swoistość badania i dyskursu filozoficznego. Mówiąc krótko, jest to książka elitarna, tzn. dosłownie dostępna nielicznym, a wysokość nakładu i cena (250 zł) pogłębia jeszcze ową elitarność. I nie byłoby w tym nic złego, każda bowiem normalna i zdrowa kultura ma różne kręgi wtajemniczenia, gdyby istniały książki filozoficzne dostępne szerokiej publiczności, np. opracowania popularyzujące i łatwo dostępne antologie tekstów filozofów (kulejąca od dłuższego czasu seria "Myśli i ludzie" Wiedzy Powszechnej nie zaspokaja potrzeb), a przede wszystkim, gdyby zachowana była zasada ciągłości, tzn. takie nasycenie i zróżnicowanie dóbr kultury, które pozwala na stopniowe przechodzenie od jej poziomów niższych ku wyższym i najwyższym.

Wróćmy jednak do Historii filozofii współczesnej. Składa się ona z czterech części poświęconych kolejno pięciu narodowym środowiskom myślenia filozoficznego: filozofii niemieckiej (od Fichtego do Heideggera i Jaspersa), filozofii francuskiej i włoskiej (od Cabanisa do Ricoeura oraz od ideologów włoskich początku XIX wieku do Gentilego), filozofii angielskiej (od Bethama do współczesnych analityków języka potocznego) oraz filozofii amerykańskiej (od jej początków do Deweya). Autorzy Historii filozofii współczesnej powołują się pewnymi założeniami, z których zresztą otwarcie zdają sprawę: przede wszystkim wybierają myślicieli, których uznają za ważnych, zaś w ich dorobku wybierają te wątki i obszary refleksji (najczęściej jest to refleksja metafizyczna, epistemologiczna i etyczna), które mają za doniosłe teoretycznie. Powołują się też nasi autorzy pewnymi założeniami ogólniejszymi, przede wszystkim założeniem, że rzeczą ważniejszą w pracy historyka filozofii, niż "dostarczenie czytelnikowi informacji o faktach", jest dostarczenie mu czegoś, co pozwala "naprawdę rozumieć, co to znaczy filozofować". To zaś najłatwiej osiągnąć, pokazując jak filozofowali wielcy filozofowie przeszłości. Jest to poza tym, co wnosi szczególny zasób założeń, książka napisana przez trzech filozofów katolickich (Gilson jak wiadomo, jest jednym z najwybitniejszych filozofów katolickich naszych czasów). Otóż doświadczenie uczy, że książki o filozofii pisane przez wyznawców różnych (szczególnie zinstytucjonalizowanych) wiar, doktryn i religii bywają bardzo często zde - stronnicze, deformujące, pogwałcające podstawowe wymogi poprawności badania. Tymczasem, co wypada podnieść z uznaniem, katolicyzm naszych autorów nie tylko nie zniekształca owoców ich pracy, lecz wyraźnie je wzbogaca, wprowadza bowiem m.in. wrażliwość na zagadnienia ostateczne, którą utraciło wielu dzisiejszych filozofów pod wpływem sceptycznych i relatywistycznych tendencji współczesnej kultury, pod wpływem kompromitacji intelektualnej różnych postaw absolutystycznych, pod wpływem złowrogich doświadczeń, jakie przyniosły próby urządzenia świata pod dyktando doktryn "znających



jedyną i całą "prawdę".

Historia filozofii współczesnej jest przede wszystkim znakomitą (choć niełatwą w odbiorze) historią filozofii: pokazuje kompetentnie i rzetelnie treść poglądów filozofów, tok i strukturę ich myśli, a także momenty krytyczne (słabość, niekonsekwencje) filozofowania. A ponadto jest to książka filozoficzna, poucza bowiem, że bezinteresowne dążenie do prawdy, ów impuls źródłowy filozofii, jest niezbywalnym warunkiem sensowności wszelkiego filozofowania, pokazuje głęboko utajoną, za różnorodnością filozoficznych obrazów świata, jedność filozofii.

Autorzy dołączyli do swej książki obszerne przypisy, gdzie znalazły się przede wszystkim dane faktograficzne (krótkie biografie myślicieli oraz informacje bibliograficzne). Jeden z polskich tłumaczy uzupełnił owe dane informacjami o przekładach na język polski pism poszczególnych myślicieli oraz o dostępnych po polsku głównych opracowaniach ich poglądów. I tu właśnie wkroczył cenzor. W wyniku jego interwencji zabrakło tytułów prac Leszka Kołakowskiego i Krzysztofa Pomiana, na czele z wydaną przez obu autorów antologią Filozofia egzystencjalna, jedyną w języku polskim antologią tekstów myślicieli tej tradycji. Sytuacja ta nasuwa kilka uwag. Najpierw oczywiście etatową uwagę, że jest to interwencja, jak zresztą samo istnienie cenzury rewolucyjnej, bezprawna i niszczyielska. Ale też nasuwają się uwagi, nieoryginalne zresztą, dotyczące tajemniczej natury cenzorskiego działania. Dlaczego oto Kołakowski i Pomian zagubieni w wydrukowanych drobnym drukiem przypisach do bądź co bądź specjalistycznej książki są niebezpieczni, gdy tymczasem ta sama grzyna dwójka panoszy się bezkarnie w wydrukowanym normalnym drukiem "Słowniku terminologicznym" do książki M. Heideggera Budować, myśleć (Warszawa 1977, nakład 5310 egz.s.338)? Dlaczego oto instrukcje cenzury - co można przeczytać w ujawnionych i udostępnionych publicznie przez Komitet Samoobrony Społecznej "KOR" materiałach cenzury - zezwalają na umieszczenie nazwisk Kołakowskiego i Pomiana w pracach naukowych, a cenzor z owego zezwolenia skorzystać nie chce lub nie może? Te i inne pytania rodzą się, gdy staje się przed nieprzeniknionym obliczem Cenzora.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że filozofia pozwala je przeniknąć. Filozofia zatrzymuje się przed absurdem. Może go to najwyżej wskazać. Ale, jak poucza historia, może też pomóc go unicestwić.

Teodor Halicz



## PIERWSZY NUMER "PULSU"

"Zapis" doczekał się młodszego brata: jest nim "Puls". "nieregularny kwartalnik literacki". Pierwszy numer "Pulsu", zredagowany przez Jacka Bie-rezina, Tomasza Filipezaka, Witolda Sułkowskiego i Tadeusza Walendowskiego, a więc głównie młodych autorów łódzkich, dotarł właśnie do naszych rąk. Serdecznie witamy.

W "edycji bibliofilskiej", którą mieliśmy przyjemność otrzymać, imponuje szata graficzna, ilustracje zaś i fotografie zapowiadają, być może, przyszłe zainteresowanie "Pulsu" sztukami plastycznymi, co byłoby w naszych warunkach inicjatywą pionierską.

Pierwszy numer przynosi krótką deklarację redakcyjną. "Puls" wyjaśnia, po co powstał: "ponieważ gdy znika możliwość publicznego wyrażania myśli i swobody dyskusji, znikają także skłonności i ochota do myślenia w ogóle", "Puls" nie chce formułować żadnego programu literackiego, ale zamierza "preferować literaturę społeczną", twórczość taka tym się odznacza, że "pozwała czytelnikowi na syntezę, która w liberalnym modelu kultury nazywała się prawdą". Na wstępie "Puls" zamieszcza nie drukowany artykuł prof. Stanisława Ossowskiego sprzed 15 lat o swobodzie słowa w dyskusjach naukowych oraz publikuje "bez wiedzy i zgody autora" krążący w odpisach poemat Anto-niego Pawłaka o powołaniu do wojska ("Ojczyzno...") czy pomyślałaś że coś jest nie tak (skoro młodzi chłopcy postawieni) w mojej sytuacji (podcinają sobie żyły...) czy nie spłaciłem już Tobie długu (za średnie wykształcenie ...) w celi numer szesnastoście aresztu śledczego (za miszkę wystygłej kolacji) i zabrane sznurowadła... (a więc co się z nami stało) z nami wszystkimi mi-lującymi ciebie (od pierwszego podręcznika) do ostatniej gazety... (powie-dziano mi) - oddziel; Ojczyznę od Państwa (Naród od Rządu) Historię od zmiennych jak pogoda (podręczników szkolnych...) ale oddzielić można tylko to (- odpowiedziałem -) co może być oddzielone (bez cięć skalpela) bez gwałtu (lekkim draśnięciem nadziei) której już nie posiadam". Wydaje się, że tekst Pawłaka jest najpoważniejszą pozycją numeru dzięki przejmującej szczerości i wręcz szokującemu dramatyzmowi wyznania. Poeci Jaskuła i Bie-rezin próbują sformułować stosunek swój i niejako swego pokolenia do trady-cji poetyckiej uosobionej w Czesławie Miłoszu (dział specjalny "Pulsu" - "Rodowody"). Prozę reprezentuje Witold Sułkowski utworem, a właściwie frag-mentami powstającego prawdopodobnie utworu p.t. "Dysiek", który redakcja za-opatruje w następujący komentarz: "Jest to bodajże pierwszy w dziejach czaso-piśmiennictwa druk powieści w odcinkach nie po kolei". Na razie otrzymaliśmy jeden wielki żywioł żartu, satyry i surrealizmu. Jego struktura fabularna i logiczna jest mglista. Ponieważ nie chcemy wydawać sądów o rzeczy, którą, być może, niezupełnie jeszcze rozumiemy, wstrzymujemy się z opinią do chwili, aż przeczytamy dalsze, "niekolejne" odcinki. Pachnie tu trochę Orwellem, tro-chę Marquizelem, ale co najważniejsze, są w tej prozie przebity rzeczywistości świata (w ostrej karykaturze) i to się liczy. Numer uzupełniają wiersze ży-jącego na emigracji poety, Bogdana Czaykowskiego, a także młodego autora łódzkiego, Zbigniewa Dominiaka, oraz przejrzały z poezji amerykańskiej (Allen Ginsberg, Lawrence Ferlinghetti), wreszcie przegląd wydarzeń kulturalnych, kronika, notatki.

Młodszy brat nie byłby młodszym bratem, gdyby nie wetknął szpilki star-szemu. Wtykanie szpilek starszemu bratu jest przyrodzonym prawem biologicz-nym każdego młodszego brata. No i bardzo dobrze, jak pisał Konwicki. Nie ma sensu ani potrzeby powściągać młodszego brata w tych zaczepnych skłonnościach a raczej na odwrót: należałoby je pobudzać, bo młodszy brat powinien się roz-wijać bez zahamowań i kompleksów. Zresztą "Zapis" też nie jest święty i wca-le nie zaszkodzi, jeśli mu czasem ktoś powie to i owo do słuchu.

Ale... Pora już właśnie na "ale". O rzeczywisty obraz sytuacji dbamy nie mniej niż o zdrowy rozwój młodszego brata, to też nie pozostawimy bez odpo-



wiedzi "Kilku uwag o prozie" ogłoszonych w "Pulsie" przez Witolda Sułkowskiego Sułkowski twierdzi mianowicie, że "uderzającym motywem prozy zamieszczonej w pierwszym "Zapisie" jest gwałt", i dochodzi na tej podstawie do wniosku, że "ta nieprzypadkowa zbieżność tematyki wyraża stan świadomości twórczej starszego i średniego pokolenia pisarzy". Hm, może to wniosek zbyt kategoriyczny, jak na dość przypadkową (nie da się ukryć) kompozycję "Zapisu" nr 1, w którym zgromadzono teksty z r ó ż n y c h w z g l ę d ó w (a więc nie tylko ze względu na treść, lecz i na autorów) nie dopuszczone do druku przez cenzurę. Opisy gwałtu znalazły się w tych tekstach rzeczywiście, ale nawiasem mówiąc, nie było ich aż tyle, ile chciałby Sułkowski, który widzi "leitmotiv" gwałtu nawet u Brandysa i Andrzejewskiego. To już są interpretacje, zbyt naciągane. W istocie daliśmy dwa (aczkolwiek r ó ż n e) grzyby w barszczu, Orkosia i Bocheńskiego, zamiast schować jeden z nich na później, popełniliśmy więc może redakcyjną niezręczność, ale jesteśmy skromni i nie sądzimy, że każda pecha "Zapisu" nr 1 stanowi od razu cechę podstawową polskiej literatury współczesnej. Czy w "Kompleksie polskim" Konwickiego ("Zapis" nr 3) "leitmotivem" też był gwałt? Chyba, że ktoś wszędzie widzi "symbole", a każdy "symbol" kojarzy się mu się z jedną tylko rzeczą, jak Franusiewi w znanym dowcipie

"Gwałt jako ogólny symbol rzeczywistości" - powiada Sułkowski. I dodaje: "nie pamiętam ogólnonarodowego gwałtu". Hm... My jednak pamiętamy kilka.

Sułkowski nie lubi "wielkiego realizmu", który "całą siłą uderzenia" kieruje "na treść". Ma to być rezygnacją "z poszukiwań formalnych", świadcząca o tym, że "polscy pisarze współcześni zastąpili ryzyko tworzenia ryzykiem narażania się urzędom". Sułkowski wolałby ryzyko tworzenia "z kawałków codzienności powiązanych raczej asocjacją niż związkiem przyczynowo-skutkowym", Ano na zdrowie! Niech sobie tak ryzykuje i tworzy. My jednak na wszelki wypadek będziemy szanować także "treść" i "związki przyczynowo-skutkowe".

A. B.



## "SPOTKANIA"

Życie kulturalne wzbogaciło się o nowe niecenzurowane pismo - "Spotkania". W nocie redakcyjnej stwierdza się różnorodność sporej już ilości nieoficjalnych czasopism powstałych z potencjału "tego, czego nie udało się zniszczyć w Polakach - niezależnej myśli". "Niezależne pismo młodych katolików (tak brzmi podtytuł "Spotkań") powstało - jak deklarują redaktorzy - z potrzeby uruchomienia w środowisku katolickim niezależnego forum i z przekonania, że "Spotkania" staną się jeszcze jednym głosem społecznej dyskusji.

Przekonanie to potwierdzają dwa poważne szkice historyczne: Jacka Zaborowskiego o genezie i historii antysemityzmu i o "sprawie ukraińskiej". Współczesne pokolenia: "dziadów", "ojców", "pokolenie 68" znajdują potwierdzenie swoich doświadczeń w stwierdzeniu, że antysemityzm "najczęściej towarzyszy wszelkiego rodzaju kryzysom, bo stwarza łatwość obarczania mniejszości żydowskiej iluzoryczną często winą za niedoskonałości w społecznym funkcjonowaniu systemów". Z 3,3 mln Żydów w Polsce w r. 1939 zostało cztery tysiące, ale nie zniósło to problemu antysemityzmu. Autor cytuje L.Hirszfelda: największą tragedią Żydów "jest nie to, że ich antysemita nienawidzi, ale to, że łagodni i dobrzy ludzie mówią: "porządny człowiek, chociaż Żyd". Artykuł rzuca światło jak głęboko sięgają korzenie takiej mentalności "łagodnych i dobrych ludzi". Obszerny fragment szkicu poświęcony jest omówieniu współczesnych inicjatyw "urodzonych z ducha posiadania wspólnych źródeł wiary". Inicjatywy watykańskie pełniły stosunki między Kościołem a Synagogą w nowy, acz obliczony na długą metę proces rozwoju. Ostatnia konkluzja Zaborowskiego odnosi się do tytułu szkicu: "Sprawy Żydów czy antysemityzm". Powszechnie, myśląc o Żydach, kojarzy się wszystko co ich dotyczy z antysemityzmem i nie popełnia się omyłki, ale "rozdzielenie w świadomości społecznej sprawy Żydów od atmosfery antysemityzmu niech w miarę sił i środków i dla nas będzie zadaniem na najbliższe pokolenia".

Artykuł "Ukraińcy wobec państwowości polskiej" omawia, w oparciu o historyczne dane, złożoność stosunków między II Rzeczypospolitą a narodem ukraińskim, stosunków do końca w żaden sposób nie uregulowanych. "Rzeczywistość stosunków polsko-ukraińskich w międzywojennym dwudziestolecu nikogo nigdy właściwie nie zadawała prócz zagranicy". Rozważania dotyczą błędów polityki wewnętrznej państwa polskiego wobec tej dynamicznej mniejszości, błędów wynikających z nieuwzględnienia podstawowych aspiracji ukraińskich. Dodajmy od siebie: sprawa ukraińska nas Polaków winna obchodzić tym bardziej, im większą odpowiedzialność bierzemy nie tylko za tradycję stosunków między obu narodami - tradycję wzajemnych tragicznych odwetów - ale i za przyszłość.

Artykuł Janusza Topacza "O co chodzi?" przynosi, w oparciu o wizję najnowszej historii, ocenę sytuacji międzynarodowej i sytnacji politycznej Polski, a także zarysowuje program działań w kierunku "wolnej Polski w wolnym świecie."

W lubelskich "Spotkaniach" znajdziemy dalej refleksje z pamiętnej głódówki w kościele św. Marcina, pióra jej uczestnika - Jerzego Geresza.

Bohdan Borusewicz, członek KSS - "KOR" jest autorem pierwszego tego rodzaju opracowania: "Metody walki z opozycją w Polsce". Wielostronicowa "lista zatrzymanych" jest smutnym dokumentem "dialogu politycznego", jaki toczy władza ze społeczeństwem.

55 lat temu Włodzimierz Lenin poprzedził "ściśle tajny" list do członków Biura Politycznego (w sprawie likwidacji życia religijnego) prośbę o "nie robienie kopii pod żadnym pretekstem". Sugestię przyjęli także wydawcy "Dzięk zebranych", gdzie listu nie opublikowano. Było i jest co ukrywać: w następstwie poleceń zawartych w liście zamordowano 8 100 duchownych. "Spotkania" (za jakim źródłem rosyjskim?) ogłaszają ten przerażający dokument.

Wiersze zamieszczone w pierwszym numerze "Spotkań" nie są jego najmocniej-



szą stroną. Ale pięknie i szlachetnie jak poezja brzmią otwierające numer "Rozważania ewangeliczne" Witolda Zdziechowskiego, opatrzone mottem z Ewangelii z Conrada. "Rozważania" dotyczą każdego człowieka: każdej wiary, światopoglądu, narodu, a jednocześnie stwarzają wrażenie szczególnego odniesienia do "tu i teraz". "Tak-tak, nie-nie" - powtarza za Chrystusem autor. "I nie inaczej - ciągnie - : białe-białe, czarne-czarne. Taki był On. Taki mam być ja, jeżeli chcę pójść za Nim. A przecież chcę. I nie ma takiego systemu, który usprawiedliwiłoby moje opóźnienie w drodze za Nim. I nie ma takiego zamieszania, które rozgrzeszyłoby mnie z umycia rąk.

Zamianifestowana tu postawa wydaje się reprezentatywną dla młodych katolików, wydających "Spotkania" (w nakładzie, jak czytamy na okładce, 1200 egzemplarzy).

L. Dym.



Kisiel

## 2 x WOŁANIE NA PUSZCZY

1. Podręczny skorowidz nazwisk  
Skonfiskowany w listopadzie, ulepszony w grudniu 1977.

- 1/ ANDZEJEWSKI - fraszkopis, działacz. Epistemolog.
- 2/ AMSTERDAMSKI - uczoney, protestant.
- 3/ AULEYTNER - działacz katolicki na "a", sekretarz Chrześcijańskiej Unii Jedności.
- 4/ BABIUCH - Zenon naszych dni. "Kariera Nikodema..."
- 5/ BARANCZAK - współpracownik naszego piśma, prozaik.
- 6/ BARDECKI - też katolik, postępowy. Schizma.
- 7/ BARTOSZEWSKA - ptak z dziobem, zapobiegliwy, pilny (dobrze się czuje w piwie).
- 8/ BARTOSZEWSKI - wędrowny mówca, kolekcjoner.
- 9/ BIAŁOSZEWSKI - lingwista, sensacjonista.
- 10/ BIDA - jeszcze sprzed wojny likwidator (logofag).
- 11/ BIENKOWSKA - flora i fauna (ogrodowa). Poetka.
- 12/ BIENKOWSKI - bibliotekarz, leśnik, turysta.
- 13/ BIEREZIN - poeta potępieniec.
- 14/ BLUMSZTAJN - kawał historii współczesnej.
- 15/ BOCHENSKI - zależy jaki (rzymski czy reżymski).
- 16/ BONIECKI - paryżanin w Sikorniku. Moralista.
- 17/ BRATKOWSKI - kontroler finansów, lepszy od Bocheńskiego. Technik.
- 18/ BRATNY - oficer, myśliwy. Jajko Kolumba.
- 19/ BRZEZINSKI - profesorek, warszawianin (na pomoc!!).
- 20/ BRYWINSKI - bredacz, kulturysta. Postępowiec.
- 21/ DAVIES - zwolennik Gierka (Aleje Ujazdowskie). "I ty, Brutusie..."
- 22/ DOBOSZ - damski krawiec, Francuz.
- 23/ DOBROSIELSKI - do wszystkiego. Bezbłędny. Delegat.
- 24/ DOBROWOLSKI - głupia sprawa.
- 25/ DRAWICZ - egiptolog, popierany, wzrost niski.
- 26/ EILE - abstrakcjonista, kierowca, jazzfan, twórca, kolarz.
- 27/ ESKA - pseudonim.
- 28/ FEDECKI - piosenkarz, Okudźawa.
- 29/ FIKUS - polityczna roślina doniczkowa.
- 30/ FORD - firma amerykańska. Filia w Kopenhadze.
- 31/ GOMOŁKA - psalmista (XVI w.).
- 32/ GONTARZ - pisarz, dramaturg, filozof. W opozycji. Popularny, lubiany.
- 33/ HAMILTON - starzec myślowy, piwosz. Obywatel Stegien i Żyrardowa.
- 34/ HANUSZKIEWICZ - motocyklista sukcesu ("Komu Ty jedziesz").
- 35/ HERLING - fiołki w Neapolu. I cóż dalej, szary człowieku...
- 36/ HERTZ - słowik Syrokomli, prezesunio (jest i inny, wuj).
- 37/ IWASZKIEWICZ - nie znany, przemilczany. Obywatel ziemski.
- 38/ JAROCKI - a/ solidna praca młodzieżowa, b/ brodaty teatr nudystów.
- 39/ JEDLIICKI - który?! Gdzieżeś?!
- 40/ KANIA - ptak, biskup narodowy, motor akcji.
- 41/ KARPINSKI - a/ profesor architekt ścienny, b/ trzech Budrysów, c/ teatr mniej znany (jednego widza, Macieja).
- 42/ KAKOL - chaber (100 kwiatów). Kwiat?!
- 43/ KIELANOWSKI - a/ działacz senior, b/ bezbolesna firma pogrzebowa, c/ artysta ze Szkocji (chwilowo w Londynie).
- 44/ KLISZKO - "Już nigdy..." (stare tango).
- 45/ KOŁAKOWSKI - chlubnie wzmiankowany w prasie, jubilat (Miron oczywiście).
- 46/ KOŁŁATAJ - nie z "Kuźnicy", z "Tygodnika" (co to pomoże?!).



- 47/ KOMAR - hrabia kulomiot, rozwiedziony. Przykładowy.
- 48/ KONWICKI - pamiętnikarz, freudysta, przybył z Zachodu.
- 49/ KOPROWSKI - "der kommende Mensch". "Wąsy i peruka".
- 50/ KOSICKI - likwidator (logofag). Duża popularność.
- 51/ KOSSAK - dzisiejszy, gorszy.
- 52/ KOWALSKA - nawrócona na wiarę (Pax vobiscum).
- 53/ KOZŁOWSKI - kandydat na posła spod jakiego "Znaku" ? (odwieczny).
- 54/ KOZNIIEWSKI - chce bardzo i łapkę wyciągnął do niego (do kogo?!).
- 55/ KRÓL - wybył, bo mamy demokrację. Monarcha mało znany.
- 56/ KRZECZKOWSKI - tajemniczy James.
- 57/ KUDAS - rzecznik tematyki współczesnej.
- 58/ KURON - pracownik zwolniony. Odkuje się. Pilny.
- 59/ KUROPESKA - skrzyżowanie (Miczurin). Były kapitan WP.
- 60/ KUROWSKI - minister skarbu (katolickie centrum).
- 61/ KURZYŃA - polskiej kultury miłośnik, na bocznym torze.
- 62/ KUSNIEWICZ - dyplomata. Prezes.
- 63/ LAM - z rodziny encyklopedystów. Stara się, cierpliwością i pracą
- 64/ LASOTA - Elek był gustowny, Grześ tylko do baletu.
- 65/ LEBENSTEIN - diabeł wcielony (w księdza)
- 66/ LECHOWICZ - ostatnio niewinny.
- 67/ LEM - gwiazdny pojazd. Sputnik polski.
- 68/ LICHNIAK - niewypał legendarny.
- 69/ LIPIŃSKI - członek korespondent. Zawieszony w prawach.
- 70/ LOGA - jednostka miernicza, zagraniczna.
- 71/ LIPSKI - człowiek z sercem. Sercem gryzie.
- 72/ LUTOSŁAWSKI - skrzypek, pianista, dyrygent, działacz związkowy, prele-  
gent.
- 73/ LUTOWSKI - lekarz, uroda, pisze zwolnienia.
- 74/ ŁASZOWSKI - Dickens: "Wielkie nadzieje". Ma przyszłość za sobą.
- 75/ ŁUKASZEWICZ - wynalazca lampy naftowej, oświaty kaganiec, sława świa-  
towa.
- 76/ MACHEJEK - zamożny, wierszówki nie trzeba. Włsnny język giętki.
- 77/ MACIĄG - co z resztą żywota?! (na marne).
- 78/ MALIŃSKI - aforysta nieprzystojny (nieobyczajny).
- 79/ MAMON - krytyk nieznanym, urokliwy. (nowomowa). Specyfik wawelski.
- 80/ MAZOWIECKI - "Miąś, Bracie, czapkę z piór..."
- 81/ MICEWSKI - drażliwy, pomysłowy, przedwojenny. Wysoki brunet.
- 82/ MICHĄŁOWSKI - daleko.
- 83/ MICHIK - dandys, fordanser, przystojniak (ma wzięcie).
- 84/ MIJAŁ - bardzo daleko. "Im słońeczko wyżej..."
- 85/ MIŁOŚZ - drodzy nieobecni. "On nie powróci już..."
- 86/ MINKIEWICZ - "Co nam zostało z tych lat?"
- 87/ MINKOWSKI - przyjaciel Kierenskiego. Działacz związkowy.
- 88/ MOCZAR - autor, scenarzysta. Reżyser.
- 89/ MOCZULSKI - nieobyczajny. Ruska wojna.
- 90/ MOND - też w Paryżu. Military.
- 91/ MORAWSCY - a/ Adzio, b/ Anna, c/ Dominik, d/ Jerzy, e/ Krzysztof, f/ Maciej  
g/ Stanisław, h/ Stanisław August, i/ Stefan, j/ Zdzisław.
- 92/ MYSLIK - patrz hasło "Mazowiecki".
- 93/ NOWAK - który?! "Tak czy owak, będzie N..."
- 94/ OLSZEWSCY - a/ Jan (będzie nas bronił), b/ Jrzy, c/ Józef, d/ Kazimierz.
- 95/ ORŁOŚ - pisarz poczytny, popierany (względy rodzinne).
- 96/ OSIECKA - dodatek do Męza. Poetessa.
- 97/ PACH - chciał dobrze. W telewizji.
- 98/ PASIERB-ORLAND - artysta, duchowny (Janusz).
- 99/ PASTUSIAK - stypendysta (masochści w tej meryce!).
- 100/ PASZYŃSKI - kozak, znawca ekonomii. Rada by dusza, ale nie da rady. A kysz
- 101/ PIASECKI - wydawca, poza tym patrz "Klisko".
- 102/ PODKOWIŃSKI - bardzo zdolny, gustowny. Znanca ZSRR.



- 103/ POMIAN - filozof, cytowany. Logik patriotą. Na wykładach zleconych.  
 104/ POMIANKOWSKI - rzymianin, eskulap. "Gdy wrócisz...".  
 105/ PRZETAKIEWICZ - za późno kwiatku, za późno... "Niespokojna starość".  
 106/ PSZON - mózg jedyny, krakowski, na laurach.  
 107/ PUACZ - wydawca mało znany. Sekretarz. Czy się uda?  
 108/ RAKOWSKI - odwieczny czarny koń, koncesja, brak wykończenia akcji (i czło-  
 wieka).  
 109/ REIFF - partyzant, wędrowiec, piechur. Solidny. Były poseł.  
 110/ REMBEK - szukaj wiatru w polu.  
 111/ ROLINSKI - nikomu nie życzę, mocarz słowa. Stylista.  
 112/ RYSZKA - profesorka z Wilna. Marksizm stosowany. Wychodzi.  
 113/ SANDAUER - znawca, koneser. Bojowiec. Podobno umie (biblista).  
 114/ SCHAFF - Mohikanin, podróżnik. "ychował młodzież (od lat 10 do 100).  
 Czasowo na placówkach."  
 115/ SCHAFER - bardzo skromny, lubiany za nieśmiałość. Literat.  
 116/ SECOMSKI - "Nikt mnie nie zna...".  
 117/ SEIDLER - Halberstam polski.  
 118/ SIENIEWICZ - wodzu, prowadź!! "Z ziemi włoskiej do...".  
 119/ SIŁA - początek nazwiska. Radca prawny, lewicowiec.  
 120/ SOKORSKI - komik, wodzirej poloneza, mózg i płeć, żołnierz zwycięstwa.  
 121/ SPYCHALSKI - buława w turnistrze.  
 122/ STASZEWSKI - kandydat niedoszły, gawędziarz. Towarzyski.  
 123/ STOMMA - docent, pisarz, dyplomata. Rejtan nasz słodki.  
 124/ STRYJKOWSKI - gustowny, amatorski, choć niewielki.  
 125/ STRZELECKI - a/ Jaś - otomaną westchnień, b/ Rysio - chyba dzisiaj to  
 samo.  
 126/ SUSZKO - asceta, kulturysta, jarosz.  
 127/ SZPOTAŃSKI - szachista, krytyk, pracowity, sumienny, cichy. Wstęp do  
 kariery.  
 128/ TOMASZEWSKI - "pięknie dwudziestoletni", czyli tenis odmładza.  
 129/ TUROWICZ - turysta, siwy, oczy sarnie wiecznie spragnione.  
 130/ TYRMAND - biedny Lolo, "Amerykanin w Paryżu". Zły.  
 131/ WAŻYK - życie raz jeszcze, znawca nieprzydatny. Estetyk.  
 132/ WIATR - wieje na lewo, nikogo nie porywa.  
 133/ WIDY-WIRSKI - ginekolog, neopoganin, wspominkarz, miłośnik psów.  
 134/ WIECHECKI - drugi Kolberg, demokrat, prażanin.  
 135/ WIELOWIEYSKI - poradnik przedmałżeński. Gustowny, rodzinny.  
 136/ WIERZBICKI - z dobrej rodziny. Zpienia pisma jak rękawiczki.  
 137/ WINOWSKA - papieżyca, autor, wieczna młodość.  
 138/ WIONCZEK - a/ minister w Meksyku, b/ reżyser w Warszawie.  
 139/ WOLANOWSKI - żona dla Australijczyka.  
 140/ WOROSZYLSKI - "... a potem litość i trwoga".  
 141/ WYSOCKI - dwojga imion, nieszczęśnik. ("A tatuś musi...").  
 142/ VOIT - król życia i dowcipu (z brodą).  
 143/ ZABŁOCKI - kandydat na szefa Chrześcijańskiej Unii Jedności. Ma plecy i  
 przyjaciół.  
 144/ ZATORSKA - sam miód.  
 145/ ŻABA - dziennikarz (tamże Święcicki). "Jak Czarniecki do Poznania..."  
 146/ ŻÓJKIEWSKI - hetman bez armii, gloria bitew bezcelowych. Wgnanie.  
 147/ ŻUK - felietonista, orientalista, przyrodnik z Mokotowskiej. Owad.  
 148/ ŻUKROWSKI - autor jednej książki.  
 149/ ŻUŁAWSKI - z dobrej rodziny, działacz, emeryt. Siwy, mądry.  
 150/ ŻYCHIEWICZ - znawca Sienkiewicza, Biblii i Lwowa. ("O gdybym raz jesz-  
 cze urodzić się mógł...").

Hermetyczny skorowidz towarzyski podał

Kisiel

anex: w rezerwie Gledroić, Kruczek, Łabędź, Waldorff, Załuski.



## 2. Po tegorocznej kampanii (Skonfiskowane w grudniu 1977)

Dostałem mnóstwo listów, w których zytelnicy domagają się sprawozdania z tegorocznego indywidualnego zbioru kasztanów. Istotnie, zapowiedziałem był już dawno, że sprawozdanie takie złożę, podobnie jak w roku ubiegłym, tymczasem śnieg już spadł, a ja szczegółowego bilansu zbiorczego jeszcze nie opracowałem. Przepraszając więc P.T. Czytelników pospieszam ze złożeniem na razie ogólnego raportu, będzie on w terminie późniejszym uzupełniony o pełny zestaw budżetowy z rozbiciem na działy, przygotowywany obecnie przez Instytut Badań Kasztanów Niejadalnych oraz Instytut Skupu i Przerobu Surowca Kasztanowego, a także Państwową Inspekcję Handlu Kasztanowcem i Jego Odpadami (z drzewa).

Tak więc niniejsze opracowanie uznać należy za jedynie wstępne. Ogólna uwaga nasuwająca się na temat tegorocznego zbioru: przebiegał on z jednej strony pod znakiem przedwczesnych zakłócających wiatrów, które masowo strącały z drzew owoce Kasztanowca Niejadalnego czyli Kasztana Pospolitego, z drugiej strony pod puszczonej na żywioł hasłem spontanicznego uintensywnienia dzikiego, nie ujętego w plan zbieractwa zbiorowego i grupowego, co zwiększyło wydatnie pozaplanową podaż rynkową i popyt na terenach publicznych (Łazienki, Agrykola, Park Ujazdowski, Królikarnia, Cielętnik, Wisielcówka i inne warszawskie obszary zielone) oraz powodowało szereg niekorzystnych zjawisk ubocznych. Należały do nich konflikty, w których zbieracze rutynowi i mający za sobą wieloletni twórczy dorobek oraz wszechstronny staż przeciwstawiali się kategorycznie rabunkowym i dewastującym praktykom, polegającym na wywoływaniu w sposób sztuczny przedwczesnego dygotu drzew, powodującego w konsekwencji zbiorowy spadek masy kasztanowej, częstokroć a stanie nie nadającym się... absolutnie do przerobu, produkcji i konsumpcji, a w niektórych wypadkach trafiającej wręcz na głowy wspomnianych już doświadczonych zbieraczy. Nierzadkie były nawet oburzające wypadki, że brunatne czy nawet jasnobrązowo zabarwione jądro kasztanowe znajdowało się jeszcze w zielonej, kolczastej otoczce, skonstruowanej z dwóch różnych połowizn czyli łupin. Otoczka ta, czyli kasztanowa dwudzielna pochwa ochronna, przepoławiała się częstokroć dopiero i otwierała w zetknięciu z nawierzchnią jezdni i alei miejskich, ewentualnie na tejże wspomnianej powyżej głowie, co niewątpliwie uznane być musi za przejaw społecznego anachronizmu, zagrażającego zdrowiu i publicznemu porządkowi, a także zakłócającego spokojny i prawidłowy przebieg nieodpłatnego zbioru kasztanów niejadalnych czyli owoców Kasztanowca Pospolitego, pogarszając wybitnie jakość surowca, wymiary bowiem oraz konsystencja kasztana przedwcześnie uwolnionego z zielonej jeszcze z dwudzielnej pochwy łupinowej, zdecydowanie nie odpowiadają normom technicznie uzasadnionym, ustalonym dla indywidualnego zbieractwa przez Naukowy Instytut Zbiórki Kasztanów i Żołędzi, powołany do życia specjalnym zarządzeniem Centralnego Zarządu Produktywizacji Drzew Parkowych i Ogrodowych (patrz Dwufazowy Układ Parkowo-Alejewy).

Przeciw sprawcom zakłóceń w prawidłowym i rytmicznym przebiegu zbioru kasztana jesiennego wszczęto postępowanie ustne oraz czynne, instrumentem prawnym (czasem lewnym) tego postępowania stały się znormalizowane patyki krzewowe o uchwycie ręcznym, z pomocą których skutecznie przepędzono nieodpowiedzialnych szkodników oraz element, usiłujący samowolnie zawłaszczyć miejsce społeczne. Nieco mniej skuteczna okazywała się ta metoda wobec agresywnych hord parkowych, złożonych z wyrostków w wieku 8-14 lat, którzy wdrapując się na drzewa kasztanowe i ukrywając się w ich konarach... powodowali stamtąd nierytmiczne wstrząsy gałęzi, zaś spadający nieregularnie strumień owoców kasztanowca nierzadko ujętych jeszcze w kolczaste, zarosnięte pochwy łupinowe dwufragmentowe, przyswajany był i samowolnie zawłaszczany przez indywidualia współnicze, oczekujące pod drzewami na wyczyny swych godnych kompanów. Te niecne wybryki, sprzeczne z Kodeksem Postępowania Administracyjnego Rę-



koczyny oraz z podstawowymi normami życia leśnego i drzewnego obowiązującego w krajach cywilizowanych, oburzające i ubolewania godne, piętnowane były na miejscu przez prawdziwych i świadomych swych celów i obowiązków zbieraczy wolno rosnących kasztanów. Niejednokrotnie sprawa kierowana była do odpowiednich czynników penalizacyjnych, egzekwowanie jednak należnych kar konwencjonalnych okazywało się utrudnione ze względu na szczupłość kadry dozorczej, alejowej, trawnikowej i ustępowej, związanej z niedawną kompresją etatów w Zarządzie Miejsc Zielonych (Dodatkowy Urząd Parkowo-Alejowy). W rezultacie interpelowane przestępcze wyrostki różnej maści salwowały się niejednokrotnie skuteczną ucieczką, dopuszczając się przy tym nierzadko ewidentnego gwałtu w postaci celnego rzutu kasztanem w oko interweniującego w obronie społecznej własności i ładu obywatela. Ten niegodny proceder ma na razie nieodwzajemniony i nieodwracalny charakter (wybite oko), wierzyć jednak wypada, że interwencja odnośnych Czynników okaże się wreszcie skuteczna, ochroni społeczne mienie kasztanowe przed wandalami i udaremni proceder lukratywnego nabijania sobie kabzy społecznym mieniem w postaci trafiających masowo do prywatnej kieszeni miejskich zasobów kasztanowych. Wydaje się, że pilnie należy tu wyjść naprzeciw interesom ogółu zbieraczy i przełamując zastarzałe bariery myślowe sięgnąć do określonych środków. Wdrożenie nowych metod uregulowania istniejącego stanu rzeczy stanie się na pewno kamieniem milowym w kierunku rozwoju zbieractwa kasztana niejadalnego, a tajemnicą poliszynela jest już fakt, że sytuacja w tej dziedzinie dojrzała do zasadniczej reformy.

Niezależnie od tych karygodnych i pożałowania godnych zakłóceń ogólny bilans tegorocznej kampanii kasztanowej uznać należy za dodatni, zwłaszcza że pogoda (aura) jesienna dopisała. Plan został wykonany przy minimalnych stratach własnych. Wymienić tu należy zwichniętą piszczel, wywołaną poślizgnięciem się na przedwcześnie przepołowionej górnej łupinie kasztanowej pochwy, złamaną goleń, spowodowaną zetknięciem się dolnego obcasa z podmoczoną substancją niewiadomego pochodzenia psich odchodów alejowych, wreszcie liczne wykrety nóg oraz uszkodzenia uderzonej o nawierzchnię alejową szczęki, spowodowane utratą równowagi pośród nierównomiernie rozłożonych na parkowym podglebiu nawilgoconych kasztanowych liści. Mimo tych przeszkód udało mi się wykonać tegoroczny zbiór kasztanów do użytku inwentarskiego pomyślnie. Przyszłowiowy łut szczęścia przypadł do gustu i dopisał, toteż urobek i przychówek jesienny wobec sprzyjającej aury okazał się sężnisty, a prominentne, optymalne rozmiary planu miesięcznego zamykają się w imponującej liczbie 173 3/4 kasztana niejadalnego miesięcznie - stanowi to okragłe 112 procent prominentnie i ewidentnie optymalnego planu miesięcznego netto z odpowiedniego kwartału ubiegłego roku produkcyjnego. Niedostateczne jeszcze zaplecze i wyposażenie techniczne sprawiają, że zimowe składowisko zebranych kasztanów umiejscowione zostało pod fortepianem, bowiem nieprzewidziane kaprysy jesiennego aury nie pozwoliły umiejscowić ich na balkonie, zaś sąsiedztwo makrosanitarjatu w naszym miniosiedlu uczyniło rzecz ewidentnie niemożliwą. Obiekt jest unikalny, mimo to nieodwracalny charakter tegorocznego zbioru kasztanów uznać należy za wyśmienity, docelowo bowiem serwowane oraz oferowane limity i normatywy zostały spełnione, i mimo naszpikowania tegorocznej akcji krzykliwymi i hałaśliwymi przechwałkami określonych kół szkodników kasztanowych, o których już była mowa, zanotować należy dalszy wzrost mienia społecznego, i choć przedknać przyszło przyszłowiową gorzką pigułkę w postaci nieodwracalnego charakteru zmian w wybitej gałce ocznej oraz implikacji zwichniętej piszczeli wreszcie konkretyzacji odprężenia zerwanego ścięgna lewej nogi oraz złamania szczęki dolnej, to jednak fakt, że zebrane kasztany niejadalne trafią na nasze stoły napełniać nas musi głęboką satysfakcją. Dał jej wyraz Przewodniczący naszej placówki zbiorczej, który w imieniu Komitetu Osiedlowego wyraził aktywne poparcie dla nieodwracalnego charakteru kasztanowego czynu akcyjnego, podkreślając pełne zaangażowanie jednoosobowej załogi, nie ustępującej w wysiłkach i usprawnieniach. Tradycyjna lampka wina i wspólnie spożyty skromny posiłek zakończyły ten niezapomniany wieczór, a obecni, ubrawszy wierzchnią odzież, rozeszli się do swych domostw, przyrzekając sobie aktywne włącze-



nie się w przyszłości, oby jeszcze pomyślniejszą akcją zbioru kasztanów niejadalnych.

Tyle więc na razie ogólnych informacji, o które tak gorąco dopominali się nasi Czytelnicy. Nie będąc w stanie odpowiedzieć indywidualnie na wszystkie łaskawie nadesłane i wyczerpujące listy stwierdzę jeszcze raz, że globalna kwota uzyskowa zbieranych kasztanów bezłupinowych na pewno uplasuje się w czołówce tegorocznych ekip zbierackich i patronackich. Cios precyzyjnie wyładował na szczęście, czy jednak był to cios nokautujący, to okaże się dopiero po wynikach zbiorczej pracy ankieterów Państwowego Instytutu Porównawczego Konstytucji i Konstrukcji Kasztana Dwulupinowego Niejadłanego, która posłuży za materiał dla określenia budżetu roboczej grupy OSIOŁ (Ośrodek Służb Instruktorskich Obierania Łupin), a dopiero czysty, bezłupinowy uzysk globalny kasztana brązowego w jego postaci krystalicznej stanie się podstawą do głębszych badań zespołu ekonomistów, mających na celu dalszy rozwój technologiczny zbieractwa kasztanów parkowych, ulicznych i alejowych. Co zaś do wbitego oka, zwichniętej piszczeli i złamanej goleni, to eksperci z Instytutu Kontroli Przypadkowego Ruchu Ludności zapewniają, że wypadki takie, wynikłe z przejściowo niedostatecznego dozoru technicznego mają charakter lokalno-akcydentalny i na globalny bilans zysków i strat wpływu nie wywierają, wbrew krzykliwym poszeptom przeciwników odprężenia ścięgna i całej nogi. Zaś fakt przyśpieszonego wsparcia się o ziemię dolną szczęką, wobec ogólnej utraty równowagi ciała, wywołanej ilościowym poślizgiem nie może budzić wątpliwości, chyba tylko u ludzi obdarzonych notorycznie złą wolą. Przełamano wreszcie zastarzałe bariery myślowe, kamień milowy na drodze do pełnego zbioru kasztanów został dorównany i przekroczony. Jest to osiągnięcie nas wszystkich, nieodwracalne i niepodważalne.

KISIEL



Jerzy Narbutt

## DO WIKTORA WOROSZYLSKIEGO LIST OTWARTY

Utarło się od pewnego czasu przekonanie, że dyskusja może być tylko okazją do prezentacji stanowisk, a nie do ich uzgodnienia. Kiedyś, kiedyś - w tych bardzo naiwnych czasach, które nie twierdziły jeszcze, że wszystko jest, i może być, jedynie p r o p o z y c j ą - uważano, iż prezentacja stanowisk stanowi punkt wyjścia dyskusji, natomiast jej punktem dojścia winno być jakieś dojście do czegoś, choćby w skromnym wymiarze skreślenia części twierdzeń wyjściowych, bądź przynajmniej precyzacji terminologicznej i metodologicznej. Dziś - inaczej: dyskusje od prezentacji stanowisk zaczynają i na prezentacji stanowisk kończą. Cui bono? Uważa się, że to już wiele, gdy dyskusja da okazję do wygadania się dyskutantom, a świadkiem dyskusji - okazję do śledzenia mniej lub bardziej interesującego "skrzyżowania szpad". Ponieważ jestem nieco staroświecki i trochę więcej oczekuję od odpowiedzialnych polemik - myślę, że "Błędy w remanencie" Wiktora Woroszylskiego (ZAPIS 4) nie mogą pozostać bez odpowiedzi: zbyt wiele w nich zdumiewających nieporozumień i zbyt wiele złego zrozumienia mego tekstu. Że zaś "kłóciliśmy się" publicznie, na oczach czytelników, poruszając sprawy wciąż przez część inteligencji polskiej dyskutowane i wciąż ją dzielące na wdą nie zawsze zgodne odłamy - myślę, że nie mam prawa pozostawiać myślących podobnie do mnie w tym ślepych zaułku, w który ich wprowadził Woroszylski - chyba nazbyt łatwo i nazbyt szybko trąbiący na zwycięstwo. A jak musi być między przyjaciółmi - odpowiedź moja będzie równie szczerą, jak wypowiedź Woroszylskiego.

Nie mogę się tu zajmować wszystkimi nieporozumieniami, zbyt wiele miejsca by to zajęło. Więc tylko niektóre - i tylko fragmentarycznie. Zacznę od drobnego uzupełnienia argumentacji.

1. Czy słabe utwory mogą być nośnikami ważnych egzystencjalnie spraw ludzkich? Ja uważam, że mogą (bo to ranga tych spraw przydaje im lotności). Woroszylski uważa, że nie mogą. Podtrzymuję mój pogląd, a Woroszylskiemu przypominam rozprawę Prousta "Pochwała złej muzyki". Żeby jednak znowu nie przypominał mi o rudymentach - że co innego w muzyce, która jest bezpojęciowa, a co innego w poezji, która jest sztuką słowa - zaznaczam, że Proust mówi o piosence, a więc o tej muzyce, która sprzęgnięta jest ze słowem i jego znaczeniem.

2. Co do Białoszewskiego i jego "Pamiętnika z Powstania Warszawskiego". Przypominam więc, że pierwszy w prasie krajowej opublikowałem pochwalną recenzję z tej książki (w "Tygodniku Powszechnym"), ciesząc się, że wreszcie, w 20 lat po wydarzeniach i po kapitalnym wierszu Słonimskiego, poświęconym bezimiennemu bohaterstwu powstańczego cywila, ukazała się druga rzecz temu samemu tematowi poświęcona. Pisałem, że co Słonimski zrobił w swym pięknym wierszu patetycznie - Białoszewski zrobił programowo anty-patetycznie. I pisałem, że takie właśnie ujęcie tematu chyba najlepiej pasuje do niepatetycznego świata piwnic i koszmarnych przeżyć, jakie były udziałem ludności cywilnej. Na jakiej więc podstawie Woroszylski wydaje się sugerować, że jest mi niemiła czy obca Białoszewskiego-pamiętnikarza anty-patetyczność? Cóż za spiętrzenie nieporozumień i lapsusów! Mało, że zna mnie Pan, Panie Wiktorze, jak widać nie dostatecznie (choć znamy się przecież nie od miesiąca), ale nadto w zdaniu swoimi "... Miron Białoszewski, pozwalający sobie w "Pamiętniku z Powstania Warszawskiego" na o d w a g ę n i e b o h a t e r s t w a, na cywilność, brak patosu, przyziemność..." - daje Pan do zrozumienia, że to, co p o z b a w i ę n e p a t o s u, jest już dla Pana... niebohaterskie. Chyba to lapsus. Przecież "Pamiętnik" Białoszewskiego, mimo swe braki, jest właśnie p o m n i k i e m b o h a t e r s t w a ludności cywilnej Warszawy. Pierwszy wystawił pomnik temu bohaterstwu Słonimski w słynnym wierszu pisanym w Londynie - tyle, że był to pomnik patetyczny. Białoszewski wystawił prozą pomnik drugi - tyle że anty-patetyczny. Jeden jest dobry - i drugi, a który komu wydaje się bardziej dorównany do rzeczywistości powstańczej, to już kwestia wrażliwości



i pamięci. Skąd się wzięło w Pańskim zdaniu to przeciwstawienie: brak patosu contra bohaterstwo? Już dawno jak ustalono, że przeciwieństwem braku patosu może być bohaterstwo, a nie bohaterstwo. Bliższe kształtne? Oczywiście. Ale przecież jakże nie równoznaczne! Ileż bywa bohaterstwa bez patosu, nikt zaś nie myśli nazywać go niebohaterstwem. To nie spór o słowa - to spór o rzeczy. Ale: czy pomylił Pan słowa, czy rzeczy - pod niewłaściwym adresem kieruje Pan zarzut, przypuszczając, że brak patosu uważam za błąd tej książki o Powstaniu. Błędów jest w niej parę, lecz zupełnie innego rodzaju. Aby nie było dalszych nieporozumień, wyliczę je tutaj. Wszystkie sprowadzają się do jednego: do błędu niepełnej wierności.

Nie, nie zamierzam być pedantem, nie mam zamiaru wytykać Białoszewskiemu, że to a tamto stało się tam a tam i inaczej, niż w opisie Białoszewskiego, albo że ten drobiazg miał się inaczej do pozostałych drobiazków - bo raczej należy podziwiać niebywałą pamięć autora w szczegółach, w "fakcikach", jak to sam pisze na samym początku pamiętnika. Dziwi u Białoszewskiego co innego: że widzący i pamiętający tak wiernie tysiące "fakcików" i szczegółów, składających się na naszą wtedy rzeczywistość i nasz koszmar, przeocza... słońca. A takich "słoni" było co najmniej trzy. Jeden to pierwszy tydzień Powstania: entuzjastyczny, zawadiacki, radosny, kiedy to jeszcze nie było nekających nalotów, czołgów, "krów", "grupej Berty" i całego późniejszego kosmaru, a była euforia. Gdyby Powstanie mogło trwać te planowane trzy dni, gdyby armia rękoma sojusznicza przekroczyła Wisłę, odépchnęła Niemców - Warszawa powstańcza pozostałaby w naszej pamięci taka właśnie: uskrzydłona radością. Tak się nie stało, przyszedł wciąż narastający koszmar dalszych tygodni, których klimat Białoszewski oddał wiernie - lecz gdzie jest klimat pierwszego tygodnia? Nie był fikcją, złudzeniem. Był faktem. Z cudownej pamięci autora jednakże wyparował. I to mimo, iż w równym stopniu był euforią cywilów, co akowców - a może nawet jeszcze bardziej tych pierwszych.

Z relacji Białoszewskiego wyparowała także rzecz druga: prawda o niebywale ścisłych więziach między ludnością cywilną i ludnością walczącą z bronią w rękę. To, co było drugim "słoniem" tych dni, znowu nie zostało przez autora ukazane (kto nie pamięta tego z autopsji, niech przeczyta PWN-owską książkę "Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim", w której m.in. bierze udział jako autor Władysław Bartoszewski, rzetelny kronikarz tych spraw i tych tygodni). I trzeci "słoń" nie zauważony przez Białoszewskiego: dość powszechna wśród ludzi świadomość dalszych celów walki. Tzw. szary człowiek - a obracałem się wśród nich ciągle w różnych dzielnicach walczącego miasta, ustępując przed nacierającymi Niemcami - był na ogół zorientowany w tej sprawie. Pytania: "Czy teraz przybędzie do Warszawy rząd polski z Londynu?" - padały bardzo często. Nie wchodzi tu w to, czy te nadzieje mogły być spełnione - chodzi mi w tej chwili tylko o ówczesny stan umysłów i o dominantę tych stanów. A Białoszewski? Białoszewski był, niestety, outsiderem, wewnątrz wyizolowanym nawet wobec tego, o czym często mówili szarzy cywile powstańczej stolicy. I to jest właśnie brak tej książki: książki o mieście, w którym walczyli wszyscy - bo samo trwanie było już bohaterską walką - i w którym "outsiderstwo" stanowiło zjawisko rzadkie, spotykane raczej wśród części starszych pań o kurzych mózgach, żyjących przez całą wojnę na marginesie wszystkiego. To dlatego uważam, że "Pamiętnik" obarczony jest poważnym błędem niepełnej wierności. I to dlatego uważałem i nadal uważam, że nadaje się jako lektura uzupełniająca, a nie podstawowa do szkół, jak ktoś zaproponował w prasie.

3. Jeżeli nawet sztukę (bo mimo wszystko jest przecież zjawiskiem społecznym) daje się nieraz badać przy pomocy metod socjologicznych, choć wiadomo, że do jej analizowania i wyjaśniania nie są one wystarczające, a czasem wręcz są bezradne - to już takie zjawiska życia zbiorowego, jak kursujące w społeczeństwie opinie, zapatrywania, poglądy bada się nie inaczej jak przy pomocy metod socjologicznych, w tych zaś - nic na to nie poradzę - obowiązują twarde zasady proporcjonalności i statystycznej reprezentatywności. Podobnie - choć nieco inaczej - w historiografii, bo tylko nie wyrobiony historyk nie wie, że np. opuszczanie nie jest upraszczaniem wtedy, gdy jest pomijaniem tego, co marginalne. Barbara Toruńczyk w mniejszym stopniu, ale Woroszyński już w więk-



szym od niej stopniu wędruje w swym artykule po pograniczach płaszczyzn, wykraczających zaś tyleż w dziedziny zjawisk historycznych, co społecznych, nie chce jakoś pamiętać, że historiografia, że socjologia - choćby w tak skromniutkim wymiarze jak moja czy jego próba spojrzenia na przeszłość i na życie umysłowe lat minionych - wymaga zastosowania im właściwych metod i nie przenoszenia na ich teren metod swoistych dla ... psychiatrii, która, jak wiadomo, na podstawie wyjątkowych odchyłeń może zasadnie wnioskować o prawidłowościach.

4. Bardzo jestem wdzięczny Woroszylskiemu za przypomnienie mi co jest rzeczą literatury, a co nią nie jest. Usiłuję od pewnego czasu amatorsko coś dla literatury choćby niewielkiego zrobić, ale że jestem tylko terminatorem, uczyć mi się trzeba ciągle - dzięki więc za pouczenie. Jednakżem w Pańskim zdaniu: "... sprzeniewierzy się swemu powołaniu pisarz, który zrezygnuje z posiadanej czy przeczuwanej wiedzy o człowieku, wyrzeknie się trapiącego problemu, stłumi w sobie gorycz i ból doświadczenia - w obawie, że może to być niezgodne z jakąś wymyśloną "typowością" czy "sprawiedliwymi proporcjami" (podkreślenie moje - J.N.)" - widzę nieporozumienie dość zasadnicze. Bardzo przepraszam, ale "sprawiedliwe proporcje" nie są nigdy wymyślane. Nieraz trudno je ustalić, ale gdy się już tego dokona - albo kiedy powszechnie są znane i ustalać ich nie potrzeba - to są albo ich nie ma: należą do faktów (nawet nie do interpretacji faktów). Nie jest też czymś wymyślonym "typ". Polska szkoła logiczna - ze względu na relatywistyczne poglądy filozoficzne niektórych jej twórców - zaraziła co najmniej dwa pokolenia inteligencji polskiej nie zawsze usprawiedliwionym relatywizmem, jedno wszakże jest jej niewątpliwym osiągnięciem: zaraziła ostrożnością i wyostrzyła pojęciowe i metodologiczne "nożyce". Tej szkole zawdzięczamy m.in. ustalenie definicji typu: "zespół cech wspólnych grupie". Gdy więc mając do czynienia z jakąś grupą zjawisk ustali się już zespół jej cech - to ma on podstawę w fakcie, nie jest czymś wydumanym. Tkwi w grupie przedmiotów - np. w grupie jakichś zjawisk społecznych - a nie w naszym sposobie ich widzenia. Dobrze wiem o tym, że dla literatury, inaczej niż np. dla historiografii, bardziej interesujące jest to, co odosobnione i wyjątkowe, niż to co typowe i reprezentatywne dla większości zjawisk (napisałem o tym w moim "Remanencie" bardzo wyraźnie: "Czy warto opisywać tak odosobniony przypadek? Identyczne pytanie padło po ukazaniu się "Dziejów grzechu" Żeromskiego. Pytanie zupełnie niemądre. Bo, oczywiście, że warto. I to bardzo warto. Bowiem z punktu widzenia sztuki odosobnione przypadki są najciekawsze, są "fotografowane". Różnica jedynie w tym - ale to nie dotyczy "Dziejów grzechu" - że sztuka, choć bezwzględnie musi być autonomiczna, nie jest w świecie spraw ludzkich wartością najwyższą, taką, której może nie obchodzić kontekst sytuacyjny", nie wiem więc czemu Woroszylski przypomina mi o rudymentach. W moim wystąpieniu przeciw "Butom" J.J. Szczepańskiego nie zajmowałem się ani przez chwilę tym, co jest rzeczą literatury a co nią nie jest (ta kula trafiła jednak nie w dziesiątkę), zajmowałem się natomiast odpowiedzialnością za słowo. Nie za słowo pisane - bo w tej dziedzinie jedynym sędzią pisarza jest i może być jego sumienie artystyczne, nikt inny, ani Kościół, ani państwo, ani grupa - lecz za słowo publikowane. Uważałem - i nadal uważam - że w pewnych nieprzyjaznych okolicznościach, zwłaszcza wtedy, gdy kaci gnoją ludzi nie tylko fizycznie ale także oszczerczym słowem na łamach słuźalczej prasy i na salach sądowych w pokazowych procesach oraz na kartach kłamliwych podręczników szkolnych - artysta nie może nie słuchać swego sumienia obywatelskiego i wymogów chwilowego milczenia. Prawda przez wielkie "P"? Nie, nie zapominam o niej, a gdybym ją chciał bagatelizować - no, chyba nie przystąpiłbym do ZAPISU. Lecz nawet Prawda ma dla mnie swe własne miejsce w hierarchii ważności spraw - a że nie jest to miejsce pierwsze, lecz dopiero po pierwszym następnym, nic na to nie poradzę. Taki już jestem prymitywny. To ze względu na ten sam prymitywizm postanowiłem (przez nikogo do tego nie zmuszany, Woroszylski powinien to pamiętać) zrezygnować z publikowania w pierw-



szym numrze ZAPISU fragmentu prozy, w którym jedno, jedyne zdanie (ponieważ wraz z całym fragmentem, wyrwane z szerszego, wiele wyjaśniającego kontekstu) mogłoby być poczytane za doszlusowanie do atakowania wcale nie atakowanych i bynajmniej nie gnojonych, a jedynie źle widzianych. Polemika Worpszylskiego zwalnia mnie chyba na przyszłość z podobnie nadmiernych skrupułów.

Powtarzam: pisarz nie powinien abstrahować od kontekstu sytuacyjnego, w jakim publikuje opisy zjawisk wyjątkowych, gdy kontekst ten szczególnie nieprzychylny. Trzeba pamiętać, że wśród czytelników rozpowszechniony jest obyczaj myślenia o okresach historycznych (w których ocenie winno obowiązywać zachowanie sprawiedliwych proporcji) poprzez utwory literackie (których sprawiedliwe proporcje rzeczywiście mogą wcale nie interesować, bazując bowiem przeważnie na wypadkach odosobnionych i wyjątkowych) - czy więc pisarz może tak zupełnie zapominać o tym czytelnicznym obyczaju? Aby znowu nie było złych nieporozumień muszę tu dodać, że cały czas mam na myśli w ł a s n ą odpowiedzialność pisarza za słowo, niech więc nikt mi nie zarzuci, że daję podstawę do uzurpacji jakiejkolwiek cenzury. Bo nie uznaję żadnej. Także kościelnej, mimo, iż jestem katolikiem (a właściwie dlatego, że jestem katolikiem). I nawet ojcu Salijowi OP nie bronię głosić bałamutnego, bo bardzo nieprecyzyjnego poglądu, iż "grzech utrudnia człowiekowi rozpoznanie Boga" (ZAPIS 4), pomimo iż wiadomo (choćby od Chrystusa), że takich grzechów jest w gruncie rzeczy tylko dwa: grzech nieludzkości dla bliźnich oraz grzech pysznego perfekcjonizmu moralnego - najczęstszy raczej wśród chrześcijan, nie wśród niewierzących liberałów. (Po co upraszczać sprawę i tworzyć teorię "wiary etycznej"? ) Wielu ludzi życzliwych dla bliźnich oraz nie nachylonych nad pępkiem doskonałości moralnej, ma najrozmaitsze trudności z uwierzeniem w istnienie Boga i są to przeważnie trudności natury intelektualnej oraz trudności psychologiczne, będące owocem urazów wyhodowanych w nich przez złą wykładnię chrześcijaństwa - np. wykładnię moralizatorską - z jaką się kiedyś zetknęli, ale czy jest nad czym biadać skoro ci sami ludzie - tak przez swą dobroć dla bliźnich, jak przez swą ofiarną walkę o impenderabilia - są c a l i w B o g u , choć wcale o tym nie wiedzą. Kiedyś się dowiedzą, mój Ojciec, dowiedzą, więc niech ich Ojciec zostawi w spokoju, a zajmie się tragicznym problemem: chrześcijanami, którym ich religia - w perfekcjonistycznej swej wersji - utrudnia rozpoznawanie Boga prawdziwego, poprzez całe ich pokręcone życie.

5. Na koniec - choć to bynajmniej nie najmniej ważne - co do Słonimskiego. Zupełnie nie pojmuję czemu to nawet niewielka próba korektury portretu pisarza bywa w naszym środowisku odbierana zaraz jako "atak na". Czy sprawiedliwe proporcje także i stąd - z dziedziny ocen postaci twórczych i działających - muszą być wygnane? Nie tworzymy - na wzór reżymu - sztucznie "dętych" wielkości. Tym bardziej, że nie musimy tego robić - po naszej stronie znajduje się znakomita większość najlepszych piór w kraju, ranga zaś postaci Słonimskiego jako inicjatora i wybitnego animatora ruchu demokratycznego i tak jest wystarczająco wysoka a renoma jako wybitnego poety wystarczająco utrwalona, by trzeba je obie podierać czymkolwiek. Pięknie napisał Jerzy Ficowski, iż po Słonimskim powstała w naszym życiu trudna do wypełnienia l u k a . A czemu? Bo poet, w jest dużo - ludzi nie tak wiele". Otóż to. Ale robienie zeń - jak to usłyszeliśmy na pięknym wieczorze w PEN-Clubie - poety w i e l k i e g o , jakim nigdy nie był, nie wydaje mi się rzeczą dobrą tak dla Człowieka, którego wspominamy z szacunkiem za jego ostatnie zaangażowanie w sprawy wolności, jak i dla systemu ocen estetycznych. A czy przypomnienie o tym stanie się od dziś okazją do pomawiania mnie o "atak na Słonimskiego" i o próbę umniejszenia jego dobrej sławy? Jeśli się tak stanie - będzie to tylko smutnym przyglądem całkowitego kryzysu kryteriów artystycznych oraz chyba dowodem złej woli w odczytywaniu czyichś intencji.

Nie napisałbym tego, co wyżej, za życia Słonimskiego. Nie przede wszystkim z tej racji, by mu nie robić przykrości, choć wiadomo, że należało mu ich ostatnio oszczędzać - co głównie dlatego, by nie robić przyjemności jego wro-



gom, nie ułatwiać im roboty w ich kampanii przeciw Słonimskiemu, jako przywódcy opozycji. Bardzo łatwo, przy pomocy znanych zabiegów, moją korekturę wyrwaliby z pełnego kontekstu i mogliby z niej uczynić podpórkę dla ataków na Poetę i najważniejsze dokonanie jego życia - ruch demokratyczny. Myślę, że mogłem napisać to, co napisałem, dziś, gdy Słonimskiemu nie zagraża już nic - z wyjątkiem przesady niektórych wielbicieli jego poezji, czniących prawdziwie niedźwiedzią przysługę pamięci Poety.

Wiktorowi Woroszyłskiemu, mimo wszystkie nieporozumienia -

SALUT!

Jerzy Narbutt



## KRONIKA

## Bienale 77 (korespondencja własna z Wenecji)

Korespondent "Zapisu", po powrocie do Warszawy, relacjonuje okoliczności i przebieg ostatniego Biennale:

Tym razem tradycyjna wenecka impreza miała się odbyć pod hasłem sztuki i kultury krajów Europy Wschodniej, ale nie tej oglądanej od strony oficjalnej fasady, lecz raczej nieoficjalnej, niezależnej, tak zwanej (jakkolwiek nazwa ta nie zawsze jest ścisła) "dysydenckiej". Dla Związku Radzieckiego i innych państw Bloku było to czerwona płachtą na byka. Uniemożliwiono, oczywiście, wyjazd do Wenecji zaproszonych uczestników z tych krajów (przeciwko czemu prezydent Biennale, Carlo Ripa di Meana, protestował w Belgradzie), podjęto interwencje dyplomatyczne, nie zrezygnowano też z intryg zakulisowych i z opluwania Biennale w prasie (czego przykładem był artykuł W. Krauzego w niezawodnym "Życiu Warszawy"). W samych Włoszech nie zabrakło sojuszników ideowych lub kontrahentów handlowych Związku Radzieckiego, którzy włączyli się do akcji przeciw Biennale. W rezultacie ograniczenia budżetowe, trudności z wynajęciem sal wystawowych i inne - spowodowały przesunięcie terminu imprezy która doszła jednak w końcu do skutku dzięki energii socjalistycznego prezydenta Biennale, ofiarności jego współpracowników z różnych krajów i poparciu licznych środowisk związanych z walką o wolność w ogóle i wolność kultury w szczególności.

W minionych latach (od 1895 poczynając, wtedy bowiem po raz pierwszy odbyła się Wystawa Międzynarodowej Sztuki Nowoczesnej w Wenecji) Biennale koncentrowało się wyłącznie wokół sztuk wizualnych: malarstwa, grafiki, rzeźby, następnie także teatru i filmu. Tym razem zakres imprezy został znacznie rozszerzony - chodziło o zaprezentowanie całej niezależnej kultury Europy Wschodniej, we wszelkich jej formach i przejawach, i nie tylko zaprezentowanie, lecz również omówienie i przemyślenie, temu służył cały cykl sesji poświęconych różnym tematom i zakresom kultury oraz życia umysłowego naszej części Europy. Pierwsza taka sesja, dotycząca filozofii i historii, pod przewodnictwem Jeana Daniela, rozpoczęła się 15 listopada 1977 w gmachu przy placu Świętego Marka zwanym "Napoleonką". Monitory telewizyjne (ustawione na głównych schodach gmachu i w pasażu łączącym plac z sąsiednią uliczką) informowały szeroką publiczność o przebiegu sesji. W obradach uczestniczyli reprezentanci wielu narodów, m.in. z Polski Leszek Kołakowski, oprócz zaś zaproszonych gości mieli wolny wstęp na salę konferencyjną dziennikarze, wydawcy, przedstawiciele telewizji, radia itp., no i naturalnie pracownicy Biennale.

Równocześnie do toczących się sesji - które stanowiły główny punkt programu - czynne były w ramach Biennale 77 cztery stałe wystawy:

1. Wystawa Współczesnej Sztuki Rosyjskiej, z ogromną ilością prac, przeważnie pochodzących z prywatnych zbiorów lub otrzymanych od autorów znajdujących się już od pewnego czasu na emigracji. Było tam malarstwo sztalugowe reprezentujące wszystkie kierunki ostatniego półwiecza, trochę rzeźby, fotografia artystyczna i "sztuka konstruktywna". Rzuciła się w oczy spora ilość dzieł o tematyce religijnej (powtarzający się motyw cerkwi i krzyża). Kierunek surrealistyczny, reprezentowany chyba najobficiej, zawierał najczęściej akcenty krytyczne w stosunku do rzeczywistości. Arcydzieł raczej nie było, ale ogólnie można powiedzieć, że sztuka rosyjska pokazana w Wenecji świadczy o ambicjach twórców pozbawionych kontaktu z życiem artystycznym Zachodu, a mimo to podejmujących współczesne problemy formalne i proponujących własne rozwiązania.

2. Wystawa Grafiki Czeskiej - znacznie skromniejsza ilościowo, ale na wysokim poziomie artystycznym. Wszystkie prace nadesłali emigranci, którzy znaleźli się na Zachodzie po 1968 roku. Niestety, wystawa ta mieściła się w



małym zaułku daleko od centrum i w rezultacie docierała tam znikoma część uczestników Biennale i dziennikarzy.

3. Najbardziej eksponowana była wystawa pt. "Samizdat", massmedia, książki". Przeznaczone dla niej pomieszczenia przy samym placu św. Marka, tuż koło sali konferencyjnej w "Napoleonce", była więc tłumnie odwiedzana i ze względu na swoją treść, i na lokalizację. Ekspozatów nadesłano mnóstwo (wszystko - przez różne ośrodki emigracyjne na Zachodzie). A więc były tam: dokumenty, fotografie, książki, deklaracje, komunikaty, ulotki itd. Najliczniej reprezentowany był, rzecz jasna, samizdat rosyjski, ale nie zabrakło i materiałów polskich, nadesłanych z Paryża i Londynu. Poważną wadą ekspozycji był jednak brak zasady porządkującej, klucza, który pozwoliłby zwiedzającym zorientować się w nagromadzonym materiale. Ekspozyty wyłożono po prostu na stole bez ładu i składu: książki czeskie obok komunikatów KORu, fotografie dysydentów rosyjskich przy "Opinii", wydawnictwa "Kultury" razem z tekstami niemieckimi, wszystkie języki narodów Europy Wschodniej dokładnie wymieszane, jednym słowem - chaos. Tego typu przypadkowa "integracja", spowodowana brakiem czasu i po części miejscowym bałaganem, nie sprzyjała rzeczowej informacji.

4. Niezależnie od ogólnej wystawy samizdatu, w trzy dni po rozpoczęciu Biennale, tzn. 18 listopada, otwarto jeszcze jedną ekspozycję pt. "Polska bez cenzury". Z uwagi na brak miejsca w normalnych salach wystawowych ulokowano ją w gmachu Biennale, w biurze informacji prasowej, co było o tyle fortunate, że choć nie chcąc przesunęli się przez naszą wystawę wszyscy dziennikarze biorący udział w Wenecji, nieco mniej natomiast sprzyjało frekwencji ze strony zwykłej publiczności. Wystawa nie była zbyt okazała: złożona z czterech dwustronnych tablic i jednej gabloty, prezentowała się nader skromnie po środku ogromnej (i bardzo pięknej sali) dawnego pałacu. Na tablicach wisiały zdjęcia i dokumenty opatrzone komentarzem w języku włoskim i angielskim, w gablocie pod szkłem leżały książki, czasopisma, wydawnictwa Niezależnej Oficyny Wydawniczej, komunikaty itp. Niewiele tego - wszystko jednak zostało skompletowane nie na emigracji, lecz przyjechało prosto z kraju, co stanowiło w Wenecji raczej wyjątek. Mimo trudności, udało się też uczestniczyć w zorganizowaniu tej wystawy i komentowaniu jej dla zwiedzających paru osobom przybyłym bezpośrednio z Polski i zamierzającym do niej powrócić... Całość materiałów podzielono na kilka podstawowych tematów: głódówka w kościele św. Marcina, śmierć Pyjasa i utworzenie SKSu, literatura i autorzy "Zapisu", ruch religijny, biblioteka prohibitów, latający Uniwersytet, plastyka, prasa, Niezależna Oficyna Wydawnicza. Czasopisma i dokumenty przedstawiały działalność ośrodków ruchu oporu: KSS "KOR", SKS i ROPCio.

Osobno należy wspomnieć o dwudniowej ekspozycji, a raczej manifestacji, urządzonej przez Irańczyków. Chodzili oni po ulicach Wenecji, niosąc w postaci transparentów około 20 zdjęć powiększonych do ogromnych rozmiarów. Zdjęcia przedstawiały brutalną akcję policji irańskiej, sceny tortur i egzekucji. Zaproszeni na konferencję prasową, Irańczycy wkroczyli na salę ze swymi transparentami i w milczeniu ustawili się półkołem na podium. Przez kilka godzin trwania konferencji dziennikarze z całego świata mieli przed oczyma te przerażające zdjęcia.

Do programu Biennale należały codzienne pokazy filmów czeskich, węgierskich, rosyjskich, gruzińskich, polskich i innych. Jedną z najciekawszych pozycji był angielski film telewizyjny Bolesława Sulika pt. "Trzy dni w Szczecinie", oparty częściowo na materiałach dokumentalnych i przedstawiający wydarzenia grudniowe 1970 roku w stoczni szczecińskiej.

Co kilka dni odbywały się wieczory autorskie (m.in. Josifa Brodeckiego) lub recitale pieśniarzy: Wolfa Biermanna (od niedawna, nie z własnej inicjatywy, przebywającego na Zachodzie i pozbawionego obywatelstwa NRD), Karela Krvlu (pamiętnego z okresu Praskiej Wiosny) i Aleksandra Galicza (któż przypuszczał, że to ostatni występ tego wspaniałego "kronikarza rzeczywistości radzieckiej w pieśni" - że zaledwie parę tygodni później Galicz straci życie wskutek nieszczęśliwego i absurdalnego wypadku).

Wszystkie te imprezy - wystawy, koncerty, filmy - były jednak tym



razem jakby trochę na drugim planie w porównaniu z kolejnymi sesjami, poświęconymi filozofii i historii, religii, literaturze, plastyce, teatrowi... Na sali konferencyjnej w "Napoleonce" wymieniano poglądy, prezentowano różne orientacje, dyskutowano... Przez ludzi usiłujących bronić wartości duchowej jednostki i społeczeństwa podejmowany był problem kultury dewastowanej w każdym państwie o systemie bardziej lub mniej totalitarnym. Oprócz wielu zachodnich intelektualistów, zjechali się na obrady reprezentanci Europy Wschodniej, najliczniej Rosjanie (m.in. Niekrasow, Sińiawski, Maksimow, Gorbaniewska, Pluszcz, Etkind) i Czesi. Z Polaków, poza wymienionymi już Kołakowskim i Sułkiewiczem, byli: Gustaw Herling-Grudziński, Włodzimierz Brus, Jan Kott, Dominik Morawski, Sławomir Mrożek, Andrzej Drawicz, Aleksander Smolar i inni. Przyjechali Ukraińcy (m.in. Bohdan Osadczyk), Węgrzy, Niemcy. Zabrakło, niestety, Litwinów, Łotyszów i Estończyków. Włosi jako gospodarze uczestniczyli tłumnie we wszystkich sesjach. Byli wśród nich również komuniści, którzy wprowadzali niekiedy ton demagogiczny wiodąc własne wewnętrzne spory pod płaszczykiem Biennale.

Biennale 77 trwało, jak przewidziano, cały miesiąc - do 15 grudnia. W trudnych warunkach organizacyjnych i w niesprzyjającej początkowo atmosferze, w sumie przebiegło nadspodziewanie sprawnie i owocnie.

### Chrześcijaństwo wobec praw człowieka - doniosła sesja KIK-u

W dniach 8-9 oraz 14-16 listopada odbyła się w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej starannie przygotowana sesja "Chrześcijaństwo wobec praw człowieka". Salę przy ulicy Kopernika 34 tłumnie wypełniła publiczność, przyciągnięta zarówno przez atrakcyjny temat, jak przez wybitne nazwiska prelegentów. Byliśmy tam również, mamy więc możliwość, w oparciu o własne notatki i nagrania, przedstawić czytelnikom "Zapisu" poniższe sprawozdanie - ma się rozumieć, bardzo zwięzłe i fragmentaryczne. Miejmy nadzieję, że organizatorem sesji uda się w przyszłości wydać jej obszerniejszą dokumentację.

Z referatu wstępnego Tadeusza Mazowieckiego przytoczymy sformułowanie programowe, które wywarło szczególne wrażenie na obecnych: "Trzeba być ostrożnym ryzykując wypowiedzenie się o tym co jest, a co nie jest chrześcijańskie w ludzkich postawach i działaniu. Jednakże przeprowadzenie ostrej linii granicznej wobec pewnych zjawisk jest koniecznym elementem samoświadomości chrześcijańskiej. Dotyczy to sprzeczności pomiędzy chrześcijaństwem, w samej jego istocie, a wszelkim totalitarnym dążeniem do omnipotencji, co w ostatecznym sensie zwraca się przeciw samej zasadzie wewnętrznej wolności ludzkiej. Prawa człowieka zakreślają tę granicę. Chrześcijaнин może walczyć o nie lub służyć ich realizacji w różny sposób. Nie może tylko jednego: tam, gdzie istnieje przygniecenie wolności i godności ludzkiej i gdzie człowiek przeciw niemu się prostuje - pozwalać sobie na gest Piłata." Jak wielką wagę do tak ujętego programu przywiązuje sam prelegent, świadczy, że powtórzył go w wypowiedzi na zakończenie sesji, w trakcie tzw. dyskusji panelowej, w której uczestniczyli również Bogdan Cywiński, Andrzej Grzegorzczak, Adam Stanowicz i Jerzy Turowicz. W procesie rewindykacji ludzkich i obywatelskich, o którym dalej mówił, dostrzegł Mazowiecki dwa zakresy działań: po pierwsze, "protest, demaskowanie nadużyć i deptania tych praw, domaganie się ich przywrócenia", po drugie zaś - "tworzenie czegoś, co bym nazwał społeczną infrastrukturą tych praw, a co można nazwać także tworzeniem ethosu społecznego". W tej drugiej dziedzinie od lat trwa żmudna działalność Kościoła, czasopism katolickich i poszczególnych osób. Infrastrukturę, o którą chodzi - ciągnął Mazowiecki - tworzą "środowiska i indywidualni ludzie w nauce, w kulturze, tam wszędzie, gdzie jest to działanie autentyczne, prawdziwe, jeśli nawet ocenzurowane i nie całkiem wolne zewnętrznie, to poczęte z wewnętrznej wolności i pozostające jej wyrazem". Oceniając dodatnio ten bilans polskiej kultury i społeczeństwa, prelegent podkreślił jednak, "że i zagrożenia są wielkie i niepokojące. Chodzi



dzisiaj nie tyle o indoktrynację ideologiczną społeczeństwa, co o depolityzację, o bierność, o to, co nazywam zniżeniem... W tej sytuacji tworzenie owej społecznej infrastruktury, budzącej i podtrzymującej wartości, kształtującej ethos i podtrzymującej i rozwijającej naszą tożsamość, jest sprawą zasadniczą". Niezależnie od tego, co dzieje się w świecie i co może sprzyjać lub nie naszym rewindykacjom, "decydujące jest to, czym jest i jakie będzie społeczeństwo polskie. A realizacja - ciągła, nieustanna realizacja odpowiedzi na to pytanie - zaczyna się u każdego od tej najprostszej zasady, którą Zbigniew Herbert wyraził w 'Panu Cogito': Wstań i idź prosto. Czuć się wolny!"

Z podobnym stanowiskiem współbrzmiały też poglądy innych uczestników dyskusji panelowej, a więc Jerzego Turowicza, który określił się jako "zwolennik radykalnego antropocentryzmu w ramach teocentryzmu", Adama Stanowskiego, który parafrazując Gilsóna powiedział, że "ulubionym tworem Bożym jest wolność tedy "jedyną drogę, na której można uczciwie zmierzać do poprawy sytuacji Kościoła czy chrześcijan w kraju, w którym ich prawa są ograniczone, jest dążenie do tego, by w tym kraju respektowane były prawa każdego człowieka", czy Bohdana Cywińskiego, który stwierdził, iż "chcąc odzyskiwać prawa człowieka, nie wolno czekać ich nadania przez jakąkolwiek władzę, należy natomiast stawiać jako podmiot w życiu publicznym i zachęcać innych do takiego stawiania". Jedynie Andrzej Grzegorzczak, skądinąd znany z odważnego i ofiarnego udziału w wielu akcjach w obronie praw człowieka, tutaj zajął stanowisko odrębne: "...uwaga, że bardziej za znośnię złych rządów niż za staranie się o kontrolę nad rządami będę zbawiony... poprawianie tego świata jest właściwie bezna- dziejne... Inwestowanie w ten świat, w jego instytucjonalną strukturę jest właściwie pewną stratą energii, którą można dobrze zużyć na kontemplację rzeczywistości, na ten pewien bezpośredni kontakt z Bogiem lub bezpośrednią pomoc bliźniemu". Z Grzegorzczakiem polemizował Cywiński: "...nie wolno dać się gwałcić i nie wolno pozwolić by przy mnie gwałcono kogoś drugiego... Stworzył mnie Bóg osobą - osobą wobec Niego, ale i wobec ludzi, i osobą wobec instytucji, wobec władzy i wobec prześladowcy. Gdybym z dochodzenia swych praw osoby wobec tych wszystkich instancji zrezygnował, byłoby to świadectwo zdecydowanie antychrześcijańskie. I za danie takiego świadectwa byłbym winien, byłbym kiedy musiał zostać osądzony. Wiem: nawet gdy najbardziej się w to zaangażuję, świat nie stanie się idealny. Ale jeśli będę milczał i czekał, świat stanie się jeszcze nieco gorszy. A jeśli nie zaangażuje się nikt świat stanie się piekłem."

W pierwszym dniu sesji, drugi obok Tadeusza Mazowieckiego referat ("Pojęcie praw człowieka w rozumieniu świeckim i chrześcijańskim") wygłosił Jakub Karpiński, przbując, z właściwym sobie dążeniem do precyzji semantycznej, zbadać znaczenie używanych pojęć "prawa naturalnego" i "stanowionego". Nazajutrz zajęto się problematyką szczegółową. Jolanta Strzelecka przedstawiła swoje poglądy na prawo administracyjne, Stefan Kurowski interesująco i z temperamentem mówił o "prawie człowieka w działalności gospodarczej", to znaczy o "prawie do uczestniczenia w działalności gospodarczej" i "prawie człowieka do owoców tej działalności gospodarczej", Jacek Woźniakowski wreszcie wygłosił prelekcję pt. "Prawa człowieka a kultura". Z tego tekstu, dotyczące go spraw, którymi "Zapis" się najbardziej interesuje, przytoczymy kilka fragmentów, najpierw jednak wymienimy tytuły pozostałych referatów, a więc: "Antynomie liberalnej koncepcji wolności" Jerzego Jedlickiego, "Prawa człowieka w tradycji myśli socjalistycznej" Jana Strzeleckiego, "Prawa człowieka w myśli Kościoła XIX i XX w." O. Bernarda Skrzydlewskiego, "Biblijne podstawy chrześcijańskiej koncepcji praw człowieka" Stanisławy Grabskiej. Każdy z wymienionych referatów ujmował jakiś istotny aspekt problematyki, której poświęcona była sesja, każdy prawie skłaniał uczestników do dyskusji i uzupełnień.

Oto zaś kilka fragmentów referatu Jacka Woźniakowskiego: "Nie ma grupy społecznej, która by była pozbawiona kultury... cechy kultury istnieją nawet tam, gdzie - ze względu na zatrutą glebę, na jakiej dana kultura grupowa wyrosła - są one patologiczne, gdzie wartości, jakimi się ta kultura rządzi, są



pozorne lub zgoła odrażające, gdzie człowiek, jakiego ona formuje jest skrzywiony. A przecież nie tylko cechom formalnym kultury, lecz by rzecz jej potrzebie psychologicznej w jakiejś mierze (co prawda nędznej) staje się wówczas zadość. Tomasz z Akwinu powiedział, że kto nie może oddać się namiętnościom wysokim, skazany jest na namiętności niższe". "Poważnym zagrożeniem kultury jest nie tylko słabnięcie czynników integrujących, lecz także zwięźanie się możliwości wyboru. Integracja, która by się równała zamknięciu jakiejs kultury samej w sobie, jest nic nie warta: musi wywołać sklerozę. Zwięźanie możliwości wyboru oznacza niegdy, że we własnym odczuciu człowiek może wybierać tylko między mniejszym a większym złem, lub między konformizmem a heroizmem." "Nieokiełznane działanie cenzury jest ciężkim kalectwem całego polskiego życia społecznego... Podobnie jak w polityce i ekonomii, niejawnosc panuje w dziedzinie kultury. Tamowanie informacji obejmuje zarówno terażniejszość jak historię. Jeśli kultura to - powtórzmy - usprawienie, do dokonywania wyborów, również w tych zasobach, jakie zostawiła nam przeszłość, w takim razie wszystko, co utrudnia poznanie owych zasobów, podcina sam korzeń kultury... gdyby cenzura funkcjonowała dawniej tak sprawnie jak dziś, to niewiele mielibyśmy z tego, czym się obecnie szczycimy, m.in. nie istniałaby polska literatura polityczna, od Frycza Modrzewskiego poprzez Skargę aż do Kołłątaja czy nawet Satyr Krasickiego. Chyba, żeby ci panowie wydawali za granicą, jak to się staje dzisiaj losem niejednego polskiego myślicieka: nie możemy swobodnie czytać ani dyskutować w prasie książek, które by na pewno przewentylowały niezbyt pobudzającą umysłowo atmosferę naszej kultury... Za granicą mieszka i publikuje najwybitniejszy zapewne współczesny polski poeta Czesław Miłosz. Dlaczego nie możemy wydać go w Polsce? Kto na tym korzysta? W naszym życiu literackim jego poezja odgrywa rolę ważną, choć niestety niejawną i elitarnie ograniczoną, a w przyszłych historiach literatury i w antologiach Miłosz i tak zajmie należne sobie miejsce. Pamiętamy będzie również jako twórca, którego nie można było czytać we własnym kraju." "Praworządność albo panuje w każdej dziedzinie, albo jej w ogóle nie ma. Tertium non datur. Jeśli kulturą administruje się przy pomocy tajnych i niezgodnych z prawem zaleceń oraz list proskrypcyjnych, to trudno się dziwić, że społeczeństwo nie dojrze do praworządności."

Wydaje się, że bogata w treść i nie narzucająca sobie zbędnych ograniczeń sesja KIK-owska pozostawi trwały i owocny ślad w naszym życiu umysłowym.

### Biblioteka książek zakazanych

W grudniu 1977 rozpoczęła systematyczną działalność pierwsza w Polsce (ale nie jedyna) biblioteka książek trudno dostępnych i zakazanych. Biblioteki takie powstają z książek zebranych wśród osób prywatnych. Zgłaszający się czytelnik dostaje do wglądu katalog, wybiera interesujące go pozycje i wkrótce zaczyna otrzymywać kolejno zamawiane książki. Najwcześniej zorganizowana biblioteka, w chwili, gdy odnotowała pierwszych stu czytelników, dysponowała 167 tytułami polskimi i 120 obcojęzycznymi, 106 numerami miesięcznika "Kultura", kompletem "Meksu" i "Tematów", 18 "Zeszytami Historycznymi", kilkoma numerami "Połemik", wszystkimi publikacjami Niezależnej Oficyny Wydawniczej, jak również niecenzurowanymi pismami wychodzącymi w kraju. Czytelnicy reprezentują wszystkie kategorie wieku (od uczniów szkół średnich), różne zawody i pozycje społeczne (od robotnika do profesora), największą grupę stanowi młodzież studencka. Według ostrożnego szacunku około 70% nie miało dotychczas dostępu do zabronionych książek. Preferencje czytelnicze określić można na podstawie długości kolejek do poszczególnych tytułów:

Analnik - Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984? - 11 osób.

Sołżenicyn - Archipelag Gułag - 11 osób.

Steinsbergowa - Widziane z ławy obrończej - 10 osób.



Orwell - 1984 - 9 osób.

Ciechanowski - Powstanie Warszawskie - 8 osób.

Gombrowicz - Dzienniki 1953-56 - 8 osób.

" - " 1957-61 - 7 osób

" - " 1961-66 - 7 osób

Jerofiejew - Moskwa-Pietuszki - 7 osób.

Kołąkowski - Kultura i fetysze - 7 osób (czytelnicy nie orientują się, że książka ukazała się w Polsce i można jej poszukiwać w zwykłych wypożyczalniach, w momencie opracowywania tego zestawienia Biblioteka nie posiadała jeszcze "Obecności mitu" i "Głównych nurtów marksizmu")

Miłosz - Zniewolony umysł - 7 osób.

Heller - Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka - 6 osób.

Mandelstam - Późne wiersze - 6 osób.

Brzeziński - System międzynarodowy. Napięcia i przemiany - 6 osób.

Sacharow - Mój kraj i świat - 6 osób.

Wat - Mój wiek - 5 osób.

Staliński - Ludzie w akwarium - 5 osób.

" - Śledztwo - 5 osób.

We własnych oczach - 5 osób.

Miłosz - Zdobycie władzy - 5 osób.

Jednym z istotnych czynników poczytności zdaje się tu być reakcja na negatywne popularyzowanie pewnych nazwisk przez oficjalną prasę.

Spośród tytułów obecnych w katalogu około 30 nie znalazło jeszcze czytelników - jest to głównie literatura piękna pióra mniej znanych autorów emigracyjnych, ekonomia i historia (wyjąwszy uderzające za interesowanie Ciechanowskim).

Oczywiście, przedstawione preferencje mogą w przyszłości ulegać zmianom, które również będziemy starali się obserwować.

Kim był generał Przełomski?

W "Głosie" nr 2 (listopad 1977) Jan Józef Lipski informuje, powołując się na źródło oficjalne - "Monitor Polski" nr 21 z dn. 22.VIII. 1977 - o przemianowaniu przez Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska 120 miejscowości w województwach: krośnieńskim, nowosądeckim, przemyskim, rzeszowskim i tarnobrzesckim. Chodzi ni mniej ni więcej, tylko o "polonizację" nazw, których uprzednie brzemienie przypominało nie tak dawną obecność na tych terenach ludności łemkowskiej (ukraińskiej). Tak Bereźnica zamieniła się w Brzezinę, Bereżki w Brzeżki itp. Komentując ten proceder, Lipski wskazuje, że niszczenie zabytków kultury ukraińskiej (a nazewnictwo też należy do kultury) nie ma nic wspólnego z polskim patriotyzmem. Jest to nie tylko przekreślanie wieków wspólnego istnienia dwóch narodów na tych ziemiach Rzeczypospolitej, ale zacieranie śladów polskiej właśnie, nie zaś jakiegokolwiek innej historii, ponieważ np. takie nazwy, jak Kobylnica Ruska i Wołoska (od teraz: Kopytów Dolny i Górny!) zaświadczone są w przywileju wydanym przez Zygmunta Augusta, w Bereźnicy urodził się pisarz Zygmunt Kaczkowski, z Dwernika (obecnie... Przełom) wywodzili się Dwerniccy herbu Sas itp. "Zapewne i generałowi Dwernickiemu zmienimy nazwisko na Przełomski - ironizuje autor - jak w anegdocie z epoki Chruszczowa: sam towarzysz Wołgin dekorował mnie za bitwę o Wołgograd..."

Latający Uniwersytet

Od jesieni 1977 odbywają się, głównie w Warszawie, ale także w innych miastach uniwersyteckich, nieoficjalne cykle wykładów i seminariów z różnych



dziejzin humanistyki, mające, w intencji organizatorów, dostarczyć słuchaczom wiadomości o faktach i zagadnieniach traktowanych po macoszemu bądź tendencyjnie przeznaczonych w programach oficjalnych wyższych uczelni. Wszystkie zajęcia odbywają się w mieszkaniach prywatnych i gromadzą od kilkunastu do ponad stu słuchaczy, na niektórych frekwencja jest tak wielka, że muszą być powtarzane. Przez analogię do tajnych kursów samokształceniowych w XIX-wiecznej Warszawie, utarła się również dla inicjatywy, o której mowa, nazwa "Uniwersytetu Latającego", organizatorzy jednak uważają swoją instytucję za skromniejszą (przynajmniej na razie) i wolą nie używać tak obligującego tytułu. Oto zaś niektóre zaprojektowane i już rozpoczęte cykle wykładów: "Sprawa polska w myśli politycznej i w mentalności społecznej epoki zaborów", "Współczesna ideologia polityczna", "Historia gospodarcza i historia myśli ekonomicznej Polski współczesnej", "Z dziejów politycznych Polski Ludowej", "Przegląd wielkich dyskusji trzydziestolecia powojennego", "Literatura jako wyraz świadomości społecznej".

Tajemnice PRL-owskiej cenzury wróciły do kraju.

W poprzednim "Zapisie" podaliśmy informację o przedostaniu się na Zachód tajemnic PRL-owskiej cenzury. Obecnie wiadomo już, jak to się stało: były cenzor z Krakowa, Tomasz Strzyżewski, który poprosił o azyl polityczny w Szwecji, wywiózł i udostępnił prasie zagranicznej pokazy plik poufnej dokumentacji GUKPPIW, do której miał dostęp. Z kolei przekazał on swoje materiały (w ilości około 700 stron) z powrotem do kraju - do dyspozycji Komitetu Samoobrony Społecznej "KOR". KSS "KOR" ogłosił w tej sprawie oświadczenie dn. 18 listopada 1977, zawierające m.in. pełny tekst listu T. Strzyżewskiego z 18 października tegoż roku oraz ogólny opis otrzymanej dokumentacji. Czytamy tam m.in. o trzech zasadniczych kategoriach owych materiałów: "Pierwszą stanowią wytyczne i instrukcje dla cenzorów, określające z pedantyczną drobiazgowością nie tylko rodzaj i zakres informacji, jakich nie należy rozpowszechniać poprzez środki masowego przekazu, ale również typy informacji, jakie należy lansować i popierać. Skala problemów, jakich te zakazy i nakazy dotyczą, rozciąga się od spraw o znaczeniu ogólnonarodowym aż do zjawisk najdrobniejszych. Szczególną uwagę zwracają tu ograniczenia dotyczące informacji o treści religijnej, narodowościowej i społeczno-ekonomicznej. W tych dziedzinach dostęp odbiorcy do prawdy zostaje niemal całkowicie odcięty. Wytyczne obejmują jednak również zakazy i tzw. "zapisy" odnoszące się do poszczególnych nazwisk, faktów, liczb, wydarzeń... Drugą kategorię tekstów stanowią 'Informacje o materiałach zakwestionowanych', sporządzane przez GUKPPIW cyklicznie w dwutygodniowych odstępach. Są to jak gdyby rejestry interwencji cenzorskich, opatrzone obszernymi wyjątkami z zakwestionowanych tekstów... Trzecią kategorię udostępnionych nam dokumentów cenzury stanowią materiały instruktażowe będące wynikiem pracy tzw. 'delegatury wtórnie kontrolującej'. Instancja ta bada publikacje znajdujące się już w obiegu, sygnalizując 'przeoczenia cenzuralne' oraz 'ingerencje zbędne' (tych ostatnich oczywiście nie można już na ogół wycofać)."

Stwierdzając, że "mamy do czynienia z jedną z największych demaskacji całego okresu powojennego", mianowicie z ujawnieniem jakobywła się "planowe uśmiercanie kultury narodu oraz okaleczanie osobowości jednostki i społeczeństwa poprzez metodyczne dławienie wolności słowa i informacji", KSS "KOR" zdecydował się na ogłoszenie "obszernych materiałów obnażających precyzję machiny zwróconej przeciw człowiekowi, obywatelowi i narodowi". Niedługo po tym oświadczeniu ukazała się nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ponad 70-stronicowa "Księga Zapisów GUKPPIW". Egzemplarze jej zostały przekazane kierownikowi i członkom organizacji zawodowych i społecznych oraz stowarzyszeń twórczych i naukowych, m.in. P.Nu, Penclubu, Z.AKSu, Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Naczelnej Organizacji Technicznej



i innych, a także rektorom wyższych uczelni i redaktorom czasopism. Z jakimi uczuciami czytają ujawnione dokumenty "normalni" obywatele i twórcy kultury - nie trudno sobie wyobrazić. (W tym numerze "Zapisu" publikujemy kilka uwag na ich marginesie, pióra Jakuba Karpińskiego, a także pewne charakterystyczne materiały benzury spoza wydanej "Księgi"). Ciekawe, czy koryfeusze oficjalnego "życia społecznego" i "życia kulturalnego" w PRL nabiorą wody w usta i będą nadal udawali, że wszystko w porządku, nic się nie stało...

#### Przeciw RES-om

Jesienią 1977 roku krakowski SKS (Studencki Komitet Solidarności) rozpoczął akcję na rzecz zmiany przepisów, wprowadzonych w roku 1968 i ograniczających dostęp czytelników do wielu znajdujących się w bibliotekach, ale trzymany pod kluczem książek, tzw. prohibitów albo "RES-ów" (od "reserve"). Studenci kolportowali odezwy w tej sprawie i rozlepiali na mieście plakaty (książka zamknięta na kłódkę), na wielu wydziałach wyższych uczelni uchwalono rezolucje, domagające się zwołania przez rektora UJ i dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej publicznej dyskusji na temat obowiązującego systemu "ochrony" studentów przed niepożądaną lekturą. Jak dotąd, władze zareagowały w zwykły dla siebie sposób: rewizjami, przesłuchaniami i pogrózkami. Jak wynika jednak z wydanych ostatnio oświadczeń SKS-u, studenci nie kwapią się z uznaniem za normalny trwającego w bibliotekach stanu rzeczy.

#### O Miłoszu i Waciu

W oddziale krakowskim Związku Literatów Polskich o Czesławie Miłoszu mówił Jan Błoński.

Na początku grudnia 1977 wieczór poezji Czesława Miłosza odbył się w Warszawie, w klubie SZSP "Hybrydy". Słowo wstępne wygłosił Jacek Trznadel, poezje recytował Marek Kondrat.

13 grudnia dwie godziny lekcyjne poświęcono Miłoszowi w warszawskim liceum Sióstr Zmartwychwstańek. Wykład i recytacja: Maciej Rayzacher.

W kaplicy warszawskiego kościoła św. Jacka, w której wcześniej odbył się wieczór Czesława Miłosza (o czym donosiliśmy), 22 grudnia 1977 Janusz Maciejewski mówił o Aleksandrze Waciu, Andrzej Seweryn zaś czytał wiersze poety.

#### Niepoprawni

Instrukcja GUKPPIW na wrzesień-październik 1977 obejmuje zakazem druku (lub na odmianę, zakazem krytycznego ujmowania) następujące tematy: walka państwa z pijaństwem, czyny społeczne, krytyka administracji i wymiaru sprawiedliwości, demokracja robotnicza, udział państw demokracji ludowej w ONZ, port Północny, huta Katowice, Zamek Warszawski, produkcja i jakość Polkorfam, mieszkania i zaopatrzenie, polityka płac, ułatwienia socjalne, handel meblami, warunki pracy kobiet, spożycie mięsa, stypendia studenckie, import zabawek, unicy polscy, Traugutt, ochrona środowiska, szkoła 10-letnia, praca i płaca w szkole, organizacja szkolnictwa wyższego, przyjęcia na studia, wychowanie w szkołach, podręczniki szkolne, harcerstwo, Piłsudski, AK, niewłaściwa ochrona zabytków, pożary kościołów, Kościół w NRD, prace Kosidowskiego.



## Tocqueville ocenzurowany

W roku 1976 ukazał się nakładem PIWu przekład dzieła Alexisa de Tocqueville, wybitnego myśliciela i polityka francuskiego (1805-1859), "O demokracji w Ameryce". Na odwrocie karty tytułowej zaznaczono: "Tekst skrócony", ściślej jednak byłoby określenie: tekst ocenzurowany. Oto bowiem "skróć" dokonany w zakończeniu tomu I (str. 263 wydania polskiego; przekład opuszczonego fragmentu nasz): "Amerykanin walczy z przeciwnościami natury. Rosjanin na odwrót, raczej z człowiekiem. Pierwszy zwalcza pustkowia i barbarzyństwo. Drugiego obwinia się, iż zwalcza cywilizację. Amerykanin dokonuje podbojów głównie łemieszem. Rosjanin natomiast mieczem swych żołnierzy, poza swymi obecnymi granicami. Zmierzając do celu, Amerykanin odwołuje się do interesu osobistego jednostek i baczny, by siły ich i rozum przejawiać się mogły w działaniu nieskrępowanie. Rosjanin przeciwnie: wielbiąc w charakterze swoim autokratę, jednoczy w sobie poniekąd całą potęgę państwa. W działaniu daje Amerykanin pierzeństwo wolności, Rosjanin - niewoli."

Tekst Tocqueville'a pochodzi z roku 1835.

## Uczony - emigrant\* skazany na nieistnienie

W roku 1975 ukazała się nakładem PIW książka pt. "Semiotyka kultury", zawierająca obszerny wybór prac uczonych radzieckich związanych z głośną "szkołą dorpaczą". Tom miał wtedy mikroskopijski nakład 1000 egz., który rozszedł się dosłownie w ciągu paru godzin, nie zaspokajając nawet w części zapotrzebowania czytelników. Obecnie PIW opublikował drugie wydanie książki, w nakładzie 5000 egz. Nie zaznaczono jednak, że w porównaniu z wydaniem I jest to edycja "poprawiona". Książka - nota bene - kosztuje te same 65 zł - ma objętość mniejszą o 2 arkusze wydawnicze. Zabrakło w niej mianowicie dwu artykułów: A. Piatigorskiego i J. Łotmana "Tekst i funkcja" oraz A. Piatigorskiego "O możliwościach analizy tekstu jako pewnego typu sygnału". Ze wstępu S. Żółkiewskiego wykreślono też w mechaniczny sposób zdania, w których w wyd. I występowało nazwisko Piatigorskiego (w paru wypadkach naraża to czytelnika na istotne nieporozumienia). Nie trzeba dodawać, że wyeliminowane rozprawy naukowe nie zawierały żadnych wywrotowych treści: można się jedynie domyślać, że fakt ich skreślenia ma związek z niedawnym wyjazdem A. Piatigorskiego na emigrację.

## Có się dzieje w kinematografii - ciąg dalszy

W poprzednim numerze "Zapisku" relacjonowaliśmy wydarzenia w kinematografii po mianowaniu na stanowisko I Wiceministra Kultury i Sztuki "mocnego człowieka" - Janusza Wilhelmiego. Była mowa między innymi o "buncie" reżyserów filmowych w trakcie dyskusji na forum gdańskiego festiwalu. W liście datowanym 20.X.1977 Prezydium Stowarzyszenia Filmowców Polskich powtórzyło postulaty środowiska, ujmując je w następujących sześć punktów:

- 1/ przywrócenie zasady pełnego partnerstwa środowiska twórczego we wszystkich sprawach, dotyczących rozwoju naszej kinematografii,
- 2/ uznanie Zespołów Filmowych za jedyną i sprawdzoną formę pracy artystycznej i produkcyjnej,
- 3/ przyjęcie zasady, że każdy zakończony film powinien być przedstawiony Komisji Kolaudacyjnej i publicznie dyskutowany na jej forum,
- 4/ oczyszczenie atmosfery w kinematografii poprzez rozstrzygnięcie sprawy filmów zatrzymanych oraz tych, których produkcja została przerwana ("Na srebrnym globie"),



5/ przystąpienie do etapowego programu budowy Warszawskiej Wytwórni Filmowej,

6/ powiększenie, a nie zmniejszenie, ilości filmów produkowanych dla potrzeb kin."

Jak można się było spodziewać, postulaty te zostały przez kierownictwo zlecone. Jako przeciwwagę gdańskiego Forum zwołano naradę w KC PZPR, której przewodniczył sekretarz KC Łukaszewicz, głównym referentem był Wilhelm, a wielu wybitnych filmowców w ogóle na nią nie zaproszono. Zorganizowani dyskutanci, z reżyserem Porębą na czele, gorąco poparli tam politykę Łukaszewicza-Wilhelma, a przewodniczący Stowarzyszenia Filmowców Polskich Jerzy Kawalerowicz pozostał kompletnie izolowany. Jednocześnie udzielono wymówienia kierownikom wszystkich zespołów filmowych (korzystając z końca ich trzyletniej kadencji) i przystąpiono do czegoś w rodzaju kolejnej weryfikacji każdego z zespołów. Nie wiadomo na razie, które zespoły wyjdą z tego obroną ręką i którzy kierownicy zostaną z powrotem zaangażowani. Tymczasem zespoły pozbawione są faktycznie możliwości produkowania filmów. Blokują się scenariusze nie zatwierdzając ich w przepisowym czasie, blokują się decyzje skierowania filmów do produkcji, wreszcie nie kolauduje się wyprodukowanych filmów i zatrzymuje filmy już skolaudowane. M.in. nadal nie skolaudowane są filmy Janusza Kijowskiego "Indeks" i Marcela Łozińskiego "Jak żyć". Po kolaudacji zatrzymano filmy: "Palace Hotel" Ewy Kruk (scenariusz Dygata) i "Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz" Barcji (scenariusz Tyma). Brak decyzji skierowania na ekrany (dwa miesiące po kolaudacji) filmu Feliksa Falka "Wodzirej" i "Nie zaznasz spokoju" Waśkowskiego (obu filmom nowa komisja kolaudacyjna, w której skład powołano posłuszny ministrowi "czynnik społeczny", udzieliła obniżonej oceny artystycznej). Kierownik najbardziej popieranego zespołu "Profil", Poręba, sam nie zgłosił do kolaudacji wyprodukowanego w tym zespole filmu dyplomowego K. Sowińskiego i L. Majewskiego "Zwiastowanie", zawiedziony jego nie dość propagandową wymową.

Na wszelkie sposoby realizuje się w kinematografii tendencję do skrajnej centralizacji. Od czasu mianowania Wilhelma nie jest obsadzona funkcja dyrektora PRF Zespoły Filmowe, we wszelkich zatem sprawach poszczególne zespoły zgłaszają się do Naczelnego Zarządu Kinematografii, który obecnie... też nie ma dyrektora. W efekcie pierwszą i ostatnią instancją jest sam Wilhelm, który, nawet gdyby założył jego dobrą wolę, nie ma czasu na rozpatrywanie gromadzących się spraw. Usilnie zachęca się twórców do pracy poza zespołami, za scenariusze składane bezpośrednio do TV płaci się 90 tysięcy złotych - wobec stawki do 50 tysięcy obowiązującej w zespołach. Reżyser Jerzy Hoffman podjął się jako pierwsze zrealizowania poza zespołem filmu pt. "Epopeja" (od Lenina do Berlina). Jedną z najnowszych inicjatyw - to próby wcielenia do TV również filmu animowanego, co oznacza koniec artystyczny tej cenionej gałęzi polskiej sztuki filmowej.

Jedynie bodaj jaśniejsze punkty na tym mrocznym tle - to skierowanie do produkcji filmów dwóch czołowych reżyserów: Zanussiego "Spirala" (scenariusz własny) i Wajdy "Bez znieczulenia" (scenariusz Agnieszki Holland). Odnotujmy też, że Sąd Pracy w Warszawie anulował wypowiedzenie pracy reżyserowi Bohdanowi Kosinowskiemu przez Wytwórnę Filmów Dokumentalnych.

### Spotkania z artystami na Salwatorze

Od października 1977 w krakowskim duszpasterstwie akademickim - w klasztorze s.s. Norbertanek na Salwatorze - odbywają się spotkania z artystami i ludźmi kultury. Halina Mikołajska wystąpiła z monodramem "Józef i jego bracia" według Tomasza Manna, Zofia Niwińska - obchodząca właśnie pięćdziesięciolecie pracy aktorskiej - z monodramem pt. "Helena Modrzejewska", Jacek Woźniakowski powtórzył swój odczyt "Prawa człowieka a kultura" z sesji warszawskiego KIKU, Stefan Kisielewski wygłosił prelekcję "Literatura a polityka", wreszcie wieczory autorskie dali Andrzej Kijowski, Jan Józef Szczepański i Zdzisław Jaskuła.



Osobny cykl imprez duszpasterskich akademickich na Salwatorze - to śródowe wykłady o Heideggerze, przewidziane na okres od 14 grudnia 1977 do końca lutego 1978. Wykładają dr Karol Tarnowski i ks. Józef Tischner. Zawiadomienia o wykładach, rozwieszane na uczelniach krakowskich, były zrywane, m.in. osobiście przez dyrektora Instytutu Filozofii UJ, prof. Kuderowicza.

### Wokół "Śmierci prezydenta"

Film Kawalerowicza i Michałka "Śmierć prezydenta" budzi wiele zachwytów - i wiele kontrowersji, dotyczących nie tylko i nie tyle jego strony artystycznej, co historycznej i ideowej. Często okazuje się przy tym (jak w trakcie dyskusji w warszawskim KIKu 25 listopada 1977), iż nadspodziewanie żywotne bywają jeszcze postawy i animozje sprzed kilkadziesiątu lat, stare podziały na endeków i piłsudczyków etc. W dyskusji, o której mowa, p. Giertych dowodził np., że to piłsudczycy szykowali w 1922 roku zamach stanu i że oni, nie zaś endecy, są moralnymi sprawcami śmierci Gabriela Narutowicza, na sali znaleźli się zarówno zażarci zwolennicy, jak przeciwnicy jego poglądów... Ciekawsze i współczesniejsze (choć zakorzenione w historii) były rozważania Stefana Kisielewskiego o dwóch koncepcjach Polski: jagiellońskiej alias piłsudczykowskiej (federacyjnej, wielonarodowej, realizującej misję kulturalną i narodową na wschodzie) bądź też endeckiej (antygermańskiej, z Polską przesuniętą na zachód i z "nudnym i monotonnym" nacjonalizmem jako wiodącą ideą). Dziś triumfuje ta druga koncepcja, zrealizowana na modłę komunistyczną, kulturalnie jałowa... Odnotujmy jeszcze głos w dyskusji Janiny Zakrzewskiej, która wypowiedziała się przeciw poglądom upatrującym przyczyny wszelkiego zła w parlamencie Polski przedmajowej. Nawet rozdzierane sprzecznościami przedstawicielstwo - mówiła - jest lepsze niż jego brak. To w parlamencie kształtuje się kultura polityczna, parlament jest szkołą politycznego myślenia, w latach dwudziestych pełnił on ponadto funkcje integrujące dzielnice poszczególnych zaborów. Film ukazuje również Narutowicza - liberała, człowieka, który nie chce początkowo brać udziału w grze politycznej, a z chwilą, gdy ją podejmuje, nie godzi się na ustąpienie prawa przed siłą. W filmie widzimy śmierć Narutowicza, ale jeżeli dziś sympatie nasze są po stronie tego, który uważał, iż racją jest po stronie konstytucji, prawa, praworządności i tolerancji - to jest to również jego zwycięstwo.

### Polonica w "Kontynencie"

W ostatnim, jaki do nas dotarł, 13-ym numerze kwartalnika nowej emigracji rosyjskiej "Kontynent" (redaktor naczelny Włodzimierz Maksymow), w rubryce "Zwięźle o książkach" znalazły się między innymi stosunkowo obszernie noty o wydaniu londyńskim "Zapisu" nr 1 i o książce Adama Michnika "Kościół, lewica, dialog". Inne polonica tego numeru (w które zresztą "Kontynent" zawsze obfituje) to: kolejny odcinek "Cudownej meliny" Kazimierza Orłosia, "Trzy wiersze dla Adama Michnika" Natalii Gorbaniewskiej, omówienie n-ru 1 pisma "Opinia", recenzja z wydanych w RFN "Anegdota z całego świata" Aleksandra Drożdżyńskiego. Na ankietę w związku z 50-leciem Mécisława Rostropowicza odpowiadają m.in. Artur Rubinstein i Witold Lutosławski. Poprzedni 12-y numer "Kontynentu" zawierał m.in. wiersze Stanisława Barańczaka (w przekładzie W. Betakiego), fragment książki Anieli Steinsbergowej "Widziane z ławy obrończej", wywiad z Michnikiem, wreszcie różne teksty Anny Chmielewskiej, Józefa Czapskiego i Jana Nowaka.



## Nagrody Sacrosongu

W poprzednim "Zapisie" donosiliśmy o hasłach i przebiegu ostatniego Sacrosongu w Kaliszu. Dodatkowo informujemy o przyznanych przez jury Sacrosongu nagrodach za pieśni i piosenki (w prasie cenzurowanej informacja ta nie mogła się ukazać).

Tak więc I nagrodę otrzymała pieśń kompozytora Andrzeja Hanzelwicza do słów R.M. Rilkego "Każdemu daj śmierć jego własną, Panie", II nagrodę - "Modlitwa do Bogurodzicy" Bernarda Stielerera do słów K.K. Baczyńskiego, trzy równorzędne trzecie nagrody - pieśni Szymona Kurana i Mariusza Matuszewskiego do słów Zbigniewa Herberta ("Usta proszą"), Jerzego Narbutta ("Prośba") i Bohdana Ostromeckiego ("Minęła jedenasta").

W kategorii piosenek na pierwszym miejscu znalazł się tekst Marii Józefackiej "Obyś, synu, nie był tchórzem" (melodia Mariusza Matuszewskiego), na drugim - "Z otwartymi idę ramionami" Joanny Kulmowej (melodia Małgorzaty i Jacka Samborskich), na trzecim - równorzędnie "Ballada o porojunkuli" siostry Imeldy (muzyka J. Bauera), "Tak wyschłeś, Panie" Michała Kal-Czarnieckiego (muzyka R. Heidera) i "Światła nocy" Marka Skwarnickiego (muzyka Edwarda Pałlasza).

## Operacja "Zjazd Literatów"

Na kwiecień 1978 zapowiedziano kolejny zjazd Związku Literatów Polskich - tym razem w Katowicach (poprzedni odbył się trzy lata temu w Poznaniu). Niemal na rok przed ustalonym terminem rozpoczęła posiedzenia, pod przewodnictwem wysokiego dygnitarza partyjnego, niejawną komisja czy grupa operacyjna, mająca za zadanie "przygotowanie" zjazdu. Nie chodzi o zamówienie biletów kolejowych i kwater dla delegatów, lecz o zapewnienie ich "właściwego" składu, a więc odpowiednie przeprowadzenie wyborów w oddziałach ZLP, dalej o znalezienie takich środków, które na samym zjeździe zapobiegłyby niemiłym dla ucha władzy wystąpieniom z trybuny i niepożądanemu przebiegowi wyborów do Zarządu Głównego. Widmo opozycji spędza sen z powiek obradującego przed zjazdem sztabu, obmyśla się możliwe warianty posunięć opozycji i mających je uprzedzić lub zniweczyć anty-posunięć, opracowuje się zbiorowe i indywidualne metody ugłaskania bądź zastraszenia delegatów, możliwe, że nawet, jak w prawdziwym sztabie wojskowym, przeprowadza się pozorowane gry operacyjne pod hasłem "Zjazd w Katowicach". Większość członków aktualnego Zarządu Głównego ZLP nie została poinformowana o toczącej się operacji.

## Z życia "Zapisu"

"Masowe nakłady każdego z kolejnych "Zapisów" opóźniają się, siłą rzeczy, w stosunku do przygotowanych przez redakcję wydań wyjściowych. Zamykając niniejszy "Zapis nr 5" (koniec grudnia 1977) jesteśmy w stanie poinformować, że w Londynie, nakładem przychylnego nam, bo zwalczającego niewolę słowa na całym świecie, wydawnictwa "Index on Censorship" wydrukowany już został jakiś czas temu "Zapis nr 2", nr 3 zaś jest w druku i ukaże się chyba niebawem. W kraju Niezależna Oficyna Wydawnicza powieliła i rozpowszechniła "Zapis nr 2", po czym wydała również - bardziej doskonałą technicznie, bo na offsecie - "Zapis nr 3" ("Kompleks polski" Tadeusza Konwickiego). "Zapis nr 4" - w przygotowaniu.

Korzystając z okazji, żeby w tym miejscu serdecznie podziękować wszystkim osobom (pragnącym zachować anonimowość), których pomoc finansowa umożli-



liwia nam pokrycie kosztów produkcji zwłaszcza nakładów wyjściowych (należność maszynistek, papier, kalka). Pomoc ta stanowi - miły nam, chociaż nie jedyny - dowód życzliwości społecznej, jaka otacza naszą inicjatywę.

Pasaporty wciąż nie dla każdego

Dużo się mówi o zliberalizowaniu przez władze PRL - w związku z konferencją belgradzką, wizytą prezydenta Cartera etc. - polityki paszportowej. Rzeczywiście niektóre osoby, poprzednio pozbawione prawa do wyjazdów zagranicznych, ostatnio otrzymały paszporty. Ale np. dr med. Marek Edelman, wybitny kardiolog, niegdyś jeden z dowódców powstania w getcie warszawskim, bohater świeżo wydanej książki Hanny Krall "Zdażyć przed Panem Bogiem" (z tej okazji pozytywnie wspomniany w "Polityce" i "Trybunie Ludu") - od lat nie jest wypuszczony z kraju i dosłownie przed paroma tygodniami odmówiono mu znów paszportu. W styczniu 1978 kolejne odmowy paszportu spotkały też uczestników "Zapisu": Stanisława Barańczaka, Jacka Bocheńskiego, Barbarę Toruńczyk i Wiktora Woroszyńskiego. Jako podstawę tej decyzji Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podaje osławiony art. 4 ust. 2 pkt. 4 ustawy o paszportach, pozwalający władzom na kompletną samowolę w tej dziedzinie.

Z ostatniej chwili: we Wrocławiu też sami wydają

Swego czasu wychodziło we Wrocławiu czasopismo "Agora", administracyjnie zlikwidowane po 1968 roku. Obecnie ukazało się poza zasięgiem cenzury (w maszynopisie) dziesięć tomików Biblioteki "Agory". Wśród autorów jest dawny redaktor "Agory" Lothar Herbst, znana poetka Marianna Bocian, nasz debiutant z tego numeru Leszek Budrewicz i inni. W następnym numerze postaramy się poinformować obszerniej o wrocławskiej inicjatywie, którą z satysfakcją witamy.



## NOTY O AUTORACH

## STANISŁAW BARANCZAK

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, tłumacz, teoretyk literatury. W latach 1976-1977 objęty zarządzonej centralnie represjami, nie może wydawać swoich książek w żadnym z wydawnictw krajowych. Wydał za granicą tom wierszy "Ja wiem, że to niesłuszne" (Instytut Literacki, 1977 i przekład wierszy Osiipa Mandelsztama, Oficyna Malarzy i Poetów, 1977). Współtwórca i autor wszystkich numerów "Zapisu", specjalnie dla nas napisał też esej o "Kompleksie polskim" Tadeusza Konwickiego.

## WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

Urodzony w roku 1906. Publicysta, lewicowy działacz polityczny, socjolog. Niegdyś na eksponowanych stanowiskach partyjnych i państwowych, od dawna w opozycji. W ostatnich dziesięciu latach autor prac badawczych na temat mechanizmów społecznych w krajach socjalistycznych, prace te kursują w Polsce poza zasięgiem cenzury, częściowo zaś ukazują się za granicą nakładem Instytutu Literackiego (Paryż) oraz w językach obcych. Oto niektóre tytuły: "Motory i hamulce socjalizmu", "Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej", "Drogi wyjścia", "Socjologia klęski", "Socjalizm po 60 latach" (ta ostatnia pozycja figuruje w katalogu Niezależnej Oficyny Wydawniczej). W tym numerze "Zapisu" publikujemy pierwszy odcinek otrzymanego od autora nowego eseju "Filozofia dziejów a teoria społeczna". Dalsze odcinki - w kolejnych numerach.

## JACEK BOCHENSKI

Urodzony w roku 1926. Prozaik, eseista, tłumacz literatury antycznej. Już drugi rok z rzędu objęty w zasadzie całkowitym zakazem druku. W "Zapisie nr 1" opublikował konfiskowany kilkakrotnie przez cenzurę fragment książki o Tyberiuszu, w "Zapisie nr 2" - zasadniczą polemikę z profesorem J. Szczepańskim na temat postaw intelektualistów. Recenzja z książki Kijowskiego powstała specjalnie dla "Zapisu nr 5".

## LESZEK BUDREWICZ

Urodzony w roku 1956. Poeta. Student filologii polskiej we Wrocławiu. Debiutował w "Konfrontacjach" (nierregularnie wychodzącej jednodniówce studentów wrocławskich). Wiersz "W autobusach nadludzkich" został nagrodzony w konkursie poetyckim, ale usunięty przez cenzurę z czerwcowego (1977) numeru "Konfrontacji".

## NATALIA GORBANIEWSKA

Urodzona w roku 1936. Rosyjska poetka, publicystka, tłumaczka poezji polskiej (m.in. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego). Aktywna uczestniczka ruchów "inaczej myślących", założycielka "Kroniki bieżących wydarzeń", w latach 1969-1972 więziona (m.in. w specjalnym szpitalu psychiatrycznym), obecnie na emigracji, sekretarz redakcji kwartalnika "Kontynent" (Paryż). Wiersze, które publikujemy, w oryginale ukazały się na łamach "Kontynentu" nr 8/1976.

## TEODOR HALICZ

Pseudonim.

## VACLAV HAVEL

Urodzony w roku 1936. Dramaturg i publicysta czeski, aktywny uczestnik Wiosny Praskiej i jeden z pierwszych rzeczników Karty 77. Autor m.in. następujących sztuk teatralnych: "Memorandum", "Garden Party", "Wzmoczone trudności koncentracji". Od roku 1969 podlega całkowitemu zakazowi druku w CSRS i innych krajach socjalistycznych. Jego ostatnie sztuki ("Audiencja", "Otwarcie wystawy", "Opera żebracza") zostały opublikowane przez wydawnictwo czeskiego samizdatu



"Petlice". W kwietniu 1975 Havel napisał głośny list otwarty do Gustawa Husaka. Na początku roku 1977 został aresztowany, po kilku miesiącach zwolniony, a w październiku 1977 skazany na karę więzienia z zawieszeniem. "Ostatnią rozmowę" Havel napisał w więzieniu, tłumaczenie polskie powstało specjalnie dla "Zapisu".

#### WŁADY SŁAW JASINSKI

Pseudonim jednego z dziennikarzy i publicystów polskich.

#### JAKUB KARPIŃSKI

Urodzony w roku 1940. Filozof i socjolog. W poprzednich numerach "Zapisu" publikowaliśmy prace Karpińskiego, których druk gdzie indziej utrudniła cenzura, natomiast "Dwa szkice o cenzurze", które publikujemy obecnie, powstały specjalnie dla nas.

#### ANDZEJ KIJOWSKI

Urodzony w roku 1923. Prozaik, eseista, krytyk, scenarzysta filmowy, autor stałego felietonu w "Twórczości" (jako Dedal) i w "Tygodniku Powszechnym". Ostatnia przygotowana do druku książka pt. "Siódma dekada" po kilkuletniej grze na zwłokę ze strony wydawnictwa została ostatecznie wycofana z produkcji. Najnowszy tom felietonów Kijowskiego pt. "Niedrukowane" wydała w tej sytuacji Niezależna Oficyna Wydawnicza (w przygotowaniu drugie, rozszerzone wydanie). "Przyczynek do dyskusji o inteligencji", skonfiskowany w "Tygodniu Powszechnym", otrzymaliśmy od autora.

#### STEFAN KISIELEWSKI

Urodzony w roku 1911. Prozaik, publicysta, kompozytor, stały felietonista (jako Kisiel) "Tygodnika Powszechnego". Autor książek z dziedziny muzykologii, powieści i zbiorów felietonów, niektóre z nich, nie wydane w kraju, ukazały się za granicą (ostatnio powieść "Przygoda w Warszawie", Londyn 1977). Zamieszczamy w "Zapisie" kolejne felietony z cyklu "Wołanie na puszczy", skonfiskowane przez cenzurę w "Tygodniku Powszechnym".

#### LESZEK KOŁAKOWSKI

Urodzony w roku 1927. Profesor doktor. Filozof, eseista, prozaik, dramaturg. W Polsce wydał m.in. książki: "Światopogląd i życie codzienne" (1957), "Rozmowy z diabłem" (1965), "Świadomość religijna i więź kościelna" (1965), "Kultura i fetysze" (1967). Od późnej jesieni 1968 przebywa za granicą, gdzie wydał w języku polskim (Instytut Literacki, Paryż): "Obecność mitu" (1972) oraz "Główne nurty marksizmu. Powstanie - rozwój - rozkład", t. I (1976) i t. II (1977). W roku 1977 został laureatem Nagrody Pokojowej Stowarzyszenia Księgarzy Niemieckich. Z tej okazji publikujemy zarówno przemówienie laureata, jak fragmenty mowy pochwalnej na jego cześć prof. dr Gesine Schwan - oba teksty ogłoszone we Frankfurcie nad Menem 16 października 1977. "Wychowanie do nienawiści, wychowanie do godności" otrzymaliśmy od autora. Już po zamknięciu numeru dowiedzieliśmy się, że frankfurcką mowę Leszka Kołakowskiego wydrukowała również "Kultura" (grudzień 1977).

#### TADEUSZ KORZENIEWSKI

Urodzony w roku 1949. Prozaik. Studiował elektronikę na Politechnice Gdańskiej i filozofię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Od kilku lat poświęcił się wyłącznie pracy pisarskiej, ale oficjalne wydawnictwa odrzucają notorycznie wszystkie jego teksty. Opowieść "W Polsce", którą publikujemy w całości, jest debiutem autora.

#### RYSZARD KRZYŃSKI

Urodzony w roku 1945. Poeta, tłumacz, krytyk poezji, laureat nagród kra-



jowych i zagranicznych, od dłuższego czasu praktycznie pozbawiony możliwości wydawania tomików poetyckich. Wiersze jego drukowaliśmy również w "Zapisie" nr 1 i nr 2.

#### JAN JOZEF LIPSKI

Urodzony w roku 1926. Historyk literatury, krytyk literacki, eseista, autor m.in. dwóch tomów monografii o Janie Kasprzowiczu i wydawca dzieł tego poety, pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN.

#### JERZY MARKUSZEWSKI

Urodzony w roku 1930. Reżyser teatralny i radiowy, w latach 1954-1972 główny reżyser teatru STS w Warszawie, ponadto 1961-1964 naczelny reżyser Teatru Polskiego Radia, w latach 1976-1977 z przyczyn politycznych pozbawiony prawa wykonywania zawodu. W "Zapisie" nr 5 publikujemy jego list (napisany wspólnie z Wiktorem Woroszylskim) do redaktora "Polityki", który nie ukazał się w tym piśmie i na który autorzy nie otrzymali żadnej odpowiedzi.

#### ZYGMUNT MYCIELSKI

Urodzony w roku 1907. Kompozytor, krytyk i publicysta muzyczny, przez wiele lat redaktor naczelny "Ruchu Muzycznego", twórca dzieł orkiestrowych i wokalnych, autor "Ucieczek z pięciolinii" (1957) i innych książek. Felieton o qdrzeju Panufniku napisał specjalnie dla "Zapisu" nr 5.

#### JERZY NARBUTT

Urodzony w roku 1925. Poeta, prozaik, eseista. W "Zapisie" nr 1 i nr 2 publikowaliśmy jego wiersze i prozę, a w "Zapisie" nr 4 - "Remanent polemiczny" z którym w tym samym numerze podjął dalszą dyskusję Wiktor Woroszylski ("Błędy w remanencie"). W nawiązaniu do tej dyskusji Narbutt ogłasza obecnie list otwarty do W. Woroszylskiego.

#### KAZIMIERZ ORIOŚ

Urodzony w roku 1935. Prozaik, reporter. Po wydaniu kilku książek w Polsce i odrzuceniu przez wydawnictwa krajowe powieści "Cudowna melina" jako niecenzuralnej politycznie - ogłosił ją w paryskim Instytucie Literackim (1973). Od tam przez cztery lata podlegał kompletnemu zakazowi druku, dopiero ostatnio nieco rozluźnionemu. Tekst, który publikujemy, powstał w związku z kilkuletnią pracą autora w przedsiębiorstwie budowlanym na prowincji. Próbę publikacji w "Tygodniku Powszechnym" udaremniła cenzura.

#### GESINE SCHWAN

Uczona niemiecka, profesor doktor filozofii, autorka m.in. wydanej w RFN książki o Leszku Kołakowskim. 16.X.1977 wygłosiła we Frankfurcie nad Menem mowę o polskim filozofie z okazji wręczenia mu Nagrody Pokojowej Stowarzyszenia Księgarzy Niemieckich. Już po przygotowaniu - z inicjatywy "Zapisu" - przekładu "Pochwały Leszka Kołakowskiego", dowiedzieliśmy się, że mowę Gesine Schwan, w innym tłumaczeniu, wydrukowała również "Kultura" paryska (grudzień 1977).

#### LESZEK SZARUGA

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, prozaik. Debiutował w prasie literackiej w roku 1967. Złożył w wydawnictwach kilka tomów poetyckich i krytyczno-literackich, żaden jednak nie został zaakceptowany, z wyjątkiem zbioru wierszy pt. "Dowód osobisty" w Wydawnictwie Literackim, który także od kilku lat nie może się ukazać.

#### WITOLD WIRPSZA

Urodzony w roku 1918. Poeta, prozaik, eseista, dramaturg, tłumacz. Od wiosny 1970 przebywa za granicą, niedługo potem objęty w Polsce całkowitym zakazem



druku. W roku 1971 wydał w Szwajcarii książkę pt. "Polaku, kim jesteś?" (w języku niemieckim), co zostało powitane chórem obelg na łamach "Prawa i Życia", "Życia Literackiego" etc. Obecnie ogłaszamy fragmenty tej książki, dotąd nie opublikowanej w oryginale. W jednym z najbliższych numerów zamierzamy z kolei ogłosić fragmenty powieści Wirpszy "Sama niewinność" (1974), również dotąd nie wydanej ani w kraju, ani na emigracji. Inne dzieła pozostające w szufladzie pisarza - to poemat "Faeton" (ukończony, po latach pracy, w roku 1968) oraz tom wierszy "Granica wytrzymałości" (1970-74).

#### WIKTOR WOROSZYLSKI

Urodzony w roku 1927. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz. Już od dwóch lat objęty zarządzeniami centralnie represjami, nie może wydawać książek w żadnym z wydawnictw krajowych. Wcześniej jeszcze powieść pt. "Literatura" odrzucona została przez wydawców jako politycznie niecenzuralna, przed kilkoma miesiącami autor ogłosił ją w paryskim Instytucie Literackim.



